


CONNOR HARRY OLLY

DZIECIĘ OGNI

MOC RUN
PRZECIWIW
SILE OGNI

fabryka słów®

The illustration depicts a character in a red coat standing in a dark, industrial environment. The character is holding a glowing staff that emits a bright orange and yellow light, creating a lens flare effect. The background shows a complex structure with pipes and machinery, rendered in a dark, textured style. The overall mood is dramatic and intense.

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Podziękowania

Karta redakcyjna

Okładka

HARRY
CONNOLLY
DZIECIĘ OGNIĄ

tłumaczył
Maciej Pawlak

fabryka słów[®]

Lublin 2014

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dobrze było znów siedzieć za kółkiem, nawet jeśli było to kółko zdezelowanego dodge'a sprintera. Nawet jeśli towarzyszem podróży była ona.

Van hałasował jak śmieciarka, prowadził się jak wózek w supermarkecie i potrzebował pełnej minuty, by osiągnąć minimalną prędkość jazdy po autostradzie. Zdarzało mi się jeździć lepszymi autami, ale zważywszy na okoliczności, nie mam zamiaru grymasić.

Towarzyszem podróży, a właściwie towarzyszką, była Annalise Powliss. Miała jakieś metr pięćdziesiąt w kapeluszu, była chuda jak wieszak i wydziarana od stóp do głów. Włosy barwy tej samej ciemnej czerwieni, którą kreślono mi w budzie prace klasowe, nosiła ścięte krótko przy samej czaszce. Nie wyglądała zbyt ładnie, ale podejrzewam, że miała to gdzieś. Pewnie sama się tak ścięła.

Była moją szefową i zabroniono jej mnie zabić, ale Bóg mi świadkiem, że o niczym innym nie marzyła.

– Dokąd jedziemy? – spytałem po raz czwarty.

Nie zaszczyciła mnie odpowiedzią. Nie licząc chwil, kiedy mówiła, gdzie mam jechać, nie odzywała się prawie w ogóle. Szczerze mówiąc, nie miałem o to pretensji. Miała dobry powód, by mnie nienawidzić.

Ale w tym momencie mieliśmy robotę do wykonania i wszystko, co o niej wiedziałem, to to, że Annalise ma człowieka do zabicia. Może nawet kilku. A ja miałem jej pomóc.

Ponieważ nie odzywała się do mnie, nie było do końca jasne, kto i w jakim porywie serca zabronił jej mnie wykończyć. Robiłem tylko za kierowcę, choć nie wiedziałem nawet, dokąd właściwie jedziemy.

– Ćwierć baku – odezwałem się, gdy zbliżaliśmy się do stacji. Nienawidziłem jeździć, nie mając przynajmniej połowy, ale jak dotąd szefowa zabroniła mi dotankować paliwa. A ponieważ to ona trzymała kasę, była wyżej w hierarchii i miała dość siły, by wyrwać mi ramię ze stawu, do niej należało ostatnie słowo.

Rzuciła okiem na trzymany w ręku kawałek drewna, niewykończony i niepomalowany, jeśli nie liczyć pokręconych i bezsensownych kształtów skreślonych po jednej stronie w kilku kolorach. Milczała. Stłumiłem złość i minąłem stację.

Jechaliśmy na zachód drogą wiodącą przez półwysep Olympic. Innych samochodów ani widu, ani słyhu. Ulice były śliskie od mżawki, a niebo ciemniało w miarę chylenia się słońca ku zachodowi. Po latach spędzonych w południowej Kalifornii zapomniałem już, jak długo potrafi zapadać noc w tej części świata.

Znajdowaliśmy się na jednej z tych prowincjonalnych dróg, co to mają po jednym pasie w każdą stronę i ograniczenie prędkości do pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Nie jechałem nawet tyle, ponieważ bałem się, że van rozkraczy się do reszty na pierwszym zakręcie, jakby mało było łysych opon, zawodzących przy byle okazji hamulców i paki załadowanej sprzętem.

Ale i tak czerpałem radość z jazdy. Kluczyki drzemały w stacyjce, a przez przednią szybę widziałem niebo. Wspaniale było znów być wolnym człowiekiem.

W oddali dostrzegłem rosnący przy drodze wielki cedr. Annalise nie miała zapiętego pasa. Ja swój owszem. Wskazówka prędkościomierza pokazywała dokładnie pięćdziesiąt mil na godzinę. Wystarczyłoby tylko skrócić kierownicą. Wyleciałaby z tym swoim kawałkiem drewna przez przednią szybę i przywaliała w pień, a ja tuliłbym się do poduszki powietrznej z wrzynającym się w klatkę piersiową pasem bezpieczeństwa.

Nie odważyłem się. Na pace znajdowało się coś więcej niż tylko przytwierdzony do podłogi rozklekotanymi mocowaniami motocykl Annalise. Szczerze mówiąc, wątpiłem, by przyłożenie twarzą w pień

drzewa wyrządziło Annalise większą krzywdę. Nie mówiąc już o tym, że dostałaby szału. Nie takie rzeczy już wytrzymała. Wiem, widziałem.

Byłem zupełnie pewien, że Annalise nie jest istotą ludzką. Kiedyś, jak mniemam, owszem, ale czym była teraz? Nie miałem pojęcia.

Ze wschodu nadjechało ku nam volvo kombi z przytroczonym do dachu bagażem. Kiedy nas mijalo, drewnisko w ręce Annalise rozbłysło jak lampa aparatu fotograficznego. Wymalowany na drewnie wzór zaczął się wić niczym płatanina węży.

Annalise rzuciła się w fotelu.

– Zawracaj! – wrzasnęła. Miała wysoki, śmieszny głos, pasujący bardziej do kreskówkowej wiewiórki niż dorosłej kobiety. – Zawracaj i jedź za tym wozem!

Wykonałem polecenie, nim skończyła je wydawać. Dałem po hamulcach i wykręciłem kierownicę, obracając niezgrabnego gruchota w poślizgu tak mocnym, jak tylko się odważyłem. Z paki dobiegł mnie hałas przewracających się rzeczy Annalise. Stanęliśmy w poprzek drogi, wrzuciłem wsteczny.

– No dalej! Pośpiesz się, cholera!

– Wyluzuj.

Obejrzałem się przez ramię, odkręciłem kółko w drugą stronę, wrzuciłem jedynkę i wcisnąłem gaz do dechy. Ruszyliśmy za volvo.

– Cholera jasna, Ray – warknęła Annalise. Wisiała mi tuż nad uchem, słyszałem więc wyraźnie nienawiść w jej głosie. – Jeśli pozwolisz im uciec, urwę ci łeb przy samej dupie.

– Och, doprawdy? A kto wtedy poprowadzi auto? Przecież nie sięgasz nogami do pedałów – odpyskowałem, niepotrzebnie pozwalając strachowi przeniknąć do głosu. Kiedy Annalise mówiła, że urwie komuś łeb, nie należało uważać tego za czczą pogroźkę. – Ten gruchot to twój samochód. Jeśli ich nie dogonimy, pretensje miej do siebie.

Opadła na fotel i wlepiła wzrok w pustą jezdnię przed nami.

Nadzwyczajnym wysiłkiem woli zmusiłem się do uśmiechu.

– Czyż nie jest przemiło? Nasza pierwsza wspólna robota, a już świata poza sobą nie widzimy. – Tylko zupełny idiota przekomarzałby się z Annalise, ale bałem się jej, a nienawidziłem okazywać strachu.

Zignorowała mnie, za co byłem jej w duchu wdzięczny.

Nabraliśmy prędkości, wchodząc w zakręty i pokonując wzniesienia, z którymi van ledwie sobie radził. Zapadała noc, a las wokół nas zaczęły wypełniać coraz gęstsze cienie. Włączyłem światła, za co Annalise nie omieszkała mnie opieprzyć, toteż za moment je zgasilem.

Spomiędzy drzew po prawej mignęło do nas czerwone światło. Zwolniłem. Annalise już zaczęła protestować, ale uciszyłem ją. Co bynajmniej nie polepszyło jej nastroju.

Znaleźliśmy się na żwirowym parkingu na skraju lasu, obok którego stał rząd opuszczonych drewnianych straganów. Wyglądało na to, że kiedyś okoliczni farmerzy sprzedawali tu swoje dobra przejeżdżnym. Kombi z zapalonymi czerwonymi światłami hamowania stało na przeciwległym krańcu parkingu.

Zaparkowałem vana kilka długości za ściganym pojazdem i wyskoczyłem z niego na złamanie karku. Annalise była trochę szybsza. Podbiegła do volvo, trzymając w wyciągniętej ręce kawałek drewna wielkości otoczaka; wyglądało to, jakby miała licznik Geigera. Rysunek drgał dziko. Nie ulegało wątpliwości, że wywierał na niego wpływ albo samochód, albo ci, co nim jechali.

Wszystkie drzwi pojazdu były otwarte na oścież. W jego głębi mężczyzna i kobieta siłowali się gorączkowo z czymś na tylnym siedzeniu. Ogarnąłem wzrokiem bagaż na dachu. Zauważyłem odkurzacz w przeźroczystej plastikowej torbie na śmieci, upstrzonej kropelkami deszczu. Ci państwo z pewnością nie wybrali się na piknik. Ewidentnie opuszczali miasto.

Zamiast postaci mężczyzny widziałem tylko parę kremowych spodni w rozmiarze XXL, zaprasowanych dokładnie w kancik, oraz odsłonięty blady pas skóry pleców. Jakiś urzędnik, pomyślałem. Na pewno słyszał nasze kroki, ale mimo to nie obrócił się. Czy tak bardzo pochłaniało go owo coś na tylnym siedzeniu, czy też miał po prostu słaby instynkt przetrwania? Niemożliwy do pozbycia się nawyk podsunął mi na myśl: ofiara.

Nie, nie. Odpędziłem tę myśl. W moim życiu nie było już na to miejsca.

Z tego, co zdołałem dostrzec przez okna samochodu, kobieta również była szersza niż ustawa przewiduje i ubrana jak do pracy w biurze. Mimo wysiłków para nie mogła uporać się z tajemniczym czymś w wozie.

Poczułem ucisk w klatce piersiowej, cał poniżej obojczyka. Dziwne.

– Potrzebujecie pomocy, ludzie? – spytałem, próbując zignorować osobliwe wrażenie.

Kobieta podniosła wzrok, dopiero teraz nas zauważając. Na jej twarzy malowało się przerażenie, ale wiedziałem, że nie miało ono nic wspólnego z Annalise i mną. Mąż nieznajomej obrócił się i także utkwiał w nas wzrok. Soczewki okularów pokrywały drobne kropelki.

– Nie – odpowiedział nieco zbyt szybko. – Wszystko w porządku.

Nacisk na mojej klatce piersiowej wzmógł się.

A potem z auta wygramolił się ich synek.

Wyglądał na chłopca z dobrego domu, miał może z osiem – dziewięć lat, choć z drugiej strony co ja tam mogę wiedzieć, nie mam pojęcia o dzieciach. Zobaczyłem zwichrowane włosy i zadrapania na obu łokciach.

– Dziwnie się czuję, tato – powiedział. Przycisnął ręce do piersi. – Czuję się miękki.

Jego głowa wybuchła płomieniem.

Raptem ogarnęło mnie oszołomienie, a nacisk pod obojczykiem zniknął zupełnie. Zanim pojąłem, co robię, puściłem się pędem naprzód, zdejmując kurtkę.

Kobieta wydała z siebie przenikliwy krzyk. Wieniec ognia wokół głowy chłopaka spłynął w dół ciała, za linię bioder. W jednej chwili ogień spowił cały jego kontur.

Ojciec rzucił się po własną kurtkę, rozwieszoną na oparciu kierowcy. Za mną zachręściły na żwirze kroki Annalise.

– O kurde! – wykrzyknął chłopak. – To nic nie boli, tatuś. Nie boli nic a nic.

Urzędas obalił dziecko na żwir, próbując zdusić płomienie uderzeniami ramion. Ja przypadłem do młodego pół sekundy po nim i zacząłem okładać chłopca po twarzy i głowie kurtką.

Wokół chłopca unosiła się mgiełka parującego deszczu. Ojciec skomlał jak przyduszony pies. Próbowałem na to nie zważać. Próbowałem też nie zważać na czarne ślady, które ogień zostawiał na ziemi. Ani w ogóle nie myśleć o tym, co się właściwie działo. Skupiłem się na walce z płomieniami. Biłem je, dusiłem, tłamsiłem kurtką.

Bezskutecznie. Ogień rozszalał się na dobre, moja kurtka płonęła. Odrzuciłem ją i zacząłem zdejmować koszulę przez głowę.

A dzieciak śmiał się, jakbyśmy go łaskotali. Jego skóra zmieniła kolor na srebrzystoszary, a głowa odpadła od tułowia.

Ogień wył. Żar buchnął mi w twarz, odpychając do tyłu. Mężczyzna klapnął na pokryty rozstępami tyłek, niemal zbijając jak kręgiel nadbiegającą zza auta kobietę.

Wykorzystałem moment, aby przeturlać się na nogi i wstać. U mego boku zobaczyłem Annalise. Rozpięła guziki swojej nieodłącznej kurtki strażackiej, odkrywając przyczepione klipsami do ubrania kolorowe wstęgi. Odpięła zieloną. Niewielki sigil wyrysowany pod spodem zaślnił srebrzystym światłem.

Odwróciłem się do rodziny. Głowa, ramiona i klatka piersiowa chłopca rozmyły się i przemieniły w stertę tłustych, wijących się srebrnoszarych robaków, każdy wielkości małego palca. Po chwili przemienił się jego brzuch, potem biodra. Transformacja przebiegła błyskawicznie. Zobaczyłem wijące się na żwirowym podłożu robactwo, próbujące zakopać się w ziemi. Robaki pełzły jedno przez drugie, uciekając na zachód. Czegokolwiek dotknęły, plamiły to czarną i tłustą sadzą.

Poczułem ścisk w gardle i zwymiotowałbym, gdybym nie miał zupełnie pustego żołądka.

Ojciec gramolił się na nogi, a matka próbowała obejść go i zbliżyć się do syna. Wyraz jej twarzy zdradzał, że zaczyna pojmować, że już go nie ma, ale mimo to nie mogła ot tak zostawić rozpływającego się ciała. Była to myśl zupełnie jej obca.

Rzuciłem się na nich oboje. Moje ramię wtopiło się w miękkie brzuszko mężczyzny, matkę złapałem w biodrach. Użyłem całej swej siły, by odepchnąć ich od volvo.

Nie obejrzałem się nawet na Annalise, bo i nie musiałem. Doskonale wiedziałem, jak działają zielone wstęgi i jak mało dba o los postronnych.

Mężczyzna i kobieta zachwiali się i powpadali na siebie, lądując ciężko na żwirze. A ja na nich.

Usłyszałem syk ognia. Zielona wstęga Annalise dosięgła celu. Obejrzałem się i dostrzegłem płomienie, tym razem zielone, pochłaniające wijącą się masę, która była niegdyś ciałem dziecka. Każdy robak, którego liznęły płomienie, rozdymał się i wybuchał jak purchawka.

Kula zielonego ognia stale się poszerzała. Podkuliłem nogi, aby jej uniknąć, ale było za późno. Omyła mnie zimna fala szmaragdowych

płomieni.

Wessałem głośno powietrze, by wydać z siebie agonalny wrzask.

Przedwcześnie. Zdecydowanie przedwcześnie. Spojrzałem na swoje nogi, spodziewając się, że zamienią się na moich oczach w pocerniałe, dymiące gnaty, ale nic takiego się nie stało. Nie czułem bólu, nie odniosłem najmniejszych obrażeń, nic. Spodnie nawet się nie zatliły. Nie poczułem nic poza lekkim naciskiem pod obojczykiem, gdzie płomień nawet nie sięgnęły.

A ogień się cofnął. Byłem zdrow i cały. Rodzice również. W samą porę odepchnąłem ich poza zasięg płomieni. Robaki miały mniej szczęścia. Nie zostało z nich nic poza szarawą mazią.

– Matko Boska – szepnęła kobieta udręczonym głosem. Na jej twarzy malowało się oszołomienie, a oczy miała szkliste. Gdybym jej nie odepchnął, byłaby tak samo martwa jak jej syn, i to tylko dlatego, że znalazła się przypadkiem w pobliżu osoby, którą chciała zabić Annalise.

Moja szefowa wydobyla spod kurtki kolejną wstęgę. Tym razem niebieską. Nie miałem pojęcia, dlaczego była niebieska, ale wiedziałem, że bynajmniej nie służy do pakowania prezentów na Gwiazdkę.

Zanim zdążyła jej użyć, przepłynęła przeze mnie moc. Nie w jakimś fizycznym sensie: napała wprost na mój umysł, na świadomość, zwał jak zwał, miałem wrażenie, jakbym grzązł po szyję w morskiej pianie. Jakbym tonął w głębokiej wodzie.

I niemal w tej samej chwili wysoko po prawej stronie klatki piersiowej znów poczułem ten dziwny ucisk.

Annalise zachwiała się i skrzywiła; niebieska wstęga wysunęła jej się z palców. Ona również to poczuła. Jeśli falę mocy wyczuli również ojciec z matką, nie dali tego po sobie poznać. Ich twarze niespodzianie przybrały osobliwy, nieobecny wyraz.

Nagle wrażenie rozwiało się, a rodzice po prostu wstali na nogi i wygładzili ubrania.

– Nie musiał mnie pan przewracać – powiedział mężczyzna.

– Ja tylko niosę pomoc.

– Że co?

– Zatrzymaliśmy się, żeby wam pomóc. Dobra, nieważne.

Otrzeptał kurz ze spodni. Żona uczepiła się jego koszuli i spoglądała na mnie z obawą.

– Douglas, jedźmy już.

Ruszyli w stronę volvo, obrzucając mnie przez ramię niepewnym spojrzeniem, jakbym był wściekłym psem, który może ich pogryźć.

Nie wyglądali na szczególnie strapionych tym, co przydarzyło się właśnie ich synkowi.

Wsiadli do samochodu, zatrzasnęli drzwi, a po chwili Douglas zapuścił silnik. Jego żona odchyliła się ku tylnemu siedzeniu i poprawiła pas niemowlęciu śpiącemu w foteliku. Dopiero teraz je zauważyłem. Douglas włączył radio. Leciał Bobby McFerrin. Pod kołami zachrząścił żwir i pojazd potoczył się w stronę wyjazdu z parkingu, jakby nie zostawili za sobą nic ważniejszego od pustego opakowania po Happy Mealu.

Annalise przemknęła obok mnie, pochyliła się i przyładowała z impetem w maskę volvo, lekko powyżej błotnika. Jej nogi zaczęły przebierać z mozołem. Karoseria wgniotła się, a samochód przechylił na przeciwległą burzę, po czym zsunął do przydrożnego rowu. Annalise stanęła prosto, marszcząc groźnie brwi, i poprawiła kurtkę. Wiedziałem, ma się rozumieć, jaka jest silna. Mogłaby bez trudu obrócić samochód na dach albo wyrwać drzwi i ukręcić Douglasowi łeb. Nie zrobiła tego tylko dlatego, że najwidoczniej miała jeszcze z nim do pogadania.

Grubas wypadł z samochodu jak torpeda, aby dokonać oględzin pojazdu. Wlepił wzrok w wygięty metal, w Annalise, a potem rozejrzał się wokoło.

– Co, do... – zaczął. Nie skończył. Przejechał ręką po zniszczonym błotniku, jakby chciał się uspokoić, że uszkodzenie nie sięgnęło silnika. Znowu podniósł wzrok na Annalise. – Co uderzyło w auto?

– Jeszcze z wami nie skończyłam – wyjaśniła Annalise, postąpiwszy krok w jego stronę.

Kobieta wyjrzała przez okno.

– Douglas, zaraz mi tu wracaj – rzuciła. Spojrzała do tyłu, żeby sprawdzić, co z dzieckiem. Wciąż spało.

Douglas zadzwonił kluczami i wrócił do auta. Ręce mi się trzęsły. Czuję, jak narasta we mnie histeryczna wściekłość. Tamten młody nazywał faceta „tatusiem”, a on po prostu sobie stąd odjedzie, jakby zatrzymał się tylko po to, żeby się odpryskać? Otrząsnęli się ze śmierci własnego syna, jakby był potrąconym na jezdni psem. Przed dwoma minutami nie wiedziałem nawet o jego istnieniu, ale to, co zobaczyłem, sprawiło, że jednocześnie zbierało mi się na płacz i wymioty.

Powstrzymałem się jakoś i zamiast tego się wściekłem.

– Tak po prostu odjedziecie?

Oczy kobiety rozszerzyły się.

– Douglas!

– A co z waszym dzieckiem? – Obserwowałem ich bacznie, zdecydowany, by wyłować z twarzy choć najmniejsze oznaki smutku. Potrzebowałem się wściec. Inaczej pękłbym jak bańka mydlana. – Mówił do was „mamo” i „tato”! Macie w dupie, co się z nim stało?

Aby wsiąść do samochodu, Douglas musiałby odwrócić się do mnie plecami. Nie zdobył się na to ryzyko.

– Szanowny panie – rzekł – pojęcia nie mam, o czym pan mówisz.

– Powiedział do ciebie „tata”! To był twój syn!

Gniew narastał we mnie w tempie lawinowym i wiedziałem, że nie zdołam go już opanować. Musiałem zmusić ich do okazania emocji. Ci ludzie okażą choć cień żalu, nawet jeśli będę musiał wycisnąć ich jak cytrynę.

– Syn nic do mnie nie powiedział! – wrzeszczał Douglas. – Ma zaledwie trzy miesiące!

– Ray – odezwała się Annalise.

Zignorowałem ją. Gapiłem się na Douglasa, kompletnie wytrącony z równowagi.

– W ogóle cię to nie obeszło! – mój ton nie był już oskarżycielski, nie było w nim też złości. Tylko zdumienie. Byłem na prostej drodze do czegoś strasznego i nie miałem pojęcia, jak z niej zawrócić.

Gdybym miał siłę Annalise, obdarłbym go żywcem ze skóry. Gdybym dysponował jej arsenałem zaklęć, spaliłbym go na popiół.

– Ray! – Zwróciłem się ku niej. Jej wysoki, dziewczęcy głos brzmiał, jakby miała ściśnięte gardło. Nawet ją poruszyła śmierć chłopca. – Uspokój się – powiedziała. – Oni nic nie pamiętają. Coś wyczyściło im pamięć.

Trawiłem jej słowa przez kilka sekund. Fala. Przepływ energii, który odczuliśmy, kiedy chłopak się przemienił. Widać podziałał również na nich. To pewnie przez to stracili pamięć o całym wydarzeniu.

Ale czemu ja wciąż je pamiętałem?

Douglas opierał się o auto z wyciągniętym do żony ramieniem. Dał się słyszeć odgłos pulchnej dłoni chwytającej za kawałek metalu, a potem mężczyzna ruszył na mnie.

Byłem rozkojarzony i oszołomiony; gdyby zaatakował nieco szybciej, zabiłby mnie. Ale nie zdążył. Był tylko otyłym urzędasem z za biurka. Ofiarą. Odruchowo uniosłem rękę, by osłonić głowę, a on uderzył mnie w wytatuowane przedramię kluczem do kół.

Nie poczułem bólu, ledwo zarejestrowałem uderzenie. Nie tylko Annalise była wydzierana. Moje tatuaże, tak jak i jej, były magiczne. Jej pokrywały prawie całe ciało, moje zaledwie kilka punktów, w tym przedramiona i dłonie.

Douglasowi zdawało się, że zadał mi zwycięski cios. Stał tak z tryumfalnym uśmieszkiem, czekając, aż zegnę się wpół, tuląc do ciała pogruchotaną rękę. Zamiast tego wyrwałem mu klucz z ręki i przyparłem faceta do auta.

Annalise podeszła do niego.

– Portfel – zażądała.

Spojrzał na nią przelotnie. Annalise stanowiła dla niego nieporównanie większe zagrożenie niż ja, ale całą swoją uwagę skupiał teraz na wydzieranym dryblasie, nie drobnej kobiecie. Zmusił ją, by się powtórzyła.

– Na litość boską, Douglas, daj jej swój portfel! – zawołała jego żona. Wyjął go więc, a Annalise przetrząsnęła zawartość.

– Douglas Benton – przeczytała. – 144 Acorn Road, Hammer Bay, Waszyngton.

– Już tam nie mieszkamy. – Głos Douglasa trząsł się lekko. – Wyjeżdżamy z miasta.

Potrząsnąłem nim.

– A to czemu?

Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. I tak kilka razy. Najwyraźniej nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź.

– Tego też nie pamięta – stwierdziła Annalise. Wyciągnęła kartę z jego portfela. Była biała, z magnetycznym paskiem na odwrocie. – Hammer Bay Toys – odczytała. – To tam pracujesz?

– Tak – odparł Douglas.

– I nie planujesz wrócić do miasta.

– No nie. Nie planuję.

– Czemu nie zwróciłeś karty pracowniczej?

– Ja... zapomniałem. – Na górną wargę wystąpiły mu kropelki potu. Wodził pomiędzy nami wzrokiem, myśląc, co zełgać, bylebyśmy pozwolili

im odjechać cało. Miał nas za czubków, a zważywszy na mój ówczesny stan umysłu, zbytnio się nie mylił.

– Hmm – mruknęła Annalise, jakby nie do końca satysfakcjonowała ją odpowiedź. Na moment zaległa cisza.

Najwyraźniej Douglas, podobnie jak przyroda, nie znosił pustki, więc zaczął paplać:

– Słuchajcie, ja w ogóle nie rozumiem, w czym problem. Jestem pewien, że możemy jakoś, nie wiem, wypracować zadowalające wszystkich rozwiązanie. No nie? Głowę daję, że to wszystko jakieś nieporozumienie czy coś.

Annalise namyślała się.

– Może masz rację, Douglas.

Zastanawiałem się, czy to właśnie teraz ich pozabija.

– No pewnie, jasne, że tak. – Jej słowa najwyraźniej go ośmieliły. – Po prostu coś nam się pomieszało. Dzieciak nie mógł nazwać mnie tatą, no nie, Meg? Jest na to za mały. Zawsze chcieliśmy z Meg mieć syna, ale nie mieliśmy szczęścia, aż do tej zimy. Widzicie? Coś nam się pomieszało, i tyle.

– Tylko jednemu z nas – poprawiła Annalise. – Bo macie w aucie wolny fotelik dla dzieci.

Wszyscy spojrzeliśmy na tylne siedzenie. Po przeciwległej stronie pojazdu, obok plastikowego fotelika z niemowlęciem, znajdowało się jeszcze jedno siedzenie, o wiele za małe na chłopca, który przed chwilą... Nie byłem jeszcze gotów zmierzyć się z tą myślą, ale tamten chłopiec z pewnością był już za duży, by w nim jeździć.

Czyżby stracili wcześniej jeszcze jedno dziecko? I tego również nie pamiętali?

Douglas i Meg popatrzyli na siebie pytająco. Cisza.

– Wieziemy je dla mojej siostry? – odrzekł Douglas pytającym tonem, jakbyśmy to my mieli wiedzieć.

– Widać na nim ślady po nadpaleniu – zauważyłem. Były takie same jak te na ziemi, w miejscu gdzie stał chłopak.

Bentonowie najwyraźniej nie wiedzieli, co z tym fantem zrobić. Całkowite zmieszanie malujące się na ich twarzach było wręcz fascynujące. Naprawdę zmacono im zmysły czarami. Mój gniew wciąż nie zelżał, ale nie kierowałem go już na nich. Zaczynałem ich żałować.

Meg porwała fotelik z siedzenia, odpięła pas i wyrzuciła go w krzaki. Odbił się od żwiru i zniknął w kępie pokrzyw.

Douglas otaksował mnie nerwowym spojrzeniem.

– Nie wiem, skąd to się tam wzięło. Naprawdę. – Przeniósł wzrok na Annalise. – Chcecie pieniędzy, tak?

Annalise poczęstowała go kwaśnym uśmiechem. Wyjęła z kieszeni kawałek drewna i przyłożyła do samochodu, a potem Douglasowi do brzucha. Wzór spletał się, ale nie tak raptownie jak poprzednio.

– Boli? – spytała Annalise.

– Nie – odrzekł.

– Powiedz żonie, że jest następna w kolejce.

Obeszła volvo i położyła drewno na dłoni Meg. Douglas patrzył na coś absolutnie fascynującego w żwirze między swoimi stopami.

Wtedy zauważyłem jego dłonie. Były czerwone, spuchnięte i lśniły od wilgoci. Poparzone. Choć nie wydawał się cierpieć. Jeśli zwróciłbym mu na nie uwagę, tak jak wcześniej na fotelik, czy o nich również by sobie „przypomniał”? Czy nagle targnąłby nim ból?

Annalise zajrzała do samochodu i złapała za dźwignię zmiany biegów. Potem podeszła do burty pojazdu, umiejscowiła małą dłoń na błotniku i pchnęła. Auto wysunęło się z rowu na drogę. Otrzepała ręce i zaczęła iść w stronę naszego vana.

– Ray, jedziemy.

– Wynoście się stąd, Douglas – rzuciłem na odchodnym.

– Rób, jak radzi – dodała Annalise. – Wynoście się z Hammer Bay i nie wracajcie.

Nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Douglas zatrzasnął drzwi auta i wystrzelił z parkingu jak z procy.

Odprowadziłem ich wzrokiem do pierwszego zakrętu. Czułem, jak opada mi poziom adrenaliny. Nie mogłem przestać myśleć o chłopcu i o przerażająco gorących płomieniach. Spojrzałem w dół, na swoje niepoparzone nogi. Czułem się skołowany i chory.

Annalise znowu mnie zawołała, ale ja odwróciłem się od niej, pobiegłem na skraj parkingu i wyrzygałem się w krzaki.

Wysilek sprawił, że łzy nabiegły mi do oczu. Były to jedyne łzy, na jakie mógł liczyć tamten chłopiec. Bezskutecznie próbowałem pozbyć się z ust ohydneho kwaśnego posmaku.

Otarłem łzy. Ręce mi się trzęsły, a żołądek miałem związany w supeł. Chłopaka nie opłacie nikt poza mną, a i moje dni były policzone. Coś należało dla niego zrobić. Nie wiedziałem wprowadzić co, ale przecierając oczy po raz wtóry, doszedłem do wniosku, że coś na pewno da się wymyślić.

Usłyszałem za sobą kroki.

– Mązesz się jak baba – stwierdziła Annalise.

Powiedziałem jej, co może ze sobą zrobić.

– Starczy już tego harcerzykowania. – Nie przejęła się i wcisnęła mi w dłoń butelkę wody. – Napij się.

Upiłem łyk i wyplułem. Dopóki wykonywałem polecenia, włos nie mógł mi spaść z głowy. Kolejny łyk.

– Dzięki.

– Nie dziękuj – odrzekła. – Nie chciałam, żebyś zasmrodził van rzygowinami.

Wróciliśmy do samochodu. Zastanawiałem się, ile umierających dzieci widziała w życiu Annalise. Może było ich tak wiele, że przestała już liczyć?

Siadłem za kółkiem i zapiałem pas. Annalise nigdy nie zapinała swojego. Korzystała z innych, mniej przyziemnych środków bezpieczeństwa.

– Kiedy chłopak zaczął płonąć, zamienił się w coś – zagadnąłem. – Jakies szare robale, które próbowały zagrzebać się w ziemi. Co to niby było?

– Odpalaj auto.

– Czemu się nie poparzyłem? Na palcach nie mam tatuaży. Jakim cudem moje ręce nie wyglądają jak dłonie Douglasa?

Nie odpowiedziała.

– I czym była ta dziwna fala mocy? – ciągnąłem. – Wiem, że ty też ją poczułaś. Jakby coś naparło na umysł. – Mój słowotok brzmiał jak jakieś bzdury, ale Annalise dopiero co widziała mnie płaczącego jak dziecko. Moja męska duma i tak leżała i kwiczała. – Poczulem też jakiś nacisk na klatkę piersiową.

– Odpalaj samochód – przerwała.

Odpaliłem. Kiedy już byliśmy na drodze, Annalise wyjęła ze skrytki telefon komórkowy i wcisnęła szybkie wybieranie. Po kilku sekundach przedstawiła się do aparatu, po czym wyjawiała rozmówcy nazwisko, adres i numer rejestracyjny samochodu Douglasa.

– Sprawdź to – poleciła. – I wciąż czekam na raport.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Miło wiedzieć, pomyślałem, że nie jestem jedyną osobą, którą traktujesz jak gówno.

Skupiłem się na drodze. Kroiła się długa i powolna podróż pod zasnutym chmurami nocnym niebem. Włączyłem reflektory w samą porę, by zobaczyć tablicę z napisem: HAMMER BAY 22 MILE. Tym razem Annalise nie zgłaszała obiekcji. Panowała cisza, jeśli nie liczyć hałasowania vana. Nagle ta cisza zaczęła mi bardzo wadzić.

– Do kogo dzwoniłaś? – Jak należało się spodziewać, nie odpowiedziała.

– Do mamy?

Gdyby wzrok mógł zabijać, padłbym trupem. Oj. Czuły punkt.

– Czemu nie zabiłaś Douglasa? – spytałem. – Czy to nie należy do twoich obowiązków? Zabijanie tych, którzy władają magią?

– Bentonowie nie władali magią – wysyczała jak żmija. – Czy mieli przy sobie księgę czarów? Czy rzucili na siebie jakieś zaklęcia? Czy nosili w sobie drapieżcę?

– Chyba nie.

– Ktoś inny ich zaczarował. I to tym kimś mamy się zająć. Bentonowie nie stanowili zagrożenia. Byli tylko ofiarami.

Nie powiedziałem jej, że też mi to przyszło na myśl. Chyba inaczej rozumieliśmy to słowo.

Milczeliśmy jakiś czas. Wciąż miałem przed oczami twarz chłopca w aureoli płomieni. Wciąż słyszałem, jak mówi, że go nie boli. Musiałem gadać, inaczej znowu zacząłbym się mazać.

– Po cholerę w ogóle jedziemy do tego Hammer Bay? – spytałem. – Raczej nie do Douglasa na piwo. Co jest grane?

Znowu milczała.

– No weź – nalegałem. – Mamy wykonać zadanie, a ja nic o nim nie wiem. Powiedz mi tylko, co jest grane. Chyba że sama nie masz pojęcia? Płomienie, które nie parzą. Chłopcy zamieniający się w stertę robali. Ludzie niepamiętający, że umarło im dziecko. Jakaś siła, która naparła na nasze umysły. – Milczała niewzruszenie. – Nie masz zamiaru nic mi wytłumaczyć?

– Nie ma sensu.

– Jak to?

– Praktycznie rzecz biorąc, już nie żyjesz.

Reszta drogi upłynęła w kompletnej ciszy.

Ze szczytu wzniesienia zobaczyliśmy przed sobą Pacyfik. A w miejscu, gdzie stykał się z lądem, miasteczko Hammer Bay. Stoczyliśmy się do niego drogą biegnącą prosto w dół.

ROZDZIAŁ DRUGI

Annalise spieszno było na Acorn Road. Powiedziałem jej, że zamiast jeździć wte i wewte, szukając drogowskazów, powinniśmy zatrzymać się na stacji i spytać o drogę, przy okazji tankując. Próbował nas pokierować sprzedawca w średnim wieku, ale kiedy powiedział, żebyśmy skręcili w prawo tam, gdzie była kiedyś kręgielnia, w końcu wyrwałem ze stojaka i pacnąłem na ladę mapę miasta.

Kiedy tankowałem, przy pompie obok zatrzymała się młoda matka z chłopcem i dziewczynką na przednim siedzeniu. Jej samochód załadowany był zakupami.

– Na litość boską! – fuknęła na dzieci. – Siedź spokojnie choć przez pięć minut! Co? Pięć minutek?

Wypełniłem bak po brzegi, starając się nie patrzeć na dzieci. Bo ilekroć na nie spojrzałem, zdawało mi się, że płoną żywcem.

Ulice upstrzone były dziurami i tonęły w mroku, którego nie rozświetlały przepalone latarnie. Mijaliśmy po drodze zdezelowane pick-upy i zajeżdżone kombi.

Przejechaliśmy obok trzech domów, których dachy były w naprawie, i dwóch, gdzie dopiero sadzono frontowe ogródki. Miasteczko wyglądało, jakby odżywało po latach śpiączki.

Okazało się, że Annalise średnio radzi sobie z mapą. Dwa razy kazała mi jechać w złym kierunku. Odbyliśmy urocą, ale niespecjalnie potrzebną wycieczkę po centrum Hammer Bay. Minęliśmy antykwariaty i niewielkie

rodzinne sklepy z narzędziami. Nad wejściem do jednego z budynków znajdowała się tablica z napisem THE MALLETT. Na znajdującym się przed frontem lokalu stojaku na prasę widniał ten sam napis.

Jechaliśmy pod górę; nadbrzeżna droga wiodła wzdłuż wychylonego nad wodą klifu, który wznosił się w kierunku południowym. Znajdowało się tu kilka restauracji: pizzeria, bar bistro, knajpy z żarciem meksykańskim, włoskim i chińszczyzną, potem pub i kilka drogich lokali dla snobów, tych z bajecznym widokiem na ocean. Smutne, że jedynym lokalem, z którego dobiegał gwar, był bar sportowy. Wystarczyło spojrzeć przez okno na ekran wielkiego telewizora, by zorientować się, że dzisiaj grali Marines.

Poczułem nagłą ochotę, by się zatrzymać i obejrzeć mecz, ale zignorowałem ją. Od wielu lat nie było już w moim życiu miejsca na baseball. Ta jedna myśl przypominała mi o wszystkich utraconych przyjaciołach i beztroskich czasach, gdy życie było o wiele prostsze.

Może Annalise miała rację. Może mazałem się jak baba. Ale co mi tam, przecież i tak jestem już jedną nogą w grobie, no nie? Miałem prawo trochę się pomazać.

Poczułem, że trzymany dotąd w odwodzie głód przypościł szturm ze zdwojoną siłą. Zwolniłem przy tajskiej restauracyjce.

– Może postawisz obiad? – spytałem. Byłem bez grosza przy duszy. Nie miałem przy sobie nawet bielizny na zmianę czy szczoteczki do zębów. Jeśli już musi mnie zabić, niech chociaż przedtem nakarmi.

– Teraz na pewno nie – odmówiła, ale sprawa była rozwojowa.

Wziąłem od niej mapę – tani świstek dla turystów pokryty małymi ikonkami w miejscach lokalnych atrakcji i restauracji, które niewątpliwie słono zapłaciły za ten przywilej. Poszarpanymi esami-floresami naniesiono u skraju lądu klif. Za nami, na północy, leżała zatoka, od której miasto wzięło swą nazwę. W ciemności przed nami, na południowym obrzeżu miasteczka, strzelała w niebo latarnia morska, choć nie widziałem w oddali sunącego po falach snopu światła.

Acorn Road znajdowała się na północno-wschodnim skraju miasta. My znajdowaliśmy się na południowo-zachodnim. Zapamiętałem drogę do miejsca przeznaczenia i przyspieszyłem.

Nie widziałem dotąd ani jednego gliniarza. Doszedłem do wniosku, że to dziwne. W większości małych miasteczek przy barach można się zazwyczaj natknąć na radiowozy. Nie wiedziałem, czy miejscową psiarnię wezwano

do jakiegoś nagłego wypadku, czy może opychają się pączkami w lokalnej cukierni.

Annalise, skoro już nie ciążył jej na barkach obowiązek pilotowania mnie na miejsce, wyjęła z kieszeni kawałek drewna i wpatrywała się weń uporczywie. Rysunek drgał miarowo i sennie.

Cokolwiek to oznaczało, nie podobało się Annalise.

Gdy jechałem przez kolejną część miasta, zobaczyłem w świetle latarni trzy czarne ślady podobne do tych, które zostawiły na żwirze szare robaki. Jeden znajdował się na szczycie żółtej zjeżdżalni dla dzieci. Kolejny na betonowym podjeździe, obok deskorolki i kasku. Ostatni zaczynał się obok stosu rozdmuchanych przez wiatr i napęczniałych od deszczu szkolnych podręczników.

Nie przy kosiarce do trawy. Nie przy harleyu ani jakimś samochodzie. Tylko przy przedmiotach wskazujących na dzieci.

Odnalazłem były dom Bentonów i zaparkowałem na ulicy. W okolicy stało tylko pięć czy sześć samochodów, a należący do Annalise dostawczy sprinter rzucał się w oczy. Nie zauważyłem zapalających się w oknach świateł czy odsuwanych zasłon. Nikt nie wyjrzał, by sprawdzić, kto przyjechał. Widocznie trafiliśmy na małe miasteczko, któremu los poskąpił wścibskich sąsiadów i plotkujących sąsiadek. Prawdziwy wybryk natury.

Annalise podeszła do drzwi frontowych i wdusiła dzwonek. Nie doczekała się odpowiedzi i nacisnęła go ponownie. Cisza. Podniosła nogę, by wykopać drzwi z zawiasów.

– Czekał – powstrzymałem ją, wyjmując z kieszeni Ostrze Dusz.

Był to mały kawałek papieru owinięty taśmą pocztową i zalaminowany. Po jednej stronie znajdował się sigil bliźniaczy do tego na wstęgach Annalise i naszych tatuażach. Sporządziłem go własnoręcznie.

Zawierał zaklęcie. Jedyne, jakie miałem.

Nóż wsunął się w drzwi, jakby zamiast z drewna wykonane były z mgły. Przesunąłem nim przez zasuwę zamka i pchnąłem, a drzwi otworzyły się, odsłaniając niewidoczne w mroku wnętrze domostwa.

Pierwszy raz siedziałem – wtedy jeszcze w poprawczaku – przez pewien wypadek z bronią palną, w wyniku którego kaleką został mój najlepszy kumpel. Nie postawiono nam żadnych formalnych zarzutów, ale wypadki z bronią palną szybko weszły mi w nawyk.

Drugi raz poszedłem do pierdła, gdy mieszkałem w Los Angeles. Kradłem samochody, głównie popularne modele, które odstawiałem do zaprzyjaźnionych warsztatów, gdzie szły na części, albo do doków na Long Beach, gdzie pakowano je na statki i sprzedawano za granicą. Przednia zabawa. W pewnym sensie. Byłem członkiem gangu złożonego z frajerów i kretynów, na których od czasu do czasu mogłem polegać, nie musiałem też nosić ze sobą spluwy, co należało policzyć na plus, zważywszy na moje brzydkie nawyki. Kiedy gliny capnęły mnie za burdę w barze, a ja odmówiłem wyspania swoich kumpli, upewnili się, że nie wyjdę za dobre sprawowanie.

Trzeci raz miał miejsce w zeszłym roku. Sprawy komplikował fakt, że to wtedy poznałem Annalise i od razu dokumentnie sobie u niej przesrałem. Po zawalonym zleceniu zrobiłem hat-tricka i po raz trzeci trafiłem do pudła, ale jako że jestem w czepku urodzony, po kilku miesiącach oczyszczono mnie z zarzutów. Wiszę za to wielkie piwo obrońcy z urzędu, który zdołał jakoś przekonać przysięgłych, że „materiał dowodowy jest niewystarczający i budzi wątpliwości”.

Z materiałem dowodowym, rzecz jasna, wszystko było w porządku, ale żaden urzędnik nie mógł zrobić pełnego użytku z dowodów pobranych na miejscu paranormalnej zbrodni. Nawet prawnik wynajęty przez Towarzystwo Dwudziestu Pałaców nabrał przekonania, że ktoś próbuje mnie wrobić, i doradził mi wniesienie pozwu przeciwko Wydziałowi Policji miasta Seattle.

Nie pofatygowałem się.

Kiedy dzisiejszego popołudnia wyszedłem z budynku sądu, Annalise już na mnie czekała. A teraz byłem tutaj, nie spodziewając się dotrzeć do weekendu. No to po co miałbym pieprzyć się z pozwami?

Pozwoliłem sobie na tę małą wycieczkę w nieodległą przeszłość po to, aby zaznaczyć, że miałem już do czynienia z psiarnią i więzieniem. I że do czego jak czego, ale do pierdła nie było mi spieszno. Dotąd zaś nie miałem na sumieniu włamania. A przynajmniej włamania do kogoś, kogo nie znam.

Poczułem więc obcy mi do tej pory dreszcz, gdy domostwo Bentonów rozwierało przede mną swe podwoje. W budynku było cicho jak makiem zasiał. Zawahałem się przed wejściem.

Naruszenie czyjejs prywatnej przestrzeni daje człowiekowi poczucie siły. Czuję to już wtedy, gdy wraz z ekipą Arnego kradłem auta w Los

Angeles. Siedziałem za kółkiem świeżo zwędzonego samochodu, zawalonego papierkami po hamburgerach czy czym tam, i wiedziałem, że odbieram komuś coś bardzo osobistego. Tak prosta czynność jak dostosowanie siedzenia mogła...

– Pośpieszysz się czy nie? – wściekła się Annalise. – Nie mamy całej nocy.

– Sorry – rzuciłem. – To mój pierwszy raz.

– Lepiej patrz, gdzie leziesz – odrzekła, wskazując coś palcem.

Na dywanie dostrzegłem długą czarną smugę, która zaczynała się u wejścia. Przeszłem ją i znalazłem się w salonie. Smuga skręcała w lewo, ku morzu. Miałem farta, że w nią nie wszedłem.

Annalise zatrzasnęła drzwi i rozejrzała się po pomieszczeniu. Przyłożyła drewnienko do ściany. Wzór wił się swoim tempem.

Obejrzałem sobie opustoszały teraz dom. Czy gdzieś tutaj krył się drapieżca?

– Czego szukamy? – spytałem.

– Na początek zobacz, dokąd prowadzi ten ślad. Chcę wiedzieć, co tu się stało i dlaczego. Miej oczy szeroko otwarte. Nie pomini żadnego szczegółu. Nie zapalaj światła. I trzymaj Ostrze w pogotowiu.

Kaszka z mleczkiem. Annalise przeszła do kuchni, a ja przykucnąłem przy czarnej plamie.

Przez lukę pomiędzy zasłonami padało na dywan światło ulicznych latarni. Ukląkłem, aby przyjrzeć się czarnej plamie z bliska. Włókna dywanu zdawały się nadpalone, ale zamiast swądu spalenizny czułem mdły, jałowy smród, bardzo podobny do tego z parkingu.

Ślad wiódł po schodach na piętro. Na górze znajdowały się trzy pokoje i łazienka. Ciemna pręga kończyła się w środku pomieszczenia na tyłach, wśród porzucanych chaotycznie i nadpalonych ręczników.

Na ścianach wisiały plakaty Kim Kolwiek, a na komodzie stały różowe figurki kucyków. To był pokój trzeciego dziecka Bentonów. Córeczki.

Wśród plakatów znalazłem na ścianie certyfikat poświadczający zajęcie pierwszego miejsca w konkursie matematycznym szóstoklasistów. Nie wczytywałem się. Nie chciałem przypadkiem dowiedzieć się, jak miała na imię.

W pokoju panował bałagan. Najwyraźniej mała nie była pedantką, jak to dziecko, ale moją uwagę zwróciło kilka osobliwych luk. Jedna na ścianie,

obok certyfikatów i nagród. Kolejna, w kształcie prostokąta, na środku biurka, pomiędzy stertą ubrań i szkolnych zeszytów. Wszystko pokrywała co najmniej trzymiesięczna warstwa kurzu.

Stolik nocny przy łóżku zastawiony był zdjęciami w tanich ramkach, nie licząc widocznej luki zaraz przy przedniej krawędzi blatu. Kolejne cztery czy pięć zdjęć leżało na dywanie nieopodal łóżka. Podniosłem je, żałując, że nie poprosiłem Annalise o rękawiczki.

Na większości fotografii znajdowała się ciemnowłosa dziewczynka w okresie dojrzewania. Była dość niska, jak zapewne Meg za młodych lat, ale i przy kości, jak Douglas. Z twarzy podobna zupełnie do nikogo, ale stojąc w jej pokoju, wiedząc o czarnych śladach na podłodze, znaczących wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miejsce jej zgonu, poczułem nagle nieopisany żal, jak po utracie kogoś bliskiego.

Na innym zdjęciu dziewczynka śmiała się w otoczeniu przyjaciół. Jeśli wierzyć fotografiom, mała była wesołym dzieckiem. Na jednym ze zdjęć dostrzegłem rozczochranego chłopca i natychmiast odwróciłem wzrok.

Wtedy zauważyłem, że w kącie pokoju stoi jeszcze komoda, a obok niej oparty o ścianę sprężynowy materac i rama łóżka. Komoda była starsza i stało na niej mniej zdjęć w ramkach. Na jednym z nich zobaczyłem córeczkę Bentonów stojącą u boku jakiejś starszej dziewczyny w podobnych okularach i o podobnie pociągłej twarzy. Siostra? Spodobał mi się jej hardy, cwaniacki grymas.

Zauważyłem, że ani na meblu, ani na bibelotach nie ma kurzu. Zatem ktoś tu sprzątał. Czy Meg zaniedbywała rzeczy młodszej córki, by sprzątać te starszej? Na to wyglądało. Ewidentnie pamiętali tylko o starszej córce.

Środkowy pokój był większy i stały w nim dwa łóżka. Dało się tu zaobserwować rażący kontrast wystrojów: z lewej Elmo i Wielki Ptak, z prawej ogromne japońskie roboty.

W części pomieszczenia należącej do młodszego z synów w ogólnym rozgardiaszu zauważyłem kolejne puste miejsca. Za to część starszego z chłopców ktoś jakby wywrócił do góry nogami. Z komody wyjęto szuflady, szafę przetrząsnęto, zabawki i książki porozrzucano po podłodze.

Wyglądało na to, że ktoś się w pośpiechu pakował.

Wróciłem do holu, gdzie wciąż na podłodze znajdował się czarny ślad. Zwróciłem uwagę na pewien osobliwy detal i przykucnąłem, żeby dokonać szczegółowych oględzin.

Na obrzeżach wypalanej powierzchni odkryłem kilka pomniejszych smug. Wyglądało to jak koryto rzeki, od którego nurtu odchodzą mniejsze odpływy, by po chwili znów do niego wrócić.

Te ślady pozostawiły srebrne robaki. Podejrzewałem, że tak było, od momentu gdy zobaczyłem prowadzący od drzwi ślad, ale teraz miałem pewność.

Przeskoczyłem nadpalony dywan i sprawdziłem łazienkę. Tutaj również panował bałagan. Na kafelkach i w umywalce leżały porozrzucane szczoteczki do zębów. Znajdowało się tu mnóstwo osobistych przedmiotów, od drogich odżywek do włosów po leżącą przy muszli klozetowej książkę w miękkiej oprawie.

Schówek w holu wypełniały ręczniki i rozmaite środki czystości. Wszystko ładnie poskładane i poukładane. Najwidoczniej szła pakowania ominął tę część piętra.

Ostatnim pomieszczeniem do sprawdzenia była duża sypialnia, która wyglądała, jakby gliny wbiły tam z nakazem. Chodziłem Bentonom po ciuchach, ponieważ nie znalazłem na podłodze ani jednego miejsca, które nie zostałyby nimi usłane. Pusta kołyska w nogach łóżka zawalona była zimowym odzieniem. Na stole leżało kilka tanich książek wraz z kilkoma budzikami i etui na okulary. Za zegarkami kryło się małe, zakurzone pudełko. Otworzyłem je, wzbijając chmurkę kurzu. W środku znajdował się stosik nierozpakowanych kondomów.

Bentonowie wyjechali z miasta jak diler, którego przyłapano na degustowaniu towaru.

Na tym etapie przeszukania czułem się już brudny. Pogwałciłem czyjąś prywatność, a nadto wszystko na miłą cuchnęło tu żałobą i tragedią. Wstydzilem się ekscytacji, którą poczułem przy drzwiach.

Ale przede wszystkim czułem złość. Złościło mnie, że dałem się zmusić Annalise do wykonania polecenia. Byłem zły na Meg i Douglasa za to, co im się przytrafiło. Zły na tego, kto spalił zaklęciem Bogu ducha winne dzieci.

Odsunąłem nogą zalegające na podłodze ubrania, ale pod spodem znalazłem tylko najzwyklejszy w świecie dywan. Żadnych kręgów, sigili ani innych oznak magii przyzywającej.

Otworzyłem szafę w sypialni i zacząłem szperać. Jeśli już musiałem odwalić robotę, której nie znoszę, to wolałem zrobić to czym prędzej.

Wyciągnąłem ze środka stos ubrań i znalazłem pod nimi mały sejf. Zamknięty, oczywiście.

Annalise pewnie otworzyłaby go gołą pięścią, ale tak się składało, że jej pomoc była mi zbędna. Wyjąłem Ostrze Dusz i wyciąłem za jego pomocą zawiasy i zamek. Drzwiczki sejfu upadły na podłogę.

W środku znajdowało się długie, wąskie pudełko i folder z papierami. Otworzyłem pudełko i moim oczom ukazał się diamentowy naszyjnik.

Nie znam się zbyt na biżuterii, ale wyglądał staro, jak naszyjniki z czarno-białych filmów. Prawdopodobnie spadek, prawdopodobnie kosztowny, a jednak Bentonowie porzucili go w dzikim pędzie ku granicy hrabstwa.

Trzymałem naszyjnik w dłoniach dłużej, niż wymagały tego oględziny. Nie miałem pracy i kiszki grały mi marsza. Mój wikt i opierunek zależał od babska, które nienawidziło mnie do żywego i najchętniej urwałoby mi łeb. Cóż prostszego od wsunięcia naszyjnika do kieszeni? Potrzebowałem własnych pieniędzy, jeśli kiedykolwiek miałem jeszcze odzyskać wolność, a przecież Bentonowie już po niego nie wrócą.

Włożyłem naszyjnik z powrotem do pudełka, a pudełko z powrotem do sejfu. Nie zastanawiałem się dlaczego ani nie próbowałem tłumaczyć sobie tej decyzji. Po prostu zamknąłem pudełko i wróciłem do przeszukania.

W folderze znajdowały się dokumenty z logo jakiegoś banku. Douglas odkładał pieniądze na funduszu emerytalnym, był właścicielem kilku pakietów akcji i wynajmował dom w Poulsbo. Te papiery też miały sporą wartość, a jednak nie zabrali ich ze sobą. Wyglądało to tak, jakby za bardzo przejęli się ratowaniem dziecka, by martwić się o pieniądze. Zaczynałem wykształcać coś w rodzaju sympatii do Douglasa i Meg, nawet jeśli grubas próbował zatłuc mnie kluczem.

Odkrycie w sypialni natchnęło mnie do przeszukania pozostałych szaf i schowków. Nie znalazłem już nic ważnego, żadne monstrum z zaświatów nie odgryzło mi ręki. Wydawało mi się, że w domu było bezpiecznie. Jeśli krył się tu jakiś drapieżca, już dawno wykryłby go drewniany talizman Annalise.

Inna sprawa, czy zechciałaby mnie o tym powiadomić.

Kiedyś, nie tak znowu dawno temu, rzuciłem zaklęcie znalezione w zaiwanionej magicznej księdze, aby zyskać wizję rozległych przestrzeni mgły i mroku. Tak zwanych Pustek. Głębi.

Ujrzałem w nich mknących przez otchłań drapieżców: kolosalne węże, koła ognia, spadające lawiną głazy, które śpiewały do siebie i zmieniały kierunek niczym klucz lecących ptaków. A każdy jeden poszukiwał tętniących życiem światów, które mógłby pożreć.

Stanąłem wtedy twarzą w twarz z drapieżcą, który przybył tutaj, do naszego świata. Był to pasożytniczy owad wielkości kota, strasznie łakomy na ludzkie mięso. Gdybym go nie powstrzymał, ściągnąłby do siebie resztę roju i wraz z nim przetoczył się przez świat jak szarańcza.

Annalise opowiedziała mi o drapieżcach, zanim jeszcze poznała prawdę o mnie. Nie były demonami czy diabłami z trójzębem i rogami, którzy podsuwali ci cyrograf, abyś podpisał go własną krwią. Były po prostu stworzeniami polującymi na zwierzynę, drapieżcami. Sęk w tym, że zwierzyną byliśmy my.

Przyciągały je pewne szczególne typy magii, tak jak krew przyciąga rekiny. Zdarzało się, że ludzie przyzywali je i próbowali kontrolować z przeróżnych powodów, a to w celu zniszczenia wroga, a to żeby zdobyć moc, albo też po prostu po to, by wyrwać zaświatom ich tajemnice. Drapieżcę-dachowca przywołał do naszej rzeczywistości ktoś przekonany o jego uzdrowicielskiej mocy.

Prawda była taka, że drapieżcy pragnęli dostać się jedynie tam, gdzie mogli żerować. „Uwielbiają, gdy się je przywołuje” – powiedziała mi wtedy Annalise. „Ale nienawidzą, gdy zatrzymuje się je siłą w jednym miejscu”.

Powiedziała mi też, że drugi drapieżca, którego widziała na oczy, miał formę dziwnego gąbczastego kryształu i podobno trudno go było dostrzec nawet w świetle dnia. Kreatura robiła się widoczna dopiero wtedy, kiedy wypełniała się wyssaną z ofiar krwią.

Człowiek, który ją przywołał, przez lata zabijał żuli i drobnych złodziejasków, aby dostarczyć jej pożywienia. Prasa ochrzciła go „Szalonym Rzeźnikiem” i „Wampirem z Kingsbury Run”. Annalise nie miała pojęcia, co drapieżca robił dla tego człowieka w zamian za coraz to nowe ofiary, ale spaliła obydwu na proch.

O swoim pierwszym drapieżcy nie mówiła nigdy.

Każdy z tych stworów mógłby pozabijać wszystkich ludzi na Ziemi, jeśli pozwolić mu swobodnie żerować. Dlatego właśnie przyjechaliśmy do

Hammer Bay – aby upewnić się, że cokolwiek się tu znajduje, zostanie powstrzymane.

Na myśl przyszedł mi mój stary kumpel, ten okaleczony, który tak bardzo kochał drużynę Marines. Był dla mnie jak brat. Prawie pozwoliłem mu – i drapieżcy, który się w nim zagnieździł – zniszczyć świat.

Moja ręka powędrowała do kieszeni kurtki, wyczuwając pod materiałem kształt zalaminowanego kawałka papieru. Z trzech rzuconych przeze mnie zakłęk z ukradzionej książki zostało się już tylko Ostrze Dusz. Przetrzyzymałem w ukryciu kopię tej książki, ale nie zdecydowałem jeszcze, co z nią zrobić. Bezsprzecznie była źródłem wielkiej mocy, ale rzucanie czarów wiązało się z dotkliwym bólem i niebezpieczeństwem. Gdyby Annalise lub którykolwiek ze Stowarzyszonych dowiedzieli się, że wciąż ją mam, z miejsca by mnie zabili. Towarzystwo Dwudziestu Pałaców kradzież magii karało śmiercią.

Uznawszy, że nie mam już nic do roboty na piętrze, zszedłem na parter, bacząc, by nie wdepnąć w znaczący dywan czarny ślad.

Migała dioda na automatycznej sekretarce. Skoro Doug i Meg już nie odbiorą wiadomości, pozwoliłem sobie wcisnąć „Play”. Niejaka Jennifer nagrała się niespełna pół godziny temu. Brzmiała na mniej więcej piętnaście lat. Adresatem wiadomości byli „mama i tata”, a nadawcą nastolatka, która wyłożyła jasno i klarownie, jak bardzo wkurza ją fakt, że rodzice zabierają ją ze szkoły i internatu, gdzie dopiero co poznała nowych przyjaciół, i to w dodatku na niespełna trzy tygodnie przed egzaminami końcowymi. Fanaberia rodziców, jak zdołałem wywnioskować, zaprzepaści jej szanse dostania się do porządnego college’u. Czy ktokolwiek potrafi wyrazić pogardliwe niedowierzanie tak naturalnie i dobitnie jak nastoletnia dziewczyna? Wcisnąłem przycisk „Save”; zbyt lubiłem Douga i Meg, by pozbawić ich przyjemności odebrania wiadomości od córki.

Annalise stała w kuchni i z nieobecny wyrazem twarzy gapiała się przez okno. Było w niej coś takiego, że postanowiłem nie wrywać jej z zamyślenia.

Gdy odwróciłem głowę, w kącie dostrzegłem zmiętą kartkę papieru. Podniosłem ją i rozpostarłem, ale z powodu półmroku nie mogłem odczytać napisu.

Annalise ocknęła się w końcu i obrzuciła mnie obojętnym spojrzeniem. Podeszedłem do niej i również wyjrzałem przez okno.

W kuchni w domu obok siedziała przy stole kobieta i płakała nad małym, oprawionym zdjęciem. Zastanowiło mnie, jak długo tam siedzi i jak długo obserwowała ją stojąca w ciszy i ciemności Annalise.

– Znalazłeś coś? – spytała.

– Douglas i Meg, którzy są przekonani, że dopiero niedawno pobłogosławiono ich synem, byli rodzicami aż piątki dzieci. Trzech chłopców i dwóch dziewczynek. Wygląda na to, że starsza córka przebywa w tej chwili w szkole z internatem. Młodsza umarła we własnym pokoju na górze, a dywan nadpaliły robaki, wydostając się na zewnątrz, gdzie zakopały się w ziemi. Podejrzewam, że średni syn umarł zupełnie niedawno w swoim foteliku w aucie. Pakowali się w wielkim pośpiechu, ale zabrali tylko rzeczy niemowlaka i tego najstarszego. Co się stało z tym ostatnim, widzieliśmy sami. Wyrwali stąd gdzie pieprz rośnie, zostawiając biżuterię i dokumenty w sejfie w szafie. Wygląda to tak, jakby wrzucili do auta na chybił trafił pierwsze lepsze ciuchy i inne badziewie i po prostu odjechali. Nie znalazłem śladów czarowania ani żadnej księgi magii, ani drapieżców. Tylko ten wypalony ślad na dywanie. To... – urwałem, próbując ubrać myśli w słowa. – Te robaki, które wylazły z ciała chłopca, to byli drapieżcy, nie?

Annalise nie patrzyła na mnie.

– Zabrałeś biżuterię?

– Nie – odparłem.

Zaczęła mnie obszukiwać, a ja odsunąłem się odruchowo. To był błąd.

Annalise złapała mnie za ramię i ścisnęła nie dość mocno, by złamać kość, ale dość mocno, by przypomnieć, że w każdej chwili może to zrobić. Zastygłem w bezruchu.

Wciąż miałem przy sobie Ostrze Dusz, ale wolałem nie fikać. Może kiedy indziej. Może wkrótce.

Przeszukała mnie, a ja więcej nie oponowałem. Kiedy skończyła, odwróciła się bez słowa do okna. Stałem obok i również utkwilem wzrok w zapłakanej kobiecie. Widok hipnotyzował Annalise, nie miałem pojęcia dlaczego.

Odwróciła w końcu wzrok i poszła na górę, do dużej sypialni. Podążyłem za nią. Wyjęła naszyjnik z pudełka i przyłożyła do niego talizman. Sigil poruszał się w swoim naturalnym tempie. Naszyjnik nie był

bardziej magiczny od reszty przedmiotów i sprzętów w domu. Annalise nie wyglądała na zaskoczoną.

– No więc, szefowo – odważyłem się w końcu – chcesz zobaczyć, nad czym zdjęciem płacze tamta kobieta?

– Tak – odpowiedziała, a jej śmieszny, dziecięcy głosik był jakby przytłumiony.

– Czy ma to coś wspólnego z zadaniem?

Podniosła na mnie wzrok. Jej drobne oczka niknęły w mroku i niepodobna było odczytać ich wyraz.

– Tego dowiemy się wkrótce, prawda?

Wyszedłem frontowymi drzwiami na wiodący na ulicę chodniczek i skierowałem się prosto do drzwi sąsiadów. Na skrzynce pocztowej wyklejone było złotymi literami nazwisko FINKLER.

Wcisnąłem dzwonek do drzwi. Czekałem trzy minuty, ale postanowiłem dać sąsiadce czas na otarcie łez i ogarnięcie się przed lustrem, nim otworzy. Zszedłem ze schodka, zapewniając jej dość prywatnej przestrzeni i ustawiając się niżej od niej. Chciałem wydać się tak niegroźny, jak to tylko możliwe.

Uchyliła drzwi. Ocenilem, że idzie jej na piąty krzyżyk, choć mogła równie dobrze być nieco starsza. Jej usta okalały zmarszczki, nadając twarzy wyraz permanentnego zatroskania, oczy miała spuchnięte i zaczerwienione.

Gdy mnie zobaczyła, jej rysy zmieniły wyraz. Wszelki żal momentalnie zniknął. W kilka sekund zrobiła się uprzejma jak gdyby nigdy nic.

– Tak? – zagadnęła.

Chciałem doradzić, by zamykała drzwi na klucz. Kto wie czy nie wałęsa się po okolicy jakiś były skazaniec z nożem w kieszeni? Zamiast tego powiedziałem:

– Witam, próbuję skontaktować się jakoś z Bentonami? Przyjechałem wcześniej? Nikt nie otwiera? – modulowałem głos tak, by każde zdanie brzmiało jak pytanie.

– Widziałam, jak załadowywali samochód. Chyba wyjechali na urlop.

– Naprawdę? Ale wiedzieli, że mam przyjechać. Ciocia Meg miała pomóc mi znaleźć pracę.

– W fabryce zabawek?

– Tego nie wiem. Ale tak sądzę.

– To pana ciotka? – Otaksowała mnie niepewnym spojrzeniem.

– Nigdy się nie widzieliśmy. Nasza rodzina jest rozproszona po całych Stanach. Nie jestem pewien, jak mam ją nazywać – paplałem jak najęty, zastanawiając się, ile czasu potrzebuje Annalise. – „Pani Benton” brzmi strasznie sztywno, ale jeszcze nie przyzwyczailem się do nazywania jej „ciocią”, skoro nigdy się nie poznaliśmy...

– Jeśli ją pan spotka – przerwała mi Finkler – niech ją pan spyta, jak ma ją nazywać. Jestem zdania, że ludzie powinni sami decydować, jak inni mają się do nich zwracać.

– Coś w tym jest.

– Ale oni wyjechali chyba gdzieś dalej. Mówi pan, że przyjechał wcześniej?

– Wychodzi, że o dzień za wcześniej.

– Sądząc po bagażach, wyjechali na dłużej. Nie wiem, co panu powiedzieć, ale jeśli szuka pan zajęcia, to powinien pan zgłosić się jutro do fabryki. Tam ciągle potrzebują rąk do pracy. – Znowu omiotła mnie wzrokiem od stóp do głów. – Ale niech pan włoży coś lepszego.

Uśmiechnąłem się do niej. Wysiłając się co niemiara.

– Dzięki za dobrą radę.

– Ależ proszę.

Z tymi słowy zamknęła drzwi.

Wróciłem więc do vana i siadłem za kierownicą. Nie uzgodniliśmy z Annalise, gdzie się spotkamy, ale miałem nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy, żeby wracać do Bentonów. Minąłem róg, zatrzymałem się u wylotu ulicy i czekałem.

Nade mną jaśniało światło latarni. Wyjąłem kartkę papieru, którą znalazłem na podłodze, i podniosłem ją do światła. Zapisano na niej:

Zostawiłem to tam, gdzie znajdziesz. To jedyny sposób, byśmy porozmawiali o tym, jak jest naprawdę. Za każdym razem, gdy próbuję z tobą pomówić... Musimy uciekać, zanim stracimy też Justina i Sammy'ego. Wysłałem do siostry kartkę z zapytaniem, czy przyjmą nas z wizytą. Napisałem, żeby sprawiała pozory, że to nagły wypadek. Jak tylko zadzwoni, ucieknijmy i nigdy nie wracajmy. Jestem przerażony i nie wiem, co robić. Kiedy jestem sam, przypominam sobie o nich czasem, tylko na

parę minut. Czy ty też sobie o nich przypominasz, w samotności, kiedy nikogo nie ma w pobliżu? Strasznie za nimi tęsknię. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Chcę po prostu stąd wyjechać. Nie sądzę, bym wariował. Czy jednak wariuję? Kocham cię.

Więcej nic.

Stracili trójkę dzieci i choć ja sam nie miałem własnych, wszystkie hollywoodzkie filmy przekonały mnie, że nie może człowieka spotkać nic gorszego. A oni przypominali sobie o tym tylko chwilami, w samotności.

Czemu akurat Bentonowie? Kto wziął na cel ich dzieci i dlaczego?

Drzwi od strony pasażera otworzyły się i do auta wskoczyła Annalise.

– Wszystko poszło zgodnie z planem? – spytałem. – Bo głodny jestem. Chodźmy coś zjeść. – Odpaliłem auto. – Dowiedziałaś się czegoś?

Nie odpowiedziała. Pojechałem w stronę centrum.

Jej milczenie działało mi na nerwy, ale nagle napadła mnie straszna myśl. A co, jeśli nie odwróciłem uwagi Finkler na dość długo? Jeśli nakryła Annalise w kuchni?

Annalise miała w zanadrzu zaklęcia, za pomocą których radziła sobie z ludźmi, nie zabijając ich. Widziałem, jak z nich korzystała, ale nie było to regułą. Nie obchodziło jej, czy Douglas i Meg oberwą zielonym płomieniem. Przeżyli tylko dlatego, że ich odepchnąłem.

Annalise obchodziło tylko jedno: szukać i znajdować ludzi władających magią, a zwłaszcza tych, którzy przywoływali drapieżców, a potem zabijając jednych i drugich. Wszystko inne olewała ciepłym moczem. A już zwłaszcza niewinnych postronnych. W końcu było ich mnóstwo.

Szczerze mówiąc, widziałem nieco jej świata i rozumiałem ją. Widziałem, do czego zdolni są drapieżcy. Z ich nienasyconym apetytem mogli wyniszczyć życie na całej planecie.

Może potrzebujemy ludzi takich jak Annalise, którzy gotowi są zrobić wszystko, byle tylko nas chronić. Gdyby nie ona i inni jej podobni, może już dawno by nas tu nie było.

Jednak żywiłem nadzieję, że Finkler przeżyła.

Annalise trzymała w rękach drewniany talizman, wpatrując się w deseń sigilu jak w herbaciane fusy. Cokolwiek z niego wyczytała, wkurzyło ją to nie na żarty.

Skręciłem do centrum i zatrzymałem się na parkingu przy tajskiej knajpie. Nie wiedziałem, czy dobrze tu karmią, ale sajgonki to chyba żadna filozofia, a od dawna miałem na nie ochotę. Raczej nie dowożą ich do kicia.

– Czemu tu stanąłeś? – spytała Annalise.

– Papu.

– Nie jadam takich rzeczy. Znajdź jakieś miejsce z burgerami i stekami.

Westchnąłem ciężko, aby dać jej znać, że jestem rozczarowany, po czym zajechałem pod bar ulicę dalej. Zanim weszliśmy do środka, Annalise przyłożyła drewnienko do framugi drzwi. O ile byłem w stanie ocenić, wzór wił się jak zawsze, bez żadnych zakłóceń. Wszedłszy do lokalu, siedliśmy przy wygradzonym stoliku.

Jeśli wierzyć zegarowi nad kontuarem, dochodziła jedenasta. Za nami pracowity dzień.

W lokalu zalegało poza nami trzech – czterech klientów. I każdy sądził, że musi dobrze nam się przyjrzeć. Nie winiłem ich. Wytatuowana od stóp do głów, obcięta na krótko, ruda Annalise w przydużej kurtce strażackiej przyciągała wzrok. Przy niej wyglądałem jak przykładowy obywatel.

Przy naszym stole zjawiała się kelnerka.

– Państwo nietutejsi? – spytała, a Annalise odwarknęła coś w odpowiedzi.

– Dopiero co przyjechaliśmy – uzupełniłem i uśmiechnąłem się uprzejmie, wiedząc, co kelnerzy robią z jedzeniem upierdliwego klienta.

– Do pracy w fabryce, zgadza się?

– Potrzebują na gwałt pracowników, co?

– A pewnie – zgodziła się.

Przyjęła zamówienie. Annalise poprosiła o mrożoną herbatę i stek z grilla. Kiedy kelnerka powiadomiła ją, że dopiero co wyszły, kazała sobie podać cheeseburgera z bekonem. Brzmiało na tyle niezłe, że zamówiłem to samo, ale z colą. Może cukier pomoże mi nie zasnąć.

Kiedy kelnerka odwracała się od nas, Annalise złapała ją za rękę. Kobieta próbowała się wyrwać, ale była bez szans.

Przyłożyła jej talizman do nadgarstka, a potem puściła. Kelnerka błyskawicznie umknęła za kontuar.

No pięknie. Mogłem tylko mieć nadzieję, że nie naplują mi do burgera.

Annalise gapiała się przez okno. Wyglądała jak kłębek nieszczęść.

Zdobyłem się na uśmiech.

– Ładnie tu, co nie?

– Nieprzesadnie.

Zerwała się raptownie z miejsca i ruszyła do kontuaru. Po szarpaninie z kelnerką goście wrócili do urwanych konwersacji, poza facetem przy barze, który dał właśnie kuksańca swojemu towarzyszowi. Obydwaj utkwili wzrok w sunącej jak burza Annalise. Mieli po pięćdziesiąt lat i niebieskie kombinezony robocze umazane olejem silnikowym.

– Panowie wybaczą – powiedziała. Przyłożyła drewnienko do nadgarstka pierwszego, potem drugiego. Później przeszła do wygradzonego stolika w rogu, gdzie siedzieli ostatni goście: para starszek, na oko siedemdziesięcioletnich. – Przepraszam – powiedziała znowu, przykładając talizman do ramienia jednej z nich. Po sekundzie przeszła do drugiej.

– Ależ... – Kobieta aż się wzdrygnęła.

– Już dobrze – powiedziała Annalise, przykładając jej drewnienko do ramienia. Po chwili wróciła na miejsce.

Pierwszy z mechaników złapał jej wzrok.

– Jeśli szukasz promieniowania, słońko, macasz rączką nie tam, gdzie trzeba.

Jego koleżka zachichotał. Annalise nie zaszczyciła go ripostą. Usiadła na krześle, a za chwilę wróciła kelnerka. Nie wydawała się uszczęśliwiona naszym widokiem.

– Jeśli będą państwo przeszkadzać gościom, będę zmuszona poprosić o opuszczenie lokalu.

Annalise zignorowała ją.

– Zrozumiano – powiedziałem.

Kobieta oddaliła się od naszego stolika, mierząc nas nieufnym spojrzeniem. Głowę daję, że jutro będziemy na językach całego miasta.

– Miałem nadzieję, że przynajmniej spróbujemy nie rzucać się w oczy.

I znowu brak reakcji.

– No co z tobą? Skończyły ci się emocje?

Spojrzała na mnie tak, jakby wyobrażała sobie, że dusi mnie gołymi rękami.

Widowałem już wcześniej to spojrzenie, ale nie sądzę, bym kiedykolwiek się z nim oswoił.

Rozsiadłem się na krześle i milczałem. Annalise nie musiała ze mną rozmawiać. W końcu lada dzień miałem iść do piachu.

Raptem przypomniałem sobie, jak ciało chłopaka Bentonów przemieniło się w kupę oślizgłego robactwa, i mój żołądek wykonał salto. Po kiego diabła zamawiałem burgera z bekonem?

Nie miałem już siły, żeby jej dogryzać. Jej towarzysze z Dwudziestu Pałaców zakazali zabijać mnie, ale nie wiedziałem, czy i jak będą egzekwować ten zakaz. Wiedziałem o Towarzystwie bardzo niewiele, właściwie tylko tyle, że jego członkowie, tak jak Annalise byli czarownikami. Jak Annalise zabijali drapieźców i tych, którzy igrali z magią. I jak Annalise polowali na grimuary.

Wiedziałem jeszcze jedno: Annalise, z całą swoją siłą, była jedną z najniżej plasujących się w hierarchii członkiń Towarzystwa. Przerazająca myśl.

Przyszły nasze napoje, zaraz potem burgery. Głód pokonał mdłości; wgryzłem się w kanapkę jak zwierzę. Wszystkie troski związane z martwymi dziećmi i morderczymi czarnoksiężnikami zeszły na dalszy plan choć na tyle, bym zdołał napełnić brzuch.

Żarcie było pierwsza klasa, oplute czy nie. Annalise również zajadała, aż jej się uszy trzęsły.

– Myślisz – zagadnąłem pomiędzy kęsami – że ktoś obrał Bentonów na cel specjalnie?

Rzuciła mi spojrzenie, jakie rzuca się karaluchowi, który wylazł spod lodówki.

Wzięła kolejny kęs i żuła niespiesznie.

– W ich domu znalazłem zmięty kawałek papieru. – Też odgryzłem kawał burgera, zmuszając ją, by poczekała na ciąg dalszy. A potem dodałem: – Kiedy byli sami, przypominali sobie o dzieciach. Widzieli należące do synów i córek przedmioty i przypominali sobie na kilka chwil, co im się przytrafiło. Zapominali tylko w otoczeniu innych ludzi.

Annalise wzięła kolejny kęs. Odłożyłem jedzenie na talerz i pochyliłem się ku niej.

– Czy właśnie to odkryłaś w kuchni Finkler? Jej zdjęcie z synkiem? Albo z wnukiem? Dlatego nie mogłaś oderwać od niej oczu? Samotna matka w ciemnym domu, wylewająca łzy nad martwym dzieckiem?

Annalise kompletnie znieruchomiała. Wlepiła we mnie wzrok przepełniony ciepłą życzliwością rekina ludojada.

– Nie próbuję działać ci na nerwy – skłamałem. – Chcę tylko powiedzieć, że mogę się na coś przydać. Chcę pomóc.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – powiedziała w końcu.

– Jeśli mam niebawem umrzeć, to czemu nie miałabyś przynajmniej odpowiedzieć na moje pytania?

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Pracuję dla ciebie – rzekłem. – Twój znajomkowie z Towarzystwa, kimkolwiek są i czymkolwiek jest samo Towarzystwo, przydzielili ci mnie w charakterze asystenta.

– Zgodziłeś się być moją kukłą – powiedziała cicho i beznamiętnie. – Okłamałeś mnie i zdradziłeś. Przez ciebie zaatakowałam innego członka Towarzystwa, a moja najbliższa przyjaciółka nie żyje. Przez ciebie.

– Jest mi przykro w związku z Ireną – powiedziałem. – Lubiłem...

– Ani się waż o niej mówić – przerwała mi. – Ani mi się waż. Jeśli jeszcze raz usłyszę, jak wymawiasz jej imię, połamię każdą kość w twoim ciele, nie zwracając sobie głowy rozkazami. Rozumiemy się?

W tym momencie, zanim zorientowałem się, że to w ogóle możliwe, zupełnie przestało mnie obchodzić, co mi robi.

Spędziłem z Annalise w vanie cały dzień, wiedząc doskonale, że w końcu mnie zabije. Przedtem siedziałem miesiącami w więziennej celi, czekając, aż zjawi się po moją głowę ktoś z Towarzystwa.

Człowiek z czasem oswaja się z sytuacją, w której się znalazł. Była to jedna z niewygodnych prawd, które poznałem za kratkami. Nie możemy się wiecznie bać; nasze ciało tego nie wytrzyma.

Zaczynałem się powoli oswajać z nienawiścią Annalise i swoim zupełnie słusznym strachem przed jej gniewem. Za nic nie umiałem się jednak oswoić z własną niewiedzą. Nienawidziłem błądzić po omacku. I czym w ogóle była ta „kukła”? Zakładałem, że kimś więcej niż tylko kierowcą.

A więc raz jeszcze wbrew wszelkiemu rozsądkowi zacząłem:

– Sposób, w jaki marszczysz się na widok swojego drewnianka, każe mi sądzić, że Bentonowie wcale nie byli bezpośrednim celem ataku. Wzór na talizmanie porusza się, gdy wykryje magię, tak? I reaguje też na drapieżców? Ale ty krzywisz się za każdym razem, kiedy na niego patrzysz. Myślę, że talizman mówi ci, że całe miasto jest zaczarowane. Odbiera masę drobnych zakłóceń, ale nie jest w stanie pokierować cię do źródła. Może ci

dwaj mechanicy też potracili dzieci. Może kelnerka co noc płacze w poduszkę, myśląc o synku, który nigdy nie wrócił ze szkoły.

Annalise westchnęła.

– Zwykle jeżdżę w kółko, aż talizman coś wykryje, a potem trafiam do źródła na piechotę.

– Co oznacza fakt, że tyle w tej miejscinie magii? – Próbowałem panować nad głosem, mówić logicznie i spokojnie. Profesjonalizm rodzi profesjonalizm.

Annalise nabrała na frytkę trochę keczupu.

– To, że jestem w kropce.

Trzasnęły okna. Zakryłem głowę, obsypał mnie grad szkła. Annalise zwróciła się w kierunku pustej ramy, jej ręka powędrowała do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Mojego na wpół zjedzonego cheeseburgera pokrywała warstwa tłuczonej szyby. No to po kolacji.

Skupiłem uwagę na Annalise. Stała już przy wybitym oknie, wyglądając na ulicę.

– Co jest? – spytałem.

– On – odparła.

Podążyłem za jej wzrokiem. Nic nie zobaczyłem, ale usłyszałem głos.

– Gdzie moje córki? – wrzeszczał jakiś mężczyzna na zewnątrz. – Kto odebrał mi córki?

I wtedy go dostrzegłem. Wysoki i zgarbiony facet, łysy czubek głowy okalały mu opadające za ramiona, pozlepiane w strąki włosy. Był tak wychudzony, że wydawało się, jakby obciągnięto jego skórę wprost na kościach.

I trzymał w rękach karabin.

Chyba czterotaktowy, ale jako że facet stał po drugiej stronie ulicy i poza światłem latarni, nie mogłem mieć pewności.

– Kto odebrał mi córki? – zawołał znowu. Zza zaparkowanego auta wybiegli mężczyzna i kobieta, próbując schronić się za rogiem. Zacisnąłem zęby, widząc, że tamten ich zauważył. Wymierzył w nich ze strzelby, ale nie wypalił. Para minęła róg ulicy i zniknęła z pola widzenia.

– Gdzie one są?! – zawołał znowu. – Kto odebrał mi moje dziewczynki?

– Pamięta – stwierdziłem. – Tak jak i my. Tylko jakim cudem?

– Nie wiem – powiedziała. – Idź go spytać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie żartowała. Nie uśmiechała się. Patrzyła tylko na mnie, czekając na wykręty.

Doczekała się. No bo, kurde, kto by się nie próbował wykręcić?

Ostatecznie jednak ruszyłem w stronę drzwi. Jeśli już muszę wybierać pomiędzy konfrontacją z uzbrojonym szaleńcem a moją szefową, to zawsze wybieram uzbrojonego szaleńca.

Jeden z mechaników wyprowadził starsze panie do kuchni. Drugi przykucnął wraz z kelnerką obok drzwi i wyglądał na ulicę zza wątpliwej osłony wyściełanej pianką ławy barowej. Kucharz opuścił względnie bezpieczną kuchnię i przyklęknął obok.

Kelnerka zaklęła pod nosem.

– Stary Harlan w końcu dostał kręcka.

Mechanik odważył się rzucić okiem na ulicę.

– To Emmett Dubois nie skonfiskował mu całej broni?

Kelnerka wydała z siebie pogardliwy jęk. Najwidoczniej nie przepadała za Emmettem Dubois.

– Jakiej broni? – spytałem, doczłapawszy do nich. Wszyscy mówili nieledwie szeptem.

– Harlana, człowieku – odparła. Wyjrzałem przez okno. Rzeczony Harlan właśnie celował, powoli kierując lufę karabinu w naszą stronę. Schowałem się, nim mnie dostrzegł.

– Ten Harlan – powiedziałem – to taki lokalny świr?

– Można tak to ująć – prychnął mechanik.
– W dziewięćdziesiątym siódmym spadł z drabiny, jak wiesz na dachu lampki świąteczne – odezwał się kucharz. – Uderzył się w głowę i od tamtego czasu dziwnie się zachowuje.
– Ale strzelać to jeszcze nie strzelał – uzupełnił mechanik.
– Powiedz to mojemu oknu i tamtym klientom, których o mało co nie zabił.
– O czym on tam krzyczał? – spytała kelnerka.
– O córkach – odpowiedziałem. – Chce wiedzieć, kto odebrał mu córki.
– To już jakieś wariactwo – prychnęła. – Przecież on nie ma żadnych córek.
– Co, u diabła? – zdziwił się kucharz. Czuję jego nieświeży oddech zaraz przy swoim uchu. – Twoja kobita siedzi przy stoliku jak kaczką na strzelnicy. Czy ona nie troszczy się o własne życie?
Popęzł po brudnej podłodze do miejsca, gdzie siedziała Annalise.
– Troszczyć się o życie? – powtórzyłem. – To nudne.
Zanim ktokolwiek zdążył mnie powstrzymać, otworzyłem drzwi i wyszedłem na ulicę.
Nawet nie spojrzałem na Harlana. Patrzyłem na toyotę, której miałem zamiar użyć jako tarczy.
Przekoziółkowałem po chodniku i przywarłem plecami do błotnika. Usłyszałem strzał, a zaraz potem odgłos sypiącego się szkła z kolejnego okna baru. Ktoś klął na czym świat stoi, kierując strumień obelg po połowie w Harlana i we mnie.
Pokonałem mały trawnik, przeszedłem na tył pojazdu i znieruchomiałem z głową przy kołpaku. Obok rosło drzewo, ale pień nie był grubszy od mojej ręki. Krycie się za nim nie miało sensu.
– Przestań strzelać! – krzyknąłem. – Próbuję ci pomóc!
– Czy wiesz, gdzie są moje dzieci? – cedził złowróźnie.
– Nie – odparłem. – Jestem...
– To się odwal!
Huknął strzał. Kula przebiła się na wylot przez drzwi samochodu i oderwała kawał kory z młodego drzewa. Przypadłem do ziemi.
– Mogę ci pomóc – powtórzyłem głośniejszym głosem. Obejrzałem się przez ramię na bar i zobaczyłem siedzącą przy oknie Annalise. Gapiła się na mnie zobojętniałym wzrokiem. Moja obecna sytuacja nie wywoływała u niej

większych emocji niż nudna opera mydlana. Nad białem dostrzegłem czubek głowy kucharza, który wciąż próbował odciągnąć moją szefową w bezpieczne miejsce. – Mówię, że mogę ci pomóc! – wydarłem się głośniej. Jeśli Harlan zbliży się do mnie, mam przesrane. Tatuaze chroniły niewielki procent mojego ciała. Nie wiedziałem, jak poradzą sobie z karabinem.

– Niby jak? – zapytał.

– Słuchaj, wstanę i podejść do ciebie, dobra? Nazywam się Ray. Przyjechałem tutaj, żeby dowiedzieć się, co dzieje się z tutejszymi dziećmi.

– Naprawdę?

– Uwaga, wstaję. Wysłuchaj mnie, zanim strzelisz, okej?

Wstałem. Harlan zrobił kilka kroków w moją stronę, wychodząc na środek ulicy. Wymierzył do mnie z karabinu.

Choćbyś nie wiem jak się spinał, nie ma bata, żeby nie zrobił na tobie wrażenia wsiok ze zrytym beretem, który celuje do ciebie ze spluwy.

Widział, że nie mam nic w rękach, i zaczął rozglądać się gorączkowo na boki w obawie, że próbuję tylko odwrócić jego uwagę.

– Cześć, Harlan, nazywam się Ray.

– Już to mówiłeś.

Owszem, ale miałem nadzieję, że jeśli przypisze mojej twarzy imię, nie będzie taki skory do wpakowania mi kulki między oczy.

Harlan był nieco młodszy, niż myślałem, miał góra trzydzieści pięć lat. Charakteryzowała go szczupła, lśniąca od potu twarz z haczykowatym nosem i wąskimi, nieszczęśliwymi ustami. Ubranie wyglądało, jakby nie było prane od miesiący. Budziłby przerażenie nawet bez karabinu.

– Harlan, znasz kogoś o nazwisku Justin Benton?

– Nie – odrzekł. Poprawił uchwyt na broni i rzucił okiem w górę ulicy. Zaczynał się niecierpliwie. Gdzie podziewają się gliniarze, kiedy są potrzebni? Od pierwszego wystrzału minęły dobre dwie minuty.

– To był chłopiec, który mieszkał w tym mieście. Kilka godzin temu widziałem, jak płonie.

Harlan rozplakał się. Lufa karabinu drgnęła, a potem wycelowwała w asfalt.

– Moje córeczki – rzekł żałośnie i cicho. – Moje małe dziewczynki.

– Czy je spotkało to samo? – spytałem.

– Nie wiem. W poniedziałek po Świącie Dziękczynienia Lorelei nie wróciła ze szkoły. Szukałem jej i szukałem, myślałem, że zeświruję. Ale...

– Ale sąsiedzi zachowywali się, jakby nigdy o niej nie słyszeli. Jakby nigdy nie istniała.

– Kłamią! – wrzasnął rozgniewany nie na żarty, ale lufa jak na razie ciągle skierowana była w jezdnię. – No a potem w nocy znikła moja mała Marie. Ot tak, z łóżka, w środku nocy. I...

Zająknął się i nie mógł dokończyć. Pospieszyłem z pomocą.

– A na podłodze widniała czarna plama. Długa, straszna plama. Prowadziła do drzwi...

– Do okna.

Podszedł do mnie wolno. W jego ruchach nie było groźby.

– I kończyła się na dworze. A teraz nikt w mieście nie pamięta, że miałeś córki.

– Oni w ogóle nie pamiętają o dzieciach! Nawet swoich! – Jego twarz wyrażała bezbrzeżne zdumienie. Jakby sam zapomniał, że przed chwilą oskarżył całe miasto o kłamstwo. Może tak naprawdę nigdy w to nie wierzył. – Nawet jeśli widzieli wszystko na własne oczy! Przed domem leżą porzucone trzykołowe rowerki, a w samochodach papierki z McDonald's, ale oni jakby ich nie widzieli!

– I ty też widziałeś, mam rację? Widziałeś na własne oczy, jak to się dzieje, tutaj, w twoim rodzinnym mieście.

– Pięć razy.

– I zawsze dzieci? Czy przydarza się to też dorosłym?

– Nie, tylko dzieciom. Nigdy dorosłym. Matko Boska, musieli to chyba widzieć wszyscy tutejsi, ale tylko ja pamiętam. – Łzy nabiegły mu do oczu. Karabin zwisał bezwładnie w jego rękach. – Czemu tylko ja pamiętam? I czemu czuję ten nacisk w głowie? Już od miesięcy tak mam, zaczęło się przed tym, zanim zniknęła Lorelei. Szału idzie dostać!

– Harlan, jestem nietutejszy. Moim zadaniem jest dowiedzieć się, co się dzieje w Hammer Bay. Nie mogę obiecać, że odzyskasz swoje dziewczynki, ale zamierzam dowiedzieć się, co tu jest grane.

W jego oczach błysnęła nadzieja. Był zmęczonym człowiekiem, przygiętym do ziemi przez nieutulony żal. Borykał się z nim prawie od pół roku, ale nie zsunął się w obłąd na tyle głęboko, by nie rozpoznać wyciągniętej pomocnej dłoni.

– Możesz to zrobić?

– Nie wiem, człowieku – przyznałem. – Ale przynajmniej spróbuję. Miałbym do ciebie kilka pytań, chciałbym też przyjrzeć się czarnym śladom w twoim domu, ale nie dam rady nic zrobić, jeśli mnie zastrzelisz.

Harlan spojrzał na karabin i zamrugał.

Celowo nie podnosiłem głosu.

– Dasz mi spluwę?

Wtedy usłyszał syreny.

Cofnął się o krok i podniósł broń.

– Nie jestem wariatem! – krzyknął. – Byłem żonaty. Miałem dwójkę dzieci!

Poczułem gęsią skórę na karku.

– Wiem, Harlan. Wierzę ci.

– Ktoś w tym mieście powie mi w końcu, gdzie są. Ktoś na pewno wie, co się z nimi dzieje.

– Harlan – powiedziałem, widząc, że jego rysy stwardniały, a oczy zrobiły się mętne – to ty jesteś tym kimś. Nikt inny nic nie pamięta. Tylko ty.

Zza węgła na sygnale wyjechał radiowóz z włączonym kogutem, zatrzymał się na jezdni.

Harlan spojrzał nań z wyrazem twarzy człowieka wieńczącego jakieś wielkie dzieło. Raptem zrozumiałem. Miał już dosyć. Jego dzieci nie żyły, a on miał teraz zamiar popełnić samobójstwo z pomocą gliniarza.

– Harlan, nie rób tego. W mieście są jeszcze inne dzieci – powiedziałem, myśląc o dwójce ze stacji benzynowej. – Pomóż mi położyć temu kres. Możliwe, że jesteś jedyną osobą, która...

Wycelował karabin w moją pierś. Na jego umęczonej twarzy malował się teraz spokój.

– Wracaj do baru – rzekł z rezygnacją. – Zanim coś ci się stanie.

Miał mnie na muszce. Czy tatuaże na mojej klatce piersiowej uchronią mnie od śmierci, jeśli naciśnie spust?

Nie miałem pojęcia, jak odwieść go od powziętego zamiaru. Gliny i sanitariusze są przeszkoleni w tym zakresie, ja byłem tylko złodziejem samochodów.

Przesunąłem rękę w poblizsze kieszeni z Ostrzem Dusz. Czułem je przez materiał, czułem, jak żyje własnym życiem. Jeśli nie uda mi się przemówić

mu do rozsądku...

Harlan odwrócił się plecami od świecącego na czerwono koguta, spojrzął raz jeszcze w górę ulicy i zmrużył oczy. Podążyłem za jego wzrokiem.

Na jezdni stał wilk. Nigdy nie widziałem żadnego poza zoo, ale rozpoznałem go od razu. Miał rudawą sierść, a patrzył na nas, stojąc bokiem, jakby specjalnie po to, by stanowić łatwiejszy cel.

I był wielki. Nie wiedziałem za dużo o wilkach, ale ten wyglądał na o wiele większego niż przeciętny przedstawiciel swojego gatunku. Z drugiej strony, kiedy Harlan wycelował we mnie z karabinu, jawił mi się w oczach ogromny jak działło czołgu. Strach ma wielkie oczy.

Mężczyzna przyłożył kolbę do ramienia i wystrzelił. Widziałem, jak pomiędzy nogami zwierzęcia prysnął w górę kawałek asfaltu. Wilk uciekł.

Harlan przeładował. Moja dłoń wślizgnęła się do kieszeni i wyjęła Ostrze Dusz.

Mężczyzna dostrzegł to kątem oka. Zawirował i uderzył mnie kolbą w rękę. Ostrze spadło na ulicę, a ja zachwiałem się i cofnąłem o krok.

Lufa znalazła się centymetr od mojej twarzy. Tak się nieszczęśliwie składało, że nie miałem tam żadnych dziar.

– To tylko kawałek papieru – powiedziałem.

Harlan spojrzął na Ostrze i przekonał się, że to prawda. Bez słowa odjął broń od mojej twarzy i skierował lufę tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał wilk.

To ja stworzyłem Ostrze Dusz za pomocą czaru, mogłem więc wyczuć jego położenie na asfalcie. Wyciągnąłem rękę i otworzyłem dłoń, a zalaminowany paperek wleciał do niej jednym płynnym ruchem. Ja zaś cisnąłem nim w Harlana niby kartą do gry.

Jeśli wierzyć księdze zaklęć, z której je przekopiowałem, Ostrze Dusz przecina „duchy, rzeczy magiczne i martwe”. Drewno i metalowe zamki drzwi Bentonów były martwe, Ostrze weszło w nie jak w masło. Można było je również wykorzystać do odczyniania zaklęć, takich jak moje tatuaże czy drewniany talizman Annalise; rezultaty rozpraszania czarów nie zawsze były miłe dla oka.

Jeśli zaś chodzi o duszę, nosi ją w sobie każdy człowiek. A przynajmniej tak przekonuje zaklęcie, ponieważ kiedy używam Ostrza na ludziach, to przechodzi swobodnie przez ich ciała, nie raniąc ich, ale wywiera efekt na duchu.

To wszystko, co wiem. Pomimo że własnoręcznie wydobyłem zaklęcie z magicznej księgi, zdobytej w wątpliwy moralnie sposób, i pomimo że skorzystałem z niego kilka razy w obronie własnej, nie miałem pojęcia, jak właściwie działa i jaką dokładnie wyrządza szkodę. Zasób mojej wiedzy o magii był mniej więcej taki sam jak ten o Annalise i jej Towarzystwie. Znikomy.

Ostrze Dusz przemknęło dzielący mnie i Harlana dystans i weszło w jego ciało poniżej klatki piersiowej. Magiczne utensylium rozcięło koszulę, ale nie pozostawiło żadnych widocznych śladów na ciele. Ułamek sekundy później Ostrze wyszło z przygarbionego grzbietu, nie napotykając na swej drodze najmniejszego oporu.

Z Harlana uszło powietrze. Jego oczy zasnuła mgła, a cokolwiek pchało go do wystrzelania całego miasta, teraz minęło. Tak działało Ostrze Dusz: wysysało z ofiary całą agresję i siły witalne. Efekty zaklęcia były czasowe... A przynajmniej tak sądziłem.

Mężczyzna opuścił broń. Ruszyłem w jego stronę z zamiarem pozbawienia go karabinu.

Nagle jego klatka piersiowa eksplodowała. Nie słyszałem wystrzału. Zobaczyłem tylko ranę wylotową pocisku. Krew zbryzgała moją rękę i usłyszałem świst przelatującego obok pocisku.

Harlan upadł twarzą do ziemi.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że w naszą stronę idzie glina z wycelowanym w leżące ciało rewolwerem.

– Odsuń się! – rozkazał mi. – Odsuń się od niego!

Zamarłem w bezruchu. Policjant wycelowwał we mnie. Spytał, kim jestem. Powiedziałem mu. Znowu wrzasnął, żebym oddalił się od zwłok. Zrobiłem krok w tył. Odsunął karabin nogą, jak na filmie. Cofałem się w stronę chodnika, kiedy nagle usłyszałem cichy, ssący dźwięk. Spojrzałem w dół.

– On żyje – wyrwało mi się.

– Karetka już jedzie – oznajmił gliniarz. – Nie ruszaj się.

Miał dobre pięćdziesiąt lat, był krępy i brzuchaty. Długie szpakowate włosy zaczesywał do tyłu jak europejska gwiazda filmowa. Twarz twarda, pokryta bliznami i obłą, jakby często zbierał po gębie. Jego żuchwa była długa i ciężka, oczy bezwzględne. Patrzył na Harlana z nieznacznym uśmiechem, jakby umierający człowiek dostarczał mu niejakiej rozrywki.

– Gdzie ta karetka? – niecierpliwiłem się. Nie słyszałem syreny.

Obrzucił mnie takim wzrokiem, jakby miał zamiar zabawić się moim kosztem.

– Przecież mówię, że wezwałem. Jeszcze raz, nazwisko?

– Raymond Lilly – powtórzyłem. – Harlan ma uszkodzone płuco. Potrzebuje natychmiastowej pomocy.

– Załatwiłeś go? – spytał ktoś. Jak spod ziemi wyskoczyli dwaj kolejni policjanci. Jeden wyglądał zupełnie jak ten pierwszy. Tylko że nie golił się chyba od tygodnia i żuł postrzępioną końcówkę cygara. Założyłem, że to jego młodszy brat. Koszula ostatniego gliniarza toczyła zawziętą walkę z jego mięśniem piwnym, twarz miał czerwoną i lśniąca od wysiłku.

– No pewno – odparł stary glina.

Stanęli dookoła Harlana i gapili się, jakby miał zaraz zamienić się w cukierka. Karetki wciąż ani widu, ani słyhu. Grubas oblizał się tak, że aż przeszedł mnie dreszcz. Żaden się nie fatygował, by udzielić rannemu pomocy.

No więc pofatygowałem się ja. Gliniarze odskoczyli jak na komendę i wycelowali we mnie z pistoletów, ale nawet na nich nie spojrzałem. Przyłożyłem rękę do rany na plecach Harlana, drugą wsunąłem pod ciało i przyłożyłem do miejsca, w którym wyszedł pocisk. Zakryłem rany dłońmi, próbując zatamować upływ krwi. Oddech Harlana jakby się ustabilizował, ale może tylko mi się zdawało.

– Co ty tam robisz, synu? – zapytał któryś.

– Ratuję mu życie.

– A po kiego diabła?

– Pomyślałem, że może będziecie chcieli zastrzelić go jeszcze raz.

Zza pleców dobiegł mnie chichot. Ktoś uznał, że to śmieszne. W końcu dał się słyszeć dźwięk syren.

Harlan próbował coś powiedzieć, ale szło mu niesporo. Klęczałem na ulicy, próbując nie myśleć o tym, co robię. Szaleniec, który nie kapał się od tygodni, wykrwawiał mi się na rękę, a trzech gliniarzy celowało do mnie z pistoletów.

Usłyszałem kolejne głosy. Klienci restauracji wyszli na ulicę, a teraz dołączał do nich wylewający się z baru sportowego tłumek.

Annalise podeszła do mnie.

– Szefowo – powiedziałem, zwracając jej uwagę – zdaje się, że upuściłem jakiś papier. Nie poszukałabyś? Możliwe, że to była nasza mapa.

W mig załapała. Nie mogliśmy zostawić zakłęcia po prostu na ulicy, gdzie ktoś mógłby je znaleźć. Potrafiłbym przywołać je do siebie raz jeszcze, ale nie chciałem tego robić na oczach tyłu świadków.

Annalise przeszła na drugą stronę ulicy. Stary gliniarz podążył za nią. Mówili o czymś, ale nie dosłyszałem ani słowa. Kelnerka i mechanik relacjonowali grubemu przebieg wydarzeń, nie pomijając tego, że niemal udało mi się skłonić Harlana do oddania broni. Mieli różne opinie odnośnie do tego, czy byłem dzielny, czy głupi. Ich podniesione głosy zagłuszyły wymianę zdań pomiędzy starym gliną a Annalise.

Ambulans w końcu dojechał na miejsce. Sanitariusze wyszli z pojazdu, zakrzętnęli się, odepchnęli mnie delikatnie od postrzelonego. Powlokłem się na krawężnik, szczęśliwy, że mogę podziwiać zawodowców przy pracy. Niewysoki grubasek o zbyt długiej brodzie owijał rany Harlana bandażem. Obok niego nad rannym pochylał się łysy sanitariusz, który pobrał strzykawką jakiś płyn ze szklanej buteleczki o plastikowym wieczku. Przetoczyli Harlana na plecy. Brodacz owinął bandażami ranę wylotową, a jego kolega przystąpił do poszukiwania na ciele pacjenta dogodnego miejsca na wkłucie igły.

Odwróciłem wzrok. W miarę opadania poziomu adrenaliny zalewało mnie coraz większe zmęczenie. Kusiło, żeby ułożyć się i zasnąć wprost na ulicy.

Ciekawe, myślałem, czy dzisiejszej nocy będę spał w areszcie. Oby nie. Nie miałem wiele czasu i nie chciałem marnować za kratami ani dnia więcej.

Stary gliniarz z fryzurą na dzolo manolo i z mordą jak wykidajło przykucnął przy mnie.

– Twoja, hmm, towarzyszka mówi, że próbowałaś przemówić Harlanowi do rozsądku.

– Tak było. – Chciałem wstać, ale pomyślałem, że szkoda by było ufajdać krwią taki ładny chodnik. Absurdalny impuls, ale i cały dzień nie należał do normalnych.

Spojrzałem na odznakę gliniarza. Był tutejszym komisarzem. Z identyfikatora odczytałem nazwisko: E. DUBOIS. Więc to był ten cały

Emmett, który miał lepsze rzeczy do roboty niż konfiskowanie Harlanowi broni.

– Poczekaj moment – rzucił. Wrócił do grubego gliny i zamienił z nim kilka zdań. Grubas odszedł gdzieś, a stary wrócił do mnie. – To nie było zbyt mądre – powiedział. – Coś ty sobie myślał, chłopie?

– Szczerze mówiąc, nie myślałem za wiele – skłamałem w żywe oczy.

– Dobry Samarytanin, co?

Zmilczałem. Grubas wrócił z plastikową butelką i rolką papierowych ręczników. Etykieta na butelce głosiła: „Środek czyszczący do rąk”. Podziękowałem, wylałem sobie nieco na dłonie, próbując pozbyć się krwi. Galaretowata substancja śmierdziała alkoholem.

– Świadkowie mówią, że zanim przyjechaliśmy, prawie udało ci się go udobruchać.

Już wiedziałem, co się święci. Nie chciałem, żeby ludzie w mieście gadali, że sprawę niemal udało się rozwiązać pokojowo, kiedy nagle na scenę wparowali gliniarze i wszystko spartolili.

– Udobruchać, akurat – zachnąłem się. – Mnie tam się wydawało, że chciałem, żeby go pan zastrzelił.

– Tak lepiej. – Skinął głową. – Wolę taki ton od pyskówek. Nie spodobało mi się, co powiedziałeś o zastrzeleniu Harlana. Wcale nie sprawiło mi to przyjemności.

Doskonale pamiętałem jego uśmiech nad krwawiącym Harlanem i wiedziałem, że perfidnie kłamie.

– Przepraszam – rzuciłem. – Tak mi się jakoś powiedziało, adrenalina zrobiła swoje.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się identycznie jak wtedy i skinął głową. – Zdarza się.

Wypytywał mnie, skąd jestem i jak się znalazłem w miasteczku, ale nawet nie słuchał tego, co mówię. Jakoś udało mi się pominąć fakt, że jeszcze dziś rano siedziałem w więzieniu. Teraz, skoro przeprosiłem i byłem grzeczny, ewidentnie miał mnie gdzieś.

Popatrzyłem w ślad za odjeżdżającym ambulansem.

– Dokąd go zabierają?

Glina wlepił we mnie wzrok, jakby zastanawiając się, czy udzielenie odpowiedzi nie podminuje jego autorytetu.

– Do szpitala – odrzekł w końcu. – Planujesz odwiedzin?

– No chyba. Dobry Samarytanin, pamięta pan?

– Jasne.

Na ulicy brązowy i zardzewiały dodge dart zaparkował nieco zbyt blisko policyjnego radiowozu. Czwarty gliniarz, tym razem wysoki i szczupły, wyszedł z cienia i ruszył w jego kierunku, zapewne celem udzielenia płatnej reprimendy. Gdy kierowca wyszedł z pojazdu, w świetle latarni zaślnęła jasnoruda czupryna.

– To nasz lokalny dziennikarzyna – poinformował mnie komisarz. – Lepiej się zmywajcie, jeśli nie chcecie całą noc odpowiadać na jego pytania. Ale nie wyjeżdżajcie z Hammer Bay przez kilka dni, czy to jasne?

– Jak słońce.

Annalise stała na chodniku na tle wybitych okien baru. Jej oczy skrywał kaptur, widoczna część twarzy nie zdradzała żadnych emocji.

Gdy szedłem w jej stronę, podbiegł do mnie kucharz.

– Jesteś mi krewny drzwi – oznajmił. – Harlan rozwalił je, bo zgrywał się bohatera. A co, jeśli ktoś z moich klientów dostałby kulkę, co? Co wtedy?

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziała kelnerka. – Jeśli będziesz miał kiedyś ochotę na burgera, jesteś tu mile widziany. Ja stawiam.

Kucharz zmierzył ją wzrokiem.

– A co z moimi drzwiami i oknem?

Kobieta rzekła, że po to się właśnie człowiek ubezpiecza, co kucharz skwitował nerwowym stwierdzeniem, że pójdzie z torbami przez te wszystkie ubezpieczenia. Oddaliłem się od narastającej sprzeczki i stanąłem u boku Annalise. Wyczułem, że gdzieś przy sobie ma moje zakłęcie. Dobra nasza. Nie chciałem, żeby wpadło w niepowołane ręce, nie chciałem też zostawać tutaj ani minuty dłużej.

Wyciągnęła rękę.

– Kluczyki – zażądała. – Nie będziesz prowadził vana, dopóki nie umyjesz rąk.

Zawahałem się, przekonany, że chciała oddać mi Ostrze. Nie zrobiła tego. Czułem, że artefakt jest gdzieś blisko, najpewniej w jej prawej kieszeni. Zastanawiałem się, czy ma zamiar go zachować. Siłą nie odebrałbym go w żadnym razie. Wygrzebałem kluczyki z kieszeni i przekazałem je szefowej.

Moją uwagę zwrócił harmider, który narastał na miejscu zbrodni za moimi plecami. Obejrzałem się i zobaczyłem, że tłumek gapiów wzbogacił

się o zupełnie nowe osoby, skupione wokół Emmetta Dubois, który odpowiadał na ich pytania. Byli to czterej mężczyźni: jeden bardzo wysoki i smukły, na oko pięćdziesięcioletni, obok niego młodszy, również wysoki i smukły, z gęstą czarną czupryną. Trzeci o wiele niższy i z gładko ogoloną głową; czwarty – grubas o długich szpakowatych włosach. Zauważyłem, że zmieniła się mowa ciała komisarza. Nie zachowywał się już jak ktoś przyzwyczajony do szacunku i posłuszeństwa. Widziałem mężczyzn tylko przez kilka sekund, potem zasłonił ich zaparkowany przy krawężniku samochód dostawczy.

Wtem poczułem w piersi kłujący ból. Tym razem nie towarzyszyła temu fala energii, ale wiedziałem, co oznacza owo kłucie. Gdzieś w pobliżu stanęło właśnie w płomieniach kolejne dziecko.

Raptem jeden z rozmawiających z komisarzem mężczyzn padł na ziemię. Widok przysłaniały mi koła i zderzak samochodu, ale wyraźnie zauważyłem, że dostał ataku drgawek. To był ten wysoki i czarnowłosy.

Dubois przypadł do niego.

– Lekarza! – zawołał zatroskanym głosem.

– Jedziemy – powiedziała Annalise.

– Ale zobacz, dostał ataku w tym samym momencie, w którym...

– Wiem. Jedziemy.

Pociągnęła mnie za rękaw, zapakowała do vana i odjechaliśmy. Obejrzałem się za siebie i dostrzegłem, że jakiś glina stoi na drodze niewysokiego dziennikarza, który próbuje dostać się do swojego dodge'a.

– No i? – zagadnęła Annalise, włączywszy się do ruchu. Samochodów było jak na lekarstwo. W dłoniach włączających się po ulicy ludzi dostrzegłem pistolety. Nie wyglądali jak straż sąsiedzka. Kołysali się luzacko i sprawiali wrażenie znudzonych.

Opowiedziałem Annalise to, czego dowiedziałem się od Harlana. Nie pominąłem kwestii czarnego śladu na podłodze jego domu. Annalise zadawała wiele pytań, na które nie umiałem odpowiedzieć: gdzie mieszkał, w jakim wieku były jego dzieci i tym podobne. Moja niewiedza nieźle ją wpieniła, mnie natomiast wpienił fakt, że nie uznała dziurawego płuca Harlana za istotną przeszkodę w wymianie informacji.

Ale wiedziałem, że po prostu się na mnie wyżywa, więc postanowiłem się nie przejmować. Byłem zbyt zmęczony, żeby się złościć.

– Przepraszam, że nie dałem się zabić – powiedziałem w końcu.

– Może następnym razem – odparła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Annalise jechała, aż znaleźliśmy motel. Okrążyła budynek dwa razy, zanim udało jej się znaleźć wjazd, ale w końcu dotarliśmy na miejsce.

Był to niewielki i podłużny parterowy budynek okalający parking dla gości, na który wychodziły drzwi wszystkich pokoi.

Koszulę miałem ubabraną krwią, a plecy kurtki znaczyły czarne, oleiste plamy. Annalise kazała mi poczekać w aucie, a sama wynajęła pokoje. Kiedy tak siedziałem, zauważyłem znajome czarne ślady. Zaczynały się przy drzwiach do jednego z pokoi, skręcały pod kątem czterdziestu pięciu stopni, przecinały chodnik i nikły na błotnistym parkingu.

Ciekawostka: pełznące tą drogą robaki miały dłuższy dystans do pokonania, zanim trafiły na miękką glebę, gdzie mogły się skryć, niż gdyby popęzły w linii prostej bezpośrednio na parking. Czyżby coś przyciągnęło je w kierunku zachodnim? Może Pacyfik?

Annalise wróciła z kluczami do pokoi. Na szczęście nie dostał mi się ten z czarnymi śladami u wejścia.

– Ogarnij się – poleciła. – Startujemy jutro z samego rana.

Skierowała się do swojego pokoju, ja do swojego. Rozebrałem się w łazience i obejrzałem ubranie pod lampą nad zlewem. Kurtka, koszula i portki były w opłakanym stanie. Przydałaby się pralnia i jakiś detergent. Ale to musiało poczekać do rana. Wrzuciłem ciuchy pod prysznic, zmyłem z rąk resztki krwi i środek czyszczący, po czym zeszkrobałem z ubrań całą

krw, jaką udało mi się znaleźć. Na szczęście nie zdążyła zaschnąć, więc czyszczenie przebiegło całkiem sprawnie. Zdusiłem natarczywą myśl o przenoszonych we krwi chorobach, które mógł mieć Harlan. Marzyłem tylko o tym, by się wykąpać.

Kiedy wyszedłem spod prysznic, poczułem się kompletnie wykończony. Zdołałem jeszcze tylko powiesić mokre ubrania na krześle przy grzejniku, który ustawiłem na dwójkę, po czym padłem na poliestrową kołdrę i pogrążyłem się w pozbawionym snów letargu.

Zdało mi się, że ledwie przyłożyłem głowę do poduszki, usłyszałem walenie do drzwi. Annalise pukała tak mocno, że niemal wyleciały z zawiasów. Zwlokłem się z łóżka, owinąłem w ręcznik i otworzyłem.

Przebrała się, nie miała już na sobie kurtki strażackiej, tylko prostą brązową skórę. Włożyła też czarne spodnie i białą rozpinaną koszulę, o rozmiar na nią za dużą. Robocze bucioro zmieniła na czarne skórzane trekkingi.

Ledwie na mnie spojrzała.

– Ubieraj się. Mamy dziś dużo pracy – oświadczyła, rzucając mi kluczyki.

Ciuchy wciąż miałem mokre i niczego na zmianę. Dienne światło wydobyło plamki krwi, które pominąłem przy czyszczeniu. Szlag by to. Włożyłem obstrupałe łachy na czyste ciało i wyszedłem z pokoju. Kurtkę od razu wywaliłem do śmieci.

Było parę minut po siódmej rano. Z szarego nieba siąpił drobny deszcz. Umierałem z głodu, ale nie mogłem udać się do restauracji w mokrych, zakrwawionych ciuchach. Jechałem więc przed siebie w nadziei, że znajdę po drodze jakiś drive-thru.

Zanim to nastąpiło, Annalise kazała mi skrócić w boczną uliczkę przy sklepie odzieżowym. Nie licząc baru z rozwiniętą na wybitych oknach taśmą policyjną, było to jedyne miejsce otwarte o tej porze.

Weszliśmy do środka i Annalise kupiła mi nowe ubranie. Nie był to ostatni krzyk mody, ale przynajmniej miałem co na siebie włożyć. Dostały mi się cztery pary jeansów, cztery czarne swetry z długimi rękawami, cztery pary białych skarpet, wysokie czarne buty turystyczne i wiatrówka z podpinką.

Sprzedawca trzymał w rękach otwartą torbę na śmieci, w której umieściłem wszystkie stare ubrania, nie pomijając uwalanych krwią

trampek. Nawet nie zauważyłem, że były brudne. Mężczyzna wyrzucił worek do śmieci. Wychodząc ze sklepu, poczułem się jak młody bóg. Zastanawiało mnie tylko, czy cztery komplety odzieży oznaczają, że pożyję jeszcze najwyżej cztery dni.

Następnie zatrzymaliśmy się na śniadanie. Ale tym razem w innej restauracji. Annalise zamówiła bardzo krwisty stek, jajecznicę i szynkę z grilla. Kelnerka spojrzała na nią z powątpiewaniem, ale Annalise wsunęła wszystko do ostatniej okruszyny.

Rozpięty kołnierzyk i mankiety odsłaniały jej tatuaże. Wyglądały podobnie do moich. Nałożono je pędzlem i magią, nie igłą i tuszem, ale były tak samo niezmywalne.

Nie wiedziałem, kto wytatuował Annalise. Zastanawiałem się, czy była wtedy przytomna. Ja sam byłem przytomny przez większość czasu i nigdy nie doświadczyłem w życiu większego bólu, z wyjątkiem chwili, w której wyczarowałem z książki Ostrze Dusz.

Dotknąłem bezwiednie punktu pod prawym obojczykiem, gdzie na przestrzeni ostatnich kilku godzin kilkakrotnie czułem bolesne ukłucia. Opuszki palców zarejestrowały dotyk, ale klatka piersiowa nie zarejestrowała naporu palców. Części ciała pokryte magicznymi tatuażami miały wyłączony system nerwowy.

Dziarała mnie Annalise. Zastanawiałem się, czy potrafi wyczuć moje tatuaże i mnie, tak jak ja potrafiłem wyczuć Ostrze Dusz. Myślałem także o tym, czy proces tatuowania sprawił jej tyle bólu, co mnie sprawiło wyczarowanie Ostrza. Przekierowanie energii potrzebnej do rzucenia zaklęcia spowodowało taki ból, jakbym oblał się benzyną i podpalił.

Istniała możliwość, że utkałem czar z błędem, ale co, jeśli nie? Może Annalise musiała wytrzymać taki sam ból, kiedy nakładała na mnie magiczne wzory? Albo kiedy tworzyła te swoje wstęgi? Nie miałem ochoty o tym dłużej myśleć.

Tatuowanie było tylko jedną z jej licznych umiejętności. Moja szefowa obdarzona była nieludzką siłą i potrafiła regenerować rany, jedząc mięso, im bardziej surowe, tym lepiej. Miała też tę swoją kamizelkę z zaklęciami, którą prawdopodobnie zostawiła dzisiaj w pokoju razem z kurtką strażacką.

Mogłem się tylko domyślać, jaki efekt wywierały na nią te wszystkie czary. Czy była jeszcze człowiekiem? Czy byłaby wciąż człowiekiem, gdyby jej ciało przemieniło się w coś potwornego, ale wciąż myślała jak

człowiek? Przyszło mi na myśl, że jej krucjata przeciw czarnej magii mogła ją bardzo zmienić. I może zmienić również mnie, zanim Annalise zdąży odebrać mi życie.

Jedynym powodem mojego filozofowania był, ma się rozumieć, fakt, że nie miałem do kogo gęby otworzyć. Annalise piłowała stek nożem i raz za razem wrzucała widelcem do ust kolejną porcję, jakby pracowała łopata.

Przedłużająca się cisza zaczęła mnie irytować. Spytałem szefową, dlaczego tylko Harlan pamięta swoje dzieci. Nie odpowiedziała. Nie uniosła nawet oczu znad talerza. Spytałem, czy sądzi, że znajdziemy jeszcze w mieście kogoś takiego jak Harlan. Brak odpowiedzi. No to spytałem, skąd pochodzi.

Przestała jeść i zmierzyła mnie morderczym wzrokiem. No dobra. Dałem temu spokój. Zdjąłem ze stojaka wydawany w Seattle dziennik i zacząłem czytać.

Hammer Bay leżało na zbyt głębokiej prowincji, żeby napisano w dzienniku o strzelaninie, ale (to ci dopiero!) znalazłem wzmiankę o sobie w dziale wiadomości lokalnych.

Dziwnie się poczułem, czytając o sobie w gazecie. To tak jakby w zatłoczonym pokoju wszyscy nagle usiedli, a dla mnie zabrakło krzesła. Może to głupie, ale poczułem się jak na świeczniku.

Artykuł znajdował się na czwartej stronie, a kolumnienka miała zaledwie półtora cala. Krótko i zwięźle informowała czytelników, że Raymond Lilly, który znalazł się w więzieniu w związku z kilkoma morderstwami, został wypuszczony na wolność. Niżej znajdowała się lista nazwisk, które kojarzyły mi się wyjątkowo źle. Oficjalnym powodem mojego zwolnienia, napisano, był niedostateczny materiał dowodowy, by oskarżyć mnie o morderstwo, usiłowanie morderstwa, porwanie, handel narkotykami, napad z pobiciem i włamanie z kradzieżą. Kradzieże samochodów i nielegalne posiadanie broni litościwie pominięto. Może zabrakło miejsca.

W artykule nie wspomniano o czymś jeszcze: o tym, że pewni prominentni obywatele wstawili się za mną, twierdząc, że ocalałem im życie. Przemilczano również to, że wedle raportów policyjnych rzekomo zabite przeze mnie ofiary były martwe od co najmniej kilku dni lub tygodni, zanim się spotkaliśmy.

Jeszcze raz przeleciałem wzrokiem listę zabitych. Niektóre nazwiska nic mi nie mówiły, niektóre mówiły aż za dużo. Od tej sprawy minęło już kilka

miesiący, a wciąż na myśl o niej ogarniało mnie przygnębienie.

Ireny nie było na liście. Jej ciało mogło zostać zabrane z miejsca zdarzenia przez agentów Towarzystwa. Ciekawe, czy z moim zrobią to samo, gdy nadejdzie czas? Czy ktoś wtedy uzna, że opuściłem kraj albo zmieniłem tożsamość? Czasy, kiedy miałem rodzinę czy przyjaciół, minęły bezpowrotnie, ale pozostała mi ciotka, która przyjęła mnie do siebie, gdy zostałem zupełnie sam. Za nic nie chciałem, by wzięła mnie za niewdzięcznika albo odniosła wrażenie, że nie chcę jej znać.

Annalise skończyła jeść. Pokazałem jej artykuł, ale miała go gdzieś. Zapłaciła, a ja szybko wyczyściłem swój talerz. Byłem już pełen, ale potrzebowałem paliwa na później.

Gdy wsiedliśmy do vana, Annalise wręczyła mi kartkę z adresem. Odnalazłem go na naszej idiotycznej mapie i stwierdziłem, że miejsce znajduje się w bezpośrednim pobliżu fabryki zabawek.

Pojechaliśmy tam od razu, przez mgłę i siąpiący deszcz, i wkrótce okazało się, że to nie pobliże, lecz sama fabryka, która składa się faktycznie z dwóch budynków. W pierwszym, przeszklonym, mieściły się biura. Miał cztery piętra i obłe kształty. Gdyby znajdował się na kampusie jakiejś korporacji albo w centrum miasta i gdyby miał jeszcze z dziesięć pięter, mógłby uchodzić za nowoczesny i elegancki. Tutaj wyglądał tandetnie.

Drugim budynkiem był stary magazyn, ciągnący się od krawędzi biurowca do sosnowego zagajnika i stromego zbocza, które wyglądało jak podnóże góry Olimp. Magazyn był wysoki na trzy piętra, ale zakładałem raczej, że stanowi jedno obszerne pomieszczenie. Otaczały go samochody, głównie nowe i niezbyt drogie modele: tu kia, tam hyundai.

Przy wjeździe nie zastaliśmy strażnika. Minąłem bramę i znalazłem wolne miejsce na zachodnim skraju parkingu, wyszliśmy z auta. Na granicy widoczności dostrzegłem w mglistej oddali ocean. Całe wieki nie widziałem wielkiej wody. Na południu majaczył w szarzyźnie zarys zaznaczonej na naszej mapie latarni. Ją również gęsto otulała mgła, skrywająca detale budynku, ale budowla i tak robiła wrażenie.

Zbliżyliśmy się do frontonu niewydarzonego biurowca. Dwa miejsca postojowe przy samym budynku były zarezerwowane. Na miejscu niejakiego Charlesa Hammera stał prius. Poznać człeka bywałego. Obok niego przeżył się czarny mercedes klasy S.

Otworzyłem drzwi i przytrzymałem je dla Annalise. Z pewnym siebie wyrazem twarzy niosła wytartą skórzaną torbę. Nie wiedziałem, co tu właściwie robimy, więc postanowiłem nadrabiać miną.

Hol wejściowy był elegancki, choć urządzony nieco po kosztach. Annalise podeszła do recepcjonistki, przedstawiła się i oznajmiła, że jest umówiona na spotkanie z Charlesem Hammerem.

Na identyfikatorze kobiety widniało imię Carol oraz płonąca obręcz z czarnymi zawijasami w środku, na pierwszy rzut oka wyglądająca jak sigil na moim Ostrzu Dusz albo na wstęgach Annalise. Po chwili zorientowałem się, że to stylizowane litery H, B i T – Hammer Bay Toys. Carol rzuciła okiem do harmonogramu, podniosła telefon do ucha i powiedziała osobie po drugiej stronie, że na miejsce dotarła osoba umówiona z panem Hammerem na dziesiątą. Zakończyła rozmowę i z promiennym uśmiechem poprosiła, byśmy chwilę zaczekali.

Podłoga korytarza wyłożona była łupkiem, a ściany pokryto kiczowatymi panelami imitującymi deseń cedrowego drewna. Na wyższe piętro prowadziły szerokie betonowe schody. Bawiłem się myślą złożenia CV w recepcji. Czemu nie? W końcu wszyscy miejscowi sądzili, że powinienem. Niech mnie diabli, jeśli nie wkurzy to Annalise. Miałem na dupie portki, które mi kupiła, w brzuchu jedzenie, które mi postawiła, i spałem w pokoju, za który płaci. Czułem się jak jej utrzymanek. Najwyższy czas pójść na swoje. Pokusa, by ją sprowokować, była nieodparta.

Wtem zadzwoniła winda, zakłócając niebezpieczny tok myśli. Wszedł z niej sześćdziesięcioletni facet w gajerze za minimum sześćset dolców, butach za trzysta i fryzurze za dwanaście. Na twarzy malował mu się wesoły uśmiech od ucha do ucha. Oczy miał jak z plastiku.

– Pani Powliss – rzekł, podając rękę do uścisku. Gdy Annalise ujęła ją, skrzywił się na sekundę, ale zaraz odzyskał pewność siebie i jeszcze poszerzył uśmiech. – Jestem Able Katz, wiceprezes. Jak minął lot?

– Przyjechałam samochodem. Nie lubię nosić się z głową w chmurach. Miło pana poznać, panie Katz.

Able zwrócił się ku mnie, czekając, aż Annalise nas sobie przedstawi. Nie doczekał się.

– Ray Lilly – powiedziałem, by położyć kres krępującej ciszy.

– Znam skądś to nazwisko. Czy nie mieszkał pan kiedyś w Nowym Jorku?

– Niestety nie – wyznałem.

Wzruszył ramionami, wciąż uśmiechnięty.

– Państwo pozwolą – powiedział uprzejmie, ruszając w stronę windy. Annalise nie kazała mi wracać do auta, więc ruszyłem z nimi.

Wjechaliśmy przyciasną windą na samą górę. Niewielki metraż zmuszał nas do stania nieco zbyt blisko siebie, więc nikt nie miał ochoty się odzywać. Winda zadzwoniła ponownie, oznajmiając kres podróży, a Able zaprowadził nas do biura.

Rozejrzałem się. Wszędzie stały biurka, ale nie było boksów. Wózki i półki załadowane były plikami papierów, porozrzucanymi chaotycznie folderami dokumentów i zabawkami z asortymentu firmy. Wiele zabawek poustawiano tak, by imitowały życiowe sytuacje: figurki napakowanych bohaterów siedziały przy malutkich stołach z pomalowanymi w kwiaty filiżankami w dłoniach, podobne do Barbie lalki przebrane za Marie Antoniny poustawiano w wężyka jak na wiejskiej potańcówce, jeden plastikowy żołnierz zdawał się pochłonięty wykazem sprzedaży, inny wtulał się namiętnie w normalnych rozmiarów kubek do kawy.

Uśmiechnąłem się, patrząc na zabawki. W zasadzie ich widok sprawił, że poczułem się świetnie. Stłumiłem impuls, by niepostrzeżenie wsunąć jedną do kieszeni.

Pracowały tu wyłącznie kobiety w średnim wieku. Co kilka sekund któraś przestawała pisać, czy cokolwiek tam robiła, żeby zmienić położenie zabawki. Nieobecny wyraz twarzy zdradzał, że był to stary nawyk.

Na szafce na akta stał plastikowy orzeł, którego dosiadał miniaturowy grecki hoplita. Przesunąłem palcem po skrzydle i uśmiechnąłem się jak dziecko. Bawiłbym się tu cały boży dzień.

Trzy pracowniczki biurowe mierzyły mnie czujnym spojrzeniem. Zostawiłem zabawkę, gdzie stała.

– Obawiam się, że w biurze panuje dziś lekki bałagan – wyjaśnił Able. – Ale za to sala konferencyjna czeka przygotowana.

– W porządku – rzekła Annalise.

Próbowałem zaobserwować na jej twarzy ślad powodowanej zabawkami wesołości, ale nie udało się. Z kolei Able Katz sprawiał pozory zupełnie normalnego. Jego pracownice zasadniczo również. Wtem jedna z mijanych

kobiet wybuchła śmiechem. Able spojrział w jej kierunku, kobieta patrzyła na zabawkowy pociąg i trzymała w ręku skakankę. Raptem wszystkie kobiety wzięły do rąk zabawki i uśmiechnęły się.

Able wyszczerzył się. Dokładnie to chciał widzieć.

Rozwarł szklane drzwi do sali konferencyjnej i wszedł do środka, zapraszając nas gestem. Okna były wielkie i nieskazitelnie czyste. Nie widziałem stamtąd oceanu, ale mogłem patrzeć na miasto. Przedemną rozciągało się Hammer Bay, wspinające się na położone na północy wzgórza.

– Nie spodziewałem się telefonu od Jimmy’ego Larsona – zagadnął Able. – Nie rozmawialiśmy od czasów Mattel. Skąd go pani zna?

– Przepraszam na moment – powiedziała Annalise. Wyjęła z torby drewnienko i podniosła tak, byśmy tylko my widzieli poruszający się wzór. Linie drgały jakby szybciej niż zwykle. Niewielka różnica, ale jednak. Obróciła się do Katza i powiedziała: – Czy pan Charles Hammer zaszczyca nas obecnością? To z nim miałam się spotkać.

– Pana Hammera zatrzymały nieprzewidziane okoliczności – wyjaśnił Katz. Przez jedną absurdalną chwilę pomyślałem, że Hammer trafił do kicia. – Kiedy nachodzi go inspiracja, zamyka się w odosobnieniu, żeby pracować nad nową zabawką.

– Muszę przyznać, że jestem rozczarowana.

– Rozumiem panią. Bardzo mi przykro. Jednakże z przyjemnością przekażę mu wiadomość od pani.

– Zanim to nastąpi – rzekła Annalise – chciałabym prosić pana o przysługę. Proszę wyciągnąć rękę, jakby zatrzymywał pan przed sobą samochód.

– A to dlaczego, jeśli wolno spytać?

– Ponieważ jestem bogatą ekscentryczką i ślicznie pana proszę.

Able zmierzył nas wzrokiem, a potem wzruszył ramionami. Wyciągnął w naszą stronę rękę odwróconą wnętrzem dłoni do przodu i z wyprostowanymi pionowo palcami. Annalise przyłożyła do niej drewnienko. Wzór nie zmienił częstotliwości. Skrzywiła się i schowała talizman z powrotem do torby.

– Dziękuję bardzo.

Able roześmiał się.

– Jimmy przestrzegł mnie, że nieżył z pani oryginał. Ale w tym biznesie człowiek oswaja się z dziwactwami.

– To zabawne, że Jimmy pana przestrzegł. Jimmy nigdy mnie nie poznał. I żaden ze mnie oryginał. Prędszej aktywistka.

– W porządku. Na rzecz?

– Przetrwania człowieka.

– Mnie również ta sprawa leży na sercu – powiedział Able, rzucając okiem na zegarek. – Ale co to ma wspólnego z Hammer Bay Toys?

Wtedy Annalise zaczęła mydlić mu oczy. Że niby chodzi o ubranka jednego z modelu ich lalek. Że niby Annalise zna firmę w Afryce, która wykona je taniej, a jej pracownicy są mniej wybredni, jeśli idzie o pensje. Była spokojna i przemawiała dobitnie, a ja po raz kolejny dziwiłem się, że jak chce, to jednak potrafi złożyć zdanie z więcej niż trzech słów.

– Żałuję, że nie uprzedzono mnie, iż nasze spotkanie dotyczyć będzie tej kwestii. Zaoszczędziłbym pani kłopotu. Pan Hammer wyjątkowo niechętnie odnosi się do przerzucania produkcji za granicę. Nie zgodzi się na to pod żadnym pozorem. Założył tę firmę między innymi po to, by wydzwignąć Hammer Bay z zapaści. Widzi pani, on również jest aktywistą, z tym że na rzecz przetrwania miasta, które założył jego prapradziadek.

Annalise naciskała na niego. Wiedziała, że mieli więcej zamówień, niż mogli zrealizować, i że nie zapewnili wystarczającej liczby swoich produktów na ostatnich targach zabawkarskich.

– Firma... – zaczęła, ale Able zaraz jej przerwał. Sprzedawał jej tanie uprzejmości, że rozumie i szanuje jej zaangażowanie. Że dowiedział się o niej tego i owego i jest pod wrażeniem. Ale gdyby tylko wiedział, o co jej chodzi, oszczędziłby jej fatygi.

– Pan Hammer – mówił – prędzej puści firmę z dymem, niż zaangażuje do pracy ludzi spoza miasteczka.

Ponownie spojrział na zegarek. Wiedziałem, że sprawa jest przegrana. Wielki nieobecny, pan Hammer, podjął decyzję, a pan Able Katz ani nie mógł, ani nie chciał jej zmieniać. Chciał tylko ruszyć z harmonogramem.

– Niezmiernie mi przykro – powiedział w końcu. – Ale zaraz mam kolejne spotkanie, do którego muszę się przygotować. Rozumiem pani punkt widzenia, ale, niestety, mam związane ręce. Proszę. – Wyjął długopis z kieszeni marynarki i zapisał coś na odwrocie wizytówki, po czym podał ją Annalise. – Chuck to nasz stary przyjaciel z Nowego Jorku. Niech pani

zagadnie go o problemy, które pojawiły się podczas produkcji kostiumów śnieżnych ninja. Dobrze?

Annalise wzięła od niego wizytówkę.

– Wciąż chciałabym porozmawiać z panem Hammerem osobiście.

Uśmiech Able'a stopniał. Nie doczekał się nawet zasranego „Dziękuję”.

– Pan Hammer – rzekł wolno – pracuje w odosobnieniu nad nową zabawką. Nie wolno mu przeszkadzać.

Wstał, by odprowadzić nas do wyjścia. Wstaliśmy również.

– Pan go chroni – odezwałem się.

Able spojrzał na mnie, jakbym wyskoczył z kapelusza. Jego uśmiech był uśmiechem tylko z nazwy.

– Ma się rozumieć – wyrzekł. – Zapracował na to.

– Jak? – spytałem. – Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale jestem ciekawy. Dlaczego opuścił pan Nowy Jork i przyjechał do Hammer Bay w Waszyngtonie?

Able wzruszył ramionami.

– Cztery lata temu startowałem z serią sześciu figurek w mojej własnej firmie marketingowo-doradczej. Przygotowaliśmy kampanię reklamową edycji promocyjnej i zaangażowali do pracy najlepsze grupy fokusowe w branży. Kiedy zobaczyłem stoisko Hammer Bay Toys na targach, pomyślałem, że to jakiś żart. Z konwencjonalnego punktu widzenia wszystko robili nie tak. – W międzyczasie otworzył drzwi i wyprowadził nas do głównego biura. – No bo jak można traktować poważnie lalki modelki w siedemnastowiecznych sukniach? Która mała dziewczynka kupi lalkę w sukni Marii Antoniny? Na każdym targach zabawkarskich znajdzie się uczestnik z kilkoma postrzelonymi pomysłami, ale to już była przesada. Wszyscy szydziliśmy z Charlesa za jego plecami.

Szliśmy wolno ku windzie, a Able rozgadał się na dobre. Oczy mu błyszczały, a w głosie brzmiała desperacja. Przemawiał jak skazaniec, który odnalazł za kratkami Jezusa.

– Ale – ciągnął Able Katz – wkrótce okazało się, że to myśmy się mylili, a on miał rację. Te staroświeckie lalki schodziły, jak tylko nowa partia zdążyła trafić do sklepów. Jednak nawet przy mocno zawyżonych cenach zysk pozostawał znikomy. Byłem niby ekspertem, a nie miałem bladego pojęcia, dlaczego dzieci interesują tak osobliwe zabawki. Rok później, kiedy wyszli Jeźdźcy Orłów, Robo-Zombiaki i Ciuchcia Pomocna Dłoń, nie

wiedziałem, co mam myśleć. Te zabawki wciąż obmyślano na przekór wszystkim biznesowym prawidłom, a cena wciąż była zbyt wygórowana, ale tym razem i mnie coś do nich przyciągnęło. Pragnąłem je mieć, dokładnie jak te wszystkie dzieci.

Zauważyłem, że przez biuro zmierza ku nam jedna z pracownic.

– Opuściłem więc Nowy Jork – kontynuował Katz – i sześciocyfrowe dochody w swojej poprzedniej pracy dla kogoś, kto wierzy w ideę, nie w grupy fokusowe. Z każdą kolejną wypuszczaną serią spodziewałem się upadku firmy. Ale to nigdy nie nastąpiło. Sprzedaż zabawek z wszystkich nowych kasowych serii zabawek Mattel czy Hasbro prędej czy później leci na łeb na szyję, nawet przy korzystnych cenach i pełnych półkach. U nas nie. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale to po prostu nadzwyczajne. A w tym roku wypuszczamy więcej serii niż kiedykolwiek.

Wcisnął guzik przywołujący windę. Kobieta złapała nas, gdy otwierały się drzwi.

– Przepraszam, Able – powiedziała. – Charles może się już z tobą zobaczyć.

Obejrzelismy się przez biuro. Po jego przeciwnej stronie przy rządzie biurek stał wysoki, kościsty człowiek o gęstej czarnej czuprynie. Patrzył w naszą stronę, ewidentnie czekając na Able'a.

Od razu rozpoznałem jednego z czwórki, która rozmawiała przy samochodzie dostawczym z Emmettem Dubois. To on miał atak.

Annalise obróciła się na pięcie, żeby spojrzeć mi w oczy. Jej twarz nie miała wyrazu. Setki razy widziałem ją taką, ale tym razem dostałem gęziej skórki. Drzwi pustej windy zamknęły się z dzwonkiem.

Annalise odepchnęła delikatnie na bok Able'a i kobietę.

– Czekać – poleciła, ruszając w stronę wysokiego bruneta.

Chyba znalazła w końcu osobę, którą ma zabić.

Able ani myślał czekać.

– Przepraszam bardzo – powiedział rozgniewany nie na żarty. – Przepraszam bardzo, tam nie wolno wchodzić.

Ruszył za Annalise. Złapałem go od tyłu za ramiona. Próbował się wyrwać, ale cisnąłem nim na biurko, wprost na kolana kobiety z plikiem dokumentów w pulchnych dłoniach.

– Głuchyś? – spytałem.

Bogu ducha winny Able nie miał pojęcia, jak niebezpiecznie jest wchodzić w drogę Annalise. Kobięcina upuściła papiery i ucapiała Able'a za marynarkę, próbując odgrodzić się nim ode mnie.

Annalise była w połowie rzędu biurek.

– Charles Hammer? – spytała.

– Tak? – odparł. Nie widziałem jej twarzy, ale zgadywałem, że coś w jej wyrazie niepokoi Hammera.

Kobieta siedząca przy biurku na końcu rzędu wstała i weszła między Annalise a szefa. Była tęgą kobietą, najwidoczniej przyzwyczajoną do stawiania na swoim. Złapała Annalise za ramię. Annalise odbiła jej rękę, a ona zachłysnęła się powietrzem i przycisnęła ją do ciała, jakby była złamana.

Annalise chwyciła Charlesa Hammera za rękę i przyłożyła mu drewno do dłoni. Z talizmanu trysnął potok szarych iskier, a ze wzoru strzelił pod sam sufit snop czarnego dymu.

Wszyscy zamarli z rozdziawionymi ustami. Hammer próbował się wyswobodzić, ale Annalise nie puszczała. Włożyła drewno pod pachę.

– Twoja księga – rzuciła. – Ale już.

– Co proszę?

Annalise westchnęła z irytacją, a potem oderwała mężczyźnie palec wskazujący z taką łatwością, jakby łamała wykałaczkę. Rzuciła nim przez ramię.

Hammer wydarł się na całe gardło, pracownicy również zaczęły krzyżeć i kulić się za biurkami. Hammer robił, co mógł, żeby wyrwać się Annalise, ale ta nie puszczała jego okaleczonej ręki z żelaznego uścisku.

– Mogę zadać ci to pytanie jeszcze dziewięć razy – powiedziała cicho i wyraźnie. Hammer odwinął się i wyprowadził lewy hak prosto w policzek Annalise. Wydarł się znowu, gdy pięść zderzyła się z jej twarzą, po czym szybko przycisnął rękę do ciała. Wydało mi się, że coś chrupnęło. Oblicze Annalise nie nosiło śladu po ciosie. Mówiła dalej. – Teraz kolejne pytania jeszcze mniej ci się spodobają. Księga. Poproszę.

Poczułem klucie na sigilu pod obojczykiem. Tak jak ostatnio, fala energii nie napłynęła. Może pojawiała się tylko za pierwszym razem? W pokoju jednak jakby pociemniało, po czym rozbłysły żywym ogniem identyfikatory pracownic HBT. Ich ręce zwisły bezwładnie wzdłuż ciała i wszystkie wyprostowały się równocześnie.

Ruszyły w stronę Annalise i Hammera sztywno jak automaty. Annalise stała plecami do nich i nic nie zauważyła.

– Szefowo! – krzyknąłem.

Annalise obróciła się w miejscu w tym samym momencie, gdy jedna z kobiet nabierała tchu, jakby miała zamiar wrzasnąć. Annalise złapała ją za szmaty i wykopała spod niej nogi. Tym razem na sto procent coś chrupnęło. Szefowa cisnęła kobietą za rządy biurka.

Nie widziałem, jak uderza o podłogę, ale chyba przeżyła. A przynajmniej taką miałem nadzieję.

– Starczy już tego – warknęła Annalise i strzeliła Hammera w twarz wierzchem dłoni. Jego głowa oderwała się od tułowia i zatrzymała w rogu pomieszczenia.

I to ja ją tu przywiozłem, zaświtało mi w głowie. Pomogłem jej pozabijać tych ludzi. Zemdliło mnie na tę myśl.

Do Annalise zbliżyła się jakaś kobieta o płaskiej twarzy i też nabrała powietrza w płuca. Annalise spojrzała na nią zaskoczona, że dekapitacja Hammera nie wyrwała kobiety z transu.

Zakryła jej usta przyłożonym obiema rękami talizmanem dokładnie w momencie, gdy pomiędzy wargi kobiety buchnęły płomienie. Ogień ogarnął drewno i dłonie Annalise, pełznąc po jej ramionach i spalając kamizelkę.

Wrzasnęła.

Talizman eksplodował. Annalise zatoczyła się w tył, trzymając płonące dłonie przed oczami. Kobieta z płaską twarzą nie miała już ani twarzy, ani głowy. Kikut jej szyi wciąż płonął, kiedy padała bez ducha na dywan.

Reszta pracownic sunęła w stronę Annalise jak zjawy. Wysoki rudzielec nabrał powietrza, a Annalise rzuciła się ku windzie i przekoziółkowała. Strumień rozszalałych płomieni musnął ją tylko i trafił jedną z napastniczek, która momentalnie stanęła w ogniu, jakby ktoś oblał ją benzyną.

Wydobywający się z ust rudowłosej kobiety strumień płomieni zelżał. Jej wargi i język spalone były na węgiel. Złapała się za gardło i padła na ziemię, a Annalise skryła się za schodami. Jej ręce wciąż się tliły, skóra poczerniała i popękała, choć sama Annalise zrobiła się blada i trzęsła się jak w febrze. Porwałem jakiś żakiet z oparcia fotela i puściłem się biegiem w jej stronę.

Kobiety otoczyły ją zwartym pierścieniem. Jedna z nich, siwa, wzięła głęboki wdech. Odepchnąłem jedną z pracownic, by dostać się do Annalise, zorientowawszy się zdumiony, że była to pani Finkler.

Sąsiadka Bentonów zatoczyła się na siwą, ta odwróciła się w moją stronę, a ja zanurkowałem, złapałem ją za nogi i zdołałem jakoś odepchnąć od szefowej, zanim spopielił ją kolejny strumień ognia, który właśnie buchnął z uchylonych ust.

Gdy struga płomieni przemknęła nad moją głową, poczułem ten sam żar co tamtego dnia, gdy spłonął Justin Benton. Naszło mnie też dziwne wrażenie déjà vu, jakby coś podobnego już kiedyś się zdarzyło. Było tak, jakbym przypomniał sobie płomień i zarazem czuł na ciele jego gorąc.

Kobieta padła na biurko, splunąwszy ogniem na monitor komputera.

Omotąłem zakietem poparzone ręce Annalise, a potem zarzuciłem ją sobie na ramię. Mimo wielkiej siły wciąż była drobna i ważyła najwyżej sto funtów. Nie miałem jej siły, ale adrenalina skutecznie zwiększała moje możliwości. Wtem dostrzegłem kątem oka stojącego po drugiej stronie biura Charlesa Hammera. Jego ubranie było całe we krwi, ale on sam wyglądał jak facet, któremu nic nie dolega. Na jego twarzy malowało się czyste, niewinne zdumienie.

Usłyszałem, że ktoś obok znowu bierze haust powietrza. Pognałem z Annalise do zejścia ze schodów i zeskoczyłem w dół, słysząc nad sobą wizg płomieni. Poczułem żar, ale żadnego bólu.

Wylądowałem na schodach w dwóch trzecich drogi na niższy poziom. Nie wiem, jakim cudem nie skręciłem kostki ani nie rozwaliłem sobie głowy.

Annalise wyslizgnęła mi się z rąk i upadła na schody, przypadłem do niej i podniosłem z podłogi. Rzuciłem okiem za siebie i zobaczyłem, że klatkę spowija kolumna płomieni. Ponownie zarzuciłem szefową na ramię i pobiegłem do drugich schodów.

Ogień podążał za mną, uderzając w miejsca, w których znajdowałem się ułamek sekundy wcześniej. Wiedziałem doskonale, że kobiety nie panują teraz nad sobą i że coś je opętało, pytanie brzmiało: co? Jeśli któraś nas dogoni, skończymy jako bezkształtne bryły węgla. Każdą kolejną wydartą śmierci sekundę wykorzystywałem na karkołomny sprint.

Zbiegłem na niższe piętro, gdzie nie mogło mnie dosięgnąć płonące inferno.

Holem szły w moją stronę jakieś postaci. Trzymając Annalise na rękach jak niemowlę, dopadłem do kolejnych schodów i zbiegłem na następne piętro, a potem na następne. Zajęło to raptem kilka chwil, ale to wystarczyło, żeby poziom adrenaliny zauważalnie opadł. Wystarczyło też, żebym zapytał sam siebie, dlaczego zadaję sobie tyle trudu, by ocalić kobietę, która chciała mojej śmierci.

No cóż, teraz nie miałem już odwrotu.

Przeleciałem nad ostatnim segmentem klatki schodowej i wylądowałem w holu wejściowym, gdzie jedyną drogę do wyjścia zagrażała recepcjonistka Carol. Jej identyfikator płonął; stała sztywno, z palcami zagiętymi na podobieństwo szponów.

Była za daleko. Za nic nie zdołam dobiec do niej i obalić z rozpędu, zanim zionie we mnie ogniem.

Nabrała powietrza w płuca.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przywołałem do ręki Ostrze Dusz. Wyfrunęło z kieszeni kurtki Annalise. Jednym płynnym ruchem złapałem je i cisnąłem. Carol nabrała już powietrza, kiedy nagle zakłęcie przeszło na wylot przez jej szyję.

Rzuciłem się w lewo. Ostrze nie zostawiło żadnego śladu, ale z miejsca, w którym weszło w jej ciało, trysnęła smuga płomieni, a zaraz potem kolejna, z tyłu ciała. Ogień kotłował jej się w ustach, ale nie mogła już nim zionąć. Płomienie rozpełzły się po twarzy i włosach. Nagle napuchła, a ogniem zajęło się ubranie. Ogień pożerał ją całą, a ona nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku.

Obiegiem płonąca figurę i pchnąłem drzwi wyjściowe, wypadając z budynku we wciąż siąpiący deszcz. Ostrze Dusz czekało na mnie na chodniku. Podrzuciłem Annalise na ramię i wyciągnąłem rękę po zakłęcie. Natychmiast znalazło się w mojej dłoni.

Przecinając parking i biegnąc w stronę vana, robiłem, co w mojej mocy, by nie zmaltretować zanadto Annalise, ale chyba i tak była zbyt oszołomiona, by czuć, jak moje ramię wrzyna jej się w żołądek. Spojrzałem na rękę mojej szefowej i pomyślałem, że może to dobrze, że straciła przytomność. Wydała z siebie cichy jęk i przyciągnęła kolana do piersi. Pech chciał, że stała im na drodze moja klatka piersiowa.

– Opuść sobie – poprosiłem grzecznie. Musiałem walczyć o oddech, łapiąc hausty powietrza między słowami. Nie sądzę, żeby mnie usłyszała. –

Spokojnie.

Rozluźniła się. Dotarliśmy do vana, otworzyłem drzwi pasażera i umieściłem ją na fotelu. Zdjąłem jej torbę przez głowę i rzuciłem na podłogę, zapiąłem pas.

I wtedy poczułem znajome ukłucie na piersi. Ktoś czyścił komuś wspomnienia. Czy w związku z walką, którą właśnie przegraliśmy, czy też kolejne dziecko ginęło gdzieś teraz w płomieniach?

Obiegłem samochód od przodu, wsiadłem, odpaliłem silnik. Moment później gnaliśmy już ulicą, byle dalej od fabryki.

– Annalise – zawołałem ją. Nie zareagowała. Ręce wciąż miała osmolone i spękane, twarz bladą i pokrytą kropelkami potu. Dotknąłem jej policzka. Był zimny. Nie reagowała na bodźce.

Zatrzymałem auto. Znajdowaliśmy się najwyżej dwie ulice od fabryki, ale musiałem unieść jej nogi, bo inaczej mi tu umrze.

– Co ty robisz? – spytała raptem, nie patrząc na mnie. – Pamiętasz supermarket, który mijaliśmy w drodze do miasta? Zawieź mnie tam.

Pamiętałem, ale mgliście. Wróciliśmy na ulicę i skierowaliśmy się na północ, aż dotarliśmy do głównej ulicy, gdzie skręciłem w prawo. Mieliśmy najdalej pół mili do stacji, na której zaopatrzyliśmy się w plan miasta; market był kilkaset jardów dalej.

Zaparkowałem tak blisko wejścia, jak się dało, i wyjąłem ze schowka kartę Annalise. Podała mi PIN i poleciła kupić chudą wołowinę. Dużo. Ułożyłem ją pomiędzy siedzeniami i wcisnąłem pod uniesione stopy moją zwiniętą wiatrówkę.

– Poczekaj – powiedziałem. – Zaraz wracam.

– Wiemy, jak cię znaleźć, jeśli nie wrócisz – wymamrotała. – Nałożyłam na ciebie zaklęcia, nie licz na to, że wywietrzeją. Każdy w Towarzystwie umiałby je wykryć, a ciebie wraz z nimi.

Zatrzasnąłem drzwi.

Zaopatrzywszy się w zaledwie kilka produktów z działu z narzędziami, mógłbym spokojnie zawinąć każdy samochód na parkingu w mniej niż dwadzieścia sekund. Robiłem to setki razy. W ciągu godziny byłbym w połowie drogi do Oregonu. Pozostawienie Annalise na pewną śmierć – wiedziałem bowiem, że umrze bez pomocy – rozwiązałoby za jednym zamachem wiele moich problemów, niezależnie od jej pogroźek. Ale nie, nie miałem zamiaru tak postąpić. I to nie tylko dlatego, że nie wiedziałem,

jak będą się zachowywać wtopione w moją skórę zaklęcia, i także nie dlatego, że jej koleżkowie zaczęliby na mnie polować, po to by w końcu rozerwać na sztuki – choć były to dwa solidne jak diabli argumenty. Nie chodziło też o moce Annalise, choć sprawiały one, że byłem wobec niej bezradny jak niemowlę.

Chodziło również o Justina Bentona. Ktoś musiał zabrać głos w sprawie Justina Bentona.

Poszedłem za drogowskazami na dział mięsny i załadowałem koszyk wołowiną. Nie potrafiłem odróżnić poszczególnych kawałków, wiedziałem tylko, że to białe to tłuszcz, twarde to kość, a czerwone to mięso. Wybrałem paczki, gdzie było najwięcej czerwonego. Nabrałem jakieś dziesięć funtów mięsa, zdjąłem z haka nad lodówką szeroką plastikową deskę do krojenia i pospieszyłem do kas.

Przedemną w kolejce stało dwoje ludzi. Miałem więc dość czasu, żeby zebrać myśli.

Hammer wiedział już, że chcemy go dorwać. Gdybym znalazł się na jego miejscu, postarałbym się uprzedzić nasz kolejny ruch albo uciec w bezpieczne miejsce, najlepiej poza miasto. Na jego miejscu znalazłbym sposób, żeby wykończyć nas, nim upłynie godzina, ale z malującego się na twarzy Hammera przerażenia na widok Annalise wywnioskowałem, że nie znajdzie na to dość odwagi. Więc najbardziej prawdopodobną opcją pozostawała ucieczka.

Nadeszła moja kolej przy kasie.

– Przemie miasteczko – zagadnąłem kasjerkę w średnim wieku.

– Dzięki – odrzekła.

– Czy przypadkiem rodzina, która je założyła, nie mieszka dalej gdzieś w pobliżu? Ci Hammerowie?

Nagle zrobiła się podejrzliwa.

– Może mieszka, a może nie.

– Gdzie można ich znaleźć? – spytałem, doszedłszy do wniosku, że miasteczko nie jest na tyle małe, żeby każdy znał każdego, ale pozostaje na tyle niewielkie, by każdy wiedział, gdzie mieszkają założyciele.

– Czego pan chcesz od Hammerów? – spytał jakiś facet za mną. Miał może czterdziestkę, nosił brodę motocyklisty, a na jego ramionach prężyły się węzły mięśni.

Pograłem zbyt pochopnie i mój misterny plan zaczął się sypać. Skorzystałem z karty Annalise, wklepałem PIN.

– Chciałem tylko...

– Dobra, dobra – wcięła się kasjerka. – Dokładnie wiem, co pan chciałeś.

– I nic z tego – rzekł Broda, stając, jak na mój gust, zdecydowanie zbyt blisko. – Nikt z tutejszych nie odpowie na pytanie o Hammerów.

Kasjerka wlepiała we mnie wzrok.

– Na pana już czas. – Podała mi torbę, ale zanim ją chwyciłem, upuściła ją na podłogę.

Odwróciłem się do brodacza. Poziom adrenaliny był zbyt wysoki, a ja spędziłem zbyt wiele lat za kratkami, żeby dać temu bucowi satysfakcję. Annalise umierała mi w aucie, kasjerka wysypała jej lekarstwo na ziemię. Nie mogłem puścić im tego płazem. Grałem va banque, ale nie mogłem.

Jakaś starowinka obeszła kasę i podniosła moje zakupy.

– Uspokoić mi się zaraz, wy dwoje – rzekła, łapiąc mnie za łokieć.

Miała silne ręce, ale nie odciągnęłaby mnie od nich, gdybym jej na to nie pozwolił. Jednak pozwoliłem. Istniało wiele powodów, dla których mądrzej było odpuścić Brodzie, ale jedynym naprawdę ważnym było to, że nie chciałem już być facetem, którym byłem w więzieniu. Chciałem być kimś lepszym. Starsza pani miała na nosie okulary do czytania i wąskie, ściągnięte w zółwi dziób usta. Podała mi moje zakupy, wziąłem je i wyszedłem w ślad za nią na zewnątrz.

– Chyba zanosi się na grilla? – zagadnęła uprzejmie, patrząc na wypchaną mięsiwem siatę.

– Tak jakby. Dziękuję pani.

– Ależ nie ma sprawy, chłopcze. Który jest twój?

Wskazałem ręką w kierunku białego vana Annalise.

– Wspaniale. Wsiądź do samochodu i wyjedź z miasta jak najszybciej, rozumiesz, mój drogi? Nic tu po tobie. Dbamy tutaj o siebie nawzajem i nie chcemy tu takich jak ty.

Zmierzyłem ją wzrokiem, potem obejrzałem się na kasjerkę i dostrzegłem przez szybę zbierający się u wyjścia z marketu tłumek. To tyle, jeśli chodzi o małomiasteczkową gościnność. Przynajmniej wiedziałem, jak w razie potrzeby wszczać burdę. Skinąłem starszej pani i ruszyłem żwawo do vana.

Annalise wciąż żyła.

Odprowadzali samochód wzrokiem, gdy opuszczaliśmy parking. W najbliższej przecznicy zaparkowałem przy pralni chemicznej, a potem przykucnąłem za siedzeniem pasażera z przednim kołem motocykla Annalise uwierającym mnie w tyłek. Położyłem ochłap wołowiny na desce i odkroiłem plaster Ostrzem Dusz. Skroiłem cały połec, uważając, by nie pociąć też deski. Ostrze Dusz mogło z łatwością przebić się aż do podwozia, a ja nawet bym tego nie poczuł. Wziąłem deskę tylko po to, żeby nie kroić mięsa wprost na metalowej pace.

Annalise miała zmasakrowane ręce, więc, rzecz jasna, musiałem ją nakarmić. Łykała kawałek po kawałku, nawet nie patrząc na kęsy, jak piskłę. Kolor nie wrócił jej na policzki, póki nie zjadła funta mięsa. Chłód ustąpił z nich dopiero po trzech.

Przewróciła się na bok. Zachowywała czujność i widziałem, że nie otrząsnęła się jeszcze z szoku. Wciąż odkrajałem i podawałem jej kolejne kawałki wołowiny. Obserwowała drogę każdego kawałeczka z deski aż do samych ust, jakby spodziewała się z mojej strony jakiejś sztuczki.

– Pomóż mi wyjść – powiedziała, zjadłszy połowę zakupionego mięsa.

Podniosłem ją nieco za łokcie, aby nie musiała wspierać się poranionymi rękami, po czym otworzyłem boczne drzwi vana i pomogłem wysiąść. O dziwo, pozwoliła mi na to.

Odwróciła się twarzą do auta, tyłem do parkingu, skuliła i sprawdziła oparzone dłonie. Poruszyła delikatnie palcami. Płatki poczerńiałej skóry odpadły i sfrunęły na asfalt.

Poczułem mrowienie na całym ciele i zamknąłem oczy. Była to jedna z pierwszej piątki rzeczy na świecie, na które absolutnie nie miałem ochoty patrzeć.

Pod zamkniętymi powiekami pojawiła się nagle recepcjonistka Carol. Przypomniałem sobie, jak Ostrze Dusz przeszło przez jej szyję i jak przez to spłonęła.

Otworzyłem oczy. Większość spalonej skóry, przypominającej skrawki zwęglonego papieru, odpadła już z jej dłoni. Pod spodem znajdowało się surowe, wilgotne, czerwone mięso. Dłonie Annalise wyglądały jak pomniejszone. Złączyła dwa palce i wciągnęła głośno powietrze.

– Idź do sklepu – poleciała, nie podnosząc wzroku. – Kup więcej mięsa. A potem wynosimy się stąd.

Zrobiłem, jak kazała. Wróciliśmy do supermarketu, gdzie nabyłem większość mięsa z lodówki oraz opakowanie plastikowych widelców. Tym razem nie rozmawiałem z nikim i poszedłem do innej kasy. Nikt nie próbował wyrzucić mnie ze sklepu. Kiedy wróciłem na parking, Annalise siedziała w fotelu pasażera.

Wrzuciłem zakupy do tyłu, zamknąłem drzwi i zapiąłem jej pas, starając się nie dotknąć poranionych dłoni. Mierzyła mnie dziwnym wzrokiem, ale nie zwracałem na to uwagi.

Opuściliśmy parking.

– Co tam się wydarzyło? – spytałem.

Jakiś czas zmagala się z odpowiedzią.

– Nie wiem – rzekła w końcu. – Źródłem magii w Hammer Bay jest bez wątpienia Charles Hammer, ale nie sądzę, żeby on sam wiedział, co jest grane. – Milczała jakiś czas, jakby mówienie ją męczyło. – Widziałeś wyraz jego twarzy, kiedy wszystkie kobiety jak na komendę wstały ze swoich miejsc?

– Nie.

– Był zaskoczony. Oniemiały ze zdumienia. To on był źródłem magii, ale nie on ją kontrolował.

– To znaczy: nie kontroluje.

– Co masz na myśli?

– On żyje. Sam widziałem.

– Gówno prawda. Urwałam mu łeb.

Pokręciłem głową.

– Na chwilę przed naszą ucieczką zobaczyłem, jak stoi przy biurku. Był zbryzgany krwią, ale zdrow i cały.

– Cholera. To by się zgadzało. Nienawidzę, jak nie wiedzą, kiedy umrzeć.

– Myślisz, że za Hammerem jest ktoś jeszcze, kto pociąga za sznurki? – Próbowałem wyobrazić go sobie z własną Annalise, która wysyła go do walki na śmierć i życie.

– To możliwe, ale zakłęcie w kontakcie z nim strzeliło iskrami. A to oznacza drapieżcę, i to potężnego.

Umilkła.

Przypomniałem sobie kolumnę ognia na schodach, która zawsze trafiała tam, gdzie przed chwilą byłem, nigdy nie uprzedzając moich ruchów.

Wspomniałem o niej Annalise.

– Niektórzy drapieżcy nie rozumieją, czym jest czas albo trójwymiarowa przestrzeń. Bywa, że dzięki temu łatwiej ich pokonać.

Znowu zamilkła, a ja nie naciskałem. I tak powiedziała mi sporo. Lepiej nie kusić licha.

Gdy zajechaliśmy do motelu, wyjąłem z kurtki Annalise klucz i otworzyłem jej drzwi do pokoju. Padła na łóżko wyczerpana wysiłkiem, jakim było dla niej pokonanie drogi z auta.

Przyniosłem z vana mięso i deskę. W pokoju znajdował się mały okrągły stolik, na którym położyłem zakupy. Zamknąłem na klucz drzwi wejściowe, upewniłem się, że okna są zasłonięte, i zacząłem kroić wołowinę.

Tym razem karmiłem Annalise plastikowym widelcem. Tak było wygodniej niż palcami. Nie spuszczała ze mnie wzroku; oczy miała zmęczone, ale czujne. Ewidentnie spodziewała się po mnie kolejnej zdrady.

– Tyle starczy? – spytałem, kiedy już pochłonęła dziesięć funtów mięsa. Nie wiedziałem, gdzie to wszystko mieści. Powinna mieć przynajmniej wzdęty brzuch, a tu nic. Założyłem, że jej organizm każdą kolejną porcję zużywa od razu na regenerację. Obejrzałem jej dłonie. Najwidoczniej proces wymagał więcej czasu.

– Powinno – odrzekła. – Mam nadzieję.

– Co masz na myśli?

– Jeszcze nigdy... Tyle powinno wystarczyć. Moje ręce powinny już dawno wrócić do normy. Kurde, jeszcze parę lat temu potrzebowałam najwyżej ośmiu funtów, żeby całkowicie zregenerować urwaną stopę. Teraz zjadłam dziesięć i ledwie mogę poruszyć dłońmi. Coś jest nie tak.

Nie brzmiało to dobrze. Ciąłem kolejne porcje.

– To był taki sam ogień jak ten, który spalił chłopca. Na sto procent.

– Wiem, co to za ogień – syknęła. – I nie powinien być na nas podzielać. Ogień ducha nie powinien przełamać naszych Żelaznych Wrót.

Miałem już do czynienia z rzuconym przez Annalise zaklęciem Żelaznych Wrót. Ochroniło mnie kiedyś przed jej zielonym ogniem. Przyłożyłem rękę do klatki piersiowej, cał poniżej obojczyka. To dziwne ukłucie...

– Zgadza się – rzekła. – Umieściłam Żelazne Wrota w tatuażach na twojej piersi. Osłaniają cię przed niektórymi atakami duchowymi.

– Jak na przykład tamte fale, które zacierają w umysłach rodziców pamięć o martwych dzieciach?

– Tak – potwierdziła. – Albo ogień przekierowany z Pustek.

– Więc czemu osłony nie zadziałały? – Nadziałem kawałek wołowiny na widelec i podałem Annalise. Zmierzyła mnie wzrokiem, a potem zjadła, puszczając moje pytanie mimo uszu.

Kroiłem, podawałem, kroiłem, podawałem. Nie pytałem już o nic. W końcu dała radę zagiąć palce w szpony, a potem zacisnąć pięści. Widziałem, że wciąż ją bolą, ale przynajmniej mogła już nimi ruszać. Po zjedzeniu osiemnastu funtów wołowiny jej cera nabrała rumieńców, ale wciąż nie wyzbyła się całkiem bladości. Teraz była już w stanie jeść o własnych siłach. Nie kazała mi przestać kroić, zatem karmiłem ją dalej.

Zjadła wszystko do ostatniego kawałka. W niecałe trzy godziny pochłonęła prawie dwadzieścia funtów wołowiny. Usiadła na krawędzi łóżka i poruszyła palcami. Pomimo spokojnych rysów jej twarzy wiedziałem, że coś jest bardzo nie w porządku. Sprawdzała sprawność dłoni, kurczyła i rozkurczała palce, wpatrywała się w nie. Z pewnością spodziewała się, że do tej pory będą już całkowicie sprawne.

– Muszę się przespać. I potrzebuję czasu, żeby zrozumieć, co mi się właściwie stało.

Miała chyba zamiar coś dodać, ale zawahała się. Nie obeszło mnie to.

– Dobra – powiedziałem i ruszyłem do wyjścia.

– Dziękuję – usłyszałem.

Wiedziałem, że z trudem przeszło jej to przez usta i że jedno słowo nie oznacza jeszcze, iż jest gotowa obdarzyć mnie zaufaniem. To nie obeszło mnie również.

– Proszę.

– Zanim wyjdiesz – ciągnęła – chciałabym, żebyś coś mi zostawił.

Stałem jak wryty, obejrzałem się.

– Naprawdę?

– Zostaw je, Ray.

– To moja jedyna broń.

– Myślisz, że nie dam rady ci go odebrać? Nawet teraz?

– Wiem, że możesz to zrobić – przyznałem. – Nie wiem tylko po co.

– Po prostu mi je daj – powtórzyła, unosząc róg poduszki.

Wyjąłem Ostrze Dusz z kieszeni, podszedłem do niej i wsunąłem pod poduszkę. Annalise nie spuszczała mnie z oka; była gotowa zaatakować w każdej chwili. Zrozumiałem, co chce mi powiedzieć. Szkoda, że nie zostawiłem jej na parkingu.

Wróciłem do swojego pokoju. Nie było w nim prawie nic, co kupiłbym sam, z wyjątkiem kurtki w śmietniku. To nie był mój pokój, tylko jej.

Wziąłem prysznic, przebrałem się w świeże ubranie. Spodziewałem się wizyty tutejszych stróżów prawa, ale przeliczyłem się. Im pewnie też wyczyszczono pamięć. Przydatna sztuczka.

Zajrzałem do portfela i znalazłem kartę kredytową z nazwiskiem Annalise. Tyle dobrego. Byłem głodny jak wilk. Przynajmniej nie zdechnę tu z głodu.

Kluczyki do vana też miałem przy sobie. Rozwahałem zatrzymanie się gdzieś na przedmieściach i gruntowne przeszukanie rzeczy Annalise. Na wizytę w fabryce nie założyła swojej kamizelki ze wstęgami, którą nosiła zwykle pod kurtką, więc musiała ją gdzieś trzymać.

No i była też kwestia jej książki czarów. Wiedziałem, że ją ma, ale nie miałem pojęcia gdzie. Czyżby przy sobie, żeby w miarę potrzeby doczarowywać kolejne wstęgi? Czy może zostawiła ją gdzieś w Seattle, może w jakiejś skrytce pocztowej, pod betonową podłogą albo zapieczętowaną w skrzyni na dnie Elliot Bay?

A może znajduje się gdzieś na pace vana?

To chyba niemożliwe. Annalise nie byłaby na tyle nieroztropna, żeby zostawić księgę w tak oczywistym miejscu.

Choć nie wiedziałem za wiele o tym jej Towarzystwie, zdawałem sobie sprawę, że z całą surowością przestrzegają reguł odnośnie do ksiąg – przeczytanie bodaj ustępu z czyjegoś woluminu karane było śmiercią. Jeśli zatem znajdę w samochodzie księgę Annalise, to tylko dlatego, że zostawiła ją tam specjalnie właśnie w tym celu. Idealna wymówka, żeby mnie w końcu ukatrupić.

W szafce przy łóżku miałem książkę telefoniczną. Nie znalazłem tam nikogo o nazwisku Hammer. Nie ma co się dziwić, to by było zbyt proste.

Wyszedłem z motelu i przeszedłem obok vana, opierając się pokusie, by od razu zajrzeć do środka. Byłem zbyt głodny na takie zagrywki. Poszedłem do recepcji i zapytałem nerwowego kierownika, gdzie tu można

wrzucić coś na ruszt. Polecił mi restaurację dwie ulice dalej. Przeszedłem się na miejsce.

Kapuśniaczek nieco zelżał, ale słońca wciąż nie było widać zza ciężkiej kopuły chmur; miasto tonęło w szarzyźnie, choć była zaledwie szósta wieczorem, a więc jeszcze co najmniej dwie godzinki powinno być jasno. Ucieszyłem się, że jest wcześniej, miałem w końcu nieco czasu dla siebie.

„Restauracja” bardziej przypominała zwykłą knajpę, ale co mi tam. Wszedłem, usiadłem przy barze.

Po kilku chwilach oczy przyzwyczyły się do półmroku. Barowy kontuar rozciągał się na całej długości ściany, kasa była bliżej wejścia. Resztę pomieszczenia zastawiono oddzielnymi ściankami stolikami dla gości. Żadnych rzutków, żadnego bilarda. Żadnej szafy grającej. Pustawo tu jakoś, pomyślałem. Parę stołków ode mnie nad szklaneczką ślęczał jakiś dziadek. Po drugiej stronie lokalu we względnej prywatności własnej budki kłócili się trzej faceci.

Podeszła do mnie barmanka: wysoka i smukła, o lśniących czarnych włosach za ramiona i ciemnych oczach zdradzających przynajmniej półkrwi Latynoskę. Nie wyczytałem z jej pociągłej twarzy automatycznej i całkiem bezsensownej sympatii, toteż z miejsca ją polubiłem.

– Nie widziałam, jak pan wchodził – powiedziała. – Co podać?

Rzuciłem okiem na jej lewą rękę, nosiła pierścionek i obrączkę. No trudno.

– Na początek piwo i szklanekę wody.

– Jasne – powiedziała. – Jakie piwo?

– A jakie mi pani poleci?

– Mamy znakomity Elephant Stout z kija.

Nie brzmiało to tanio, ale co mi tam, w końcu tę kolejkę stawia Annalise.

– Brzmi super – przystałem.

Poszła nalać, a ja znów rozejrzałem się po knajpie.

Dziadek łypnął znad szklaneczki przekrwionymi oczyma, po czym wrócił do picia. Miał na sobie tani garnitur, opięty nieco na brzuchu, a na głowie precyzyjnie ufryzowaną zaczeskę.

Ofiara, pomyślałem automatycznie. Gdyby zabrakło mi drobnych, wyskoczyłby z portfela na sam mój widok. Kilka lat temu skroiłbym mu kluczyki, a jego bryka jeszcze tej nocy poszłaby na części.

Ale ten rozdział był już zamknięty. Już nie kradnę aut.

Zabijam ludzi. Takich jak recepcjonistka Carol.

Ciekawe, co stało się ze zwłokami tamtych kobiet. Czy pozostały na miejscu zbrodni, otoczone rombem policyjnej taśmy, a między nimi kręcili się koronerzy i świadkowie z dziurami w pamięci? Czy też martwe kobiety wymazano z pamięci tych wszystkich, z którymi kiedykolwiek miały styczność? Wyobraziłem sobie ocalałych pracowników, z nieobecny wyrazem twarzy uprzątających zwłoki, jak automaty. Albo jeszcze lepiej: snujących się między nimi, jakby w ogóle ich tam nie było, nie poświęcając im więcej uwagi niż czarnym śladom.

Drzwi baru otworzyły się i do środka weszła siwa kobieta. Z miejsca dało się od niej wyczuć fluidy „módl–się–i–pracuj”, co sprawiało, że pasowała tutaj jak pięść do oka. Podeszła do staruszka z zaczeską i położyła na kontuarze przed nim jakieś papiery. Tonem zleżącego przyzwyczajenia wymienili staromałżeńskie uprzejmości. Mężczyzna popukał palcem w dokumenty.

– Co to jest?

– Weksle i kartka urodzinowa dla Paula.

Facet przez moment miał chyba zamiar o coś dopytać, ale w końcu wzruszył ramionami i złapał za długopis.

– Dziesięć lat? – spytał, kiedy doszedł do kartki. – Ale ten czas leci. Wraca do domu na wakacje?

Kobieta westchnęła.

– Dostał się na letni program edukacyjny do Atlanty, więc jedzie.

Mężczyzna też westchnął i podpisał kartkę.

Kiedy kobieta wyszła z baru, trzech mężczyzn w budce wybuchli śmiechem. Byli głośni, nieokrziesani i już cokolwiek wstawieni. Jeden nazwał drugiego „jebanym debilem”.

Barmanka już miała postawić przede mną piwo, ale odwróciła się w ich stronę i warknęła:

– Ciszej tam albo wynocha!

Nie musiała nawet podnosić głosu. Zamilkli. Piwo trafiło na przeznaczone mu miejsce, a obok pojawiła się szklanka lodu z kapką wody.

– Przepraszam za nich. Czasem robi się tu jak w małpiarni.

– Lubię wrzaskliwe małpy. Łatwo je zlokalizować. To na te ciche trzeba uważać.

Uśmiechnęła się prześlicznie.

– Jestem Sara – powiedziała.

– Ray, miło mi.

– Nowy w mieście?

– Nie inaczej.

– Do pracy w fabryce?

Wzruszyłem ramionami.

– Wszyscy mnie o to pytają.

– Lepiej pan tam nie idź – powiedział zza moich pleców męski głos.

Jedna z małych z boksu na tyłach lokalu zjawiała się przy barze z pustym kuflem. Sara wypełniła go piwem z tańszego nalewaka.

Facet był wysoki i chuderlawy, a małą głowę, jak u stracha na wróble, osadzoną miał na wąskich ramionach. Stał o wiele bliżej mnie, niż było to konieczne. Chyba zależało mu na tym, by patrzeć na mnie z góry.

– Pan pierwszy mi to odradza – odrzekłem. – Coś nie tak z fabryką?

– Gdzieżby tam – powiedział Strach na Wróble. – Ja tylko nie chcę, żeby jakiś przybłąda kradł tutejszym robotę. – Sara postawiła przed nim pełen kufel. – Dzięki, słodziutka. Jak się znudzisz tymi tu dwoma smutasami, masz zarezerwowane najlepsze miejsce przy naszym stoliku. U mnie na kolankach.

– Jesteś zaledwie słówko od wywalenia na zbity pysk. Nie zmuszaj mnie, żebym zadzwoniła po braci Dubois.

Braci? Przypomniałem sobie gliniarzy, którzy przyjechali zdjęć Harlana pod jadłodajnię; wtedy też uznałem, że byli braćmi, Emmett najpewniej tym najstarszym. Zapamiętałem to sobie.

Strach na Wróble mrugnął do barmanki i powlókł się z powrotem do boksu. Sara skrzywiła się.

– W ogóle nie powinnam ich tu wpuszczać.

– To twój lokal?

– No – potwierdziła. Bezwiednie okręcała pierścionek na palcu serdecznym lewej dłoni. – Od śmierci Stana.

– Jak dawno temu?

– Prawie dwa lata – rzekła. – Dobry człowiek. Ciężko razem pracowaliśmy. Ostatnimi czasy w mieście źle się dzieje.

– A to czemu? Fabryka chyba stale zatrudnia nowych pracowników. Byłem tam z moją szefową dziś rano – mówiąc to, bacznie przyglądałem się Sarze i dziadkowi. Zero reakcji. Żadne nie spytało: „Dzisiaj rano? Kiedy

spłonęły żywcem te wszystkie kobiety?”. Najwidoczniej nikt o niczym nie słyszał, a minęło już parę godzin. – Wydaje się, że pracy nie brakuje – ciągnąłem dalej. – Czy miasto nie powinno prosperować?

Wzruszyła ramionami.

– Jesteśmy miastem drwali – odezwała się ofiara na końcu baru. – Nie zabawkarzy.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Praca to nie tylko praca – powiedział przytłumionym głosem dziadek, powoli wymawiając słowa. Sara słuchała go uważnie. – Praca kształtuje tożsamość – mówił dalej. – Nie odkładasz z dnia na dzień piły i nie bierzesz się za maszynę do szycia. Robienie ubranek dla lalek to nie to samo co wycinka drzew. Kiedy zmieniasz pracę z jednej na drugą, stajesz się innym człowiekiem.

Zaszumiał nieco przy ostatnim słowie, ale przynajmniej mówił z sensem.

– Czemu nie wycinacie już drzew?

– Z wielu powodów – powiedział. – Głównie dlatego, że wycięliśmy ich już bardzo dużo. Linia lasu oddaliła się od miasta na tyle, że nie opłaca się ich wieźć do tartaku.

– Nie wspominając o ochronie środowiska – dodała Sara.

– Właśnie. Charlie junior wiedział jeszcze, jak postępować z zielonymi. Jego ojciec, Charlie senior, też. Ale najmłodszy Hammer, Charlie Trzeci, już o to nie dba.

– Szczerze mówiąc – wcięła się Sara – to już za czasów juniora przemysł zaczął zamierać.

– Bo chorowity był. Źle znosił ciężkie czasy.

– Nie był chorowity, tylko przewlekle chorował – poprawiła go Sara.

– Ano, miał te swoje ataki, biedaczyna. Zaharowywał się na śmierć, żeby jakoś przetrwać, gdy robiło się głodno, to i zapłacił za to zdrowiem. Ale ostatnia dekada też była dla niego niełatwa, choć nie można powiedzieć, żeby się przepracowywał.

– Ciężko mieć do faceta pretensje – stwierdziła Sara. – Jak miał pracować, gdy ni stąd, ni zowąd padał na ziemię jak rażony gromem i wił się niczym wyciągnięty z wody piskorz?

– O kurde – powiedziałem, żeby poczynić choć minimalny wkład w dyskusję.

– Ażebyś wiedział. – Stary skinął głową. – Charlie Trzeci odziedziczył chyba po ojcu chorobę.

– I żyłkę do interesu – uzupełniła Sara.

– O tak. A popatrzcie na takiego Cabota. Zdrow jak ryba. Żadnych ataków, z tego, co mi wiadomo, a odziedziczył rodzinny interes i zwyczajnie go zmarnował. Wycinka stoi. – Dziadek zsunął się ze stołka i przysiadł bliżej. – Jestem Bill Terril. A ciebie jak zwą?

– Ray Lilly – powiedziałem. Podaliśmy sobie ręce.

– Lilly, powiadasz? To jakieś babskie nazwisko.

– Pewnie tak – przyznałem. – Jestem z tych delikatnych.

Bill zmierzył mnie wzrokiem i prychnął wesoło.

– No widzę.

– Ten Charlie Trzeci – powróciłem do meritum – wciąż tu mieszka?

Sara i Bill nagle nabrali podejrzeń.

– A czemu pytasz? – dociekała dziewczyna.

– Rety. Tylko pytam.

– My tutaj stoimy za sobą murem – wyjaśniła. – Zwłaszcza za Hammerami. Bronimy ich. Wszyscy, jak jeden mąż. Tak więc pytam: czemu się nimi interesujesz?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, no. Bogaty koleś, małe miasteczko. A chyba mógłby żyć, gdziekolwiek by zechciał.

– Nie – zaprzeczył Bill. – Hammerowie założyli to miasto i nie opuszczą go za żadne skarby.

Zastanawiałem się, jak daleko sięga to gremialne poparcie dla dynastii Hammerów. Jeśli pamięć Charlesa Hammera nie została wymazana po wydarzeniach z dzisiejszego ranka – a byłem pewien, że nie została – to spodziewam się, że zaszył się w jakimś bezpiecznym miejscu. Bez pomocy tutejszych ciężko będzie go znaleźć. Wiedziałem już, że pytanie o niego wprost nie przyniesie rezultatów. Musiałem poszukać drogi naokoło.

Niesamowite, jak szybko stanąłem po stronie Annalise.

– Aha – bąknąłem w końcu, nie wiedząc, co powiedzieć. – A kim jest ten cały Cabot? Kolejny Hammer?

– On... – zaczął Bill i przerwał. Ewidentnie pilnował się, żeby nie powiedzieć za dużo.

– To młodszy brat Charliego juniora – uzupełniła Sara. Bo widzisz, to miasto założył ich dziad, również Cabot. Przybył tutaj z grupą ludzi i zaczął wycinać drzewa. Podjął decyzję, żeby powiększyć małą zatoczkę, Chimilchuk Bay. Poszerzył ją zatem, pogłębił i przemianował na Hammer Bay. W następnych latach napłynęło tu do pracy mnóstwo ludzi. Wioska szybko przerodziła się w miasto. Firma rozrastała się: Hammerowie posiadali lokalną gazetę, sklepy spożywcze, bimbrownie, wszystko. Mogliby zacząć bić własną walutę i nikt nie powiedziałby słowa.

– Ale był uczciwy – przerwał Bill. – Wszyscy go szanowali.

– Żaden nie był uczciwy – powiedziała Sara. – Żaden. Troszczyli się tylko o siebie i o swoje interesy. Charlie Trzeci jest lepszy niż oni wszyscy razem wzięci.

– Cholera jasna! – zeźlił się Bill. – Charlie senior to był wielki człowiek! Utaął nosa gubernatorom i senatorom, dał pracę ludziom, którzy jej potrzebowali. Takim jak mój ojciec.

– Nie gorączkuj się tak, Bill – przerwała mu Sara, machając ręką, jakby próbowała rozwiać chmurę dymu. – Dopiero Charlie Trzeci próbuje osadzić to miasto na jakichś fundamentach. I jemu może się udać. Kto wie, może doczekamy czasów porządných pensji i nie będziemy musieli martwić się o to, co nastąpi, kiedy skończą się drzewa. Charlie Trzeci wprowadzi Hammer Bay w dwudziesty pierwszy wiek.

– A mnie to się nie podoba.

– Chyba tylko tobie.

– Co prawda, to prawda – roześmiał się dziadek. – Już nie mam tu prawie do kogo gęby otworzyć. Krytykować Charliego Trzeciego w tym mieście to jak psioczyć na papieża w Watykanie. Nawet jeśli miałyby swoje za uszami.

– Musimy koniecznie gadać o seniorze i juniorze? – zirytowała się Sara. – Przecież sam wiesz, jak robili pod górkę Stanowi i jego ojcu.

– Ja... przepraszam, Saro. – Bill zamieszał drinkiem w szklance. – Wiesz, jak bardzo lubiłem Stana.

Poklepała jego dłoń.

– Wiem, Bill. To ostatni drink, dobra?

Bill podniósł szklaneczkę do ust, ale potem odstawił ją, nie opróżniwszy naczynia.

– Nie mówię, że starsze pokolenie Hammerów nie miało swoich odchyłów – powiedział do Sary. – Pamiętasz tamto szkockie tałatajstwo? Ale żeby tartaki stały i niszczały, bo Charles Hammer woli bawić się zabawkami? W złe ręce poszły te lejce...

– Co poszło? – spytałem.

– Jak prowadzisz powóz – zaczął entuzjastycznie Bill, jakby długo myślał nad tą metaforą – no więc jak prowadzisz powóz, to trzymasz w garści lejce, nie? Sam wyznaczasz kierunek jazdy. A co się dzieje, jak wypuścisz je z rąk?

– Stajesz w miejscu – strzeliłem.

– Żeby tylko! Powóz wywraca się i cały ładunek ląduje w błocie. Rozgardiasz na całego. Wszystko porozwalane w drobny mak. Konie biegną w różnych kierunkach, wpadają na siebie, zrą się. Rozrywają nawzajem na strzępy, oto, co się dzieje! Jak już masz lejce w garści, trzymaj je i nie puszczaj.

Sara stłumiła uśmiech.

– Bill, nie sądzę, żeby koń mógł rozerwać innego konia na strzępy.

Opróżniłem w międzyczasie zarówno kufel, jak i szklankę. Zamówiłem dolewkę i poprosiłem o menu. Sara powiedziała mi, że nie serwują już jedzenia. A to dlatego, że jest w pracy sama. Rozczarowała mnie, ale zaraz zaproponowała, że zadzwoni po pizzę. Rozchmurzyłem się i poprosiłem o średnią pepperoni.

– Mam nadzieję, że lubisz pepperoni? – zwróciłem się do Billa. – Ja stawiam.

– To dopiero! – wykrzyknął, moszcząc się wygodnie na stołku obok. – Nie pogardzę, co to, to nie.

– A ty masz ochotę na kawałek? – spytałem też Sary.

– Ja spasuję. Nie jem sera.

Wzięła tacę z brudnymi naczyniami i zanosła do kuchni.

– Porządna dziewczyna – powiedział Bill dyskretnie. – Niejednemu wpadła w oko. Zwłaszcza od kiedy jest jedyną właścicielką baru.

Spróbowałem wyobrazić sobie siebie za kontuarem, nalewającego piwo i smażącego burgery. Miły obrazek, ale zupełnie nierealny.

– Mówisz?

– Z jej męża też był swój chłop. Choć nieco od niej starszy. Zatrudnił ją w charakterze kelnerki, a rok później sprawił jej pierścionek i zapisał na nią

pół baru.

– Co mu się przytrafiło? – spytałem.

– To nie jej wina, że się wykopyrtnął – rzekł Bill pospiesznie. – Zagryzły go psy.

– Psy?

– Sfora psów. I nie jego jednego. W ciągu ostatnich sześciu lat rozszarpały z ośmiu czy dziesięciu miejscowych. Tajemnicza sprawa.

– Nie łapię. Sfora psów? Po lasach biegają wściekłe psy? Ktoś je może hoduje?

– A gdzie tam, w tak małym mieście zaraz by wszyscy wiedzieli. Emmett Dubois zastawiał na nie sidła raz i drugi, ale nigdy żaden się nie złapał. A wiesz, co ja myślę? Że wycięto im struny głosowe. Dlatego nikt nigdy nie słyszy, żeby ujadły.

Przed oczami stanął mi wilk, którego widziałem na ulicy podczas incydentu z Harlanem.

– Czy wszyscy gliniarze w tym mieście są braćmi?

– Ano – kiwnął głową Bill. – Własny tatuś przyjmował ich też zresztą do policji. Nietutejszy może wziąłby to za czystej wody nepotyzm, ale tutaj, w Hammer Bay, bycie policjantem to rodzinny interes. Nikt nie miał z tym problemu, dopóki jakiś Hammer trzymał ich na smyczy.

– Czy to znaczy, że teraz żaden nie trzyma?

– Ha. To znaczy, wiesz... – Bill przetarł twarz dłonią. Chyba uznał, że niefortunnie sformułował zdanie.

– Inaczej: czy dobrze wykonują swoją robotę? Czy są uczciwi?

Bill zniżył głos.

– Emmett tuszuje to i owo. Jego bracia tak samo.

– Więc powinienem mieć się na baczności?

– O tak. Emmett jest szczywany lis, Sugar to jego przeciwieństwo, z niego zawsze był dobry dzieciak. Ale uważaj, żeby nie znaleźć się sam na sam z Wileym. Niech cię ręka boska broni.

Pizza dojechała. Zapłaciłem kartą Annalise i poczęstowałem Billa pierwszym kawałkiem. Przyjął z wdzięcznością. Rozmowa zeszła na tematy religijne. Bill orzekł, cały rozanielony, że ze mnie dobry chrześcijanin, a psia sfora to dzieło szatana.

Pozwoliłem rozmowie toczyć się tym torem. Gadaliśmy we trójkę o różnych rzeczach, a Sara złamała się w końcu i przyjęła kawałek

pepperoni. Zrobiło się nadzwyczaj miło. Podpytywałem czasem o ich życie prywatne, ale nie wyciągnąłem z nich za wiele. Bill miał jedną córkę i jednego wnuka, Paula, który uczęszczał do szkoły z internatem w Georgii. Sara wyznała, że nigdy nie mieli ze Stanem dzieci. Bill znów zaczął mówić o Charlesie Trzecim, ale Sara szybko ucięła temat.

Po jakimś czasie zeszło na mnie. Bill ponownie zapytał, czy przyjechałem do miasta do pracy w fabryce zabawek. Strach na Wróble chwiał się, oparty o bar, gdy zamawiał kolejne piwo. Podjąłem decyzję, że czas znów delikatnie podpytać o Hammerów, więc powiedziałem, w jakim celu spotkaliśmy się dzisiaj rano z Able'em Katzem.

– Moja szefowa chce skłonić Hammer Bay Toys do powierzenia części prac produkcyjnych fabrykom w Afryce. Chodzi chyba o szycie sukienek dla lalek.

Sara spojrzała na mnie, jakbym uderzył ją w twarz.

– Co? Hammer nigdy się na to nie zgodzi.

– Odbyliśmy dopiero jedno spotkanie. – Wzruszyłem niewinnie ramionami. – Nie podjęto żadnych decyzji.

Strach na Wróble przez chwilę wlepił we mnie rozbiegane oczka, po czym wziął piwo i wrócił do kumpli.

– Sukienki dla lalek, mówisz... Trzy moje ciocie szyją w fabryce. Ciocia Casey potrzebuje tej roboty, żeby utrzymać dom. Ta praca potrzebna jest nam, miejscowym! Zdajesz sobie sprawę, ile starszych osób dorabia sobie na maszynie? Co zrobią, kiedy część tej roboty wywędruje za morze?

– Tam też potrzebują pracy.

Sara wzięła mój kufel.

– Wiesz co, Ray? Nie życzę sobie, żebyś tu więcej przychodził.

Strach i jego dwóch koleżków wytoczyli się z baru frontowymi drzwiami. Obrzucili mnie zagadkowym spojrzeniem. I bardzo nieprzyjemnym.

Też wstałem.

– Oj, Sara, daj spokój – próbował załagodzić sytuację Bill. – To nie jego wina.

– W porządku, Bill – uspokoiłem go. – I tak muszę już lecieć. Sara, jest stąd tylne wyjście?

Splotła ramiona na piersi.

– A czemu pytasz?

– Bo sędę, że tamtych trzech czeka na mnie przy frontowym.

Bill zlął ze stołka.

– Pójdę zobaczyć.

– Nigdzie nie pójdiesz, Bill – powiedziała Sara. – Sama sprawdzę parking, jeśli Ray się obawia.

Podeszła do drzwi, wyszła na ulicę. Bill uniósł wieko pudełka od pizzy. Puste.

– Cóż mogę rzec – powiedział. – Dzięki za coś na ząb i za towarzystwo.

– To ja dziękuję.

– To prawda z tą Afryką?

– Tam jest o wiele gorzej niż tutaj, Bill.

Sara wróciła i oznajmiła, że parking jest pusty, podobnie jak ulica.

Nie wróciła za bar, stała przy drzwiach. Podeszedłem do niej, odpowiedziałem uśmiechem na niechętny grymas i opuściłem lokal.

Nie zrobiłem trzech kroków, a zobaczyłem ich, opierających się o pick-upa. Uśmiechniętych. Niski miał w ręku nóż, pozostali klucze do opon. Strach na Wróble trzymał w drugiej ręce oberżnięty rewolwer kaliber trzydzieści osiem.

Sara zamknęła drzwi na klucz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Czołem, koleżko – powiedział ten z nożem. – Pragniemy gorąco powitać cię w Hammer Bay.

– Doprawdy? – odrzekłem. – A kwiaty gdzie?

Parking zamykał od jednej strony fronton baru Sary, od drugiej zbudowana z pustaków ściana kolejnego lokalu. Żadnych schodów czy okien, żadnych luk, którymi mógłbym uciec. Drogę za mną odgradzała siatka rozpięta na drewnianych słupach, przy której stał zaparkowany plymouth reliant. Jeśli miałbym biec, to tędy, ale pozostawała jeszcze do uwzględnienia kwestia tej trzydziestkiósemki.

Przewodniczący komitetu powitalnego był średniego wzrostu i miał na nosie wielkie przyciemniane okulary. Drugiemu brakowało do miana drażala jeszcze więcej, a budową ciała przypominał hydrant; w wolnej ręce trzymał piwo. Obydwaj byli krępi od pracy fizycznej i brzuchaci od smażeniny. Ten niski miał na głowie kask do pracy na budowie, a wszyscy trzej robocze buciory z metalowymi noskami.

Pinglarz wyjął z kieszeni małe pudełko, a z niego niewielkie zawiniątka z chusteczek czy papieru toaletowego, które rozdał reszcie. Po kolei łykali zawartość pakunczków, podając sobie piwo, by łatwiej przełknąć.

– Popatrzcie na jego tatuaże. – Ten niski wskazał na mnie głową. – To on wystawił Harlana Emmettowi Dubois.

– Nie może być – powiedział Pinglarz i rzucił we mnie pustą butelką. Uchyliłem się, rozbiła się o belkę. – No proszę, proszę. Teraz jestem

w dwójnasób szczęśliwy, żeśmy na niego poczekali.

Najwyższy obnażył zęby i zaczął iść w moją stronę. Rewolwer trzymał wycelowany w mój brzuch, a drugą rękę, tę z kluczem do opon, uniósł złowroźnie. Co oni wszyscy mieli z tymi kluczami do opon?

– A spróbuj uciekać – powiedział wyćwiczonym tonem damskiego boksera. – Spróbuj tylko!

Szkoda, że Annalise zabrała mi Ostrze.

Zamachnął się kluczem, celując w głowę. Sparowałem cios tatuażem na nadgarstku.

Nie bolało w ogóle, ale prędzej zjem ten jego klucz, niż dam to po sobie poznać. Zakląłem i złapałem się za nadgarstek, jakby był złamany.

Pozostali roześmiali się. Ale ten wysoki nie był w nastroju do żartów.

– Harlan to mój kumpel, a teraz przez ciebie wylądował w szpitalu.

Znowu zamachnął się kluczem. Tym razem przyjąłem uderzenie na prawe ramię. Wessałem głośno powietrze i przyłożyłem obydwie ręce do ciała.

Strach na Wróble wyszczerzył się pogardliwie i schował rewolwer do kieszeni.

No i pięknie. Podszedł bliżej i ponownie wzniosł klucz.

Trafiłem go prawym hakiem czysto w zuchwę. Nogi ugięły się pod nim, a moja lewa ręka sięgnęła do jego kieszeni, nim zdążył paść na ziemię. Wyrwałem z niej rewolwer i odbezpieczyłem. Upuszczony klucz zadzwonił o bruk.

Pinglarz i Hydrant zrobili krok wstecz.

Wycelowałem w nich. Znieruchomieli.

– No dobrze, moje urwisy. Postarajmy się, żeby nie zrobiło się ciekawiej. Zawrzemy układ. Wy nie zbliżacie się do mnie, ja was nie zabijam.

– Wal się – syknął wysoki, gramoląc się na nogi. – Nie jest nabity.

Pinglarz spojrział na niego.

– Jak to nie jest? – Wyjął mi to z ust. – Przecież wiedziałeś, że kroi się robota.

Wysoki wzruszył ramionami.

– Jesteś mój kumpel, Wyatt, ale kul nie wzięłem i już.

Kiedy tamci ustalali szczegóły, Hydrant rozciągnął usta w uśmiechu, poprawił uchwyt na metalowym kluczu i uznał, że teraz jego kolej, by mnie pokieroszować.

Wrzuciłem pistolet na dach baru, wskoczyłem na bagażnik plymoutha, potem na dach i siatkę. Złapałem się na wysokości bioder, podciągnąłem i przekoziółkowałem na drugą stronę. Poda mną znajdował się kontener na śmieci. Zauważywszy go w ostatnim momencie, wykręciłem ciało, żeby wylądować na nogach, i usłyszałem odgłos dartego materiału. Puściłem się biegiem w stronę ulicy, ciekaw, czy Annalise wysupła grosiwo na nowe ciuchy.

Skręciłem w lewo, oddalając się od centrum w stronę dzielnicy mieszkalnej.

Słyszałem za sobą ich krzyki, toteż nie przestawałem biec. Wiedziałem, że z zabezpieczeniami Annalise poradziłbym sobie z każdym z osobna, ale nie z trzema naraz. Szamocząc się z jednym, czy nawet z dwoma, stanowiłbym łatwy cel dla trzeciego, który pchnąłby mnie nożem pod żebro albo rozwalił czaszkę celnie zaaplikowanym kluczem.

Biegłem więc. Minałem jeden budynek, drugi. Kiedy mijałem trzeci, obejrzałem się za siebie. Gonili mnie. Wszyscy trzej. Wysoki zdawał się wysuwać na prowadzenie. W porządku. Wyatt i Hydrant, mocno już zmachani, zaczęli podawać tyły.

Skręciłem za róg i zobaczyłem, że mijam policyjny radiowóz. Za kółkiem siedział spasiony gliniarz, popijając Mountain Dew z dwulitrowej butelki. Silnik milczał. Zauważył mnie, ale nie sięgnął ani do kluczyków, ani do radia. No super.

Na wysokości kolejnego budynku niemal wlażłem w sam środek grubej czarnej pręgi na chodniku. Rzuciłem się w bok w ostatniej chwili i przebiegłem parę metrów ulicą, żeby ominąć ślad.

Piwo i pizza zaczęły mnie spowalniać. Stałem pod latarnią i czekałem na Stracha.

Nie czekałem długo. Okazało się, że nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Wpierw biegł prosto na mnie, ale potem zrobił wypad w bok i zamachnął się kluczem.

Zamarkowałem krok w jego stronę, ale potem zrobiłem unik. Chybił.

Stracił równowagę, próbując się zatrzymać, a ja przypuściłem szturm. Wywinął się, odskoczył. Mając przewagę broni i dłuższe ręce, wolał uniknąć zwania.

Zamarkował cios w głowę, a następnie na cel obrał żebra. Ledwie zdążyłem zablokować uderzenie łokciem. Żelazo zjechało po mojej ręce,

nie robiąc mi krzywdy, ale zatrzymało się na udzie i to już zabolalo.

Złapałem za klucz, szarpnąłem. Mój uchwyt okazał się silniejszy, więc wyrwałem mu narzędzie z rąk i odrzuciłem na ulicę. Strach cofnął się i natrafił plecami na latarnię. Dokładnie tam, gdzie chciałem.

Rzuciłem okiem na Wyatta i Hydranta. Drałowali niestrudzenie w naszą stronę, ale byli jeszcze dość daleko.

Strach wyprowadził solidny lewy prosty i zaraz poprawił prawym hakiem. Włożył w obydwie ciosy sporo serca, ale żaden nie trafił celu. Zanurkowałem pod jego pięścią i wpakowałem swoją w jego zębra. Poczulem, jak coś pęka.

Facet sapnął i zgiął się w pół. Wtłoczyłem mu pięść w żołądek, a drugą wpakowałem w szczękę. Padł jak długi.

Obróciłem się do Wyatta i jego koleżki. Ze Strachem prałem się w świetle latarni; doskonale widzieli całe zajście. Stanęli w miejscu. Po sekundzie wahania zaczęli zwiewać. Odprowadziłem ich kawałek wzrokiem, a później na powrót skupiłem uwagę na wysokim.

Znałem takich, którzy uważali, że wygrana walka to dobry powód do świętowania. Śmiali się, wznosili okrzyki i przybijali piątki. Ja tam nie miałem ochoty świętować.

Gość dochodził do siebie, a ja w międzyczasie skrociłem mu portfel. Jego prawo jazdy zdradziło mi nazwisko: Floyd O'Marra. Znalazłem też trzydzieści dolców. Dobrze. Annalise będzie w końcu chciała swoją kartę z powrotem. Postanowiłem skasować Floyda za istotną lekcję życia, której mu udzieliłem. Schowałem kasę do kieszeni.

– Kurde... – jęknął Floyd, dochodząc do siebie. – Gdzie ja jestem?

– Rozejrzyj się – rzuciłem. – Powiedz mi, czy widzisz coś znajomego.

Podniósł na mnie wzrok.

– Ożeż ty...

– A przy okazji, jak się miewa Harlan?

Floyd nie do końca wiedział, jak sobie poradzić z tym pytaniem.

– Pewnie się wylize – odrzekł w końcu z wyraźną pretensją w głosie.

Próbował podnieść się do pozycji siedzącej, ale przycisnąłem go do ziemi.

– Gdzie pracujesz, Floyd?

– W budowlance, w Henstrick Construction.

– Co konkretnie budujecie?

– Burdele – rzekł, uśmiechając się kpiąco.

– Poważnie? Znajdę gdzieś w okolicy towarzystwo? Nabrałem ochoty przez tego berka z wami, chłopaki.

– Za miastem – powiedział. – Paręset jardów za starą kręgielnią. Knajpa nazywa się Loczek. Powołaj się na mnie, a zgotują ci tam ciepłe powitanie.

Próbował się odsunąć. Nie pozwoliłem.

– Chcesz pomóc swojemu kumplowi Wyattowi?

– To mój ziomek, no nie?

– To wyświadczyć mu przysługę: powiedz, żeby trzymał się ode mnie z dala. Właściwie to powinniście obydwaj pojechać truckiem na jakieś małe wakacje. Do Vegas, dajmy na to. Zabawcie się trochę. Bo jak jeszcze raz któryś mi się nawinie, spierdołę mu dzień.

Widocznie odzyskał rezon, bo zaczął się irytować. Próbował się ode mnie odtoczyć, ale skrzywił się z bólu, gdy odezwały się potłuczone żebra. Zaklął.

– Przed naszym następnym spotkaniem naładuję tę cholerną spluwę.

Nie mogłem mu tego podarować. Strzeliłem go w nos. Nie na tyle mocno, żeby połamać kości, ale wystarczyło, żeby poleciała krew. Przystawiłem mu do twarzy jego prawko.

– Floyd O'Marra. Zamieszkały na Cedar Lane pod numerem dwieście dwadzieścia trzy. Wygląda mi to na spokojne sąsiedztwo. Będę musiał kiedyś cię odwiedzić, Floyd. Może będę musiał puścić ci chałupę z dymem, hm? Na przykład w nocy, kiedy będziesz spał?

Zaklął ponownie. Wciąż się rzucał.

Cholera. Floyd nie potrafił czytać aluzji. Jak miałem puścić go wolno, skoro obiecał, że mnie zabije? Doskonale wiedziałem, jak łatwo dostać kulkę.

Nadepnąłem obcasem na jego dłoń.

Zawył. W oknach okolicznych domów zaczęły zapalać się światła. Na tym etapie guzik mnie to obeszło. Zwzywał mnie jeszcze kilkukrotnie, na wpół szlochając.

Nie było to ani ładne, ani przyjemne, ale nie mogłem poruszać się po mieście i okolicy ze świadomością, że Floyd w każdej chwili może wziąć mnie na muszkę. Taki odważny nie jestem.

Ukląkłem przy nim i postawiłem na nogi. Zrobiłem to tak, żeby zaboląły go żebra. Miało go boleć. Miało go boleć za te trzy dychy.

– Zamknij ryj – warknąłem. – Jeśli jeszcze się nie zorientowałeś, jesteś najwyżej słówko od bycia trupem, bo następną rzeczą, którą rozdepczę jak robaka, będzie twoja krtań. Rozumiesz? Trzymaj się ode mnie z daleka. Bo następnym razem naprawdę będę nieprzyjemny.

Tym razem Floyd pojawił. Pokiwał gorączkowo głową, zamknawszy oczy. Odepchnąłem go na chodnik i zabrałem klucz.

Udałem się w stronę baru. Radiowóz stał tam, gdzie go zostawiłem; obszedłem budynek od drugiej strony, żeby się na niego nie natknąć. Udo pulsowało bólem.

W drodze powrotnej natknąłem się na jeszcze jedną czarną pręgę na chodniku. Szlag. Całe miasto było nimi pokreślone.

Pchnąłem drzwi do baru i wkroczyłem do środka jak stały bywalec. Sara aż rozdziawiła usta. Cofnęła się od nalewaków, plując sobie zapewne w brodę, że otworzyła zamek w drzwiach. Rzuciłem na kontuar klucz do opon. Głośno.

Bill wciąż tu był.

– O, ja cię – powiedział. – Nawet śliwy nie ma.

Sara sięgnęła pod ladę i wyjęła strzelbę. Lufa była o kilka cali za krótka, by broń była legalna.

– Wynoś się – wycodziła.

– Nie żywię urazy do ciebie, Saro – rzekłem. – Nie mam za złe tego, co zrobiłaś. Ale przybyłem do Hammer Bay, żeby wykonać zadanie.

– A co mnie to – rzuciła. – Wynocha.

Bała się, ale nie mnie. Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle.

– Czy Wyatt kupuje amfę, czy robi ją sam?

– O czym ty gadasz?

– Błagam. Nie powiesz mi chyba, że nie wiesz, co jest grane.

– Pewnie, że powie – zachichotał Bill. – To twarda kobitka, ale nieco naiwna.

Skupiłem uwagę na Billu.

– To kupuje czy robi sam?

– Wyatt kupuje, gdzieś na południe stąd, potem rozprowadza na parkingu na nocnej zmianie.

– Gliny nie wiedzą czy udają, że nie wiedzą?

– Jak się zastanowić – powiedział Bill – to pewnie udają.

– O jaką nocną zmianę chodzi?

Stary prychnął śmiechem.

– W Loczku. Wyatt nie rozpowiada o tym, choć nie sądzę, żeby Henstrick niczego się nie domyślała.

– Wyatt nie jest tam klientem, zgadza się?

– Nie, jest wykidajką, podobnie jak Floyd i Georgie. Większość jej chłopaków pracuje w klubie, kiedy nie są na budowie. Zwłaszcza teraz, gdy czasy zrobiły się ciężkie.

– Jakiej jej? O kim mowa?

– O Henstrick, oczywiście.

– Aha – mruknąłem. Poczułem się jak głupek, nie domyśliwszy się.

Sara zaczynała się niecierpliwić, a ja właściwie dowiedziałem się już tego, czego chciałem się dowiedzieć. Wycofałem się do drzwi.

– Dzięki, Bill.

Odparł, że cieszy się, że mógł pomóc. Sara spytała jeszcze, czy to, co mówiłem o Afryce, to prawda.

– Nie zapomnij za mną zamknąć – powiedziałem i wyszedłem.

Jeśli dobrze to rozegrałem, Sara zacznie pytać po ludziach, rozprzestrzeniać plotkę. Prędzej czy później Annalise znów będzie musiała podążyć tropem Charlesa Trzeciego, a on będzie wiedział, że ktoś depcze mu po piętach. Byłem ciekaw, ile czasu zajmie jej dokumentne zaszczucie Hammera.

Zauważyłem zaparkowany po drugiej stronie ulicy radiowóz. Rozpoznałem przez szybę sylwetkę grubego oficera, którego widziałem wcześniej.

Do moich uszu dobiegł jakiś brzęk. Obróciłem się w stronę, skąd dochodził hałas.

Coś małego i szarego wypełzło z kontenera na śmieci. Zrazu pomyślałem, że to pies, ale wtedy zobaczyłem czerwony odcień futra i zorientowałem się, że to ten sam wilk, którego widziałem na ulicy zeszłej nocy.

Gapił się na mnie nieruchomymi oczyma. Włoski na moim karku podniosły się.

Wtem rozwarły się drzwi baru. Obróciłem się i zobaczyłem kuśtykającego w moją stronę Billa. Na jego twarzy malowało się podniecenie.

– Mówisz, że przyjechałeś do miasta w konkretnym celu? – spytał.

Spojrzałem na wyjazd z parkingu. Wilk zniknął.

– Tak. W celu wypicia paru piw i wrzucenia czegoś na ząb.

– Jasne, jasne. Rozumiem. Słuchaj, rozmawiałeś już z Petem Lemlym?

– A kto to?

– Miejscowy dziennikarz. Zna mnóstwo tutejszych figur szachowych i wie, po których polach lubią skakać.

Wóz policyjny po drugiej stronie ulicy odpalił i odjechał. Bill obejrzał się, dopiero teraz zwracając na niego uwagę. Na jego twarzy odmalował się strach.

– O mój Boże. Muszę... – zająknął się i wrócił biegiem do baru. Najwidoczniej byłem osobą, z którą lepiej nie pokazywać się na ulicy.

Ruszyłem przed siebie. Minęły mnie dwie pary w drodze do baru. Szły blisko siebie, jakby próbując osłonić się nawzajem przed mrokiem, a kiedy wybuchały śmiechem, ich głosy brzmiały zbyt głośno i zbyt boleśnie.

Niespodziewanie wdarł mi się do uszu kobiecy krzyk. Idący do baru usłyszeli go także. Stanęli i popatrzyli po sobie, jakby czekając, aż ktoś inny podejmie decyzję.

Pobiegłem w stronę źródła dźwięku. Kobieta, kimkolwiek była, nie przestawała histerycznie wrzeszczeć. Pognałem za róg, słysząc, że imprezowicze biegają za mną.

Kobietę zobaczyłem jakieś dwadzieścia jardów przed sobą, stała obok dodge'a neona. Na jej wykrzywionej w skrajnym przerażeniu twarzy kładł się blask bijący od czegoś, co płonęło w samochodzie. I co raptem zgasło.

Kobieta chwiejnie oparła się o posadzone obok krawężnika drzewo. Z tylnych drzwi wozu wylał się na asfalt wijący się srebrny potok, przepelzł na najbliższy trawnik i wsiąkł weń.

Byłem kilka jardów od niej, kiedy nagle poczułem ukłucie na Żelaznych Wrotach.

Zwolniłem. Kobieta otrzepała płaszcz i pomogła wyjść z auta siedzącej na tylnym siedzeniu dziewczynce, strofując ją, że już późno.

Stanąłem najwyżej kilka jardów od niej i nie wierzyłem własnym oczom. Do ciężkiej i niespodziewanej cholery, pomyślałem. Jej dziecko przed chwilą zniknęło, a ona już zdążyła o nim zapomnieć. Kiedy mnie zauważyła, zaczęła się dziwnie spieszyć. Chyba ją przestraszyłem.

Ale nie tak, jak to miasto przerażało mnie.

Zawróciłem i oddaliłem się od samochodu. Ani się obejrzałem, a kobiety z dzieckiem już nie było. Czarny, wypalony ślad zaczynał się na chodniku i płynął lśniąca smugą w stronę trawnika, gdzie robił się nierówny na trawiastym podłożu i w końcu znikał. Kolejne martwe dziecko.

Ruszyłem w drogę powrotną do motelu. Mijając po drodze supermarket, w ostatniej chwili postanowiłem do niego wstąpić. Zabrało mi to godzinę, ale w końcu wróciłem do motelu z siatą, w której znajdowały się ostatnie paczki z wołowiną, jakie zostały w sklepie. Co prawda tylko cztery funty, ale jeśli Annalise jeszcze nie wróciła do formy, lepsze to niż nic. Na całe szczęście obeszło się bez pyskówki z kasjerką.

Przecinając parking, dostrzegłem, że w oknie pokoju szefowej pali się światło. Wszedłem do swojego, położyłem jedzenie na stole i popukałem lekko w ścianę.

W ciągu kilku sekund ona zapukała do moich drzwi. Wpuściłem ją, a potem poszedłem do łazienki umyć twarz. Nie znoszę na twarzy zaschniętego potu.

– Jak twoje ręce? – spytałem.

– Jakby trochę gorzej – odpowiedziała. – Nie regenerują się. Nie jestem pewna, co robić.

Ja również nie. Otarłem twarz ręcznikiem i dołączyłem do niej w pokoju. Zdierała plastik z opakowania karkówki sztywnymi, zgrabiałymi palcami.

– A co z resztą Towarzystwa Dwudziestu Pałaców? – spytałem.

Przestała i spojrzała na mnie.

– A co ma być?

Wiedziałem, że stąпам po cienkim lodzie, ale musiałem to powiedzieć.

– Może poprosiłabyś o pomoc? Przecież...

– Nie potrzebuję ich pomocy – rzekła obojętnie. – Nie potrzebuję niczyjej pomocy. Wykonywałam zlecenia tego typu, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie. Kiedy na świecie nie było jeszcze twojego ojca.

– Okej. Dobra. Łapię. Jesteś Rambo.

Zlokalizowałem leżące na stole Ostrze Dusz. Wziąłem je do ręki i pokroiłem mięso. Przyjemnie leżało w dłoni po godzinach rozłąki.

Annalise zjadła wszystko, a kiedy skończyła, uniosła dłonie i poruszyła nimi.

– Lepiej? – spytałem.

– Tak – potwierdziła. – Ale nie są w pełni sprawne. Nigdy jeszcze nie odniosłam tak upartych ran.

– Wykupiliśmy całe mięso z tamtego marketu.

– Rano spróbujemy znaleźć mięsny. – Westchnęła. – Im dłużej mięso jest martwe, tym słabiej na mnie działa.

Takie gadanie sprawia, że robię się nerwowy. Czy wkrótce przerzuci się na jedzenie żywca? Może następnym razem kupię jej tuzin ostryg.

Drzwi do pokoju otworzyły się raptownie i wyrznęły w ścianę. Padłem na podłogę. Ktoś wrzasnął:

– Policja! Nie ruszać się!

Padł strzał.

– Luke! LUKE! – wrzeszczał ktoś. – Tylko spokojnie! Spokojnie!

Uświadomiłem sobie, że wciąż trzymam Ostrze w ręku. Nie chciałem, żeby dostało się w ręce glin, więc postawiłem je na krawędzi i wsunąłem przez dywan w podłogę, tak by znikło.

– Niech nikt się nie rusza! – krzyknął ktoś inny, jakby młodszy. Chciałem rzucić na nich okiem, ale wolałem się nie ruszać. W sumie nie musiałem podnosić wzroku już teraz. Rozważniej było poczekać, aż przestaną we mnie celować.

– Czy ktoś jest ranny? – zapytał głos. Rozpoznałem Emmetta Dubois.

– Ja nie – odezwała się Annalise spokojnym, zrelaksowanym tonem.

– Dobra, dobra, nie ruszać się!

Gruby gliniarz kucnął, wbijając kolano między moje łopatki, i skuł mnie kajdankami. Dźwignięto mnie na nogi. Annalise stała obok, również ze skutymi na plecach rękami.

– Przepraszam, Emmett – powiedział jeden z gliniarzy, ten z kilkudniowym zarostem. Cygaro musiał zostawić w aucie. To chyba jego wołali Luke. – To ten zapach.

– Wiem – powiedział Emmett uspokajającym tonem, jak starszy brat do młodszego. – Wrócimy do tego później.

Postawili nas przy oknie, a sami przetrząsnęli pomieszczenie. Nie znaleźli Ostrza, tylko moje ubrania. Uwagę Emmetta zwróciły piętrzące się tacki po mięsie, ale nie drążył tematu.

Potem zabrali nas do pokoju Annalise, który także przeczesali na naszych oczach. Wydawało się, że moja szefowa nie trzymała w pokoju żadnych osobistych rzeczy.

Ostatni w kolejce do przeszukania był van. Luke i rudowłosy gliniarz praktycznie wyrócili go na drugą stronę, wyrzucając zawartość paki na asfalt i nawet wytaczając z niej crossowy motor Annalise, któremu zajrzeli do rury wydechowej, pod siedzenia i pod ochraniacze na kierownicy.

Z recepcji wyszedł niewysoki mężczyzna i przypatrywał się temu w milczeniu. Skrzyżował ramiona na piersi i nie wychodził z cienia rzucanego przez drzwi, jakby się bał, że ktoś go zauważy.

Nie znaleźli kamizelki ze wstęgami ani księgi czarów. Emmett jednak bardzo zainteresował się torbą, którą Annalise miała przy sobie podczas spotkania z Able'em Katzem. Wyjął z niej dokumenty, przewertował, wcisnął z powrotem.

Jeśli Annalise przeszkadzało, że grzebią w jej rzeczach, nie dała po sobie poznać.

– No dobra – powiedział w końcu Dubois. – Na komisariat z nimi.

Luke zawlókł mnie do radiowozu, a gruby zajął się Annalise. Przyuważyłem, jak pochyła się i szepcze jej coś do ucha. Nie słyszałem co, ale nie przypuszczałem, by proponował jej apartament z kablówką. Annalise całkowicie zignorowała, cokolwiek powiedział.

Posadzili nas na tylnym siedzeniu i odpalili samochód.

Miałem uraz do tylnego siedzenia radiowozu. Czuję się jak w klatce. Miałem siedzieć ze skutymi z tyłu rękami. Nawet nie zapięli mi pasa.

Jechaliśmy na północ przez miasto, mijając po drodze parking, gdzie zdybał mnie komitet powitalny. Komisariat znajdował się przy małej alei nad samym oceanem. Wąska droga dojazdowa do budynku wiodła przez pole usiane wielkimi, nieregularnymi czarnymi skałami.

Zajechaliśmy na parking, gdzie stały trzy dodge'e ramy, jeden lśniący czernią, drugi czerwony jak wóz strażacki, trzeci metalik z płomieniami na bokach. Samochodom podoczepiano różne bajery: dodatkowe światła przeciwmgłowe, chromowane felgi, stelaże na narty i co tam jeszcze. Obok nich stał klasyczny bentley, czarny jak noc; z tej odległości nie mogłem ocenić, z którego roku.

Były to auta z wyższej półki, którym tutejsze pick-upy czy kombi nie mogłyby czyścić opon, nie wspominając już o poobijanych i przerdzewiałych celicach z drugiego końca parkingu.

Wprowadzili mnie do budynku, ale nikt nie pofatygował się, by zdjąć odciski palców czy zrobić zdjęcie. Zamiast tego Luke zaprowadził mnie na

tyły budynku, prosto do celi. Jednoosobowej. Kazał mi się odwrócić i przełożyć ręce przez kraty, żeby zdjąć kajdanki. Nie spieszył się zanadto.

– Ta twoja dziewczyna do ładnych nie należy – powiedział.

Aż mnie zmroziło. Zanim zdążyłem się do niego odwrócić, szarpnął za łańcuch kajdanek.

– Ale jest nieźle wydziarana – ciągnął. – Cicha woda, co?

Wyobraziłem sobie, że Annalise urywa mu kantem dłoni łeb.

– Lepiej ostrożnie z nią – doradziłem.

Luke ucapił mnie za kołnierz i walnął potylicą o kraty. Przed oczami zatańczyły mi gwiazdki. Okręciłem się i padłem na metalową pryczę. Kiedy na niego spojrzałem, celował mi w czoło policyjną dziewiątką.

– Ostrożność w ogóle ma przyszłość, synu. Zdrowy rozsądek, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Dotknąłem tyłu głowy; nie wymacałem krwi, ale za parę godzin będę miał pięknego guza. Bolało jak sukinsyn.

Coś we mnie chciało, żeby nacisnął spust. Miałem serdecznie dość pościgów, pogroźek, samotnych zmagania z ciemnością. Kulka w łeb i po krzyku.

– Mój rozsądek nigdy nie był szczególnie zdrowy – usłyszałem własne słowa.

Luke włożył broń do kabury.

– Chyba nie pozostaje nam nic innego, jak nad nim popracować – rzekł, uśmiechnął się i poszedł.

Gdybym tylko się skupił, może zdołałbym przywołać moje Ostrze, choć nigdy nie próbowałem tego z tak wielkiej odległości. Zastanawiałem się, czy to w ogóle możliwe, przywołać je siłą woli z drugiego końca miasta.

Zacisnąłem powieki, próbując zignorować ból w głowie. Ostrze Dusz posiadało moc i ta moc potrafiła mnie rozpoznać. Nie rozumiałem jej lepiej, niż pierwszy lepszy bandzior rozumie sposób działania prochu strzelniczego w swojej dziewiątce, ale wiedziałem, co robić, by działała jak należy. Tym razem jednak, choć koncentrowałem się ze wszystkich sił, nie mogłem jej wyczuć. Ostrze było za daleko.

Szlag by trafił. Gdybym tylko je miał, w try miga wyszedłbym z celi. Postanowiłem spróbować raz jeszcze, gdy nieco przejaśni mi się w głowie, choć nie mam się złudną nadzieją.

Drzwi otworzyły się i na hol wyszła kobieta. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat i bynajmniej nie starzała się jak wino; była blada, a wory pod jej oczami miały barwę burzowych chmur. Jej włosy wyglądały, jakby przycinała je sama i bez patrzenia w lustro. Drobne usta były w ciągłym ruchu: to oblizywała wargi, to je żuła, to wydymała, to wykrzywiała. Niosła plik dokumentów.

– To ty jesteś ten facet, co... – urwała. Czekałem, aż skończy. – Dlaczego pomogłeś Harlanowi Semple'owi?

Nie odpowiedziałem: „Bo szefowa kazała”.

– To twój znajomy? – spytałem zamiast tego.

– Mój bratanek.

Obejrzała się na drzwi za swoimi plecami. Nie chciała, żeby ktoś widział, jak ze mną rozmawia.

– Jak on się czuje? Chciałem go odwiedzić, ale nie miałem czasu.

– Jego stan jest stabilny, ale zeszła noc i dzień były ciężkie. Mówią, że uratowałeś mu życie. Czemu to zrobiłeś? Znasz go skądś?

– Nie, nie znam i nie wiem, czemu to zrobiłem.

– Powiedział ci, co mu strzeliło do głowy?

– Niewiele brakowało, a zrobiłby to glina. Harlan najwidoczniej chciał wszystkich pozabijać.

Nie wzdrygnęła się. Gapiła się na mnie pustymi oczami wygłodzonego ptaka.

– Mówił – podjąłem po chwili – że nie może znaleźć swoich córek. Że miał dwie córki, które zniknęły. Mówił, że w całym mieście giną dzieci, ale tylko on o tym pamięta.

– Biedny zwariowany chłopak. – Pokręciła głową.

– Czy on miał w ogóle te córki? – spytałem.

– A skąd. Żona odeszła od niego po wypadku. Jest sam jak palec.

Nie wierzyłem w ani jedno jej słowo, ale nie wątpiłem, że ona w nie wierzy. Kobieta przetarła oczy, jakby zrobiła się śpiąca. Zwróciłem uwagę na brzydką bliznę na jej ręce.

– To po ugryzieniu? – spytałem. – Pies?

Speszyła się i ruszyła do wyjścia.

– Chwila moment – zawołałem za nią. – Chcesz zapunktować u szefów?

To sprawiło, że stanęła w miejscu. Spojrzała nerwowo na drzwi, a potem wróciła do mnie.

Nie wstałem z pryczy.

Musiałem ostrożnie sprzedać jej następny wyssany z palca kawałek. Ewidentnie bała się braci Dubois, a ponieważ pracowała z nimi dzień w dzień, prawdopodobnie robiła, co mogła, byle tylko chodzili szczęśliwi. Nie przekaze żadnej informacji, która mogłaby zirytować Emmetta czy któregoś z jego chłopców.

– Nie obchodzi mnie, co wy tutaj robicie, rozumiesz? – powiedziałem, markując podenerwowany głos i trzymając głowę oraz ramiona tak nisko, jak tylko mogłem bez przerywania kontaktu wzrokowego. W jej spojrzeniu wciąż widziałem nieufność. – Poważnie, nie obchodzi. Ja po prostu próbuję unikać kłopotów.

– Nie idzie ci za dobrze.

Uśmiechnąłem się.

– Co nie zmienia faktu, że się staram. Słuchaj, ja jestem tylko kierowcą. To Annalise jest szefową. Jest bajecznie bogata, rozumiesz?

– Nie wygląda mi na bogatą. – Kobieta zmarszczyła brwi.

– Jest ekscentryczką.

Splotła ramiona na piersi.

– Po co mówisz mi to wszystko?

– Upewnij się po prostu, że twoje szefostwo ostrożnie się z nią obejdzie. Jeśli włos spadnie mojej szefowej z głowy, jej ludzie zrobią wam tu Sajgon. Politycy, prawnicy, policja stanowa, prywatni detektywi, dziennikarze, wszystkie te tryby w maszynie. Zaczną brać na spytaki każdego w mieście, sprawdzać dokumentację podatkową. Widziałem to już.

– Wciąż nie wiem, po co mi to mówisz – upierała się. – Wszyscy tutaj jesteśmy profesjonalistami. Twoja szefowa nie ma się o co martwić.

Pewnie, że nie ma. Ale ja nie chciałem brodzić po kolana w szambie, kiedy już Annalise urwie Luke'owi Dubois łeb przy samej dupie.

– No błagam – zachnąłem się. – Bujać to my, ale nie nas. Luke Dubois stał tu, gdzie ty teraz, i pozwalał sobie na niewybredne żarty na jej temat. On musi wiedzieć, że ma uważać.

– Więc jemu też próbujesz pomóc?

– Luke Dubois wparował do mojego pokoju i wyrzucił go do góry nogami, a potem przywalił moją głową o kraty. Mógłby płonąć żywcem i nawet bym się na niego nie odlał. Ale nie chcę utknąć tutaj, składając zeznania pod przysięgą, czy to lokalnym, czy stanowym glinom, a potem

tłumaczyć się prywatnym detektywom. Chciałbym po prostu przeżyć kilka najbliższych dni bez martwienia się, że lada chwila wydarzy się katastrofa.

Gapła się na mnie jeszcze chwilę, a potem powiedziała:

– Pójdę po Sugara.

Oddaliła się, a za parę minut wróciła z wysokim, rudowłosym policjantem.

Sprawa miała wrażenie, jakby składał się wyłącznie z mięśni i sterczącego jabłka Adama. Na identyfikatorze widniał napis: S. DUBOIS.

– W czym problem, psze pana? – zapytał jak stereotypowy filmowy glina.

Wyłożyłem wszystko raz jeszcze, tym razem dopieszczając tu i ówdzie szczegóły. Sugar słuchał z kamienną twarzą, aż w końcu zamilkłem na widok jego podniesionej jak na skrzyżowaniu ręki.

– Pan poczeka, zaraz wracam – powiedział, po czym wyszedł.

Kobieta powiodła za nim wzrokiem, jakby nie wiedząc, czy Sugar chce, by poszła za nim, czy żeby została na miejscu. Najwidoczniej to, co Sugar chciał, było dla niej sprawą życia i śmierci. Postanowiła zostać.

Minutę później przyszedł Emmett. Zachowywał się swobodnie i był uśmiechnięty jak gospodarz doskonale zaplanowanej proszanej kolacji.

– Rozumiem, że pojawił się jakiś problem? – odezwał się.

Nie pozostało mi nic innego, jak opowiedzieć wszystko po raz trzeci, tym razem krócej i bez emocji. Zrobiłem, co tylko mogłem, by przedstawić Annalise jako chodzącą minę przeciwpiechotną. Zrobiłem, co tylko mogłem, by nie pomyślał, że próbuję mu grozić.

Emmett przerwał mi w momencie, kiedy doszedłem do sedna.

– Nie spotka jej tu nic nieprzyjemnego. To może nie Ritz, ale wraz z braćmi jesteśmy zawodowcami.

Pomacałem puchnące mi na potylicy gęsie jajo.

– W takim razie nie mamy się chyba o co martwić.

Zmierzył mnie wzrokiem. Ja zmierzyłem jego. Chyba nie darzył mnie miłością.

– Wiem, coś ty za jeden – powiedział. Zmilczałem. – Idziemy, Shireen.

Zaprowadził wszystkich do biura i zamknął drzwi od wewnątrz. Zgasły światła.

Rozwaliłem się na pryczy. Nie powinno mnie obchodzić, że Emmett Dubois wie, kim jestem, i zna moją historię. Nie on jeden. Każdy, kto miał

dostęp do Internetu i poprawnie zapisane nazwisko, mógłby dokopać się do odpowiednich artykułów z gazet w kilka sekund.

A jednak mnie obchodziło. Bo wiedział o tym, ile czasu spędziłem za kratkami, w kim miałem wroga, kto przeze mnie zginął. A ja nie wiedziałem o nim nic z wyjątkiem tego, że coś ukrywa. Nie byłem pewien co, ale miał to wypisane na twarzy.

Zastanowiło mnie, nie po raz pierwszy, dlaczego zrobił nam nalot. Moja walka z Floydem to był dobry powód, owszem, ale czy przypadkiem nie zadzwoniła po niego Sara? No i nie wolno było wykluczyć incydentu w fabryce zabawek.

Choć wątpiłem, że zainteresował się nami akurat z tego powodu. Im bardziej poranne starcie w fabryce oddalało się w przeszłość, tym mocniej byłem przekonany, że nikt o nim nie wie albo nie pamięta. Bracia Dubois nie dali się poznać jako wcielenie taktu i delikatności, więc pewnie by coś napomknęli. Sara i Bill też nie wiedzieli nic o tym, co zaszło w fabryce, a przecież już wtedy minęło od zdarzenia ładne parę godzin.

Spodziewałem się, że jedyną osobą, która zachowała cały incydent w pamięci, był Charlie Trzeci. Płomienie w biurówcu wiązały jego firmę z płonącymi dziećmi. Zagadką pozostawało, jak zdołał się nimi posłużyć i po co. Z tego, co mówił Bill, wynikało, że ostatni patriarcha rodu Hammerów – choć śmiesznie nazwać tak kogoś zaledwie parę lat starszego ode mnie – spuścił braci Dubois ze smyczy. Jego ojciec i dziadek używali policji do kontrolowania miasta, ale teraz to policja kontrolowała miasto.

Była jeszcze kwestia ataku drgawek powodowanego jakąś dziedziczną w rodzinie Hammerów chorobą.

Bill mówił, że objawy nasilały się, kiedy patriarsze dobrze się wiodło. Jeśli nadarzy mi się jeszcze okazja, by porozmawiać z Annalise, od tego zacznę.

Czy to Hammer wykonał telefon i napuścił na nas gliny? Istniała taka możliwość, ale gdybym to ja trząsł całym miastem, nie kazałbym policji wlec nas na komisariat. Kazałbym wywieźć nas z miasta albo zastrzelić, a najlepiej jedno i drugie.

Oczywiście nie mogłem mieć pewności, czy bracia Dubois nie wejdą zaraz do mojej celi sztywno jak automaty i nie zaczną ziać ogniem, ale nie sądziłem, by faktycznie miało to nastąpić. Na pewno postaraliby się

o dogodniejsze miejsce do wykończenia nas niż cela na pełnym potencjalnych świadków komisariacie.

A może Hammer wcale ich na nas nie napuścił? Może Floyd i Emmett to kumple z kręgielni, a do wieczora reszta ligi spróbuje dobrać mi się do tyłka?

Nie była to przyjemna myśl, ale miałem już do czynienia z nieprzyjemnymi ludźmi. Lecz i tak spałem płytko, zwłaszcza w pobliżu typów, którzy nie darzyli mnie sympatią.

Długo zresztą pilnowałem się, by w ogóle nie zasnąć. Kiedy podejrzany zbyt szybko zasypia na więziennej pryczy, dla glin jest to równoznaczne z przyznaniem się do winy. Nie widziałem jednak, by ktoś mnie sprawdzał, toteż w końcu pozwoliłem sobie zmrużyć oko.

Do moich uszu dobiegł cichy odgłos otwieranego zamka u drzwi do celi. Podniosłem się do pozycji siedzącej, zanim jeszcze się obudziłem.

– Patrz go, jak trzęsie portkami – uśmiechnął się Luke Dubois. Obok stał jego gruby braciszek. Uświadomiłem sobie, że nigdy nie słyszałem brzmienia jego głosu.

– Wstawaj i odwróć się – rzekł, a ja usłuchałem.

Skuli mnie i zaprowadzili do pokoju przesłuchań, gdzie czekał już Emmett.

– Witam, panie Lilly – rzekł. – Proszę spocząć. Wiley, bądź tak dobry i włącz kamerę.

Luke posadził mnie na krześle i wyszedł. Wiley – ten gruby, na którego kazał mi uważać Bill – wyjął skądś kamerę cyfrową i ustawił na statywie. Jakiś nowszy model.

Emmett czekał, uśmiechając się do mnie. Na stole przed nim leżały dwie koperty. Jak na razie nie kwapił się, by je otworzyć.

Wiley wcisnął „Play” i siadł w rogu pomieszczenia, wychodząc poza kadr. Z kabury wyjął pistolet i położył na kolanie, mierząc mnie wzrokiem, jakby zastanawiał się, czemu właściwie nie miałyby zastrzelić mnie tu i teraz.

Emmett wymówił głośno datę, żeby kamera ją zarejestrowała, po czym podał nazwisko swoje, moje i Wileya. Spojrzałem na jego zegarek. Była trzecia piętnaście rano. Przetarłem zaspane oczy. Musiałem mieć się na baczności.

– No więc, panie Lilly – zaczął wciąż uśmiechnięty Emmett, pochylając się do mnie – co panu mówi nazwisko Karoly Lem? Niech pan powie wszystko, co wie o morderstwie Karoly’ego Lema.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

C o? Jaka Carol?

Emmett westchnął, jakbym celowo sprawiał problemy.

– Czy oświadcza pan przed kamerą, że nie znał pan mężczyzny imieniem Karoly Lem?

– Tak – potwierdziłem.

– Czy jest pan pewien, że chce, aby to właśnie taka odpowiedź znalazła się na nagraniu?

– Pamiętałbym, gdybym spotkał faceta o babskim imieniu.

Emmett zachichotał. Przesunął górną kopertę na bok i otworzył tę pod spodem.

– Karoly Lem – odczytał. – Urodzony w Polsce w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim, skąd wyemigrował do Stanów Zjednoczonych Ameryki wraz z rodziną w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym i otrzymał obywatelstwo w osiemdziesiątym pierwszym. Przez większość życia mieszkał w Portland.

– To będzie na sprawdzianie? – przerwałem.

– Do Hammer Bay – kontynuował niezrażony Emmet – przyjechał trzy tygodnie temu. Powiedział Arlenowi, kierownikowi motelu, że szuka dogodnej lokalizacji dla sklepu sieci Big 5 Sporting Goods, którą reprezentował. Sześć dni temu znaleziono jego zwłoki za miejską biblioteką.

Przerwał i przeniósł wzrok na mnie, czekając na moją reakcję.

– Dlaczego w Hammer Bay jest tak mało dzieci? – zapytałem. – Widuję mnóstwo par, po ulicy jeżdżą rodzinne kombi, a na trawnikach przed domami jednorodziennymi stoją plastikowe huśtawki. Ale nie widuję dzieci. Nurtuje mnie pytanie: dlaczego?

Oczy Emmetta zwęziły się. Chyba nie miał pojęcia, o czym mówię.

– Pana Lema rozszarpało jakieś dzikie zwierzę.

– No proszę, a przed chwilą mówił pan, że to było morderstwo. – Miałem dość oleju w głowie, by nie wyjeżdżać z psami, o których mówił mi Bill. – Sześć dni temu, powiada pan? To zabawne, ale mam niezbywalne alibi.

Wiley wpatrywał się we mnie ze swojego miejsca w rogu. Świerbiła mnie skóra w miejscu, gdzie celowała lufa.

– Wiem, że pan ma – powiedział Emmett. Otworzył kolejną kopertę. – Tamtego dnia wciąż siedział pan w więzieniu, czekając na postawienie w stan oskarżenia w sprawie... Ilu dokładnie morderstw?

Pytajnik na końcu zdania Emmett postawił jedynie pro forma. Nie czułem się w obowiązku odpowiadać.

– Numer zmieniał się wraz z każdym znalezionym ciałem, prawda? A zarzuty oddalono, tak?

Nie odpowiedziałem.

– Właściwie słyszało się głosy, że jest pan bohaterem.

– Jaki tam ze mnie bohater – powiedziałem nieco za szybko. Bohater zrobiłby coś więcej, niż tylko ukatrupił kilku drapieżców. Bohater nie okaleczyłby najlepszego przyjaciela.

– Nabywał pan w Hammer Bay jakieś dopalacze, panie Lilly? Widział pan coś, co pozwala chromym chodzić i zmienia ich w oszalałych morderców?

– Jak dotąd nie.

– A pański związek z rzeczonym panem Lemem?

– Nie było takowego.

– Myślę – wyrzekł Emmett, skinąwszy na mnie głową – że dobrze nam zrobi przerwa. Wiley?

Wiley wyłączył kamerę. Emmett zebrał papiery i opuścił salę, a Wiley odprowadził mnie z powrotem do celi.

Na zewnątrz wciąż było ciemno. Kiedy już zostałem sam, walnąłem się na prycę i pozwoliłem sobie na jeszcze kilka godzin snu.

Obudziłem się na dźwięk przekręcania klucza w zamku. Tym razem wyprowadził mnie Sugar Dubois. Co ciekawe, nie skuł mnie. Spojrzałem przez okno i zobaczyłem, że jest już jasno.

– Czemu... – zaczął Sugar. Wydawał się niemal nieśmiały. – Skąd u was w pokoju tyle opakowań po mięsie?

– Jestem kolekcjonerem – wyjaśniłem. – Rzadko spotykane tacki chodzą na eBayu po paręset dolców.

Sugar nie miał za grosz poczucia humoru.

Zaprowadził mnie do biur przy wejściu do budynku. Przy drzwiach stała Annalise z Emmettem. Nie widziałem nigdzie Shireen, Luke'a ani Wileya.

– Jesteście wolni – oświadczył Emmett. – Macie mnie powiadomić, zanim opuścicie miasto. Czy to jasne?

Spojrzałem na Annalise. Wzruszyła lekceważąco ramionami i po prostu udała się do wyjścia. Usłyszałem dobywające się z gardła Emmetta basowe warknięcie. Przyzwyczał się już, że każdy traktuje go jak ważniaka. Lekceważenie trawił ciężko.

Wyszedłem za Annalise na ulicę. Celica oraz czarne i czerwone ciężarówki zniknęły z parkingu. Nie pozostało nam nic, jak tylko wrócić do motelu. W brzuchu mi burczało, ale śniadanie będzie musiało poczekać. Przede wszystkim musiałem odzyskać Ostrze Dusz.

Moją uwagę przykuł srebrny cadillac escalade zaparkowany w bocznej alei przy samym komisariacie. Wydał mi się trochę nie na miejscu, ale zaraz o nim zapomniałem, bo miałem inne rzeczy na głowie.

– Znałaś niejakiego Karoly'ego Lema? – spytałem Annalise. Nie odpowiedziała. Szła z oddalonymi nieco od tułowia rękami, by nie ocierały się o ciało. Nieznaczny gest w mowie ciała, ale zauważyłem. – Zawiniemy o mięsny?

– Tak! – wysyczała.

Maszerowaliśmy żwawo przez miasto.

– Czemu całe to mięso cię nie wyleczyło? – dociekałem.

– Nie wiem. W przeszłości regenerowało rany jak należy, ale teraz uśmierza ból tylko do pewnego stopnia, a potem on wraca.

– To co robimy?

Zmarszczyła się na to „my”. Tak mi się tylko wymyknęło, ale nie spodobało jej się to.

– Im dłużej mięso jest martwe, tym gorzej na mnie działa. Potrzebujemy mięsa tak świeżego, jak to tylko możliwe. I to sporo.

W kierunku przeciwnym do naszego szedł jakiś mężczyzna w uniformie elektryka. Spojrzałem mu w oczy, żeby zwrócić jego uwagę.

– Przepraszam – powiedziałem.

Zmierzył nas wzrokiem. Nie spodobała mu się moja aparycja, ale widok Annalise u mojego boku chyba go uspokoił.

– Tak?

– My nietutejsi, co chyba widać, szukamy sklepu mięsnego. Jest jakiś w mieście?

– Ja tam zawsze idę do supermarketu – powiedział.

– Byliśmy tam już.

– Jest jeszcze jedno miejsce. Tylko strasznie tam drogo. Po drugiej stronie miasta, zaraz przy Ocean Street. Poszukajcie nowego sklepu z kryształami i książkami. Mięśny jest nieopodal. Nie możecie nie trafić.

– Dzięki – rzuciłem na odchodnym, a następnie zwróciłem się do Annalise: – Rzut beretem od naszego motelu. To ile? Kolejne dziesięć funtów?

– Dwadzieścia.

Poszliśmy promenadą i skręciliśmy w aleję przy sklepie tonącym w krzykliwych barwach i cudacznej symbolice. Sklep mięśny był zamknięty i miał takim pozostać jeszcze przez co najmniej godzinę. Zasugerowałem, że można by ten czas wykorzystać na zjedzenie śniadania. Wniosek rozpatrzono pozytywnie i wróciliśmy na promenadę z zamiarem znalezienia otwartego lokalu.

Wchodząc do restauracyjki z owocami morza, spostrzegłem, że srebrny escalade stoi zaparkowany na rogu. Nie spodobało mi się, że dziwnym trafem tak często go widuję.

Znalazłszy dogodny stolik, Annalise, nie pytając mnie o zdanie, złożyła zamówienie. Najwidoczniej oboje mieliśmy ochotę na paluszki rybne i filet. Kelnerka przyjęła zamówienie, a ja przeprosiłem Annalise i wyslizgnąłem się z lokalu tylnymi drzwiami. W zaułku śmierdziało rybą i najwyraźniej stanowił on siedzibę całego klanu dachowców. Podszedłem do wylotu alei.

Podbiegłem kawałek boczną ulicą i przekonałem się, że escalade wciąż stoi na rogu. Ktoś siedział na miejscu kierowcy. Silnik był wyłączony, ale

palily się światła stopu. Trzymanie nogi na pedale hamulca to dobry nawyk kierowcy, ale nie stojącego na czujce gliny.

Poszedłem w stronę pojazdu jak gdyby nigdy nic. Żałowałem, że nie mam przy sobie kapelusza, który mógłbym nasunąć na oczy, albo innej kurtki niż ta, w której byłem na komisariacie. Miałem nadzieję, że uda mi się po prostu nie rzucić kierowcy w oczy.

Nadzieja okazała się płonna. Nie zbliżyłem się do radiowozu na dziesięć jardów, kiedy ten nagle odpalił i odjechał z piskiem opon. Podbiegłem kawałek w ślad za nim, próbując dojrzeć kierowcę, ale SUV momentalnie wmieszał się w ruch, skręcił za róg i tyle go widziałem.

Ze szkoły ninja wywaliliby mnie po zajęciach organizacyjnych. Wróciłem do Annalise i siadłem przy stoliku.

– Gdzie byłeś? – spytała. Kelnerka podała nam jedzenie.

– Obejrzeć auto.

Annalise warknęła coś niezrozumiale. Wzięła mój talerz, zgarnęła cały filet i połowę moich paluszków rybnych, resztę litościwie zostawiła dla mnie. Rękami posługiwała się ostrożnie i delikatnie, ale twarz miała niewzruszoną. Ośmieliłem się zabrać jej tosta.

Jedliśmy powoli, zabijając czas. Nie odzywaliśmy się. Annalise spoglądała czasem na ulicę, a ja kupiłem w kiosku jakiś dziennik z Seattle i poszukałem wzmianki na swój temat. Bogu dzięki, nic nie znalazłem. W czasie gdy czytałem, Annalise zamówiła kolejną porcję ryby. Nie pytałem, czy pomaga.

W końcu wybiła godzina otwarcia sklepu mięsnego. Kupiliśmy pięć wołowych polędwic, które rzeźnik zawinął w jedną niemałą pakę. Ważyła dwadzieścia pięć funtów i oczywiście ja musiałem ją nieść.

Kiedy zameldowaliśmy się w motelu, Annalise zahaczyła o recepcję. Podążyłem za nią.

W dyżurce siedział ten sam nerwowy mikrus, którego zauważyliśmy, kiedy bracia Dubois szperali w naszych rzeczach. Rozdziawił usta na widok wielkiej paki owiniętej przesączonym krwią papierem pod moją pachą. Chciał zadać pytanie, ale Annalise mu na to nie pozwoliła.

– Były jakieś wiadomości do mnie? – spytała oschle.

Kierownik ogarnął wzrokiem biurko, zaszeleścił papierami.

– Nic – powiedział, trąc nos. – Bardzo mi przykro.

Annalise zaklęła siarczyście i zwróciła się w stronę drzwi z ewidentnym zamiarem opuszczenia biura.

– Hej – powiedziałem do niej, a ona zatrzymała się i spojrzała na mnie spode łba. – Wiesz, że on kłamie, nie?

Wydała się zaskoczona. Odwróciła się do kierownika. Gdyby zachował zimną krew, byłby się wyłgał. Zamiast tego zaczął się jąkać i protestować przekonująco jak przyłapany na kłamstwie polityk.

– Chwileczkę, przepraszam najmocniej – wybąkał. – Nie chciałbym być... tego... nieuprzejmy, ale...

Annalise wyrwała mi z rąk dwadzieścia pięć funtów poledwicy i podeszła do lady. Podniosła wołowinę nad głowę i plasnęła nią o blat jak młotem rozbiórkowym.

Drewno poszło w drzazgi. Deska złamała się w kształt litery V.

– Jezu Chryste! – kwiknął kierownik, odskakując jak oparzony. Annalise rzuciła mi mięso, a ja przyjąłem je na klatę, prawie siadając od impetu.

– Mnie będziesz kłamał? – powiedziała bardzo, bardzo cicho. Stałem za nią, ale doskonale wiedziałem, jaki ma teraz wyraz twarzy. Annalise potrafiła czasem spojrzeć na człowieka tak, jakby był czymś małym i ohydny, wręcz błagającym o zmiżdżenie pod obcasem.

Kierownik cofnął się pod samą ścianę. Miał drzwi zaraz za plecami, ale najwyraźniej o nich zapomniał. Mógłby trzymać broń w ręku, ale o niej zapomniałby również.

– Ja... tylko... – to wszystko, co zdołał wykrztusić.

– Gdzie ta wiadomość? – spytała Annalise, powoli podnosząc głos. – Ona jest do mnie.

– Ja jej nie mam – wyskamlą.

– A kto ją ma? – syknęła. – Kto ją zabrał? Able Katz? Charles Hammer?

– Co? Nie!

– To był Emmett Dubois – domyśliłem się. Kierownik wlepił we mnie wzrok, przerażony nie na żarty. – Wiadomość nadał tamten Polak, który tu kiedyś mieszkał, zgadza się? I na krótko przed jego śmiercią komisarz Dubois przyszedł tu i ją przechwycił. No nie? A może zrobił to krótko po jego śmierci?

– Ja nic nie mogę powiedzieć – wił się kierownik. – Nie rozumiesz.

– Och, rozumiem doskonale – zapewniłem go. – Boisz się o swoje życie, prawda? Ile bulisz miesięcznie braciom Dubois?

– Ja nic nie... – wyjąkał. – Nic nie mogę powiedzieć.

– Podaj liczbę. Nie chcę nic więcej. Ile?

Przeniósł wzrok na Annalise. Bał się nas, niczego jednak tak nie pragnął, jak móc się wygadać. Wszyscy tego chcemy. Wszyscy marzymy o tym, by dać upust nawarstwiającym się troskom. Dubois nieźle go nastraszył, ale Annalise i ja byliśmy pretekstem, którego potrzebował ten smutny knypek.

– Sto dolarów – wykrztusił.

– W porządku. A teraz powiedz, czy Emmett zabrał ci wiadomość przed czy po śmierci Lema.

– Powiedziałeś, że chcesz tylko liczbę. Powiedziałeś...

– Że ja nie chcę nic więcej. A nie że ona. – Kiwnąłem głową na Annalise.

Westchnął.

– Przed – powiedział.

– Tak też myślałem. Nie martw się, nikt się nie dowie, że wiemy od ciebie.

Annalise splotła ramiona na piersi.

– Co było w wiadomości?

– Nie zaglądałem – odparł kierownik błagalnym tonem. – Włożyłem ją tylko do koperty i odłożyłem dla adresata. Nie wiedziałem nawet, że to takie ważne, dopóki Emmett nie zaczął o nią pytać. Przysięgam.

– Już dobrze – uspokoilem go. – W porządku. Annalise, czy zmieniamy lokum?

– Nie – stwierdziła. – W żadnym razie.

Położyłem mięso na skraju kierowniczego biurka. Przez rozmokły, porwany papier kapął na dokumenty czerwony sok.

– No cóż – zwróciłem się do faceta. – Chyba jesteśmy na siebie skazani, panie kierowniku. Za pozwoleniem, przejdziemy na salony.

Nie dał się przekonać od razu, ale ostatecznie zgodził się zaprowadzić nas do biura za recepcją. Tak jak myślałem, miał w recepcji ukrytą kamerę. Odebrałem mu kasetę wideo, zastanawiając się, czy może na którejś z pozostałych taśm nie znaleźlibyśmy Emmetta Dubois. Gdyby tylko kierownik umiejętnie rozegrał karty, te nagrania uczyniłyby go nietykalnym.

Ale my przyjechaliśmy do Hammer Bay w sprawie ginących dzieci. W sprawie Charliego Trzeciego. Emmett Dubois wisiał mi i powiewał.

– Słuchaj – powiedziałem, chowając kasetę za pazuchą. – Tamta wiadomość była bardzo ważna. Ważniejsza, niż ci się wydaje. Przekazując ją komisarzowi, wpędziłeś mnóstwo ludzi w nie lada tarapaty.

– Kto was przysłał? FBI?

– Z byka spadłeś? Nigdy więcej o to nie pytaj. Zostaniemy tu kilka dni, a potem ruszymy dalej. Nie wychylaj się, a nic ci nie będzie. Rozumiemy się?

Wyszliśmy z biura z powrotem do recepcji. Kierownik obejrzał zrujnowane biurko i jęknął.

– Co ja żonie powiem?

– Powiedz, że przyszło dwoje ludzi podejrzanego pochodzenia i straciło cierpliwość – doradziłem. – Trzymaj się prawdy tak mocno, jak tylko się da. Nie umiesz kłamać za grosz.

Wyszliśmy z Annalise na zewnątrz. Obejrzała van. Cały nasz wywleczony z auta na parking bardach został wrzucony z powrotem do środka.

Poszliśmy do mojego pokoju. Wyjąłem Ostrze Dusz z podłogi i schowałem do kieszeni. Z miejsca poczułem się lepiej.

Rzuciłem wołowinę na stół i rozpakowałem. Odciąłem długi plaster mięsa i poszatkowałem go na drobne paski. Annalise zaczęła pakować je do ust, żuć i połykać.

– Skąd wiedziałeś, że wiadomość przechwycił Dubois? – spytała z pełnymi ustami. – I co za różnica, kiedy to zrobił?

– Kiedy komisarz spytał mnie o Karoly'ego Lema, domyśliłem się, że facet musi mieć coś wspólnego z tobą, nawet jeśli nigdy o nim nie słyszałem. Mieszkał w tym motelu, prawda?

Annalise pokiwała głową. Dokroiłem jej mięsa.

Niedobrze. Nic dziwnego, że Dubois dodał dwa do dwóch, skoro wszyscy zatrzymujemy się w tym samym motelu. Koniec końców, Lem kopnął w kalendarz, a Dubois musi prowadzić w tej sprawie śledztwo. Albo przynajmniej sprawiać pozory, że prowadzi.

– Myślisz, że zabił Karoly'ego? – spytała, przełykając.

– Ciężko stwierdzić, ale ja obstawiam, że owszem. Co Karoly w ogóle tu robił?

Nie zaspokoiła mojej ciekawości od razu. Wsunęła do ust kolejny pasek wołowiny i zaczęła żuć.

Westchnąłem.

– Mogę zgadywać, ale lepiej będzie, jak mi po prostu powiesz. Kolejna z tych twoich kukieł?

– Nie – zaprzeczyła szybko. – Moją kukłą jesteś ty. Nigdy nie miałam innej.

– Ach, jak słodko – odrzekłem. Nie żebym wiedział, czym jest ta cała kukła. – Więc w jakim celu tu przyjechał? Sprawdzał miasto?

– Właściwie tak – odrzekła. – Towarzystwo ma za mało członków, żeby przydzielić jednego do każdego odnotowanego przypadku, więc czasem posyłamy śledczych, żeby dowiedzieli się, co i jak. Hammer Bay... – zawiesiła głos.

Zjadła kawałek mięsa. W rozmowie z niektórymi ludźmi można było wiele ugrać ciszą. Wystarczyło, że zapadła, a zaraz czuli potrzebę, żeby ją czymś wypełnić. W przypadku Annalise ta sztuczka zawodziła. Przywykła do ciszy.

– Hammer Bay co? – ponagliłem.

– Hammer Bay już wcześniej sprawdzaliśmy – dokończyła. – Nigdy nie zaszła potrzeba przeprowadzenia akcji, ale mieliśmy w tym miejscu ludzi.

– Z jakiego powodu zostali tu wysłani?

– Wtedy chodziło o sukces firmy zabawkarskiej. Nagłówek w gazecie brzmiał chyba: „Firma zabawkarska osiąga sukces wbrew wszelkim prognozom”, czy coś w ten deseń. Mam w vanie wycinek z gazety. – Wzięła kolejny kawałek wołowiny, połknęła w całości. – Badamy wiele takich spraw: rozkwitający znienacka biznes, który powinien był upaść, a jednak przynosi niebywałe zyski. Bogacący się z dnia na dzień ludzie. Zwycięzcy na loterii.

– Na loterii? Naprawdę?

Wzruszyła ramionami.

– W okolicy wciąż wiszą zaklęcia szczęścia. W większości przypadków już nie działają, ale rzuca się je zwykle w związku z jakąś loterią.

W głowie gromadziły mi się pytania bez odpowiedzi, ale zanim zdążyłem któreś zadać, Annalise podjęła:

– Sto dolców to przecież niedużo. Skąd w ogóle wiedziałeś o haraczu?

– Kucharz w tamtej knajpie mówił coś o wielu ubezpieczeniach, przez które pójdzie z torbami. No i bracia Dubois nie woziliby się takimi furami za policyjną pensję. Ale gdyby przesadzili, w końcu ktoś powiadomiłby

policję stanową albo nawet FBI. Sto dolarów miesięcznie irytuje, ale nie na tyle, żeby wojować o nie z lokalnymi watażkami. Tylko że jak ściągasz stówę miesięcznie z dwudziestu, trzydziestu miejsc... Ziarnko do ziarnka.

– Prawda.

– Zauważyłaś coś dziwnego w tym ogniu w Hammer Bay Toys? – zmieniłem temat.

– To znaczy poza tym, że zionęło nim stado biurw po menopauzie?

Prychnąłem śmiechem. Poczujęm, jakbyśmy nawiązali nic porozumienia.

– Nie chodzi tylko o to – podjąłem. – Kiedy płomień szedł w moją stronę, naszło mnie uczucie, jakby to się już kiedyś zdarzyło. Rozumiesz? Tak jakbym wpatrywał się w ogień płonący zaraz przy mojej twarzy, a jednocześnie widział ten ogień dawno temu. Coś takiego.

– Jakbyś czuł żar i jednocześnie go pamiętał – odpowiedziała Annalise.

– Dokładnie.

– Ja czułam to samo, stojąc przy tamtym chłopcu, Justinie. Miałam wrażenie, że ogień dosięgał mnie, a jednocześnie jakoś zachodził z boku. – Wpatrywała się w dłonie, poruszając nimi ostrożnie. Wyglądały na sprawne, ale gdyby przestały boleć, już by nie jadła. – I nie tylko w tamtym momencie. Ogień jakby zaatakował mnie w przeszłości. Jakby cofnął się w czasie i buchnął we mnie, kiedy byłam zaledwie dzieckiem, zanim pojawił się w moim życiu Eli, zanim nałożono na mnie osłony.

Zapisałem sobie w pamięci imię Eli.

– Mówisz, że zaatakował cię w przeszłości, aby zranić w teraźniejszości? Czy to w ogóle możliwe?

– Skoro się wydarzyło – wzruszyła ramionami – znaczy, że możliwe.

– Ale czy w takim przypadku nie czułabyś tego całe życie? Nie pamiętałabyś, że cierpiałaś na jakiś chroniczny ból?

Machnęła ręką na moje wątpliwości, wrzuciła do ust kolejny pasek wołowiny i mówiła dalej z pełnymi ustami:

– Zgaduję tylko, nie mówię, że ogień mnie poparzył, kiedy byłam małą dziewczynką z bijakiem maselnicy w garści. Mówię, że zaatakował mnie z przeszłości. A może z przyszłości. Nie wszystko doświadcza czasu i przestrzeni tak jak ludzie. Niektórzy drapieźcy potrafią być bardzo osobliwi.

– Bijakiem maselnicy?

– Jestem starsza, niż wyglądam, pamiętasz?

Przypomniałem sobie. Wyglądała na jakieś dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata.

– Ale bliżej ci do *Domku na prerii* czy *Rycerza króla Artura*?

Pokręciła głową i odwróciła wzrok.

– Krój dalej.

Zdawało mi się, że wychwyciłem w jej głosie nutkę rozbawienia.

Nie byłem pewien, co dokładnie zmieniło się między nami, ale cieszyło mnie, że się zmieniło. Nie tylko dlatego, że nie byłem zachwycony perspektywą śmierci z ręki Annalise, choć skłamałbym, mówiąc, że była to kwestia pozbawiona znaczenia. Prawda jest taka, że chciałem, abyśmy grali w jednej drużynie. Z pewnością wiedziała o magii więcej, niż ja będę wiedział kiedykolwiek, i potrafiła się sobą zająć.

Miała moc. I muszę przyznać, ta moc mnie pociągała. Wabiła mnie. Chciałem być w pobliżu, a może i wyssać jej nieco dla siebie.

Próbowałem wyobrazić nas sobie za trzydzieści lat, kiedy ja zbliżę się do sześćdziesiątki i wciąż będę jej kierowcą. Czy ona nadal wyglądałaby tak jak teraz? Jeśli tak, to pewnie ja prezentowałbym się jak jej ojciec.

Chyba że sprawiłaby, żebym przestał się starzeć.

Nie. Otrząsnąłem się z tej myśli. Annalise nie powiedziałałaby mi nawet, z kim gadała przez telefon. A już na pewno nie podzieli się ze mną tajemnicą własnej długowieczności.

Nie miałem zamiaru marnować czasu na sny na jawie o czymś, co nigdy się nie stanie. Takie coś potrafi zatruć człowiekowi życie.

A jednak...

Spojrzałem na nią znowu. Była taka drobna. Zdjęła kurtkę, więc doskonale widziałem jej wytatuowane ramiona wystające z krótkich rękawków bluzki. Tak chude, że aż mdliło. Wyglądała, jakby usychała. Gdy podnosiła do ust kolejny pasek wołowiny, cienkie mięśnie pod jej skórą poruszyły się w tę i z powrotem. Łokcie wyglądały jak supły na linie.

Była chuda już wtedy, kiedy ją poznałem, ale teraz wyglądała gorzej niż kiedykolwiek. Obawiałem się, czy aby regeneracja nie spala jej mięśni.

Jak długo jeszcze potrwa ten ból rąk? Czy Annalise będzie musiała pochłaniać wołu codziennie przez następne stulecia?

Jeśli ogień atakował ją zarówno z przyszłości, jak i przeszłości i jeśli zawsze umiał się obronić przed środkami, którymi próbowała mu

przeciwdziałać, to istniała możliwość, że nigdy się od niego nie uwolni.
Chyba że da się zabić.

Annalise odchrząknęła.

– Coś ci opowiem – powiedziała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zamieniam się w słuch – odrzekłem. Nie przestawałem kroić mięsa, choć już prawie nic nie zostało.

– Dawno temu, zanim jeszcze zaczęto spisywać historię świata, istniał pewien potężny czarodziej. Nikt nie władał wówczas większą mocą od niego, był Pierwotnym i Śniącym, a jego moc była olbrzymia. Z historią u mnie na bakier, wyleciało mi z głowy jego imię. Nazwijmy go Simon. No więc Simon żył w wielkim pałacu w górach. Wokół roztaczały się żyzne pola i wioski, wielu chłopów pracowało dla niego w pocie czoła i słono płaciło za przywilej uprawiania jego ziemi. Dzisiaj nie nazwalibyśmy go dobrym człowiekiem, ale wówczas chyba nim był. I chronił swoich ludzi. Po drugiej stronie gór mieszkał inny czarodziej, imieniem Thomas. Nie był tak potężny jak Simon, ale i tak władał niemałą mocą. Pewnego dnia przywołał drapieźców. I to mnóstwo. W tamtych czasach czarodziejów obowiązywała reguła „żyj i pozwól żyć”, ale Thomas zaczął działać Simonowi na nerwy. Jego drapieźcy zabijali bowiem chłopów Simona, zmieniali ich w wampiry i inne gówna, a czasem nawet porywali ich, żeby dla niego pracowali. No to Simon się wkurzył, nie? Wysłał do Thomasa wiadomość: opuść moje ziemie, zostaw w spokoju moich chłopów i pozbądź się drapieźców. Thomas, rzecz jasna, odmówił. Odpowiedział, że potrzebuje drapieźców, by go chronili, i że on sam nie robi nic złego. Jeśli któryś z jego stworów zapaścił się przypadkiem na ziemię Simona, on nic nie może na to poradzić. Jednak obiecał przychylić się do prośby Simona

i wynieść się z gór wraz z drapieżcami, jeśli tylko będzie mógł zabrać ze sobą jego księgę czarów. Simon natychmiast postanowił zabić Thomasa.

Zorientowałem się, że przestała jeść, podczas gdy ja kroilem dalej i układałem z pasków wołowiny coraz wyższy stosik.

– Simon – ciągnęła – zebrał do kupy kilka swoich zaklęć i wyruszył w drogę. Jego ziemie były zniszczone, ludzie rozproszeni. Dotarłszy do krainy, którą władał wróg, przystąpił do walki. Simon był co prawda potężny, ale nie mógł się przedrzeć przez zastępy drapieżców, huragromów, cienioszponów, najprzeróżniejszych, nie wspominając o jego własnych opętanych przez Thomasa chłopach i tych, których przemienił w wampiry. Odpierały jego ataki trzykrotnie, a on za każdym razem rzucał coraz więcej zaklęć. Zrozumiał, że nie dorwie Thomasa w ten sposób, zapadł więc w lasy, gdzie ściął kilka topoli, po czym powiązał je ze sobą. Zaczarował je, żeby chodziły jak ludzie i machały rękami, jakby próbowały atakować. Kiedy już zrobił wystarczającą ilość drewnianych kukieł, rzucił je na zastępy Thomasa. Drapieżcy runęli na nie całym rojem i zniszczyli wszystkie, jakie udało im się znaleźć. Dzięki zamieszaniu Simon zdołał zakraść się do pałacu przeciwnika i stanąć z nim twarzą w twarz. Thomas nie miał szans w otwartej walce.

Pokroiłem całe mięso. Leżało w zasięgu Annalise, gdyby tylko nabrała ochoty. Wytarłem Ostrze Dusz gazetą, w którą owinięta była wołowina, ale resztki i tak pozostały. Kiedy rzuciłem je na stół, wciąż było wilgotne od mięsa.

Nie patrzyłem na Annalise, tylko na stertę pociętej wołowiny.

– Simon – kontynuowała opowieść – nigdy nie był członkiem Towarzystwa Dwudziestu Pałaców, ale wśród założycieli znalazł się jego uczeń i dziedzic. Ten dziedzic podzielił się taktyką drewnianych kukieł z resztą Towarzystwa. Wciąż ją stosujemy.

I to był koniec opowieści.

To dobry moment, pomyślałem, by powiedziała: „Rozumiesz, Ray?”, „Przykro mi, Ray” albo „W twoim przypadku może być inaczej, Ray”. Ale nie powiedziała już nic więcej. Zamiast tego zaczęła żuć kolejny kawałek mięsa.

– Przepraszam na moment – bąknąłem i wyszedłem.

Świeże, słone, orzeźwiające powietrze. Głupek, głupek, głupek. Co ze mnie za idiota, że się nie domyśliłem?

Najgorsze było to, że zgłosiłem się do tej roli na ochotnika. Sam poprosiłem ją o pracę. Wtedy nie rozumiałem, że będę robił za wabik, za mięso armatnie, po prostu poprosiłem o zajęcie.

Spytała, czy będę jej drewnianą kukłą, a ja powiedziałem, że tak. Nigdy nie wyjaśniła mi, co to dokładnie znaczy. Wykiwała mnie.

Gówno prawda. Blefowałem od momentu, kiedy ją poznałem, celowo sprawiałem wrażenie, jakbym wiedział więcej, niż wiem. Kłamałem też w innych kwestiach, wszystko po to, by ocalić przyjaciela. Tkwiłem w gównie po same uszy, i to na własne życzenie.

Stałem się wabikiem. Nikim niezastąpionym. Poświęciłem swoją przyszłość, by ratować kogoś, kogo i tak zmuszony byłem zabić. Szlag.

Tok myśli zatrzymało pojawienie się po drugiej stronie ulicy znajomego escalade.

Tym razem, pomyślałem, nie uda mi się podkraść tak łatwo. Będę musiał okrążyć ze dwa budynki, żeby znaleźć się za samochodem.

Wróciłem do pokoju i spytałem Annalise, czy ma może drugi talizman badający stężenie magii. Wyjęła go z torby i podała mi bez słowa.

Podniosłem drewnienko pod wpadające przez okno światło. Talizman jakby płonął, znaki zamierały na chwilę i zmieniały barwę na srebrną, po czym wracały do czerni, obracając się z wolna.

Przyłożyłem drewnienko do tatuaży na wierzchu dłoni. Wykrywszy magię, talizman zajaśniał srebrzystą poświatą, ale po chwili przyzwyczaił się do mojego dotyku i wrócił do zwykłego trybu. W pobliżu nie znajdowało się obecnie żadne silne pole magiczne.

Wziąłem Ostrze Dusz, wyczyściłem na glanc w zlewie i wsunąłem do kieszeni, a potem zostawiłem Annalise samą w moim pokoju. Nie miał tylnego wyjścia, ale głowę dam, że kierownik nie pogniewa się, jeśli wyjdę przez biuro. Później skręcę w boczną uliczkę i w ten sposób znajdę się za escalade.

Tylko tym razem, postanowiłem, uda mi się podejść na tyle blisko, żeby sprawdzić stężenie magii talizmanem. Jeśli to Charles Hammer nas obserwował, talizman pewnie wybuchnie jak fajerwerk.

Kierując się w stronę biura, główkowałem, jak skłonić Annalise, by zwolniła mnie z przysięgi. Gdybym załatwił Charlesa Hammera solo – albo może znalazł lek na jej poranioną rękę, albo rozgryzł, co tak naprawdę

dzieje się w Hammer Bay – to może pozwoli mi wrócić po wszystkim do domu.

Albo awansuję na kukłę blaszaną.

Na motelowy parking wtoczył się biały samochód dostawczy. Był to dodge, wyglądający do złudzenia jak auto Annalise, tylko że nowszy i z dwoma poobijanymi drabinami zamocowanymi na dachu. Otworzyły się tylne drzwi.

W środku klęczał kumpel Floyda, ten z aparycją hydrantu. Wycelował we mnie oberżniętą trzydziestkęósemkę.

– Co jest, doktoru? – rzucił z jadowitą wesołością. – Ten jest nabity.

Zobaczyłem, że za nim czai się w wozie jeszcze dwóch typów. To znaczy umysł zarejestrował, że tam są, ale oczy nie mogły odkleić się od tej choleralnej spluwy.

– Napity, mówisz? Zawinęliście o monopolowy? – spytałem głosem o wiele spokojniejszym niż ja sam w tej chwili.

– Wskakuj. Ktoś chce cię poznać.

Wszedłem do samochodu. Zatrzasnęli drzwi, a ja zacząłem kombinować. Wszyscy mieli na sobie obuwie robocze. Spojrzałem Hydrantowi w oczy.

– Georgie – rzekłem – jeśli Henstrick chce ze mną pogadać, to czemu do mnie nie przekręci? Wpadłbym z rozkoszą.

– Znasz moje imię, co? – spytał Georgie i uśmiechnął się. – Ale wszystkich rozumów nie pozjadałeś.

Van wytoczył się z parkingu, a ja rzuciłem okiem po dwóch towarzyszach Hydranta. Obydwaj mieli w rękach nieprzyjaźnie wyglądające noże myśliwskie. Gdybym pozjadał te rozумы, pomyślałem, tobym tu nie wlażł.

– Zabierzcie mu portfel – polecił Georgie.

Jeden z dwójki, ten z fryzem na trepa i ciemnymi worami pod oczami, przytknął ostrze noża do mojej szyi. Drugi nie ruszył się ze swojego miejsca. Trep wyjął mi portfel z kieszeni.

– Raymond Milman Lilly – przeczytał. – A tutaj trzy dychy Floyda. – Wyjął kasę z portfela i wcisnął do kieszeni na piersi.

– Floyd to mój kumpel – powiedział Georgie. – Nie podoba mi się, jak go urządziłeś.

– Naprawdę? To czemu odwróciłeś się i czmychnąłeś, kiedy ja spuszczałem mu wpierdziel?

Georgie nie złapał się na moją przynętę.

– Warunki były niesprzyjające. Teraz są.

– No pewnie.

Trep wyjął mi z kieszeni drewniany talizman. Wszyscy spojrzeliśmy na niego. Wzór drgał spokojnie, tak jak zawsze. Ci kolesie nie roztaczali żadnej magicznej aury.

Gapili się na talizman jak oczarowani. Napiąłem mięśnie, gotując się do skoku na Georgie'ego, ale przeczuł moje zamiary i wycelował mi splot między oczy.

– Tylko spokojnie – wyrzekł cicho.

– Ty, kurde – powiedział ten trzeci, wciąż gapiąc się na talizman. – Fajne.

Trep potarł wzór palcem i zaraz go cofnął.

– Mrowi – powiedział. – Jak toto działa?

– Tajemnica handlowa – powiedziałem. – Chcemy przekonać Hammer Bay Toys, żeby produkowali i sprzedawali takie coś ze swoim logo.

Trep wzruszył ramionami i położył talizman obok, najwyraźniej zapominając, że Georgie trzyma mnie na muszce. Znowu zaczął grzebać mi po kieszeniach, a ja poczułem, że nacisk ostrza na moją tętnicę szyjną rośnie.

– Jak tam z tyłu? – zawołał kierowca.

– Wszystko gra – odparł Georgie. – Daleko jeszcze?

– Jesteśmy w połowie drogi.

Skręcił ostro w prawo. Trep stracił równowagę i skaleczył mnie nożem.

– Uważaj, co? – warknąłem na niego. Odsunął nieznacznie nóż. Poczułem płynącą po skórze kroplę krwi, ale wiedziałem, że to nic poważnego.

– Sorry – wyrwało się Trepowi. Wyjął mi z kieszeni Ostrze Dusz i podniósł do światła. Obejrzel je. Dla nich był to jedynie owinięty taśmą kawałek zalaminowanego papieru. Ja wyczuwałem, że jest magiczny, oni najwidoczniej nie.

– Co to ma być? – spytał Georgie.

– To tylko kawałek papieru – powiedziałem, wystawiwszy rękę. – Rzuć mi.

Sięgnąłem po zakłęcie i przywołałem je. Wystrzeliło z ręki Tropa, tnąc go po palcach. Jak zwykle przeszło przez ciało, jakby wcale nie spotkało go

na swej drodze.

Nóż myśliwski odsunął się od mojej szyi na dobre kilka cali. Ostrze Dusz odwaliło na Trepie kawał dobrej roboty. Cisnąłem zaklęciem, kiedy tylko je złapałem.

Zdołałem zaskoczyć Georgie'ego, ale tylko o włos: Ostrze Dusz weszło dokładnie tam, gdzie chciałem, i przecięło spust dokładnie w momencie, w którym Georgie zaczął go ściągać. Rewolwer nie wypalił, a chwilę później usłyszałem, jak fragment spustu dzwoni o metalową podłogę vana.

Do tego czasu zdążyłem już przywołać zaklęcie z powrotem do ręki i chlasnąłem nim Georgie'ego przez udo, rozcinając spodnie.

Obróciłem się do Trepa, który klęczał zgięty wpół na podłodze. Ewidentnie stracił ochotę na szperanie mi po kieszeniach. Dla pewności jeszcze raz ciąłem go Ostrzem przez ramię. Miejsce nie miało znaczenia – każda trafiona żywa istota zawsze reagowała tak samo.

Georgie i Trep osunęli się na podłogę, jakby zemdleli. Trzeci drab ruszył na mnie, celując nożem myśliwskim w miejsce, gdzie Trep utoczył mi kroplę krwi.

Rzuciłem w niego zaklęciem, zbijając cios tatuażem na przedramieniu. Ostrze Dusz zanurzyło się w jego klatce piersiowej.

Mężczyznę raptownie opuściły siły, ale pchany mocą bezwładności nóż wciąż zmierzał w moją stronę. Spóźniłem się z gardą i poczułem, że ostrze tnie nieosłonięte tatuażem ramię.

Facet zwałił się na mnie z impetem. Sięgnąłem po Ostrze. Jeśli przeszło przez ścianę pojazdu i wypadło na zewnątrz, przywołanie go do siebie może nastęrczyć sporych trudności. Ale w żadnym razie nie miałem zamiaru rozstawać się ze swoją jedyną bronią.

– Cholera, co jest? – usłyszałem głos kierowcy. Zamknąłem oczy i skupiłem się.

Ostrze wleciało z powrotem do vana, wycinając szczelinę w ścianie i wpuszczając do środka smużkę światła.

Auto gwałtownie zakręciło i stanęło. Jednego z drabów zarzuciło, przewrócił mnie i przyszpilił do podłogi.

Kierowca tymczasem odpiął pasy. Usłyszałem, jak otwiera skrytkę przed siedzeniem pasażera. Nie próbowałem wydostać się spod ciała. Nie było czasu. Przerzuciłem Ostrze z unieruchomionej ręki do wolnej dłoni.

Kierowca zwrócił się ku mnie z pistoletem w ręku. Kolejną trzydziestkąósemką.

Gdybym nie leżał pod jednym z jego koleżków, trafiłby bez trudu. Miał mnie na muszce, ale na drodze pocisku stał, a właściwie leżał, jego kumpel. Kierowcy nie zasłaniał jednak nikt, toteż rzuciłem Ostrzem.

Próbował je odbić, ale chybił; weszło w niego tuż nad pępkiem, a gdy tylko zniknęło mi z widoku, przywołałem je po raz kolejny. Zakłęcie wróciło jak bumerang, dziurawiąc kierowcę drugi raz. Padł na ziemię, a ja złapałem swoją broń. Uprzytomniłem sobie, że nigdy wcześniej nie próbowałem tej sztuczki. Ale to było dobre.

Zwaliłem z siebie bezwładne ciało i wstałem na nogi. Wszyscy czterej wciąż żyli, ale oczy mieli błędne i osowiałe. Pozbawiłem ich noży, Georgie'emu i kierowcy zabrałem rewolwery. Obydwa były identyczne jak ten, który odebrałem Floydowi przed barem. Może pracownicy budowlani w miasteczku kupowali je hurtem przez eBaya.

Georgie spojrział na mnie szklistymi, życzliwymi oczami.

– Przepraszam, że byłem dla ciebie niedobry – wymamrotał. – Sam nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Ja się nie gniewam – odparłem. Ostrze Dusz nie tylko drenowało człowieka z sił, ale i z agresji.

Sprawdziłem rany na szyi i bicepsie. Tę na szyi ciężko nawet było nazwać zadrapaniem, już nie krwawiła. Tej na ręce przyda się kilka szwów, powstała niebezpiecznie blisko tętnicy.

Zabrałem im portfele. Łącznie znalazłem w nich zawrotną kwotę trzydziestu siedmiu dolarów. Czegóż się spodziewać w dobie karty kredytowej. Ponownie roztoczyłem też opiekę nad pieniędzmi, którymi „zapłacił” mi Floyd. Tym razem nie zawracałem sobie głowy dowodami osobistymi.

– No dobra, ćwoki – powiedziałem, a oni wlepili we mnie wilgotne, łagodne oczka. Wycelowałem w nich z rewolweru. – Ustawcie się na kolanach przy bocznych drzwiach.

Zrobili, jak kazałem.

– Ręce płasko na ziemi. Jedna obok drugiej.

Przepychali się ślamazarnie i tręcali, próbując ustawić we właściwej pozycji, jak wieprzki przy korycie.

– Tak mi przykro – bąknął Trep. – My tylko...

– Zamknij się lepiej – uciałem. Wsunąłem Ostrze Dusz do kieszeni i podniosłem zniszczony rewolwer. Odgiąłem cylinder i wysypałem naboje. Podniosłem też talizman Annalise i włożyłem go do kieszeni. – Kluczyki?

– W stacyjce – odpowiedział kierowca.

– Co mieliście ze mną zrobić?

– Zawieźć do Loczka, Phyllis chciała z tobą pogadać.

– Phyllis?

– Phyllis Henstrick. Do niej należy lokal i firma budowlana.

– O czym niby chciała ze mną pogadać?

– Nie powiedziała.

Przez całą rozmowę wszyscy klęczeli na czworakach niczym owce i patrzyli jak jeden mąż na lufę pistoletu w moim ręku, nie mogąc odwrócić wzroku.

– Myślę – odezwał się Georgie – że o tym przerwaniu produkcji do bambusów.

No tak, pomyślałem.

– Dobra, chłopaki – rzekłem cicho. – Życie czy śmierć?

Georgie pojął w lot.

– Życie – powiedział, a pozostali przytaknęli.

– Dobrze – powiedziałem. – Wyjadę z miasta za kilka dni, mam nadzieję. Do tego czasu nie chcę widzieć żadnego z was. I teraz mam zamiar upewnić się, że nie zobaczę. Nie ruszać się. Jeśli ktokolwiek ruszy choć palcem, uznam, że zmienił zdanie.

Obróciłem rewolwer, chwytając jak maczugę.

– Proszę – załkał Trep. – Nie rób tego.

– Będzie bolało – uprzedziłem, dając dość do głosu wściekłości. – Ale nie tak bardzo jak kula w bebechy.

Przyładowałem każdemu kolbą w dłoń, mierząc w kłykcie palców wskazujących.

Nie było to zbyt mądre; najmądrzej byłoby ich po prostu pozabijać. Ale nie chciałem, żeby zastrzelili mnie jutro z przejeżdżającego obok samochodu. Musiałem jakoś wykluczyć ich z gry, a temu, kto pociągał za sznurki, dać do zrozumienia, że lepiej ze mną nie zadzierać. Połamanie im palców było wyjściem najbardziej miłosiernym.

Przeklinali i piszczeli, jakbym sprawiał im lanie. Kiedy skończyłem, rozsunąłem drzwi furgonetki.

– Koniec zajęć – powiedziałem.

Mężczyźni kucnęli na ulicy, mrugając oczami w mżawce, z ramionami przyciśniętymi na piersi, jak ja przed barem Sary. Wsiadłem do samochodu i zatrzasnąłem drzwi.

Kluczyki tkwiły w stacyjce. Położyłem oba pistolety na kolanach, odpaliłem silnik i wmieszałem się w ruch na jezdni.

Na pierwszym czerwonym świetle wziąłem do ręki rewolwer kierowcy, po czym za pomocą Ostrza odciąłem mu spust i uszkodziłem cylinder. Rzuciłem bezużyteczną broń na tyły samochodu. Rewolwer Georgie’ego był już zniszczony.

Miałem powody, by nie przepadać za bronią palną.

Bezwiednie otworzyłem skrytkę i zajrzałem do środka. Moja ciekawość została nagrodzona kopertą, w której znajdowało się pięć banknotów pięćdziesięciodolarowych.

Wreszcie jakiś pozytyw.

Irytowało mnie nieustające krwawienie z rany na rękę. Musiałem coś z nim zrobić. Wyjąłem z kieszeni mapę turystyczną i poszukałem jakiegoś szpitala. Rozglądając się po okolicy, skierowałem się ku skrzyżowaniu dwóch głównych ulic w mieście. Najbliższy szpital znajdował się kawałek na wschód. Skręciłem, potem znowu.

Byłem zaledwie dwie ulice od szpitala, gdy zauważyłem logo McDonald’s. Pół porcji paluszków rybnych i tost już dawno spaliłem, stanąłem więc przy wjeździe do drive-thru. Jeśli już miałem czekać na izbie przyjęć, równie dobrze mogłem zabrać ze sobą lunch.

A drewniane kukły nie muszą zaprzątać sobie głowy cholesterolem.

Zamówiłem największego i najbrzydzliwszego burgera, jakiego mieli, do tego frytki i shake. Raz się żyje. Kiedy zatrzymałem się przy drugim okienku, wychyliła się z niego śliczna nastolatka z buzią upstrzoną piegami.

– Cześć, wujek Ethan! – wyszczebiotała, ale zmitygowała się na widok nieznajomej twarzy i rozdziawiła usta w zaskoczeniu.

– Cześć, obca dziewczyna! – odpowiedziałem.

Zapłaciłem jej kasą Georgie’ego, a ona dała mi jedzenie.

– To auto przypomina auto mojego wujka – rzekła po chwili.

– Mówisz? Dziwne.

Postawiłem torbę z jedzeniem na siedzeniu i podjechałem na pogotowie.

Ku mojemu zaskoczeniu byłem jedynym pacjentem w poczekalni. Ku mojemu jeszcze większemu zaskoczeniu lekarz orzekł, że nie trzeba zakładać szwów. Przemył i odkaził ranę, zasklepił ją jakąś mazią i owinął bandażem. Kosztowała mnie ta przyjemność równe trzysta dolców. Całe szczęście, że kupiłem tylko jeden shake. Rachunek uiścił wujek Ethan, zostawiając mi w kieszeni jakieś sześć dolarów. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Podziękowałem pięknie i ruszyłem w stronę drzwi wyjściowych sprawdzić, co z vanem. Stałem w miejscu, widząc przez szklane drzwi jadącego powoli przez parking escalate. Odsunąłem się od szyby. SUV okrążył furgonetkę wujka Ethana, po czym zniknął za rogiem budynku.

Ruszyłem przez szpital tak szybko, jak to możliwe bez rzucania się w oczy. Skoro już tu byłem, chciałem zajrzeć do Harlana Semple'a. Ale to będzie musiało poczekać.

Mijałem puste korytarze. Przez moment miałem wrażenie, że się zgubiłem, ale wtedy przeszedłem przez podwójne drzwi i znalazłem się w magazynie pełnym plastikowych rurek w foliowych torebkach i stojaków na kroplówkę. Ulżyło mi; puściłem się biegiem na tyły magazynu, gdzie wiedziałem, że znajdę bramki do wyładowywania samochodów dostawczych.

W jednej z nich stała tyłem ciężarówka, a obok cofał się do innej osiemnastokołowy tir. Jakiś facet w dżinsach i koszulce polo zawołał, że wstęp tylko dla personelu. Pobiegłem dalej, zeskakując z rampy na ulicę, a stamtąd na chodnik po drugiej stronie.

Na ulicy pustki, escalate nigdzie w zasięgu wzroku. Ogarnąłem spojrzeniem wyjazd z parkingu. Tam również czysto.

Chwila moment. Tam. Zza węgła wysunął się escalate, a potem stanął, jakby kierowca się rozglądał. Przycyaiłem się za wysokim żywopłotem, wpadając nieopatrznie na znak stopu.

Pojazd zwrócił się ku wyjazdowi i toczył w stronę mojej kryjówki. Obserwowałem go z krzaków, próbując dojrzeć twarz kierowcy. Nie byłem w stanie, bo widok przez przednią szybę przesłaniało odbicie zasnutego chmurami nieba. A jednak czułem w kościach, że za kierownicą samochodu siedział nie kto inny, jak Charles Hammer.

Auto zatrzymało się przed linią stopu. Wiedziałem, że kierowca zwróci głowę w lewą stronę, aby upewnić się, że ma wolną drogę, toteż nie tracąc

ani chwili, wyskoczyłem z za krzaków, szarpnąłem klamkę od drzwi pasażera i wskoczyłem do środka.

– No witam – powiedziałem.

Zaskoczony kierowca pisnął, a mnie przez ułamek sekundy uderzyła myśl, że Charles Hammer wyglądał za kierownicą na o wiele niższego niż tamtego dnia w biurze.

Stało się oczywiste, że osoba za kółkiem to nie Hammer. Była nią elegancko ubrana, ciemnowłosa kobieta. Miała szeroką, proporcjonalną, śliczną twarz i włosy za ucho; nogi przyjemnie ukształtowane nieprzetrenowanymi mięśniami. Ocenilem ją na jakieś trzydzieści lat.

A ja wskoczyłem jej do auta jak... jak złodziej samochodów.

– Aaa! – wrzasnęła. – Ja... znaczy...

– Masz do mnie sprawę, no nie? – spytałem bez ogródek.

Zerknęła ukradkiem na telefon komórkowy w pokrowcu obok radia.

– Chcesz zadzwonić po policję? Nie krępuj się. To doskonały pomysł.

– Posłuchaj – powiedziała wtulona w drzwi po swojej stronie, z ręką cał po calu coraz bliżej klamki. – Przepraszam, że tak cię śledzę. Spotkałeś mojego brata i...

– Brata?

– Charlesa Hammera. W Hammer Bay Toys.

Potwierdziłem skinieniem. Teraz dostrzegłem podobieństwo.

– Chciałam z tobą pomówić.

– Więc czemu odjechałaś, kiedy szedłem wtedy w twoją stronę?

– Bo wtedy jeszcze nie byłam pewna. Podjęłam decyzję dopiero dziś rano.

Położyła rękę na klamce i wyglądała, jakby w każdej chwili mogła wyskoczyć z pojazdu. Zwróciłem uwagę na diamentową bransoletkę na jej nadgarstku. Była bardzo gustowna i z pewnością kosztowała więcej niż dodge wujka Ethana. Kiedy się skrzywiła, jej usta odsłoniły równe i białe jak perły zębki.

– Nieważne – powiedziałem. Zrobiło mi się gorzko na myśl, że sterroryzowałem Bogu ducha winną kobietę, która patrzyła teraz na mnie ze strachem w oczach. – Kimkolwiek jesteś, przestań za mną jeździć. Bo sobie nie życzę.

Otworzyłem drzwi i opuściłem jej samochód.

– Poczekaj! – zawołała za mną.

Znieruchomiałem z ręką na ramie drzwi, gotową, by nimi trzasnąć.

– Przepraszam. Naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Wydaje mi się, że możesz mi pomóc. Spotkajmy się pod tym adresem za godzinę, w porządku?

Podła mi wizytówkę. Nie wziąłem jej. Nie miałem zamiaru opóźnić poszukiwań Charlesa Hammera.

Chyba że jego siostra pomogłaby mi go znaleźć.

– Proszę? – dodała.

Wzruszyłem ramionami i przyjąłem wizytówkę. Podziękowała, ponownie przeprosiła. Zamknąłem drzwi, nie trzaskając, a ona odjechała.

Na wizytówce widniało nazwisko Cynthia Hammer. Pod spodem znajdował się adres na Hammer Street. Właściwa osoba pod właściwym adresem. Obróciłem się i ruszyłem z powrotem drogą przez parking.

Bycie tanim draniem nie było już takie fajne, po tym jak dostrzegłem przerażenie w oczach Cynthii Hammer. Wróciłem do furgonetki wujka Ethana i rzuciłem kluczyki na podłogę przy pedale hamulca. Kusiło mnie, żeby wytrzeć z nich odciski palców, ale zauważyłem ślady krwi na drzwiach od strony kierowcy i dałem sobie spokój. Wujek Ethan, Georgie i ich dwóch znajomków lada moment zgłoszą się na pogotowie, żeby opatrzone im ręce. Równie dobrze mogą znaleźć auto na parkingu, nawet jeśli nie będą w stanie pojechać nim do domu.

Wszedłem do szpitala głównym wejściem i znalazłem się w recepcji. Dyżurująca tam przemiła matrona poinformowała mnie, że godziny odwiedzin właśnie się rozpoczęły. Była pierwsza po południu. Kiedy wyjawilem, że jestem przyjacielem Harlana, ale nie członkiem rodziny, powiedziała, że przed wizytą u chorego należy uzyskać pozwolenie od rodziny.

Zawołała wolontariuszkę i zamieniła z nią kilka przyciszonych słów, a ta podeszła do mnie.

– Proszę ze mną – powiedziała nieśmiało i poprowadziła nas do windy o kabinie z wypolerowanej na błysk nierdzewnej stali.

Przejrawszy się, zobaczyłem fleję w pogniecionych spodniach i porwanej, zakrwawionej koszulinie. Widok nie przypadł mi do gustu.

Po krótkiej podróży w górę drzwi windy otworzyły się, a wolontariuszka powiodła mnie holem do niedużej poczekalni, gdzie siedziała Shireen,

całkiem sama, czytając sfatygowany numer „Cosmopolitan”. Miała na sobie bluzę Washington State Cougars, lokalnej drużyny futbolowej.

– Ten pan chciałby złożyć wizytę panu Harlanowi – wyszeptała wolontariuszka. – Czy ma pani coś przeciwko?

– Nic a nic – odparła Shireen i przeniosła na mnie wzrok. – Może z tobą będzie chciał rozmawiać. Nie ma żadnej rodziny poza mną, a mimo to traktuje mnie jak wroga.

Wolontariuszka była już w połowie drogi do windy. Shireen utkwiała nos w magazynie.

– Który pokój? – zapytałem.

Rzuciła pismo na winylową kanapę, wzdychając z irytacją.

– Ten – wskazała, otwierając drzwi i wchodząc do środka.

Zanim dostrzegłem Harlana, do moich uszu dobiegł zachrypnięty głos:

– Wynocha.

– Masz gościa – zaanonsowała Shireen. – Spróbuj okazać choć minimum uprzejmości.

Harlan leżał na łóżku z rurkami wystającymi z nosa, ramion i piersi. Wydawał się jakiś mniejszy, niż pamiętałem, ale chyba największy dryblas wydaje się mały w szpitalnym łóżku. Zwłaszcza bez pistoletu.

Shireen przecisnęła się obok i wychodząc, zamknęła drzwi.

Przysunąłem krzesło i usiadłem.

Twarz miał bladą, wycieńczoną. Pewnie dobrze się tu nim opiekowano, ale jeśli człowiek nie chce żyć, nikt nie zdoła zmusić go do życia.

– Pechowy tydzień, co? – zapytałem. Harlan wydał z siebie świst, który mógł być śmiechem. Przypłacił go bolesnym spazmem. Skrzywił się. – Przepraszam, szefie. Postaram się nie żartować.

Uspokoił się, a ja podszedłem do nóg łóżka. Na ramie wisiał clipboard z wykresem pacjenta, dokładnie jak w telewizji, ale nie łapałem go ni w ząb.

– Jak idzie...? – zachrypiał Harlan.

– Jak idzie moje... – zacząłem i przerwałem, bo jedyne słowo, jakie przychodziło mi na myśl, to „śledztwo”, ale brzmiało zbyt policyjnie, jak na mój gust, i najchętniej bym je wypluł. – Do przodu – powiedziałem w końcu. – Ale w tym mieście jest straszny burdel. Przeraza mnie to, prawdę rzekłszy. Ale nie mam nic do stracenia.

Była to prawda. Znalazłem się, tak jak i on, całkiem blisko śmierci. Pomimo poważnych ran Harlana określenie, kto zbliżył się do niej bardziej, a kto mniej, nie było wcale takie proste.

– Od kiedy trwa to wszystko? – zapytałem. – To znaczy ta sprawa z dziećmi.

Harlan podniósł rękę z dwoma wyprostowanymi w geście pokoju palcami. Dwa.

– Od dwóch miesięcy? – spytałem, a on skrzywił się w odpowiedzi. – Od dwóch lat?!

Jego rysy wygładziły się. Czyli zgadłem.

Dwa lata. Chryste Panie...

– Działo się coś jeszcze poza znikaniem dzieci? Coś nietypowego albo...

Oczy Harlana zasnuła mgła. Był wykończony. W tym stanie nic z niego nie wyciągnę, męczenie go nie miało sensu.

– Dobra, odpoczywaj sobie – powiedziałem. – I trzymaj się. Jak wydobrzejesz, pomęcę cię jeszcze kilkoma pytaniami. Potrzebna mi twoja pomoc, pamiętasz?

Pokiwał nieznacznie głową. Tak naprawdę nie sądziłem, że wiele mi pomoże, ale chciałem mu dać jakiś powód, żeby wrócił do zdrowia. Opuszczając pokój, dosłyszałem jeszcze, jak z trudem nabiera powietrza.

Kiedy wyszedłem na hol, okazało się, że Shireen miała towarzystwo. Był nim niski, otyły człowiek w poplamionej koszulce i brązowych szortach, kończących się nad owłosionymi kolanami. Trzymał w ręce dyktafon. Od razu mi się nie spodobał.

– No weź, Shireen – wyjęczał irytująco błagalnym głosem. – Prędzej czy później i tak się dowiem, zobaczysz.

Twarz Shireen zastygła w niechętnym grymasie; było jasne, że nie odpowie na żadne pytanie.

Facecik zauważył mnie i jego rysy pojaśniały. Teraz miał nowy cel.

– Hej! Od dwóch dni próbuję cię złapać. Jestem Peter Lemly z „The Mallet”. Co cię łączy z Harlanem Semple’em? Czy to prawda, że przyjechałeś do Hammer Bay, żeby odebrać pracę mieszkańcom?

Gapilem się na niego bez słowa, a on podtykał mi pod nos dyktafon. Przyłożyłem usta do urządzenia i powiedziałem najwyraźniej jak umiałem:

– Łatwiej cię przeskoczyć, niż obejść, co nie?

Odsunął dyktafon, ale nie wyłączył go. Rozsierdził się z deka.

– Wiem, co z ciebie za jeden – powiedział, nieudolnie zgrywając chojraka.

– Powiadasz? Ona też – odparłem, wskazując kciukiem Shireen. – A teraz idź sobie, żebym mógł w spokoju okazać swoje współczucie rodzinie rannego.

– Jesteś więc przyjacielem rodziny?

– Nie. Jeszcze dwa dni temu nie znałem tej pani.

– A co z przetruceniem produkcji za granicę? – dopytywał.

– Pojęcia nie mam, o co ci chodzi.

Plotka była nam na rękę, dopóty pozostawała plotką. Jak tylko informacja nabierze znamion oficjalności, Able Katz zdementuje ją i pozbawi mocy.

– Myślę, że masz pojęcie. Jestem jedynym tutejszym przedstawicielem niezależnych mediów i nie dam sobą pomiatać. Sam zdobędę tę informację.

– Zwrócił się ponownie do Shireen: – Słyszysz mnie? Dowiem się sam.

– Nie będę z tobą gadać ani sekundy dłużej, Peter – rzekła, nawet na niego nie spoglądając. – Szczerze mówiąc, chyba już nigdy nie odezwę się do ciebie ani słowem. A teraz żegnam, idę do domu.

Obróciła się na pięcie, Peter ruszył za nią, ale zastąpiłem mu drogę.

– Ta pani wychodzi – warknąłem. – Nie naprzykrzaj się.

– Fiu, fiu, jaki macho – sarknął. – Rycerz na białym koniu. Pojęcia nie masz, kogo bronisz.

– O czym piszesz artykuł? – spytałem, gdyby bowiem odpowiedział, że o znikających dzieciach, połknąłbym tę żabę i postawił mu drinka. Za moje ostatnie sześć dolców.

– O korupcji w mieście – odrzekł.

– A dokładnie o... – zawiesiłem głos, a Lemly ochoczo dokończył za mnie:

– ...braciach Dubois, oczywiście. I o burmistrzu, jeśli jest w to zamieszany. I o radzie miejskiej. Całe miasto wie, co jest grane, ale nikt nie ma odwagi postawić się Emmettowi Dubois. Nikt poza mną.

Shireen zdążyła już wejść do windy na końcu holu. Drzwi zamknęły się, kryjąc jej nieszczęśliwą twarz. Już miałem porzucić swojego kompana, kiedy ten złapał mnie za łokieć.

– Czeka! – krzyknął. – Nie powiedziałeś jeszcze, po co przyjechałeś do miasta.

– Życzę powodzenia z artykułem – mruknąłem. – Mam nadzieję, że nikt przez ciebie nie zginie.

Odwróciłem się plecami z zamiarem skorzystania z windy, ale Lemly uczeplił się mnie jak rzep i zaczął zasypywać pytaniami. Bardziej niż dziennikarza przypominał przekupę na targu.

Drzwi windy rozwarły się przede mną, wszedłem do środka i odepchnąłem natarczywego interlokutora; nie przewrócił się, ale trzymał dystans już do samego parteru. W drodze na dół myślałem o swoim zachowaniu w ciągu ostatniej godziny.

Przejechałem się po mieście w kradzionym vanie, wskoczyłem obcej osobie do samochodu i napastowałem kobietę, po czym prawie pobiłem dziennikarza w szpitalu. Zwykle nie byłem tak nieostrożny i agresywny, nawet za czasów bandy Arnego. Wiedziałem, rzecz jasna, gdzie leży przyczyna. Byłem martwy. Zgodziłem się robić za mięso armatnie na wojnie Annalise. Pomimo przyjaznych gestów z jej strony obiecała dopilnować, bym zginął, i czułem, że nastąpi to niebawem.

Oparłem tył głowy o chłodną metalową ścianę. Mogłem tylko żywić nadzieję, że Annalise rozprawi się z Charliem Trzecim w mojej obecności. Chciałem widzieć, jak zabija skurwiela i bierze krwawy odwet za wszystkie te dzieci.

Nie wiedziałem, kiedy i jak wykona następne posunięcie. Czy poradzi sobie z Charliem sama, pomimo ran? A co, jeśli sobie nie poradzi?

Tę słodko-gorzką myśl przerwało zatrzymanie się windy i otwarcie drzwi. Wszedłem na korytarz i spytałem kobietę przy biurku w recepcji o kierunek na Hammer Street.

Nie widniała na mojej mapie, ale znajdowała się w głębi łądu, niedaleko od fabryki zabawek, mniej więcej na tej samej wysokości co latarnia morska. Zostawiłem wóz Ethana tam, gdzie go zaparkowałem, po czym wmieszałem się w tłum i zorientowawszy się w terenie, wybrałem kierunek marszu. Pomyślałem, że powinienem zadzwonić po Annalise; szedłem w końcu prosto na Hammer Street. Możliwe, że do domu samego Charlesa. Jeśli go tam zastanę, lepiej, żeby była ze mną. Problem polegał na tym, że nie dała mi swojego numeru, a ja nie chciałem, żeby kierownik motelu podzielił się wiadomością do niej z Emmettem Dubois.

A jeśli okaże się, że Charles Hammer Trzeci faktycznie rezyduje pod tym adresem, to czy go zabiję? Czy zdołam? Zemdliło mnie na tę myśl, ale

obstawiałem, że tak.

Powinienem sobie z nim poradzić.

Tylko czy Hammer pozostanie martwy? Ha, na to nie miałem odpowiedzi. Na razie wolałem o tym nie myśleć. Spróbuję tego dopilnować, jeśli w ogóle nadarzy się okazja. A jeśli mi się nie uda... Nie, pomyślę o tym kiedy indziej.

Kariere zawodowego zabójcy zacząłem wyjątkowo nieprofesjonalnie. O ulicę, na której mieszka moja przyszła ewentualna ofiara, spytałem wprost recepcjonistkę w szpitalu, na litość. Ale może wcale nie będę musiał zabijać Charlesa. Może istnieje inne wyjście.

Usłyszałem wrzask dziecka.

Za rogiem ulicy rozciągał się długi pas trawy. Zanim zorientowałem się, co właściwie robię, pędziłem już w kierunku, skąd dobiegał krzyk, z Ostrzem Dusz w dłoni.

Dzieciaki biegały we wszystkie strony, byle jak najdalej od tego, co znajdowało się na małym boisku do kosza. Z punktu w jego centrum strzelał w niebo słup ognia z widoczną w środku małą czarną postacią.

Puściłem się karkołomnym sprintem w stronę boiska. Ku dzieciom biegła jakaś rozwrzeszczana i monstrualnie otyła kobieta. Wtem płomienie prysły, a postać w ich centrum rozpadła się na kawałki.

Znowu to ukłucie na moich Wrotach, jakby ktoś pukał w nie szponiastym palcem.

Gruba baba stanęła jak wryta. Kilkoro dzieci, które nie zdążyły jeszcze odbiec dostatecznie daleko, stanęło również. Rodzice poczęli wołać je z powrotem.

Dotarłem na asfaltowy plac. Otyła kobieta odwróciła się i zaczęła najnormalniej w świecie iść ku ławce, z której przed chwilą wystrzeliła do płonącego dziecka. Stałem sam na linii bocznej.

Tak jak to miało miejsce w przypadku synka Bentonów, dziecko zamieniło się w masę grubych srebrzystych robaków, pełzających teraz po asfalcie, obślizgłych i odrażających. Tam, gdzie stykały się z ziemią, rozlewał się czarny, smolisty ślad.

Tego, co zrobiłem w następnej kolejności, nie umiałem logicznie wyjaśnić. Wiedziałem tylko, że muszę zniszczyć tę szarą ohydę.

Rzuciłem Ostrzem w skupisko pełzających glist. Z założenia zakłęcie nie wyrządzało większej krzywdy żywym organizmom, ale mogłem się

założyć, że robaki są stworami drapieżców z Pustek, na poły materialnymi, na poły magicznymi. A Ostrze tnie także i to, co magiczne.

Zakłęcie trafiło robaka najdalej ode mnie. Przez sekundę nic się nie działo, a następnie stworzenie implodowało i stanęło w płomieniach.

Dobrze. Zatem można je zabić.

Cisnąłem zakłęciem w kolejnego, ale na ułamek sekundy przed rzutem na grzbiecie stwora pojawiła się mała szczelina, z której buchnął język ognia. Zmieniłem kierunek ataku akurat we właściwym momencie, by uniknąć poparzenia, ale zakłęcie trafiło robaka dokładnie w tym miejscu, gdzie przed chwilą powstała szczelina.

Odsunąłem się od ognia i zakląłem skołowany. Rana pojawiła się, zanim Ostrze trafiło w cel. Wiedziałem, że to coś znaczy, ale z krwią huczącą w uszach nie byłem w stanie tego rozgryźć.

Trafione robaki dopalały się, kiedy postąpiłem krok ku spiętrzonej, sunącej w ślimaczym tempie po asfalcie masie glist i zacząłem ciąć zakłęciem te na obrzeżach. Każdy trafiony twór momentalnie zaczynał się palić, ale płomienie nie były na tyle silne, by zajęły się robaki wokoło. Może duchowy płomień, o którym wspominała Annalise, nie działał w ten sposób. Nieistotne. Kucnąłem z boku, nacinając przypadkowe glisty i trzymając się z dala od płomieni sunącej po asfalcie zwartej masy.

Kiedy już cały bok rozwleczonego w kształt kropli kłębowiska płonął, przesunąłem się dalej po obwodzie, nieustannie bacząc, by nie dotknąć żadnego z ciał i nie dać się poparzyć. Widziałem oczyma duszy, jak robaki oblażą mnie i palą, jak spaliły Annalise, ale nie poddałem się przerażeniu.

W kilka sekund cały front obłego roju płonął, wciąż sunąc powoli jak lodowiec, przecinając prostą białą rzekę linii rzutów karnych. Przeszedłem na jego drugą stronę. Nacięte przeze mnie glisty znaczyły tor smolistą plamą, ale nie wyrządzały szkody niezranionym robakom.

Nachyliłem się i ciąłem dalej, starając się żadnego nie pominąć i wypatrując sytuacji, gdy rana i ogień pojawią się, zanim Ostrze dosięgnie celu.

Krążyłem po obwodzie wokół sunącego masywu, który zdążył przebyć dziesięć, potem piętnaście, w końcu dwadzieścia stóp. Wtedy przestałem. Duchowy ogień płonął z taką mocą, że nie mogłem dostać się do wciąż nienaznaczonych osobników. Odsunąłem się od płomieni, wypatrując tych stworów, które będą próbowały wydostać się z ognia, odłączyć od roju.

Kiedy jakiegoś wypatrzyłem, natychmiast ciąłem go Ostrzem. Oddaliłem się nieco od skupiska ciał, żeby ogarnąć je wzrokiem. Niszczyłem robaka za robakiem, ale masa wciąż parła naprzód. Nie byłem w stanie jej zatrzymać.

Stałem już jedną nogą na trawie. Robali było o wiele mniej niż przedtem, może jedna dziesiąta, ale stało się jasne, że wszystkich pozabijać mi się nie uda. Kląłem w żywy kamień, starając się dorznąć jak najwięcej. W końcu znalazłem się na okalającym boisko trawniku, a z asfaltowej płyty spadały na trawę pierwsze niedobitki. Do linii ziemi dopełzło ich może jedynie tuzin i natychmiast wyryło tunele. W moim przekonaniu przy życiu pozostało ich jednak o wiele za dużo.

Popędziłem z powrotem na boisko. Skoro wpełzły pod ziemię, mogły w każdej chwili spod niej wypełznąć i zaatakować mnie od dołu.

Spojrzałem na Ostrze Dusz. Nie został na nim nawet ślad, żadnej krwi, sadzy, biologicznej mazi, nic. Był czysty jak w dniu, gdy go wykreowałem.

Rozejrzawszy się po boisku, znalazłem leżące w beładzie skakankę i bejsbolówkę. Czapka była w kolorze lawendy. Dziewczynka.

Przesunąłem wzrokiem po czarnym śladzie. Północny skraj boiska leżał w odległości dziesięciu stóp od miejsca, gdzie buchnął ogień, a jednak robaki wybrały dłuższą drogę do trawy, kierując się na południowy zachód.

Celowo obrały dłuższą, bardziej niebezpieczną trasę, byle tylko zbliżyć się do czegoś na południowym zachodzie.

Obróciłem się i popatrzyłem raz jeszcze na smolistą pręgę. Ewidentnie wskazywała na fabrykę zabawek. Na Charlesa Hammera Trzeciego.

W tym momencie zabicie go wydało mi się najważniejszą i najoczywistszą rzeczą w świecie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Resztę drogi na Hammer Street przebyłem w niejakim otępieniu. Próbowałem wyobrazić sobie twarz tamtej małej dziewczynki, która spłonęła na boisku, ale przed oczami przelatywały mi przypadkowe dziecięce twarze, wszystkie absurdalnie podobne do cherubinków rodem z barokowych kościołów. Gdyby w tamtej chwili nawinął mi się pod rękę Charles Hammer, zabiłbym go jak psa, choćbym nawet miał to zrobić przed komisariatem i na oczach czterdziestu glin, w wianuszkach telewizyjnych kamer.

Odrętwienie trzymało mnie jeszcze, gdy dotarłem na Hammer Street, która okazała się ślepą uliczką bez chodnika. Ruszyłem jej środkiem; po mojej prawej i lewej ręce wznosiły się kamienne ściany zwieńczone pióropuszcami krzewów jeżyny. Kiedy uliczka zakręciła pod górę, moim oczom ukazały się zamykające ją trzy domy.

Najmniejszy, ceglany i przyozdobiony białymi balkonami, znajdował się po stronie północnej. Kolejny, po stronie południowej, wzniesiono z nieobrobionego kamienia. Był niski, obszerny i bardzo modny czterdzieści lat temu. Okna obydwu budowli zakryto okiennicami, na zewnątrz nie paliły się światła.

Największy dom, drewniany i trzypiętrowy, którego rozległy fronton dominował nad całą ulicą, znajdował się po jej zachodniej stronie i stanowił skupisko spadowych dachów, niefortunnie dopasowanych do reszty elewacji balkonów i sterczących chaotycznie kamiennych kominów.

W oddali za budynkiem majaczył pionowy cylinder latarni morskiej. Na pierwszy rzut oka widać było, że to ten dom jest z całej trójki najstarszy i najważniejszy.

Kiedy się odwróciłem, ujrzałem przed sobą kompletną panoramę Hammer Bay, znakomicie wyeksponowaną z wysokości wzgórza. Może domostwo miało w założeniu górować nie tylko nad ulicą, ale i całym miastem?

Zerknąłem na wizytówkę Cynthii. Widniejący na niej numer pasował do numeru posiadłości.

Ciekawe, pomyślałem, czy Annalise byłaby mi wdzięczna, gdybym wykończył Charliego Hammera własnymi rękami, tu i teraz. Byłem też ciekaw, czy w jakiś sposób przyspieszyłoby to proces leczenia jej rąk.

Przed domem stały trzy samochody. Jednym z nich był srebrny escalade, a za nim stało na oko piętnastoletnie BMW, auto dobre i zapewne drogie w czasach świetności, teraz jednak zaniedbane, nadzarte przez rdzę, skorodowane pod wpływem morskiej soli. Trzecim samochodem była niebieska toyota tercel, gabłota tak zwyczajna i niewyróżniająca się, że niemal niewidoczna na tle pozostałych pojazdów.

Ulica świeciła pustkami. W oknach na piętrze paliło się światło, poza tym nic się nie działo. Poczyniłem założenie, że wszystkie trzy budynki należą do Hammerów, choć nie byłem pewien, skąd ten wniosek. Może chodziło o lokalizację ulicy, tonącej w ciszy i spokoju, z dala od gwarne go śródmieścia. Może o to, że na Hammer Street w Hammer Bay nie zamieszkały nikt poza członkami rodziny Hammerów.

Wrodzona ostrożność kazała mi podejść najpierw do budynku z cegły. Okrążyłem go w poszukiwaniu uchylonego okna. Nie znalazłem takowego, ale na tylnym oknie budynku z kamienia dostrzegłem zwisającą smętnie na jednym zawiasie okiennicę. Zajrzałem do środka.

Nic. Żadnych mebli, żadnych obrazów na ścianach. Pusta skorupa domu, nic więcej. Podszedłem do największego budynku i wcisnąłem dzwonek u drzwi.

Ku mojemu zaskoczeniu otworzyła mi Cynthia.

- Spóźniłeś się – fuknęła od wejścia.
- Gdzie twój brat? – spytałem, zaskoczony gniewem we własnym głosie.
- Obawiam się – rzekła, ignorując moje pytanie – że jestem trochę zajęta. Muszę poprosić, żebyś zaczekał w bibliotece.

– Pytam: gdzie twój brat? Gdzie Charles?

– Nie podoba mi się twój ton.

Przed oczami mignęła mi scena, na której wyduszam z niej odpowiedź.

Nie. Obróciłem się i ogarnąłem wzrokiem panoramę miasta. Pałace i uporczywe poczucie misji, które mnie tu przywiodło, zaczęło powoli słabnąć. Nie miałem zamiaru dotrzeć do celu po trupach. Annalise tak by właśnie zrobiła, ale ja nie zamierzałem posuwać się tak daleko.

– Poczekam więc w bibliotece – zgodziłem się w końcu.

Przepuściła mnie w drzwiach.

– Nie podoba mi się również twoje spóźnienie. Spodziewam się po gościach punktualności. Nie jestem typem osoby, która lubi czekać.

W jej głosie brzmiało zdenerwowanie i zniecierpliwienie; nie byłem pewien, czy próbuje pokazać mi moje miejsce, bo przestraszyłem ją wtedy w aucie, czy też coś innego wyprowadziło ją z równowagi i tylko się na mnie wyżywa. Nie obchodziło mnie to zresztą.

Zaprowadziła mnie do biblioteki i zamknęła drzwi. Wyjrzałem przez okno na przestronny zielony trawnik i wiodącą przez niego ścieżynę wyłożoną białym kamieniem. Widok koił duszę.

Wyciągnąłem rękę przed siebie i zobaczyłem, że się trzęsie. Głowiłem się, jak by tu zdobyć nazwisko tamtej małej dziewczynki, która umarła na moich oczach. Przecież nikt już o niej nie pamięta. Nikt nie będzie jej szukał. Nie powiedzą o niej w wiadomościach. Chyba mógłbym rozejrzeć się za tamtą otyłą kobietą, założywszy, że była jej matką, ale czy istniał choć cień szansy, że dowiem się od niej czegokolwiek? Ona również nie będzie już o niej pamiętać. Ale może włamałbym się do jej domu i przeszukał go. Znalazł jakieś zdjęcia...

Oparłem ręce na ramie okiennej i dotknąłem twarzą szkła. Nie, nie włamię się do jej domu. A tamto dziecko nigdy nie będzie dla mnie niczym więcej niż tylko płonącym w oddali kształtem. Nie potrzebowałem niczyjego imienia.

Po mojej prawej stronie znajdowały się drzwi. Podbiegłem do nich, otworzyłem z impetem. Dzięki Bogu była to łazienka. Wolałbym nie zarzygać Cynthii szafy.

Ochlapałem twarz wodą, przepłukałem usta. Znowu kontrolowałem emocje, zebrałem się jakoś do kupy. Na powrót poczułem sobą. Nie

chciałem być drażliwym bucem, który drogę do swoich wrogów brukuje strachem postronnych. Nie chciałem być jak Annalise.

Ta myśl sprawiła, że spauzowałem. Ile trupów widziała w życiu Annalise? Ile martwych dzieci zabitych przez jakiegoś dupka z księgą czarów pod pachą? Może nic dziwnego, że była, jaka była.

Usłyszałem odgłosy sprzeczki; ruszyłem do drzwi, ale po drodze moją uwagę przykuł mały obrazek w srebrnej ramce. Było to stara, czarno-biała fotografia.

Po lewej stronie stał mężczyzna w ciemnej kamizeli, o twarzy nastroszonej siwym wąsem i usatysfakcjonowanej aparycji człowieka, który dobrze je. W środku stał wysoki, krągły człowiek w długim, wytartym prochowcu i z laską w dłoni. Miał nieco przydługawe włosy krzyczące o grzebień i uśmiechał się półgębkiem. Robił wrażenie krasomowcy i hochsztaplera, przyjaciela na całe życie, któremu nigdy, przenigdy nie wolno zaufać. Obydwaj nosili kapelusze, a ich odzienie było według dzisiejszych standardów cokolwiek staroświeckie. Strzelałem, że zdjęcie zrobiono w latach trzydziestych.

Po prawej od mężczyzn stała młódka w ślicznej białej sukieneczce. Włosy miała utrefione, noski drobnych pantofli skierowane lekko do środka. Zza koronkowych mankietów wystawała wątpa pajęcza siatka czarnych kresek. Tatuaze. Poważną buzię obróciła lekko w górę, do hochsztaplera. Rozpoznałem Annalise.

Gapilem się skołowany na zdjęcie. Wyglądała na osiem, może dziewięć lat młodszą niż teraz, a byłem pewien, że zdjęcie zrobiono co najmniej siedemdziesiąt lat temu. Kim był człowiek, na którego patrzyła? Przyjrzawszy mu się dokładniej, zauważyłem tatuaze pokrywające zewnętrzną stronę dłoni. Zmrużyłem oczy, wpatrując się uporczywie w oblicze Annalise sprzed dziesięcioleci. Na jej twarzy malowało się zakochanie i może... podziw? Czy to był jej nauczyciel?

Znowu usłyszałem krzyki. Zostawiłem zdjęcie i wyszedłem na hol. Otaczały mnie zamknięte drzwi; głosy dochodziły z za jednych z nich. Ruszyłem w tym kierunku.

– Uspokój się, Cabot – powiedział męski głos. – Nie unoś się tak. Cynthia wcale nie...

– Nie mów mi o Cynthia! – wrzasnął rozmówca. Strzelałem, że ten nazwany Cabotem. – Doskonale wiem, co zrobiła! Myślisz, że nie mam

oczu?

– Skoro masz, to posłuchaj mojej rady – syknęła sama Cynthia – i w końcu je otwórz.

– Sytuacja prędzej czy później się zmieni – rzekł Cabot. – Poczekaście tylko, i lepiej uważajcie!

Prawie już znalazłem się przy ciężkich dębowych odrzwiach, kiedy nagle rozwarły się, a obok mnie przeszedł jak burza pięćdziesięcioletni mężczyzna z wydatnym brzuszyskiem i nalaną twarzą, o kiedyś ciemnych, a obecnie szpakowatych włosach.

Było coś w jego facjacie, co od razu mi się nie spodobało. Miał wyraz twarzy człowieka, któremu jest już wszystko jedno.

Patrzyłem w ślad za nim. Ubrany był w ciuchy, które lata świetności miały już dawno za sobą: obcasy butów zdarł do samej podeszwy, a dzinsy postrzępiły się na nogawkach.

– Czy ja nie kazałam ci przypadkiem zaczekać w bibliotece? – warknęła na mnie Cynthia, podchodząc. Była poirytowana. – Ogłuchłeś czy co?

Usłyszałem trzaśnięcie frontowych drzwi.

– Wścibski ze mnie gość.

Zmierzyła mnie złowróżbnym spojrzeniem, a po krótkiej pauzie poleciała wejść do biura.

– Proszę – zdecydowała się dodać po chwili, zachowując choć pozory grzeczności.

Skoro poprosiła, wszedłem. Podłogę wyłożono panelami z twardego drewna, a w dalekim rogu pomieszczenia dominowało olbrzymie biurko. Jedynymi ozdobami były oprawione w drewniane ramy dwa japońskie kimona.

Na kanapie siedział niski, otyły mężczyzna z twarzą ukrytą w dłoniach. Długie, siwiejące włosy sięgały mu za ramiona.

– Ten człowiek wpędzi mnie do...

– Frank – weszła mu w zdanie Cynthia – przedstawiam ci Raymonda Lilly'ego. Panie Lilly, oto Frank Farleton, nasz burmistrz.

Frank odsunął ręce i spojrzał na mnie, nie kryjąc zaskoczenia. Ani niechęci.

– Wiem, kim pan jest. Co pan tu robi?

– Mów mi Ray – zwróciłem się do Cynthii. – Burmistrza widziałem już wcześniej, ale nie było mi dane przedstawić się. Zanadto wytrącił go

z równowagi atak twojego brata. Nie myślę się, burmistrzu Farleton?

– Jeszcze raz, co pan tu robi? – powtórzył. Przynajmniej był uprzejmy.

– Cynthia mnie zaprosiła. Od kiedy Charles ma ataki?

Burmistrz wstał z kanapy, dysząc jak lokomotywa.

– Co to ma znaczyć? Kto tu pana zaprosił?

Znowu trzasnęły frontowe drzwi. Cynthia i Frank puścili to mimo uszu. Wejście do biura znajdowało się po lewej stronie za moimi plecami, biurko na wprost po prawej. Cofnąłem się pod ścianę i wymacałem w kieszeni Ostrze Dusz.

Cynthia przeszła za biurko i zdobyła się na wymuszony uśmiech. Burmistrz usiadł na blacie.

– Frank nie pyta, jak miemam, o to, kto zaprosił cię do mojego domu, ale w ogóle do Hammer Bay.

Uśmiech miała uroczy, ale podszyty pogardą. Ręce jej się trzęsły. Ewidentnie miała zły dzień.

– Ale – podjęła po pauzie – zaprosiłam cię tutaj, żebyś odpowiedział w pierwszej kolejności na moje pytania. A jeśli nie będziesz miał ochoty odpowiadać, wystarczy, że zadzwonię do Emmetta Dubois i wspomnę słowem, że wdarułeś mi się do samochodu i próbowałeś odebrać kluczyki...

Drzwi biura wyrznęły o ścianę i do środka wparował Cabot. Byłem gotów, ale i tak zareagowałem za wolno. Uniósł rękę. Trzymał w niej pistolet.

Czas jakby zwolnił. Wymierzył w Cynthię. Zęby miał obnażone, twarz pokrytą intensywnym rumieńcem.

Burmistrz zasłonił ją ciałem, rozpostarłszy szeroko ramiona i wydawszy komicznie policzki.

Rzuciłem Ostrze, celując w pistolet. Cabot nacisnął spust. Kurek pistoletu cofnął się. Byłem zbyt wolny. Pistolet wypalił. Ostrze rozcięło go ułamek sekundy za późno.

Burmistrz skrzywił się boleśnie, gdy kula weszła w jego ciało nieco powyżej obojczyka.

Cabot ponownie nacisnął spust, ale pistolet był już w kawałkach. Zwrócił się do mnie, otwierając usta, z których spodziewałem się usłyszeć wściekły protest. Spojrzał jednak tylko zdumiony na pozostałości pistoletu.

Za kolejnym razem Ostrze trafiło go w pierś; zanim zdążył zwiotczeć i paść na podłogę, wyprowadziłem lewy hak. Zachwiałem się, ale i tak

pięść trafiła go w skroń. Cabot padł jak marionetka, której ktoś przeciął sznurki.

Spojrzałem po pozostałych. Burmistrz trzymał się za ramię zakrwawioną dłonią. Zatoczył się od Cynthii i obrzucił ją spojrzeniem. Po czym padł na ziemię. Kula chyba tylko go drasnęła, ale krwawił obficie. Mocno pobladł.

Cynthia spojrzała na mnie; kolor odpłynął jej z twarzy, a usta uformowały małe „o”.

Boże, jak ja nienawidzę broni palnej. Nieco zbyt długo stałem jak słup soli i gapiłem się na burmistrza, życząc sobie, żeby to wszystko po prostu się nie wydarzyło.

Jego twarz była coraz bielsza. Cynthia gapiła się na niego otepiale.

– Dzwonź po karetkę – poleciłem. Zwróciła na mnie puste spojrzenie. Była jak w transie. – No dalej, kobieto! – krzyknąłem, aż podskoczyła, ale zaraz złapała za telefon. Nie była przyzwyczajona, by ktoś podnosił na nią głos.

Zdjąłem z kanapy materiałowy ochraniacz na podłokietnik. Kula przeszła niewiele nad obojczykiem, z dala od arterii szyjnych. Gdyby burmistrz był nieco chudszy, całkiem możliwe, że w ogóle by nie dostał.

Złożyłem ochraniacz na pół i przycisnąłem do rany.

– No proszę – powiedziałem, starając się nie zdradzić zdenerwowania. – Popatrz tylko, czego dokonałeś. Rana nie wygląda na poważną.

– Ale boli jak cholera – wyznał.

– Bycie bohaterem rzadko bywa przyjemne.

– Co? Jaki bohater. To był odruch. Ja tylko...

Wciąż bladł. Wcisnąłem mu pod głowę poduszkę porwaną z kanapy.

– Pewnie, że odruch – zgodziłem się. – Kto naumyślnie dałby się postrzelić?

Cynthia dodzwoniła się na pogotowie i prosiła właśnie o przysłanie karetki. Mówiła tak szybko, że prawie niezrozumiale. Wymówiłem jej imię, by przyciągnąć uwagę, a potem kazałem mówić tak spokojnie, jak tylko potrafi. Wzięła głęboki, rozedrgany wdech i podała adres, a potem dodała, że burmistrz został postrzelony.

– Nie chcę umrzeć – powiedział burmistrz głosem dziecka. Zacisnął powieki, spod których pociekły mu po policzkach łzy. – Moja żona...

– Lekarz ze mnie żaden – powiedziałem – ale myślę, że się wyliżesz. Harlan dostał o wiele gorzej, a się trzyma. Spróbuj się uspokoić i głęboko

oddychaj. Karetka już jedzie.

Na jego twarzy wykwitła wątła sugestia rumieńca.

Cynthia rozłączyła się i całkowicie skołowana popatrzyła na leżącego na ziemi burmistrza.

– Co się stało z pistoletem wuja Cabota?

– Chodź tu i przydaj się na coś – zakomenderowałem. Okrążyła biurko i przypadła do rannego. – Przyłóż dłonie w tym miejscu i uciskaj ranę.

Wzdrygnęła się na widok moich zakrwawionych rąk.

– Ten facet dostał kulkę, na której było twoje imię – powiedziałem głosem cichym i złym. – Uciskaj, do cholery.

Usłuchała. Burmistrz podniósł na nią wzrok.

– Przepraszam – powiedział. – Tak mi wstyd.

Cynthia rozplakała się.

Obserwowałem ją chwilę, upewniając się, że nie puści rany, ale uciskała jak należy. Burmistrz zaczął ją pocieszać i wróciły mu kolory. Nabrał sił, widząc, że Cynthia potrzebuje wsparcia.

Cabot leżał u wejścia do pomieszczenia. Wytarłem krew z rąk o jego koszulę i sprawdziłem, czy nie ma przy sobie kolejnej spluwy. Jęknął i zaczął się budzić.

Ostrze schowałem do kieszeni, choć nie pamiętałem kiedy. Przesunąłem nim po jego rękę. Nie straci od tego przytomności, ale robi się spokojniejszy.

Usłyszałem syreny.

– Wy dwoje, nie ruszajcie się stąd – powiedziałem. – Ja pójdę otworzyć.

Cynthia i burmistrz mamrotali coś do siebie. Nie byłem pewien, czy zarejestrowali moje słowa.

Zawlokłem Cabota do holu. Spokojny czy nie, nie chciałem, żeby obudził się w jednym pomieszczeniu z Cynthią i Frankiem. Potem otworzyłem drzwi.

Sanitariusze pobiegli po schodach z noszami pod pachą, a za nimi sadił sam Emmett Dubois z ręką na kaburze z bronią. Rzucił okiem na korytarz i zobaczył leżącego na plecach Cabota z upapraną krwią koszulą. Ten bez przytomności poruszył nogą.

– Tędy proszę – powiedziałem, wskazując otwarte drzwi do biura. Minęli mnie i ruszyli we wskazanym kierunku.

Ja natomiast odwróciłem się do Emmetta i spojrzałem prosto w lufę pistoletu.

– Odwróć się pod ścianę, ręce za głowę, i na kolana.

– Jeśli jeszcze ktoś wyceluje do mnie z pistoletu, przysięgam, że puszcę pawia.

– Znalazł się delikates – zakpił i pchnął mnie na brzuch, wykręcając ramiona. Z biura wyskoczyła Cynthia i nas zobaczyła.

– Co ty wyczyniasz? – spytała. – On nikomu nie zrobił krzywdy. Uratował mi życie.

Zrelacjonowała komisarzowi przebieg całego zajścia. Emmett rozkuł mnie i pomógł wstać. Rzucił mi jak ochłap nieszczerze policyjne przeprosiny i podszedł do Cabota, który wrócił do zmysłów na tyle, że masował miejsce na głowie, w które go trafiłem. Emmett przetoczył go na brzuch i skuł kajdankami. Cabot nie stawiał oporu.

Cynthia zbliżyła się do mnie. Ręce wciąż jej się trzęsły.

– Muszę jechać do szpitala. Podrzucisz mnie? Chyba nie powinnam teraz prowadzić.

– Pewnie.

Minęli nas sanitariusze z burmistrzem na noszach. Nie mogłem powiedzieć, żeby się spieszyli. Emmett dźwignął Cabota na nogi i pchnął w stronę wyjścia.

– Przepraszam – powiedział ten drugi. – Przepraszam za wszystko. Nie powinienem był...

I tak w kółko. Jego zawrodozenie zdawało się działać Cynthii na nerwy, więc odczekałem z nią trochę i pozwoliłem reszcie pójść przodem. Staliśmy na werandzie przed domem, patrząc, jak sanitariusze pakują burmistrza do karetki, a Emmett Cabota do suki. Zapalili silniki, ale nie załączali syren.

– Na pewno wyglądam ohydnie? – spytała Cynthia, kiedy zniknęli za rogiem.

Miała czerwone i spuchnięte od płaczu oczy, a usta ściągnięte z jednej strony ku dołowi, jakby z trudem hamowała łzy. Ale makijaż wciąż był nieskazitelny.

– Po drodze zapytasz lustreczko o zdanie. Masz przy sobie wszystkie potrzebne rzeczy?

– Nie, zaraz jestem – odparła, wchodząc z powrotem do domu. Wyjąłem talizman z kieszeni i przyłożyłem do kłamki.

Nic. Wzór drgał w swoim zwyczajowym tempie. Dom Hammerów niczym nie różnił się od innych. Przeniosłem wzrok na dwa pozostałe budynki na ulicy. Gdybym to ja był Charlesem Hammerem Trzecim, dziedzicem rodowej fortuny i właścicielem znakomicie prosperującej firmy, w którym bym zamieszkał? W małym ceglany domku czy pustej hacjendzie z kamienia?

Sęk w tym, że w żadnym. Ruszyłem w kierunku ceglany domu, bo stał najbliżej. Zrobiłem bodaj dwa kroki, kiedy otworzyły się za mną drzwi.

– Jestem gotowa – oznajmiła Cynthia. – Możemy jechać.

Wręczyła mi kluczyki i ruszyliśmy. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną po stronie pasażera i przejrzała się w umieszczonym wewnątrz lusterku. Próbowałem się nie gapić, meandrując między samochodami na tłocznej ulicy, ale i tak widziałem, że ręce nie przestały jej się trząść.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– W najlepszym. Nic mi nie będzie. A u ciebie? Wszystko gra?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Przez chwilę myślałem, iż wie, że rzygałem w bibliotecznej toalecie. Chciałem powiedzieć, że już mi lepiej. Ale potem zorientowałem się, że ma na myśli sytuację z Cabotem.

– Wszystko gra. Może później mi odwali, ale póki co jest okej.

– Wcale ci nie odwali, prawda? – spytała. – Mówisz to tylko przez uprzejmość.

Wzruszyłem ramionami, a ona położyła mi rękę na ramieniu. Tylko na chwilę.

Tym razem ja drgnąłem. Szlag, minęło zbyt wiele czasu.

Całe szczęście, właśnie dojechaliśmy do szpitala. Z ulgą skonstatowałem, że van Ethana zniknął.

Wywiedzieliśmy się u recepcjonistki, że burmistrz trafił na OIOM. Cynthia przyjęła tę informację zupełnie nieźle, ale ja byłem zaskoczony.

– Nie sądziłem, że rana jest tak poważna – powiedziałem. – Wyglądała niegroźnie.

– No cóż... – bąknęła recepcjonistka, szukając czegoś w papierach na biurku, po czym podniosła wzrok na Cynthię, jakby ta była jej przełożoną. Może tak właśnie to wyglądało, jeśli należałeś do rodziny założycieli miasteczka. Wszyscy traktowali cię jak szefa. – I tak za dużo już powiedziałam. Odgórne zalecenia.

– Niech pani posłucha... – zaczęła Cynthia, nachylając się do kobiety.

– Możemy gdzieś tutaj poczekać? – przerwałem. Recepcjonistka przywołała wolontariusza, który zaprowadził nas do poczekalni na poziomie trzecim. Usiedliśmy na plastikowej kanapie obok stosu magazynów i żurnali o odbarwionych okładkach.

– Jego żona od dawna mnie nienawidzi – zwierzyła mi się Cynthia. – A dzisiejszy incydent nie ociepli naszych stosunków. Nie zdziwiłabym się, gdyby przyniosła tu ze sobą siekiere. Dobrze się składa, że już jesteśmy w szpitalu.

Paplała jak najęta, głównie o tym, jak szczerą i dogłębną nienawiścią darzy ją żona Farletona. W ogóle nie mówiła o Cabocie, a ja nie podejmowałem tematu. Wylewały się z niej potoki niedoli, ale pozwalałem im płynąć, bo kto wie czy wraz z ich prądem nie dopłynę do jej brata.

Otworzyły się drzwi na końcu korytarza i pojawił się w nich Emmett Dubois. Za nim torowała sobie drogę jakaś blondynka, może rok czy dwa lata starsza od Cynthii. Miała nogi aż po szyję i o wiele za dużo tapety na wcale nie brzydkiej twarzyczce. Wyglądała na dokumentnie rozbitą.

Cynthia skoczyła na równe nogi.

– Miriam, tak mi przykro...

– Nie chcę tego słuchać – syknęła Miriam. – Chcę zobaczyć męża.

Emmett wszedł między nie jak sędzia na ringu.

– Poszukajmy lekarza Franka. Panie pozwolą?

Miriam zgromiła Cynthię spojrzeniem, po czym podążyła za komisarzem, a w tej samej chwili przez te same drzwi wparował zgrzany i czerwony Peter Lemly. Mógłbym przysiąc, że słyszałem jego sapanie jeszcze na korytarzu. Minął nas i pobiegł za komisarzem oraz Miriam Farleton.

– Widziałeś to? – spytała Cynthia. – Najchętniej by mnie zagryzła.

Nie uznałem za celowe komentować.

– Nie znosi mnie od czasów liceum – podjęła. – Była trzy lata starsza i spotykała się z Charlesem przez parę tygodni, ale on nie miał zamiaru zaakceptować Jezusa jako swojego pana i zbawiciela, na co niestrudzenie próbowała go namówić. Więc zerwał z nią, a ona z jakiegoś powodu winą za to obarczyła mnie. Twierdziła, że obśmiewam ją za jej plecami.

– A to była prawda? – spytałem, choć w zasadzie miałem pewność, że znam odpowiedź.

– Jak cholera. Ale Charles nie dbał o to, co mówię. Nigdy go to nie obchodziło. Zawsze robił wszystko po swojemu.

– Ten twój brat musi być szalenie interesującym gościem.

Nie złapała się na moją przynętę.

– Widziałam, jak na nią patrzyłeś – powiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

– Ona i burmistrz nie wyglądają jak para, nie?

Prychnęła śmiechem.

– Wszyscy mieszkańcy, niezależnie od płci, twierdzili to samo, gdy ci dwoje zaczęli się spotykać. Frank był dobre dziesięć lat starszy i jeszcze grubszy niż teraz, ale potem wziął się za siebie. To porządny facet, nawet jeśli ciapa.

Powstrzymałem się od wzmianki, że ta ciapa zasłoniła ją przed kulą.

– Gdyby nie Miriam – ciągnęła Cynthia – pewnie siedziałyby na kasie w markecie. To ona jest ta ambitna. Ale niech mnie diabli, jeśli nie wyglądają na zakochanych. Nikt tego nie łapie.

– Może rzucił na nią urok.

Otakowała mnie spojrzeniem, próbując wybadać, czy tylko tak mi się powiedziało, czy coś sugerowałem. I to spojrzenie powiedziało mi wszystko, co potrzebowałem wiedzieć. Kusiło mnie, żeby przyłożyć jej do ręki drewniany talizman Annalise.

Wzruszyłem ramionami, rezygnując. Nie byłem jeszcze gotów, by odkryć karty. Mrugnęła i też zbyła temat wzruszeniem ramion. Zastanawiałem się, ile też może wiedzieć o tym, co dzieje się z miejscowymi dziećmi.

– Gdzie twój brat? – odważyłem się zapytać. – Chciałbym go poznać.

Odchyliła się w krześle i spojrzała na mnie z ukosa.

– To ja tu zadaję pytania, pamiętasz? – odparła z uroczym półuśmiechem. Ślicznym, ale wyrachowanym. – Zaprosiłam cię do siebie, żeby posadzić na krześle, świecić ci lampą po oczach i zadawać pytanie za pytaniem.

– Okej, jeśli obiecasz, że nie będziemy do tego mieszać ciućmoków z odznakami.

– Póki co przystanę na wariant bezciućmokowy.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

Zadała mi kilka pytań o spotkanie Annalise z Able'em Katzem, a ja zbyłem ją kilkoma nieszkodliwymi kłamstwami. Zadane przez nią pytania powiedziały mi o niej więcej, niż chciała mi zdradzić. Wywnioskowałem, że nie ma w firmie przyjaciół i że nie jest z bratem w zbyt dobrej komitywie, inaczej wiedziałyby o spotkaniu o wiele więcej.

Tymczasem wrócił Emmett, oznajmiając, że będzie potrzebował naszych zeznań. Zapewnił nas, że to rutynowa procedura. Cabot już się do wszystkiego przyznał.

Tym razem chciałem odwlec wszelkie zeznania do czasu, aż porozumiem się z prawnikiem. Może Annalise jakiegoś mi wynajmie, myślałem, ale wtedy Cynthia powiedziała do mnie:

– Może ty pierwszy? Ja wolałabym zostać i spróbować wyjaśnić... wiesz komu. Bądź dla niego miły, Emmett. Ocalił mi życie. I Frankowi też.

– Ależ oczywiście, Cynthio – odparł policjant.

Przeszliśmy z poczekalni do pustej sali szpitalnej. Emmett rzucił na łóżko czapkę i folder dokumentów, po czym wyjął z kieszeni dyktafon.

– Nie masz nic przeciwko, że będę nagrywał tę rozmowę?

– Nie, w porządku.

Włączył urządzenie, wymówił swoje i moje nazwisko, podał datę i kilka innych danych, a potem spytał, co zaszło.

Opowiedziałem, modyfikując historię tu i ówdzie i pomijając płonące dziecko na boisku. Pominąłem również to, że znalazłem się tam, szukając Charlesa, którego chciałem zabić. Spuściłem zasłonę milczenia na fakt, że zwymiotowałem w toalecie i że uszkodziłem pistolet magicznym zaklęciem.

Zamiast tego zeznałem, że pistolet wybuchł Cabotowi w rękach po pierwszej salwie. Powiedziałem też, że mam szczęście, że żyję, i że osobiście nie sądzę, bym uratował życie komukolwiek. Pistolet Cabota był po prostu wadliwy, a ja mu tylko przywaliłem. Powiedziałem, że nawet gdyby mnie tam nie było, nie wyrządziłby nikomu większej szkody.

Przewąlkowaliśmy temat raz jeszcze, tym razem skupiając się na tym, co właściwie robiłem na posesji, w jakim celu zaprosiła mnie tam Cynthia i dlaczego odpowiedziałem na zaproszenie. Na ten zestaw pytań miałem przygotowany sensowny zestaw odpowiedzi, które Dubois łyknął bez popitki.

Była to zdecydowanie moja najbardziej przyjacielska w życiu pogadanka z gliną. Spiałem się nieco, ale robiłem, co w mojej mocy, by uśmiechać się przyjaźnie i zachowywać jak najuprzejmiej.

W końcu Emmett wyłączył dyktafon.

– Twoja wersja pokrywa się mniej więcej z zeznaniami Cabota, choć jego zdaniem połamałeś mu pistolet gołymi rękami.

– To dopiero! Naprawdę? Dziwne. Ktoś powinien mu przypomnieć, że pistolety robi się z metalu.

Emmett zachichotał.

– Z ust mi to wyjąłeś. Włączyliśmy broń do materiału dowodowego. Była w bardzo ciekawym stanie.

– Jak to?

– Nie wybuchła, jak zwykle wybuch broń, kiedy zatka się lufa. Wygląda, jakby coś ją rozcięło.

– To takie niezwykle? – spytałem, pilnując, by utrzymywać kontakt wzrokowy, ale nieprzesadnie nachalnie.

– Owszem, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby broń nawaliła w ten sposób. Ani nie słyszałem.

– Mieliśmy farta.

Lustrował mnie przez chwilę, a potem się uśmiechnął. Dzisiaj był dobrym gliną.

– Jeszcze jak.

Zaczął się pakować, ale za chwilę spojrzał znowu. Czegoś mi nie powiedział.

Coś jeszcze było na rzeczy. Coś mi umykało.

I szczerze mówiąc, bycie na przyjaznej stopie z Emmettem Dubois wcale mi się nie podobało.

– Przepraszam, komisarzu – odezwałem się. – Mogę zapytać o pana zdanie w jednej sprawie?

– Słucham. O co chodzi?

Rozpiąłem kurtkę na tyle szeroko, by pokazać, że jestem nieuzbrojony, po czym wyjąłem z kieszeni talizman.

– To taki mały bajer, który próbuję sprzedać w Hammer Bay Toys. Fajna sztuczka, moim zdaniem.

Położyłem drewnienko na łóżku obok jego dokumentów. Wzór wił się wolno.

– A niech mnie kule – powiedział. Przyjrzał się ruchomym liniom, wyraźnie zaintrygowany. Potem podniósł na mnie wzrok. – Mogę?

– Ależ proszę – odrzekłem.

Emmett podniósł drewniany talizman. A gdy tylko go dotknął, wzór zrobił się czarny. Po talizmanie prześlizgnął się język ognia, a później nastąpiła erupcja czarnego dymu i iskier koloru żelaza.

Komisarz nosił w sobie drapieżcę. Rzucił talizman jak oparzony i odskoczył, sięgając po broń.

– Ki czort?

– To magiczny licznik Geigera – odrzekłem, biorąc go do ręki. Moje tatuaże i Ostrze Dusz sprawiły, że wzór zalsnił srebrzyście. – Ktoś rzucił na pana wyjątkowo paskudne zaklęcie, komisarzu. Wie pan coś o tym?

Gapił się na mnie rozwartymi szeroko oczami. Nie odwracałem wzroku. Czy on miał coś wspólnego ze znikaniem dzieci? Czy w ogóle o nich wiedział?

– No, komisarzu. Niech pan mówi, co tu jest grane. Co się panu przydarzyło? I całemu miastu?

– Kim ty jesteś? Co ty tu robisz?

– Przecież pan wie, kim jestem. Czytał pan o moich poczynaniach minionej jesieni. Co się zaś tyczy obecności w mieście: znalazłem się tu, bo coś jest z nim bardzo nie tak. I zamierzam temu zaradzić. Koniec zabawy, szefuniu. Już wszystko wiemy.

Pociągnął nosem. Wystraszyłem go. Nie był obyty z poczuciem strachu.

– A gdybym tak po prostu cię zamknął, cwaniaczku?

Prychnąłem śmiechem.

– W ogóle nie rozumiesz, kim jestem, prawda? Myślisz, że znów dam się zakuć i grzecznie pomaszeruję na komisariat? Tym razem lepiej nie szarżuj.

Blefowałem, rzecz jasna, ale nie miałem zamiaru wracać do aresztu. Skoro komisarz został zainfekowany, nie wolno nam było zostawić go przy życiu. Poczekaj tylko, pomyślałem, aż dowie się Annalise. Ukręci ci ten nalany łeb.

Czy Emmett był sługusem kogoś lub czegoś potężniejszego? Tajemnym źródłem dziwnych ataków Charliego Trzeciego? Czy tylko bezwolną ofiarą?

Emmett cofał się do drzwi z ręką na broni, wwiercając się we mnie wzrokiem. A ja tylko się uśmiechałem. Wreszcie wyszedł.

Siedziałem jeszcze chwilę w pustej sali, myśląc o Cynthia, burmistrzu i o Cabocie. Czy Cynthia z bratem również maczali w tym palce? A Farleton? Może Cabot chciał położyć kres serii morderstw? Niewątpliwie był to materiał do przemyśleń.

Wróciłem do poczekalni, gdzie zastałem przycupniętą na plastikowej kanapie Cynthię. Zaskoczył mnie widok Annalise po drugiej stronie pomieszczenia. Wyglądała absurdalnie w tej swojej wielkiej kurcie, roboczych buciorach i podartych portkach. Nasunęła mi się głupia myśl, że przysłała tu, żeby opatrzyli jej ręce.

Cynthia wstała na mój widok.

– Był dla ciebie miły?

– Przemily.

Wytarła ręce o spodnie, maskując speszenie. Chyba chciała, żebym dotrzymał jej towarzystwa, ale w moją stronę szła już Annalise. Cynthia usiadła znowu, a szefowa złapała mnie za łokieć i odprowadziła kawałek dalej, poza zasięg słuchu.

– Co robiłeś tyle czasu? – spytała.

– Przysparzałem nam wrogów. I przyjaciół też. Komisarz...

– Ta dziewczyna mówi, że ocaliłeś jej życie – wcięła mi się w słowo. – To prawda? Kto to w ogóle jest?

To w sumie zabawne, że Annalise nazwała Cynthię dziewczyną. Cynthia wydawała się sześć czy osiem lat starsza od niej. Pozory mylą.

– Tak, to prawda. To Cynthia Hammer, siostra Charlesa Hammera Trzeciego. To ona śledziła nas SUV-em.

Annalise rzuciła na nią okiem, upewniając się, że nie odfrunęła z kanapy.

– Masz ją przelecieć – powiedziała. – I wydobyć z niej wszystko, co zdołasz, a zwłaszcza to, gdzie jest jej brat. Nie mogę go namierzyć.

– Prawdziwa z pani dama, szefowo.

– Po prostu to zrób. Ja mam coś do załatwienia w kostnicy.

Odwróciła się i oddaliła. Znowu nasza mnie myśl o tym, ile widziała w życiu trupów i jak długo zajęła jej przemiana w to coś, czym jest teraz.

Nawet nie pozwoliła mi dokończyć i nie usłyszała o siedzącym w Emmecie drapieźcy.

Pobiegłem korytarzem, wołając za nią. Zatrzymała się i spojrzała. Mijająca nas pielęgniarka uciszyła mnie, przykładając sobie palec do ust.

– Czego chcesz? – spytała Annalise.

– Drapieżca – powiedziałem cicho. Spoważniała i podeszła bliżej. Przykułem jej uwagę. – W Emmecie Dubois. Nie wiem dokładnie, co w nim siedzi, ale założę się, że jego bracia też są zainfekowani.

– Jak go wykryłeś?

W odpowiedzi wyjąłem z kieszeni jej talizman. Ściągnęła twarz w grymasie i odebrała mi go.

– Czy on to widział? – spytała, podnosząc drewnienko.

– Tak.

Annalise skinęła głową i wsunęła talizman do kieszeni.

– Masz zadanie do wykonania – powiedziała, ruszając do windy.

A ja wróciłem do Cynthii. Bo najwidoczniej ją Annalise miała na myśli. Przespanie się z Cynthią nie było najgorszym z możliwych scenariuszy, ale nie podobało mi się robienie tego na komendę. Nie podobało mi się już to, że Annalise będzie wiedzieć. Jakies takie to było... chore. Usiadłem obok Cynthii, ale trzymałem nieco większy dystans niż poprzednio.

– To twoja żona? – spytała. – Dziewczyna?

Oślupiałem na moment.

– Kto?

– Tamta ruda. Z którą przed chwilą rozmawiałeś.

– Wybacz – rzuciłem z niekłamany rozbawieniem. – Ale to śmieszne jak cholera. To moja szefowa, i w dodatku szczerze mnie nienawidzi.

– Aha.

– To skomplikowane.

– No cóż – powiedziała. – Cieszę się, że nie dziewczyna.

Teraz nadeszła moja kolej na gładką gadkę. Zanim jednak przygotowałem ripostę, otworzyły się drzwi do pokoju Franka i wyszła z nich Miriam.

– Ty jesteś Ray? – spytała.

– Tak – potwierdziłem, wstając. – Mogę w czymś pomóc?

– On chce z tobą mówić.

Usta miała ściągnięte w nieprzyjemnym grymasie. Z pełną konsekwencją i rozmysłem ignorowała Cynthię. Podszedłem do drzwi.

– Lepiej mu?

– Nie, nie lepiej. Rana była powierzchowna, ale dostał zawału w karetce. Chirurg jest już w drodze. Mimo swojego stanu Frank jednak nalega na rozmowę z tobą.

– Załatwię to szybko – rzekłem, zamykając za sobą drzwi.

Burmistrz leżał na łóżku szpitalnym z rurką w nosie. Obok stał Peter Lemly, a za nim jeszcze ktoś. Musiał przybyć w czasie mojego przesłuchania, bo nie kojarzyłem jego twarzy. Mężczyzna był wysoki, wyprostowany i spokojny, z ułożonymi kunsztownie siwiejącymi włosami. To był ten trzeci facet, który spotkał się z Emmettem Dubois po incydencie z Harlanem, kiedy Charles miał napad. Odwrócił się, ale nie spojrzał mi w oczy; zauważyłem, że nosi koloratkę.

Pastor w szpitalu, miało to sens. Ale nie rozumiałem, czemu jeszcze nikt nie wyrzucił stąd Lemly’ego.

– Witam ponownie – rzekł Frank słabym, zachrypniętym głosem.

– Następnym razem spotkajmy się w spokojniejszych okolicznościach – zaproponowałem. – Nie powinien pan przypadkiem odpoczywać?

Zachłysnął się powietrzem pomiędzy wdechem a wydechem.

– Chciałem podziękować.

– Nie ma za co. Proszę wypoczywać. Zniweczy pan moją ciężką pracę.

Do sali wparowała Miriam, akurat w porę, by dosłyszeć moje ostatnie słowo. Zmierzyła mnie wściekłym spojrzeniem. Pozostali zignorowali ją. Cóż zrobić, jestem wrzodem na tyłku wszystkich dam z wyższych sfer.

– Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić... – zaczął burmistrz.

– Kiedy pan wyzdrowieje, chciałbym zamienić kilka słów o Hammer Bay.

– On musi odpocząć – rzekła Miriam.

– Ma się rozumieć – zgodziłem się, zawracając do drzwi. Chciałem jakoś skomplementować burmistrza, powiedzieć mu, przy żonie i w obecności dziennikarza, że uważam go za odważnego człowieka, ale uprzedził mnie słowami:

– O Hammer Bay – wyrzekł te słowa cicho i z nutką gniewu. – Moje miasto. Zgniłe w środku, przeżarte na wylot. Najwyższy czas coś z tym zrobić.

Miriam wbiła we mnie wzrok. Peter Lemly nachylił się nad łóżkiem z włączonym dyktafonem w dłoni.

– Możesz powtórzyć, wujku? – sapnął.

Miriam porwała clipboard i wyrzuciła Petera prosto w łeb. Nie zniechęciło to Lemly’ego. Burmistrz zaczął coś mówić, ale pastor wziął

dziennikarzynę pod rękę i wyprowadził go z pokoju zaraz za mną. W kilka chwil wylądowaliśmy wszyscy na korytarzu.

Cynthii już nie było. Ani na kanapie, ani w holu. Może wyszła przypudrować noskę? A może wygoniła ją Miriam, kiedy rozmawiałem z Frankiem?

– Słyszałeś, co powiedział burmistrz? – spytał Peter. Drzwi zatrzęsnęły się za nami. – Słyszałeś czy nie?

– Słyszałem, że burmistrz to twój wuj – odparłem.

– To teraz nieistotne. – Ruszył z pośpiechem korytarzem. – Burmistrz wypowiada wojnę korupcji w mieście.

Był podekscytowany jak pismak z kryminału noir.

– Opowiedz mi o mieście.

– Nie ma za wiele do opowiadania – stwierdził, a ja wywnioskowałem z jego tonu, że uwielbia mówić do widowni. – Hammerowie trzymają łapę na całym tutejszym biznesie. Są tu pierwszą rodziną i zawsze byli otwarci na nowe. Zawsze planowali kilka ruchów naprzód. A przynajmniej dopóki nie pojawił się Cabot. Na straży prawa i porządku stoją bracia Dubois. Może nawet nieco przesadzają z tą strażą. Od jakiegoś czasu przedsiębiorcy w mieście płacą im za ochronę. Próbowałem namówić kogoś na wywiad, ale wszyscy nabrali wody w usta.

– Wszyscy poza Stanem, właścicielem baru.

– Skąd wiesz o Stanie? Miał mi przynieść nagrania, na których widać, jak płaci Wilejowi Dubois, ale zginął.

– Rozszarpały go psy.

– W mieście nie ma za wiele psów. Nigdy nie było. Jak już ktoś ma psa, to ten szczeka całymi dniami i nocami, a po kilku tygodniach po prostu znika. To dopiero byłoby nudne śledztwo, możesz mi wierzyć.

– Czyli Hammerowie i bracia Dubois. I to wszystko?

– Jeszcze pastor. Thomas Wilson. Jego parafia jest najliczniejsza w mieście. Za apteką Bartella znajduje się mały kościół katolicki, a jeden sprzedawca używanych samochodów namawia głosem anioła na używane kombi, ale największy rząd dusz ma Wilson. Nie jest jednak szczególnie aktywnym graczem, bardziej niż brudne interesy zajmuje go duszpasterstwo.

– Liczy się ktoś jeszcze?

– Chyba tylko Phyllis Henstrick. Prowadzi firmę budowlaną i kilka pomniejszych interesów na boku. Kiedy biznes dobrze idzie, jej chłopaki budują i naprawiają. Jak idzie źle, dorabiają jako ochroniarze w burdelu. Burdel najlepiej opiera się recesji. I to chyba wszyscy.

– A narkotyki? Zawsze są jakieś narkotyki.

– Jasne, można nabyć nieco zioła tu i tam. Ale nie ma na to za dużego popytu. A jeśli chodzi o te twardsze, bracia Dubois zawsze znajdą sposób, żeby się do nich dostać.

– Przejmują interes?

– Nie, nie. Ich mamuśka borykała się z uzależnieniem od pigułek kilka lat temu. Zrobiła w ten sposób wiele dobrego, jeśli można tak to ująć. Od kiedy skasowała auto, zabijając siebie i ich młodszą siostrę, Dubois wypowiedzieli narkotekom wojnę. Kiedy ktoś jedzie z przyczepą do lasu, żeby robić amfę, to już nie wraca. Znika ot tak, rozpływa się w powietrzu, a Emmett objeżdża znajomych delikwenta, żeby rozesłać ostrzeżenie. Rozumiesz, nie?

– Subtelne aluzje pod przykrywką śledztwa, tak?

– Rozumiesz. No więc czy Hammer Bay Toys przeniosą produkcję za granicę, czy nie?

– Gdybym zechciał spotkać się z Charlesem Hammerem Trzecim w interesach, to gdzie mógłbym go znaleźć?

– Strzelam, że w domu.

– A gdzie mieszka?

– Och, nie, my tutaj bardzo dbamy o naszych szanownych założycieli. Takie pytania narobią ci tylko kłopotów.

– A pytania o jego ataki?

– Sprawy zdrowotne rodziny Hammerów to ich prywatne sprawy, co oznacza, oczywiście, że wszyscy wiedzą na ich temat wszystko. Ale spotka cię zawód, jeśli spodziewasz się tematu na pierwszą stronę. A teraz odpowiedz mi w końcu na pytanie, przeniosą produkcję czy nie?

– Bez komentarza.

– No weź! Rozebrałem dla ciebie to miasto na części pierwsze, a ty mi tak dziękujesz?

– Mam coś dla ciebie. Ile wiesz o strzelaniu u Hammerów?

– Wiem, że Cabot strzelał do swojej bratanicy, ponieważ poróżnili się w sprawach dotyczących rodzinnego interesu. Ale zamiast niej postrzelił

Franka. A ty mu potem dosoliłeś i wszystkich uratowałeś.

– To nie do końca tak – powiedziałem. – Prawda wygląda w ten sposób, że burmistrz zauważył, że Cabot celuje do Cynthii z pistoletu, i stanął między strzelcem a niedoszłą ofiarą. Wskoczył pod lufę, nie dbając o własne bezpieczeństwo. Przywaliłem Cabotowi, prawda, ale stałem zaraz obok niego. Nie wiem, czy w ogóle mnie zauważył, gdy wchodził do pokoju. I nikogo nie uratowałem, pistolet Cabota uległ zniszczeniu po pierwszym strzale. Prawdziwym bohaterem jest tutaj Frank.

– Mówisz poważnie?

– Spytaj Cynthię.

– A pewno, że spytam. Masz coś jeszcze?

– Po pierwsze nie wspominaj w swoim demaskatorskim artykule o burmistrzu ani o Emmecie Dubois. Jeszcze nie. Daj Frankowi wydobrzcę i przygotować się do walki.

– Miał trzy kadencje, żeby się przygotować.

– Jeśli za szybko zaczniesz paplać...

– Dobrze już, rozumiem. To wszystko?

– Wyjedź z miasta. Jedź do Seattle i podpisz umowę z dużym dziennikiem. Albo tygodnikiem. Ale wyjedź. To miasto jest już martwe.

– A więc to prawda? Zastąpią naszych Chinolami?

– Nie słuchasz mnie. Ja nie żartuję. Opuść Hammer Bay, póki jeszcze możesz.

– Za kogo ty mnie uważasz? – Machnął ręką. – Miałbym uciec jak szczur z tonącego okrętu?

Już miałem wbić mu nieco rozumu do głowy, gdy nagle z pokoju Franka wyszedł na korytarz pastor Wilson. W jakiś sposób zgromił nas wzrokiem, nawet na nas nie patrząc.

– Czy mógłbym prosić, panowie – wyrzekł pompatycznym i władczym tonem – żebyście kontynuowali rozmowę gdzie indziej? Ściany szpitala nie są wygłuszone, rozumiecie.

Peter wtoczył swoją okrągłą postać pomiędzy mnie a pastora.

– Czy wesprze wielebny burmistrza w walce z korupcją?

– Burmistrz jest bardzo osłabiony. Wiele wody w rzece upłynie, zanim będzie w stanie podjąć walkę z czymkolwiek i kimkolwiek. I myli się ten, kto sądzi inaczej. – Rozejrzał się po korytarzu, na krótką chwilę

zatrzymując na mnie wzrok, po czym ponownie utkwił go w dziennikarzu.
– Co ty tu jeszcze robisz, Peter?

Dobre pytanie. Oddaliłem się, słysząc, jak Peter molestuje pastora o opinię o tym, co już ochrzcił mianem „nowej inicjatywy burmistrza”.

Podszedłem do windy, obok której znajdował się szpitalny informator. Wyczytałem z niego, że kostnica mieści się w podziemiach. Wcisnąłem przycisk i zjechałem na dół. Cynthia znikła, toteż zdecydowałem się odnaleźć swoją szefową.

Po co ona poszła do tej kostnicy? Miałem nadzieję, że w związku z Karolym Lemem. Nie chciałem zobaczyć tam zwłok kogoś znajomego.

Kostnica, podziemia. Jak w tanim horrorze. Błądziłem labiryntem korytarzy, wypatrując strzałek czy drogowskazów. W końcu na jakieś natrafiłem i udałem się tam, gdzie prowadziły.

Spodziewałem się wkroczyć wprost do mrozącego krew w żyłach pomieszczenia o szarych ścianach, zastawionego metalowymi stołami ze zwłokami. Na całe szczęście moje wyobrażenie okazało się błędne, wpięrw trafiłem bowiem do niewielkiego biura z poczekalnią. Annalise stała przy biurku, wypełniając formularz w clipboardzie swoim ostrym, kanciastym piórem. Jej drobna twarz i wąskie usta były blade, a na czole perlił się pot. Naprzeciwko niej siedział ponury babsztyl, który nie miał nic lepszego do roboty, niż gapić się w pustkę.

– Ktoś zgłosił się do was w sprawie ciała – oznajmiła Annalise, wręczając kobiecie wypełniony formularz. Tamta wzięła go i kołysząc obfitymi biodrami, zniknęła w drzwiach do pomieszczenia za biurem.

Annalise wzięła z kontuaru niebieską płócienną torbę. Skrzywiła się boleśnie i wtedy mnie zauważyła.

– Cóż to? – spytałem.

– Rzeczy Karoly’ego. Co tu robisz? Dostałeś polecenie.

– Zniknęła, kiedy szukałem jakiejś maczugi, którą mógłbym jej przyłożyć. Może uda mi się zawlec ją do jaskini za włosy innym razem.

Rzuciła mi spode łba nieprzyjazne spojrzenie. W jej twarzy dostrzegłem coś, czego nie widziałem tam nigdy wcześniej. Wydawała się... słaba.

– Annalise... Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest.

– Nie kłam – powiedziałem, ku własnemu zaskoczeniu zatroskany. – Jak twoje ręce?

Obeszła mnie w drodze do wyjścia i zacisnęła dłoń na klamce, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. Cierpiała. I to bardzo.

Otworzyłem dla niej drzwi. Przyjęła moją pomoc wbrew sobie, ale nie miała zbyt dużego wyboru.

Przeszliśmy hol ramię w ramię, pokonując kilka zakrętów i dwuskrzydłowych drzwi. Nie miałem pojęcia, dokąd idziemy. Zdecydowałem, że najlepiej zmienić temat.

– Dowiedziałaś się czegoś o tej wiadomości od Karoly’ego?

– Mam w torbie jego laptop – odparła. – Zajrzę do niego, kiedy wrócimy do motelu.

– Dali ci jego komputer?

– Szperali w nim i nic nie znaleźli. Kto przyjechał po ciebie furgonetką?

– A więc widziałaś? Serdeczne dzięki za pomoc, szefuniu. Kolesie pracowali dla gracza, którego jeszcze nie było mi dane poznać: niejakiej Phyllis Henstrick, kobiety która prowadzi tutejszą firmę budowlaną i burdel.

– Aha. Pamiętasz, że przydzieliłam ci zadanie?

– Tak, pamiętam.

Przez całą drogę gapiła się w podłogę. Zastanawiałem się, jak dobrze znała tego Karoly’ego i czy długo będzie za nim płakać, jeśli w ogóle.

– W domu Hammerów widziałem takie zdjęcie...

– Mam pomysł – przerwała mi. – Idź na parking i podjedź vanem pod wyjście. Poczekał na ciebie na zewnątrz.

W jej spojrzeniu dostrzegłem gniew i groźbę. Zdawało mi się, że jeszcze bardziej zbladła i trzymała się na nogach resztkami sił. Odsunąłem się. Annalise podała mi torbę, przyjąłem ją, uważając, by nie dotknąć jej rąk. Obróciła się na pięcie i odeszła.

O ileż prostsze byłoby moje życie, gdyby ktoś wziął i zaciukał ją tu, w Hammer Bay. A przynajmniej miałem nadzieję, że byłoby. Może kiedy umierał członek Towarzystwa, zabijano też jego kukłę, tak jak niewolników zmarłego faraona? A może przydzielano ją innemu Stowarzyszonemu albo dzielono się nią jak cwelem...?

A może puszczano wolno? Może kazano jej iść swoją drogą i nigdy nie wracać?

Słabo to brzmiało, ale tak naprawdę martwiłem się o Annalise. Nienawidziła mnie, prawda, i prawdopodobnie przyczyni się do mojej

śmierci, prawda, ale posiadana przez nią moc nie przestawała mnie fascynować.

No i lubiłem ją.

Jezusie, naprawdę trzeba mi baby.

Gdy już Annalise trąciła łokciem metalowy panel na drzwiach i znikła, wróciłem korytarzem do kostnicy. Chciałem rzucić okiem na wypełniony przez nią formularz. Zobaczyć, czy znajduje się na nim adres albo numer telefonu. Znaleźć jakiś punkt zaczepienia, dzięki któremu mógłbym dotrzeć do jakichś informacji o niej albo o Towarzystwie Dwudziestu Pałaców.

Nikogo nie zastałem w recepcji. Zadzwoiłem dzwonkiem na kontuarze. Nikt się nie pofatygował. Zadzwoiłem znowu. Stałem sam w otoczeniu plastikowych mebli i klikającego leniwie zegara.

Postawiłem torbę na podłodze. Widziałem wprawdzie, że kobieta za ladą zaniósła dokument na tyły, ale nie znaczyło to przecież, że nie przyszła z nim później z powrotem. Przechyliłem się przez kontuar i zapuściłem żurawia na biurko. Stał na nim przestarzały komputer, kubek parującej kawy, mała kolekcja plastikowych dozowników cukierków Pez i duże, oprawione zdjęcie z jakiegoś pikniku. Clipboardu brak.

Przeskoczyłem przez kontuar i wsunąłem krzesło pod biurko. Niżej znajdowały się szuflady, ale nimi zajmę się później. Doszedłem do wniosku, że większe szanse na znalezienie dokumentu mam w pomieszczeniu na tyłach. I lepiej się pospieszyć, inaczej Annalise zacznie się zastanawiać, co też mnie zatrzymało.

Przyłożyłem rękę do drzwi. Jeśli za nimi znajdują się metalowe stoły z truposzami, to miałem nadzieję, że przynajmniej zakryto je jakąś płachtą.

Otworzyłem.

Moją pierwszą myślą było: „To ciało powinno leżeć na stole, nie na podłodze”. Potem zauważyłem rozrastającą się kałużę krwi.

Jej źródłem był jeden z rezydentów kostnicy: kobieta z rozszarpanym gardłem i spokojnym, nieruchomym obliczem.

Tak jak przewidywałem, wokół stały stoły, w tym dwa z okrytymi białym materiałem ciałami. Na ścianie wisiał telefon. Postanowiłem z niego nie korzystać.

Clipboardu z formularzem ani widu, ani słyhu.

Na stoliku w rogu, obok wypucowanych na błysk butów, leżało złożone niebieskie ubranie, a na nim kabura z pistoletem. Mundur policyjny.

Krew dopełzła już niemal do moich butów. Zrobiłem krok w tył.
I wtedy do moich uszu dobiegło ciche warczenie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

S koczyłem w tył, ciągnąc za sobą drzwi. Kątem oka dojrzałem coś wielkiego, sunącego na mnie przy samej ziemi. Pociągnąłem mocniej za klamkę. Drzwi rozwarły się gwałtownie, a mną rzuciło na biurko. Za kołyszącymi się drewnianymi skrzydłami ujrzałem sylwetkę wilka o zjeżonej sierści i obnażonych kłach, który przewiercał mnie na wylot lśniącymi krwistą czerwienią ślepiami. Ten był czarno-siwy i o wiele większy niż tamten rudy, którego widziałem na ulicy. Ale może tylko wydawał się większy, bo patrzył na mnie jak na obiad.

Porwałem z blatu kubek kawy, a kiedy bestia ruszyła w moją stronę, cisnąłem w nią, wylawszy trochę cieczy na rękę. Kurde, ależ gorąca. Czarny płyn rozbryzgał się kreaturze na pysku. Wydała z siebie wysoki pisk i się wycofała.

Pchnąłem krzesło prosto na wilka, zwierzę zachwiało się i wpadło z powrotem do kostnicy.

Złapałem za klamkę. Po tej stronie nie było zamka. Sięgnąłem i palnąłem dłonią w klamkę po drugiej stronie. Coś kliknęło. Miałem nadzieję, że zamek.

Wilki odzyskał równowagę i znowu zaatakował. Dałem susa do tyłu, ponownie szarpiąc za drzwi. Przed samą twarzą kłapnęły mi białe kły, a potem drzwi się zatrzasnęły.

Przesadziłem kontuar i wylądowałem na płóciennej torbie. Poślizgnąłem się i upadłem na plecy. Zabolało. Kurwać. Zeżre mnie żywcem, bo jestem

cholerną ciamajdą.

Złapałem za torbę, zerwałem się i wziąłem nogi za pas. Wiedziałem, że drzwi nie zatrzymają wilka na długo i że nie jest to zwykły wilk. Właściwie byłem prawie pewien, że to Emmett Dubois.

Mogłem pobiec do Annalise, ale bałem się, że bestia ruszy za mną, a w szpitalu przebywali pacjenci i personel. Nie byłem aż takim bezwzględny draniem. Nie byłem Annalise. Pobiegłem więc w przeciwnym kierunku, w stronę, jak sądziłem, parkingu na tyłach budynku.

Wypadłem na pusty korytarz. Zobaczyłem tabliczkę z napisem WYJŚCIE i prześwitujące przez szybę w drzwiach niebieskawe światło. Zwiększyłem tempo.

W połowie drogi usłyszałem zza swoich pleców warczenie. Obejrzałem się i zobaczyłem wilka w pełnym pędzie, z wyszczerzonymi zębami i wywieszonym jęzorem. Jego oczy lśniły, na litość boską, nawet w intensywnym fluorescencyjnym świetle.

Bestia przystanęła w jednej trzeciej długości holu. Zdawało mi się, że pokazała więcej kłów. Czy to był uśmiech? Uciekałem przed nim, a wrażenie, które zrobiłem podczas przesłuchania, z każdym krokiem miało bezpowrotnie. Pojmował już, że blefowałem.

Skręciłem w ostatnią prostą do wyjścia. I natknąłem się na zabezpieczone łańcuchem drzwi pożarowe na parking.

Znalazłem się w pułapce. A może tylko tak mu się wydawało?

Wyszarpnąłem z kieszeni Ostrze Dusz i ciąłem ciężki łańcuch. Zsunął się na ziemię z głośnym brzękiem. Pchnąłem jedno skrzydło, a przez drugie, zaraz obok zasuw, przepchnąłem Ostrze.

Usłyszałem drapanie ostrych pazurów o linoleum. Wymykałem mu się z łap i bestia doskonale o tym wiedziała. Prześlizgnąłem się przez drzwi i zamknąłem je za sobą, po czym przeciągnąłem Ostrze na drugą stronę.

Wilk przyładował jak taran w zablokowane drzwi. Dzięki Bogu wytrzymały.

Odsunąłem się od wyjścia. Drzwi powstrzymają go na jakiś czas, póki nie przywali w nie tak mocno, że zasuwę szlag trafi, albo zrezygnuje z pościgu i wróci do kostnicy po mundur i pistolet.

Emmett Dubois był wilkołakiem.

Pobiegłem na skraj parkingu, gdzie stał zaparkowany van, i podjechałem przed front budynku. Annalise czekała na krawężniku; skrzywiła się na mój widok. Czy ja powiedziałem, że ją lubię? Zdecydowałem, że czas najwyższy przestać się wygłupiać i powrócić do starej, dobrej nienawiści.

Otworzyłem jej drzwi, wgramoliła się do środka. Nie zapięła pasa.

– Co tak długo?

Nie byłem w nastroju do dzielenia się odkryciami. Jeśli chce coś ode mnie, będzie musiała dać coś w zamian.

– Opowiedz mi o swoim ostatnim pobycie w Hammer Bay. O ostatnim spotkaniu z rodziną Hammerów i o wysokim facecie z laską.

Milczała. Wpatrywała się we mnie z bliska przez jakąś minutę. Zorientowałem się, że wciąż dyszę, a ręce trzęsą mi się, jakbym wypił morze kawy. Adrenalina jeszcze nie wyparowała z krwiobiegu.

Zacząłem czuć się nieswojo.

– Wysoki mężczyzna z laską – odezwała się w końcu – nazywał się Eli Warren. Był członkiem Towarzystwa.

– A ty jego drewnianą...

– Nie. Byłam jego uczennicą. I zabawką.

Wyznanie musiało ją sporo kosztować. Słyszałem to w jej głosie. Ale brnąłem dalej.

– Gdzie jest teraz?

– Nie żyje. Zabiłam go. Zdradził Towarzystwo. Sprzedawał zaklęcia, a potem napuszczał na klientów łowców Towarzystwa. Zorientowałam się, w co gra, i doniosłam na niego. Kazali mi go zlikwidować. I tak zrobiłam. W ramach nagrody dali mi jego księgę.

– Myślisz, że zaklęcia, z którymi się tu zetknęliśmy, pochodzą z tej księgi? Czy to możliwe, że sprzedał je któremuś z Hammerów lata temu?

– Nie wiem. Każda księga czarów jest unikalna. Nawet jeśli zawierają te same zaklęcia, a większość zawiera przynajmniej kilka takich, znaki nigdy nie są identyczne. Towarzystwo ocenzurowało sporo ksiąg Eliego, zanim trafiły do mnie. Z całą pewnością nie mam przy sobie zaklęcia, którego mocą mogłabym kazać ludziom wokoło zionąć duchowym ogniem. Ale przebywałam tu z nim chwilę, zanim zorientowałam się, że robi nas w bambuko.

– A masz przy sobie zaklęcie, którego mocą można by zmienić człowieka w wilkołaka?

– Dość szczególne pytanie... Ale odpowiedź brzmi: nie. Mam jednak zakłęcie, które wyostreza zmysł węchu tak, że staje się silny jak u wilka. Pomaga w tropieniu ludzi. Ale nigdy go nie rzucam. A teraz powiedz, czemu spytałeś?

– Po drodze do vana zaatakował mnie wilk. Na dole, w kostnicy. A kobieta, z którą rozmawiałaś, nie żyje. Bestia rozerwała jej gardło.

Annalise zwężyła powieki. Milczała jakiś czas.

– Myśle, że to był Emmett Dubois – powiedziałem.

– Jesteś pewien?

– Nie na sto procent. Na stole widziałem coś, co przypominało złożony policyjny mundur, no i nie zapominajmy, że zupełnie niedawno zrobiłem sobie z niego wroga. Talizman oszalał, gdy Emmett go dotknął.

– Ale nie widziałeś, jak się przemienia? Nie powiedział: a teraz zmienię się w wilka i wyżrę ci serce?

– Nie. A musiał?

– Nie – przystała. – Tak czy inaczej, wciąż możemy go zabić. Dla pewności. Ale jeśli jest w posiadaniu jakichś zaklęć albo nosi w sobie drapieżcę, powinniśmy mieć go na oku, aby przekonać się, czy przypadkiem nie ma współnika.

Skinąłem głową.

– Dzięki za zaufanie.

– Zapracowujesz na nie – odrzekła. – I jesteś przydatny. Tylko nie zapomnij, po czyjej jesteś stronie.

Zatrzymaliśmy się przy supermarkecie, by dokupić wołowiny. Nabyliśmy też cały udziec barani i rolkę folii aluminiowej. Tym razem Annalise weszła ze mną, by wybrać najlepsze kęski.

– Czy ból robi się nieznośny? – spytałem, gdy wróciliśmy na parking.

– Nie rozumiesz.

– Aha. Czyli bardziej niż nieznośny. Może załatwimy ci jakieś środki przeciwbólowe? Kto wie, może pomoże ci zwykły ibuprofen.

– Wciąż nie rozumiesz – powtórzyła. – Ja umieram.

Stałem jak wryty i spojrzałem na nią.

– Że co proszę?

– Do auta.

Weszliśmy do vana, zamknęliśmy drzwi.

– Wiesz, że istnieje takie zaklęcie jak Ciało Golema, tak? To zaklęcie ochronne, jak nasze tatuaże, tylko lepsze. Z jakiegoś powodu pojawia się niemal w każdej księdze czarów. Nikt nie wie dlaczego, ale ma je niemal każdy posiadacz księgi czarów.

Nie byłem pewien, czy wiem, o czym mówi. Co to znaczy, że zaklęcie „pojawiało się” w księgach? Nie przerwałem jednak.

– Tatuaże wyrysował mi na skórze Eli, kiedy przyjął mnie na uczennicę. Nie byłam jego kukłą, ale... – umilkła. – Kiedy znowu byłam sobą – podjęła po chwili – rzuciłam na siebie Ciało Golema. Jak już wiesz, ma je prawie każdy Stowarzyszony. Chroni całe ciało, nie tylko naznaczoną część, i nie blokuje zupełnie systemu nerwowego.

Zrobiła pauzę. Wiedziałem, co ma na myśli. Tatuaże na moim ciele były bez czucia. Zaczarowane partie skóry nie odbierały żadnych bodźców – ani bólu, ani chłodu, ani gorąca, ani dotyku. A Annalise była, z tego, co widziałem, pokryta nimi od stóp do głów.

– Aby żyć, wystarczy jeść mięso – kontynuowała. – To jest warunek. Każde mięso się nada i im surowsze, im świeższe, tym lepiej.

– To działa też uzdrawiająco – dorzuciłem.

– Kiedy jestem ranna, mięso leczy mnie, ale nie robi nic więcej. Nic z tego, co zjadłam, mnie nie odżywiło. Jem i jem...

– A całe jedzenie idzie do ran, które nie przestają się jątrzyć.

– Ja zaś w tym czasie umieram z głodu.

Człowiek potrafił przeżyć bez jedzenia kilka tygodni, ale Annalise nie była człowiekiem, a i to nie było zwykłe jedzenie.

– Ile...? – spytałem.

– Nie wiem.

Zapuściłem silnik i wyjechałem na jezdnię. Chciałem ją jakoś pocieszyć, nie wiem, położyć jej rękę na ramieniu, ale to by chyba nie było na miejscu. Zaczynała mi powoli ufać, ale wciąż ziała między nami przepaść. Tak jak pomiędzy nią a światem.

– No to jaki jest plan, szefowo? – spytałem.

– Wykonać zadanie – powiedziała po prostu. – Jak już będzie po wszystkim, może dowiemy się, jak to wyleczyć. A jeśli nie, spróbuję zwrócić się o pomoc do Towarzystwa.

– Czemu nie mielibyśmy poprosić ich o pomoc już teraz? Na co tu czekać?

Pokręciła tylko głową i zamilkła. Koniec dyskusji.

Niebawem dotarliśmy do motelu. Zasugerowałem przeprowadzkę do jakiegoś innego albo chociaż zmianę pokoi. Nie zgodziła się.

Przeczesała całe miasto, namierzając Charlesa Hammera, ale równie dobrze mogłaby szukać igły w stogu siana. Nikt w mieście nie puścił pary z gęby. Do tego Annalise cierpiała. Szukanie naszych celów wykończyło ją. Może jeśli nie będziemy się ruszali z miejsca, przyjdą do nas sami?

Może nie był to najgenialniejszy z pomysłów, ale nie ja tu wydawałem polecenia.

Poszliśmy do jej pokoju, gdzie przejrzelśmy rzeczy w torbie Karoly'ego. Znajdowały się w niej najzwyklejsze przedmioty codziennego użytku, chyba że długopis strzelał kulami ognia, a grzebień zmieniał frytki w studolarowe banknoty. Ale nie zanosilo się na to; nie znalazłem na nich żadnych magicznych sigili.

Annalise wyjęła z torby laptop i podłączyła ładowarkę do gniazdka. Nie znałem się za bardzo na komputerach. Zanim trafiłem do pierdła, bawiłem się Playstation, ale nigdy nie odczułem potrzeby założenia konta e-mail, korzystania z drukarki czy Internetu. Moja szefowa też nie wyglądała mi na informatyczkę. Kliknęła kilka klawiszy palcem wskazującym. Po jakiejś minucie wzięła do ręki misia w małej koszulce z napisem TĘSKNIMY, TATUSIU! i oderwała mu głowę.

Z jego szyi sterczała jakaś wtyczka, którą Annalise umieściła w gnieździe w laptopie. Maskotka wyglądała, jakby wcisnęła głowę do komputera. Wyglądało to komicznie. Mogę się założyć, że Emmett Dubois przeoczył ten ślad.

Zacząłem kroić mięso. Zdążyłem nabrać wprawy. Rozpakowałem plastikowe widelce i zacząłem układać paski wołowiny na folii aluminiowej. Annalise wyjęła telefon i wcisnęła szybkie wybieranie, po czym podniosła aparat do ucha.

– Karoly nie żyje – powiedziała po chwili. – Mam jego pendrive, ale nie mam hasła.

Żuła kawałek, słuchając rozmówcy po drugiej stronie. Klik, klik, klik. W pokoju zrobiło się duszno.

– W porządku – powiedziała. – Dzięki.

Rozłączyła się i zaczęła przeglądać zawartość pamięci przenośnej. Skroiłem całą wołowinę, z której uformowałem pokaźny stos, a potem

poszedłem do łazienki umyć ręce i Ostrze. Gdy wróciłem, wciąż siedziała przy komputerze. Usiadłem naprzeciw i ponadziewałem kawałki mięsa na widelce.

Zaczęła mnie drażnić ta cisza.

– Znalazłaś coś?

– Nic użytecznego – odparła. Włożyła do ust kolejny kawałek i opuściła widelec. Wziąłem go i nadziałem następny pasek, położyłem w zasięgu ręki. Czułem się jak lokaj. Nie była to praca, o której marzyłem, wychodząc z więzienia.

Zdecydowałem, że muszę powalczyć o jej zaufanie.

– Wiesz, wciąż mam twoją kartę.

– Wiem – odparła, nie odrywając oczu od monitora. Powinienem był zabrać ze sobą książkę.

Zerknęła na zegarek.

– Robi się późno. Może pójdziesz coś zjeść? Mogę nad tym ślęczeć całą noc.

Wstałem i wyszedłem. Wciąż było jasno, ale kiszki grały mi już marsza. Poszedłem do biura kierownika i uśmiechnąłem się do kobiety za biurkiem. Odpowiedziała niechętnym grymasem. Najwidoczniej kierownik jej o nas wspomniał. Pokierowała mnie do najbliższej księgarni.

Pojechałem tam i nabyłem kryminał, po czym ruszyłem do tajskiej knajpy po moje wymarzone sajgonki. Miałem wielką chęć usiąść przy oknie i zjeść, czytając. Od kilku dni potrzęsaliśmy tym miastem, aby przekonać się, co z niego wypadnie. Żeby tego nie przegapić, powinienem być na widoku. Choć źle się czułem z tym, że zostawiam Annalise samą. Zwłaszcza jeśli umierała... Wziąłem jedzenie na wynos.

Pojechałem z powrotem do motelu. Nie wydawało się, by ktoś mnie śledził. Nikt też nie czekał w motelu z kluczem do opon. Zajrzałem do Annalise i poszedłem do swojego pokoju, zjadłem i przeczytałem trzy rozdziały, nim zmorzył mnie sen.

Całą noc śnił mi się ogień.

Obudziłem się, słysząc walenie do drzwi. Była to Cynthia i wyglądała na przerażoną.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę – powiedziała, zerkając nerwowo na ulicę. – Ja... Tak mi przykro. – Cienie wydłużały się; było bardzo

wcześnie, prawdopodobnie dopiero godzinę temu zaczęło się przejaśniać. – Nie mam do kogo się zwrócić.

– No, zapraszam. – Wpuściłem ją do środka. Zasnąłem w spodniach, ale nie miałem koszuli. Czułem na sobie jej wzrok, gdy wkładałem czystą.

Zrobiłem taktyczny odwrót do łazienki, żeby przemyć twarz. Zimną wodą. Byłem pewien, że nie wpadła na szybki numererek.

Wróciwszy, wskazałem jej krzesło przy stole, a sam usiadłem w nogach łóżka. Wahała się chwilę, ale w końcu usiadła. Miała na sobie czekoladową suknię do kolan, z długimi rękawami, białe rajstopy i drobne, płaskie brązowe buty. Skromnie, a jednocześnie wystrzałowo.

Robiłem, co w mojej mocy, by się nie gapić.

– Coś się stało?

– Chodzi o Cabota – zaczęła. – Emmett wypuścił go rano z więzienia.

– Cholera. Skąd to wiesz?

– Czy to ważne?

– Skoro spytałem, tak.

– Przepraszam, ja po prostu... – Spuściła wzrok.

– To ja przepraszam – powiedziałem. – Nie chciałem na ciebie warczeć.

– Zauważyłem, że na stoliku za jej plecami stoi mały ekspres do kawy. – Hej, masz może ochotę na kubek potencjalnie najgorszej kawy w historii?

Wstałem. Ona również.

– Sama zaparzę. Muszę się czymś zająć.

Poszła do łazienki napełnić zbiornik, a ja uchyliłem zasłonę i wyjrzałem przez okno. Srebrny SUV Cynthii stał zaparkowany przy biurze. Spokój i cisza jak makiem zasiał.

Wróciła z pełnym zbiornikiem, wysypała kawę na filtr i napełniła ekspres do połowy.

– Czemu nie do pełna? – spytałem. – Im więcej, tym lepiej o tej porze.

– Masz za mało kawy. Jak naleję do pełna, będzie gorzka.

Wzruszyłem ramionami i wróciłem na łóżko. Dotąd sądziłem, że kawa zawsze jest gorzka. Człowiek uczy się przez całe życie.

– Skąd masz te wszystkie tatuaże? Z więzienia? – powiedziała pozornie neutralnym tonem, który rozbudził moją nieufność.

– Nie. Zrobiłem je później.

– Ale siedziałeś?

– Ano. To tu, to tam.

Spojrzała na mnie, próbując zorientować się, czy żartuję. Wciąż nie była pewna, kiedy włączała ekspres.

– A co... – zacięła się, a ja pospieszyłem z pomocą, jak prawdziwy dżentelmen.

– Co zrobiłem, że poszedłem za kratki?

– Hm, no.

– Raptem zrobiłaś się strasznie ciekawska. Czy może chciałaś wypytać o to już wczoraj?

– No cóż, skoro już przyszedłam, to...

– Możesz wyjść w każdej chwili. Drzwi są tam. Nie sądzę, żebym miał chęć odpowiadać na te wszystkie pytania, sam nie uzyskawszy kilku odpowiedzi. Na przykład na pytanie: kto ci powiedział, że Emmett zwolnił Cabota?

– No dobrze już. To chyba uczciwy układ. – Postawiła dwa kubki na stole. Ekspres ucichł, ale ciemny płyn wciąż skapywał do zbiornika. – Powiedział mi to Sugar Dubois.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Nie wyjaśnił, ale chodziliśmy razem do ogólniaka. Znamy się troszkę, zawsze był dla mnie miły. Miły i pełen nabożnego szacunku, jak to mają w zwyczaju zakochane podrostki.

– Ostrzegł cię, bo podobałaś mu się w liceum? Czy może było coś więcej na rzeczy?

– Nigdy się nie spotykaliśmy. Za wysokie progi na jego nogi. Co się krzywisz? To był ogólniak. Wiesz, jak jest w ogólniaku.

Szczerze mówiąc, ani trochę. Nigdy nie spędziłem w szkole więcej niż kilka tygodni pod rząd, ale w więzieniu zrobiłem maturę dla dorosłych. Nie żebym miał zamiar chwalić się tym Cynthii.

– Ogólniak był, minął. Czy Sugar smali teraz do ciebie cholewki? – Miało to jakiś sens, skoro bracia Dubois chcieli umocnić swoją pozycję w mieście.

– Fuj. Chyba jest na tyle rozgarnięty, żeby sobie odpuścić.

– No dobra. Głowę dam, że przynajmniej próbował. Myślisz, że Emmett mu kazał?

– Dlaczego pytasz o coś takiego?

– Nie odpowiada się pytaniem na pytanie. – Zanim zdążyła przeprosić po raz kolejny, odezwałem się: – To po prostu dziwne, że sprzeciwia się bratu w imię starej szkolnej miłości.

– To chyba nieco bardziej skomplikowane. Sugar kocha swoich braci, ale on zawsze chciał być gliniarzem, jakich widzi się w telewizji, prawym, uczciwym, bohaterskim. Nie wydaje mi się, że odpowiada mu układ, który wypracowali w Hammer Bay jego braciszkanie. Jest zmuszony akceptować ich poczynania, w końcu to jego bracia, ale zwolnienie Cabota, który w każdej chwili może znowu próbować mnie zastrzelić, to chyba dla niego nieco za dużo. A przynajmniej tak sądzę.

Nie skomentowałem. Emmett przemieniał się w wilka i rozszarpał ludziom gardła. Podejrzywałem, że jego bracia również. Wypuszczenie Cabota na wolność to dla nich małe piwo, ale nie byłem pewien, co Emmett chciał w ten sposób ugrać. Czy miał nadzieję, że Cabot znowu strzeli do Cynthii, czy po prostu próbował namieszać, ile się tylko da? Tak jak ja.

Cynthia wręczyła mi pełen kubek. Upiłem łyk. Kawa wcale nie była gorzka. No proszę! A więc istnieje na świecie dobra kawa.

Cynthia upiła łyk i skrzywiła się. Nie taką kawkę pijała na co dzień. Dla mnie to było niebo w gębie.

– Twoja kolej – powiedziała, a ja wzruszyłem ramionami.

– Poszedłem do więzienia, bo wdałem się w bójkę.

– To musiała być bójka co się zowie.

– Właściwie wcale nie bójka. I nie jestem dumny z tego, co zrobiłem.

– Nie naciskam.

– Dzięki. O co sprzeczaliście się wczoraj z Cabotem?

– To już bez znaczenia, prawda?

Westchnąłem. Pociągnąłem kolejny łyk, delektując się smakiem. Dłuższą chwilę łapała aluzję.

– Sprzeczaliśmy się o rodzinny biznes – pojęła w końcu. – Jeśli już musisz wiedzieć. Charles odziedziczył firmę po ojcu, choć nie był zainteresowany wycinką drzew, tartakami ani wypalaniem węgla. Wujek Cabot zgromadził pewną sumę pieniędzy i odkupił od niego biznes. Charles rozkręcił za te pieniądze firmę zabawkarską, co wszyscy mieli za błąd, ale wkrótce okazało się, że Charles bogaci się ponad wyobrażenie, a Cabot stoi na krawędzi bankructwa.

– No i? Cabot poczuł się oszukany?

– Chciał, żeby Charles sfinansował pewne rozwiązania, które miały w jego mniemaniu postawić firmę na nogi. I chciał, żeby Charles... – zamilkła, szukając odpowiednich słów. Nagle zrobiła się niebywale ostrożna. – Charles miał dostęp do jakichś środków, z których chciał też skorzystać Cabot. Chodziło o jakieś porady biznesowe. Cabot znalazł się w ślepej uliczce i nie wiedział, jak się z niej wycofać.

Jej słowa skojarzyły mi się z czymś. Nie pamiętałem dokładnie, ale gdzieś już słyszałem coś podobnego.

– Ale Charles nie kwapił się z pomocą – stwierdziłem.

– Nie byłem pewna czemu, ale za nic nie chciał się mieszać w sprawy Cabota. Nie chciał się nawet z nim spotkać. Wuj zaczął nalegać. Dzisiaj sądzę, że był w większych tarapatach, niż się wszystkim zdawało.

– Wtedy przyszedł do ciebie. Tylko po co?

– Chciał, żebyśmy wpłynęła jakoś na Charlesa. Nie wiem, czego się spodziewał. Firma nie jest moja nawet w malutkiej części, sama ledwie widuję Charlesa.

– Z czego żyjesz?

– Fundusz powierniczy – odparła po prostu. – Mam nieco więcej pieniędzy, niż potrzebuję, więc inwestuję tu i tam, zamiast szastać. Radzę sobie teraz całkiem nieźle.

– Czy Cabot o tym wie?

– A skąd, i lepiej mu nie mów. Nie mam zamiaru wyrzucać pieniędzy w błoto.

– A zatem Cabot jest przekonany, że Charles trzyma łapę na całej kasie. A ty nie masz na brata żadnego wpływu. Wyjaśniłaś mu to?

– Oczywiście, że wyjaśniłam. Ale nie wierzy mi.

– Ja, szczerze mówiąc, również nie – przyznałem, wzruszając ramionami.

– Co takiego? – powiedziała poirytowana.

– Ludzie strzelają do siebie z różnych głupich powodów. Wiesz, naprawdę głupich. Kiblowałem z typem, który zastrzelił własnego szwagra, bo ten wziął dla siebie przy stole największy kawałek kurczaka. Ale opisana przez ciebie sytuacja nie trzyma się kupy. Jeśli Cabot miałby już do kogoś strzelać, to do Charlesa, bo ten nie chciał mu pomóc. Po kiego diabła miałby strzelać do ciebie? Charles jest w mieście, prawda? Idę o zakład, że

Cabot wie, gdzie go szukać. A więc albo wie o twoich okazałych oszczędnościach, albo chodzi o coś zupełnie innego.

– Na pewno o oszczędności – przytaknęła odrobinę za prędko. Głos jej się trząsał, ale nie miałem zamiaru odpuścić.

– Przecież widzę, że kłamiesz. Przejdźmy do meritum: Cabot chciał napuścić cię na brata. Przygotował plan, złożył ci propozycję, zaoferował, nie wiem, więcej pieniędzy, akcje firmy zabawkarskiej czy coś w tym guście. Prawda? Chciał cię skłonić, żebyś pomogła mu dokonać wrogiego przejęcia firmy zabawkarskiej Charlesa.

– Ten termin tyczy się spółek publicznych. Hammer Bay Toys to prywatne przedsiębiorstwo.

– W porządku. Nie ukrywam, z ekonomii jestem noga. W takim razie przypuśćmy, że chciał, abys rozgłosiła, że Charles źle zarządza firmą.

Zamrugła oczami. Bingo.

– Właśnie. Ataki Charlesa nasilały się. Czy był u lekarza? Nie sędzę. Firma pochłania cały jego czas.

– Skąd wiesz o atakach?

– Całe miasto wie. Widziałem, jak dostał ataku tamtego dnia, gdy postrzelono Harlana Semple'a. A co obiecał ci w zamian Cabot? Swoje poparcie w ubieganiu się o fotel prezesa? Miał pomóc ci przejąć firmę w zamian za gratyfikację finansową? Albo może chcieliście ją sprzedać i podzielić się kwotą po równo? Charles byłby już w tym czasie w szpitalu. Głowę dam, że Cabot utwierdzał cię w przekonaniu, że to wszystko dla dobra Charlesa.

Wwiercała się we mnie wzrokiem. Z wyrazu jej twarzy wnioskowałem, że wypełnienie powierzonego mi przez Annalise zadania okaże się nadzwyczaj trudne.

– Okej. Masz rację. Z grubsza tak to wyglądało.

Wątpiłem, że wyłącznie o to chodziło. Według mnie Cabot wiedział o księdze czarów Charlesa i chciał ją dla siebie.

Czy Cynthia wiedziała coś na ten temat? A jeśli tak, to co dokładnie? Mogłem tylko przypuszczać. Nie chciałem drażnić tematu, nie chciałem, by czuła się osaczona. Cabot próbował ją zabić, wystarczy presji, jak na jeden dzień. No i miałem ważniejsze rzeczy na głowie niż rodzinne porachunki.

– Gdzie twój brat?

– A co on ma teraz wspólnego z moim wujem?

- Znowu: odpowiadasz pytaniem na pytanie.
- Nie odpuszczasz, cholera – syknęła głosem zaprawionym gniewem.
- Pytasz, co ma wspólnego? – Wzruszyłem ramionami i wysączyłem kawę do końca. Robiłem się głodny. – Nic. Mojej szefowej i mnie zależy po prostu, żeby się z twoim bratem rozmówić.
- W jakim celu?
- No dobra. Odstawiłem kubek.
- Dlaczego przyjechałaś tu i opowiadasz mi o swoim wuju?
- Ku mojemu zdziwieniu spuściła wzrok.
- Bo boję się, że będzie mnie szukał. Nie mogę poprosić o pomoc Emmetta. Ani Sugara. Przynajmniej nie teraz. Chcę... potrzebuję pomocy.
- Szlag. Ona chce, żebym go dla niej zabił.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

I jak niby miałbym tego dokonać?

– Nie wiem – odrzekła, w dalszym ciągu wpatrzona w podłogę. Doskonale wiedziała, do czego mnie namawia, ale nie chciała tego powiedzieć na głos.

– Dlaczego nie wyjedziesz z miasta? Za trzy godziny byłabyś w Sea-Tac, a już stamtąd mogłabyś się dostać, gdzie tylko dusza zapagnie. Podobno Nowy Jork jest piękny o tej porze roku.

– Nie mogę zostawić brata samego.

– Tego samego brata, którego podobno już nie widzisz? No błagam. Opowiedz wszystko Able’owi Katzowi. Dał mi się poznać jako człowiek raczej rozgarnięty. Już on będzie wiedział, jak się dobrać braciom Dubois do tyłka. Z pewnością może ci pomóc. Ale żaden z nas nikogo dla ciebie nie zamorduje.

Nie wzdrygnęła się na dźwięk słowa „zamorduje”.

– Mam pieniądze.

– Kup sobie spluwę. Na pewno stać cię na jedną z tych lepszych.

– Wybacz mi najście... – rzekła niemrawo, wstając i kierując się do drzwi.

– Nie powiedziałem, że ci nie pomogę. Powiedziałem tylko, że go nie zabiję. A jeśli bym z nim porozmawiał? Może zdołam go jakoś poskromić? I wyduszę z niego miejsce pobytu Charlesa Trzeciego.

– Zrobiłbyś to? – spytała z nadzieją.

– Czemu nie. – Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. – Ale w zamian ty pokażesz mi, jak się robi taką kawę.

Wyszliśmy z pokoju. Cienie skurczyły się nieco, zrobiło się cieplej. Cynthia już wyjęła kluczyki do auta, ale ja musiałem jeszcze odmeldować się u Annalise i upewnić, czy niczego jej nie potrzeba.

Zapukałem do drzwi. Kazała mi wejść.

Siedziała dokładnie tam, gdzie ją zostawiłem. Wydawała się nieco bledsza, oczy miała jakby zażawione. Pościel była w nieładzie, czyli spała. Albo próbowała zasnąć.

– Jak tam? – spytałem.

– Zdołałam otworzyć pewne pliki. Ale zrozumienie, co zawierają, to już inna bajka.

– Co masz na myśli? – Wślizgnąłem się do pokoju, a ona obróciła laptop w moją stronę.

– Spójrz.

Zmrużyłem oczy.

– To jakiś kod?

– Nie, to polski. Karoly sporządzał notatki w swoim rodzinnym języku. Co było do przewidzenia, ale jak to odkryłam, i tak myślałam, że mnie szlag trafi. Odtąd będę się domagała anglojęzycznych śledczych.

– No cóż, przynajmniej uzyskałem odpowiedź na jedno ze swoich pytań.

– A konkretnie? – Podniosła wzrok.

– Dlaczego Emmett nie dowiedział się o naszym śledztwie, gdy tylko znaleźliśmy się w mieście. Nie mam pewności, co znajdowało się w notce, którą zabrał...

– Nie ma jej tutaj. Sprawdziłam. Musiał napisać ją ręcznie.

– Tak też sądziłem. W torbie nie było drukarki.

– Przesyłam pliki do Towarzystwa. Tam ktoś je przełoży i uporządkuje.

– No i super. Będę mógł zapoznać się z nimi, kiedy wrócę?

– Może – odrzekła, mierząc mnie chwilę wzrokiem. – To będzie zależało od tego, czy...

Otworzyły się drzwi. Weszła Cynthia, zatrasnęła za sobą. Stała tak blisko wyjścia, jak to tylko możliwe.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie czułam się bezpiecznie sama.

– Emmett wypuścił Cabota z aresztu – wyjaśniłem Annalise. – Mam zamiar zamienić z nim kilka słów. Z Cabotem, ma się rozumieć.

Zajrzała mi w oczy. Było w jej spojrzeniu coś, czego nie rozumiałem, ale zdawało się nacechowane jakąś treścią. Zrobiło mi się nieswojo. Zupełnie jakbym zmieniał się w coś, czego się nie spodziewała.

Albo po prostu próbowała mi powiedzieć: „Idź ją w końcu przeleć”.

– Potrzebujesz czegoś, zanim pojedę?

– Nie. Zostaw van, na wypadek gdybym musiała po coś pojechać.

– Tak jest.

Wyszliśmy.

– Mówiłeś – odezwała się Cynthia na parkingu – że szefowa cię nienawidzi. Ale nie wyglądała, jakby darzyła cię niechęcią.

– Wiem. Ale numer, co?

Cynthia otworzyła samochód, a ja pomyślałem o ślęczącej nad komputerem osowiałej Annalise. Czy faktycznie umierała? Czy umierała na moich oczach?

Zorientowałem się, że Cynthia coś do mnie mówi.

– Hej, wróc – przerwałem jej. – Jeszcze raz od początku poproszę, zamyśliłem się.

Obrzuciła mnie spojrzeniem z serii „chyba żartujesz”, po czym podjęła:

– Powiedziałam, że wuj pewnie zdążył już wrócić do biura. Jest tam codziennie, nawet jeśli nic się nie dzieje.

– Spróbujmy go tam zastać. Ale spodziewałbym się raczej, że zabarykaduje się w domu. Czy któryś z pozostałych budynków na Hammer Street należy do niego?

– Do wuja Cabota? Nie. Mieszka teraz w kawalerce w mieście.

Zaskoczyło mnie to, ale nie skomentowałem. Jechaliśmy śródmieściem, aż Cynthia zaparkowała, skręciwszy w wąski zaułek.

– To tu. – Wskazała na nieco zapuszczony magazyn.

Musiałem spojrzeć dwa razy, nim dostrzegłem nad drzwiami napis HAMMER BAY TIMBER. Budynek wykonano z surowego, niepomalowanego drewna. Ściany niszczały od wilgoci. Była to siedziba firmy, której nie wiedzie się najlepiej od dłuższego czasu.

Otworzyłem drzwi auta.

– Co ja mam robić? – spytała.

– Idź zjeść śniadanie. Albo lunch. Albo idź na kawę. Pamiętaj, żeby zaparkować ulicę dalej od miejsca, w którym wylądujesz. Znajdę cię później.

Powiedziała mi, gdzie będzie. Zwróciłem się do wejścia do budynku.

– Czeka! – wykrzyknęła. – A co, jeśli coś pójdzie nie tak i nie przyjdiesz?

– Zawsze zostaje ci Nowy Jork. Piękny o tej porze roku, jak wieść niesie. Zamknąłem drzwi samochodu, a ona odjechała.

Najpierw obszedłem budynek. Nic nie przykuło mojej uwagi. Barak obrośnięty był niekoszonym trawnikiem, przy jednej ze ścian stał wyświechtany kontener na śmieci, a wysoko nad ziemią znajdowało się brudne okno, przez które dostrzegłem, że wewnątrz pali się światło.

Zaczęło delikatnie mżyć. Posiłowałem się chwilę z tylnymi drzwiami, ale ani drgnęły. Miałem w kieszeni Ostrze Dusz, więc nie stanowiło to dla mnie przeszkody, ale wolałem się nie włamywać. Ruszyłem wzdłuż kolejnej ściany, mijając schody przeciwpożarowe i przejeżdżając dłonią po nieheblowanym drewnie.

Dotarłem do drzwi frontowych. Rampa załadunkowa magazynu zwisała stopę nad ziemią. Zerknąłem przez okno, ale widok zasłaniały warstwy kurzu. Zresztą z tej strony i tak nie paliło się światło.

Poczułem ukłucie pod obojczykiem. Kolejne dziecko przepadło. Rozejrzałem się, ale oczywiście nic nie zobaczyłem. To mógł być ktokolwiek, gdziekolwiek w mieście. Zacisnąłem szczęki i pchnąłem drzwi, a te rozwarły się, skrzypiąc potępieńczo.

Wszedłem do środka i stanąłem na trzeszczącej ze starości podłodze. Przez brudne okna dostawało się do pomieszczenia dość światła, bym nie rozkwaśił sobie nosa o drewniany filar podtrzymujący strop albo nie potknął się o meble.

Wzdłuż bocznej ściany wznosiła się klatka schodowa, oświetlona z góry przytłumionym blaskiem. Wspiąłem się po niej, skrzypiąc na każdym stopniu. Wyjąłem Ostrze. Wolałem dmuchać na zimne.

– Nie mogę ci zapłacić! – krzyczał ktoś z góry. – Kimkolwiek jesteś, nie mam twoich pieniędzy.

Słyszałem ten krzyk wczoraj. To był Cabot.

Wszedłem na samą górę. Korytarza nie było, schody prowadziły wprost do biura. Do moich nozdrzy dobiegł gorzki swąd tytoniowego dymu.

Cabot siedział przy biurku z głową wspartą o rejestr na blacie, a obok niego dopalał się w popielniczce papieros. Nie podniósł głowy. Gdyby

wysłano mnie tu w celu zabicia go, mógłbym wpakować mu kulkę w łeb i najzwyczajniej w świecie wyjść nie niepokojony przez nikogo.

Rozejrzałem się po biurze. Podłoga była zniszczona, a ściany zdawały się giąć ze starości. Na jednej z nich rozpięto obszerną mapę półwyspu Olympic, pożółkłą i zagiętą na krawędziach.

– Idź stąd – powiedział Cabot, nie podnosząc głowy z biurka. – Nie mam nic.

– Nie bądź taki pewien – odparłem.

Teraz na mnie spojrział. Jego oczy rozszerzyły się w zdumieniu, szarpnął za szufladę i sięgnął po coś.

– Hej! – krzyknąłem. Mój głos brzmiał jak wybuch w zalanym ciszą opustoszałym budynku. Mężczyzna przestraszył się i zamarł w bezruchu. – Gdybym chciał cię zabić, już byś nie żył. Odłóż spluwę do szuflady. Dość głupstw narobiłeś w ten sposób.

Podszedłem do biurka, okręciłem krzesło i usiadłem naprzeciw Cabota.

– Powinieneś był zamknąć drzwi wejściowe – powiedziałem. – Co zrobisz, kiedy zjawi się tu Peter Lemly ze swoim nieodłącznym dyktafonem? Co, jeśli wpadnie z wizytą żona burmistrza?

– Chryste. Frank. Nie chciałem, żeby stała mu się krzywda. Lubię Franka.

– Weź się przymknij. Każdy frajer, który postrzeli niewłaściwego człowieka, gada tak samo. Niedobrze mi się robi.

Spotulniał jak owca. Miał takie same gęste i czarne włosy jak Cynthia i Charles, ale mocno już przeplecione siwizną. Podbródek niemal nikał pod zwałami tłuszczu. Miał mocno podkrążone oczy. Cabot był zapuszczony i zniszczony jak ten budynek i tak samo przygnębiający.

Jego ręka nie chciała opuścić szuflady. Poruszał nią powoli, nie mogąc wymacać broni.

Wystrzeliłem z krzesła i zatrzasałem szufladę z jego ręką w środku, a potem jednym ruchem wyrwałem ją z biurka, tłukąc szybę w oknie za jego plecami. Podłogę zasłały papiery i długopisy, ale ja skupiłem się na dźwięku upadającego pistoletu.

Kolejnego pistoletu.

Cabot rzucił się po niego, ale odepchnąłem go z całej siły. Padł na krzesło i wywrócił je do tyłu, lądując w rogu pomieszczenia.

Podniosłem giwerę, czterdziestkępiątkę, nieco staroświecką, ale z pewnością sprawną. Odsunąłem osłonę i zobaczyłem, że jest naładowana, ale od wieków nikt jej nie czyścił. Co za niechluj. Cabot i wszystko wokół niego lepiło się od brudu.

– Klapnij sobie – poleciłem.

Ruszał się jak uczeń idący do kąta, ale usłuchał.

– Kim ty jesteś? – chciał wiedzieć. – Czego tu szukasz?

To przyjemność spotkać w końcu kogoś, kto nie czytał moich akt i nie zna mojej historii.

– Jestem facetem, który wyświadcza komuś przysługę. Jakie masz plany na najbliższą przyszłość, Cabot?

– Ja? – spytał. – Żadnych. Idę do więzienia. Jestem bankrutem. Prawdopodobnie będę musiał sprzedać dom na wyspie Whidbey i... – cichł z każdym kolejnym słowem.

– Cabot! – powiedziałem. Podniósł na mnie wzrok. – Co planujesz w sprawie Cynthii? I Charlesa? Ile ty masz jeszcze spluw?

– Aha – powiedział. – Przepraszam ode mnie Cynthię? Piłem, byłem zdesperowany i... i zamartwiałem się o Charlesa...

Roześmiałem się.

– Tak się zamartwiałeś, że aż strzeliłeś do jego siostry?

– Charles jest chory – powiedział urażony.

– Poważnie chory?

– Ma guz czy coś w ten deseń. Potwornie schudł... Spotkałeś go ostatnio?

Przypomniał mi się wysoki i smukły brunet, którego widziałem w biurze Hammer Bay Toys. Skinąłem, że tak.

– Sam widzisz. Kiedyś był gruby. Tłusty jak wieprz, wyglądał jak cholerny Samończyk. A teraz topnieje w oczach. No i te jego ataki...

– Jakie ataki? – rznąłem głupa w nadziei, że wygada coś ciekawego. – Ma padaczkę czy co?

– Pojęcia nie mam. Z tego, co wiem, nie poszedł z tym do lekarza. Mamy lekarza rodzinnego, wszyscy się u niego leczymy... I wiem, że Charles nie radził się go w sprawie ataków. Wiem też, że nie opuszczał miasta, więc nie mógł pójść do kogoś innego.

– Długo to trwa?

– Jakies dwa lata. Zaczęło się w tym samym czasie co...

– Co co?

– Co... te... play-offy. – Potarł nos. – Przewrócił się w łazience, kiedy oglądaliśmy finały NBA. Nie pozwolił zabrać się do szpitala. Myślę, że wtedy dostał ataku pierwszy raz. Zdradzał zaskoczenie, zdumienie, jakby to się nigdy wcześniej nie wydarzyło.

– I to dlatego próbowałeś forsować tezę o jego niekompetencji?

– Jeśli cierpi na poważną chorobę – upierał się Cabot, przybrawszy posępny wyraz – to musi podjąć leczenie.

– A jeśli przy okazji wpadłoby ci do kieszeni kilka dolców, to tym lepiej, nie?

– To nie tak.

– Skoro tak mówisz...

Sprowokowałem go. Nachylił się do mnie, a jego głos wezbrał na sile.

– Pojęcia nie masz, o czym mówisz – syknął. – Nawet nie jesteś członkiem rodziny!

– Uchowaj Boże. Nie wziąłem ze sobą kamizelki kuloodpornej.

Otworzył i zamknął usta jak wyjęty z wody karp, a potem uszło z niego całe powietrze. Obwisł w fotelu.

– Jak oni to robią? – rzekł. – Mój brat zawsze wiedział, co należy przedsięwziąć. Zawsze wykonywał właściwe ruchy. Jakby znał przyszłość. Ja tak nigdy nie potrafiłem. Sam tylko ufam intuicji i próbuję postępować mądrze, ale nigdy nie wiem, dokąd mnie to zaprowadzi.

– Szachista byłby z ciebie marny – skomentowałem.

– Gram w szachy jak ostatnia dupa. To o to chodzi? O całe to myślenie kilka kroków w przód?

– Nie wiem. Nigdy nie miałem firmy.

– Zresztą nieważne. Siedziałem tutaj i zastanawiałem się, czy nie powinienem się zabić. Ale nie sądzę, żebym miał na to jaja.

– To dobrze. W więzieniu nie jest różowo, ale da się przeżyć.

– Boże. Przynajmniej nie musiałbym więcej tego oglądać. – Przesunął ręką po dokumentach i wyjął ciekawą gazetę. Był to numer „The Mallet”. Z pierwszej strony krzyczał wielkimi literami nagłówek: CABOT HAMMER ARESZTOWANY ZA PRÓBĘ MORDERSTWA!

Wziąłem periodyk do ręki i przejrzałem pierwszą stronę. Było to wydanie specjalne, poświęcone wyłącznie tej sprawie. Autor artykułu, Peter Lemly, relacjonował dokładnie tę samą wersję wydarzeń, którą rozgłaszała

Cynthia: Cabot i Cynthia pokłócili się, Cabot próbował ją zastrzelić, ale trafił burmistrza, który zasłonił ją własnym ciałem. W tym momencie na scenę wkroczył „podróżujący biznesmen”, który pozbawił Cabota przytomności. Przez chwilę myślałem, że chodzi o kogoś innego. A potem uzmysłowiłem sobie, że to przecież ja byłem tym „biznesmenem”.

– Czy wiesz... – Cabot zagadnął mnie, jakbyśmy byli starymi kumplami. Zastanowiłem się, czy on w ogóle ma jakichś kumpli. – ...że mojego brata cechował niespotykany dar przekonywania? Każdego potrafił skłonić do zrobienia tego, czego sobie życzy. Zupełnie jak nasz ojciec.

– W jaki sposób?

– Nie odprawiał jakichś rytuałów voodoo ani nic takiego. Nigdy też nikogo nie szantażował, a przynajmniej nic na ten temat nie wiem. Po prostu chciał czegoś, a inni ludzie z miejsca pragnęli mu to dać. Jeśli negocjował z kimś cenę za połąć lasu, za chwilę dostawał ją półdarmo. Zupełnie jakby sprawiał, że ludzie chcieli tego samego co on. Naginali się do jego woli przy minimalnym wysiłku ze strony Charlesa. I zawsze umiał obchodzić się z ludźmi. Dokładnie wiedział, jak wykorzystać braci Dubois i kiedy przytrzymać ich na dystans. A już pastora Wilsona ustawiał jak radio.

Głowiłem się nad tym chwilę, aż poukładałem wszystko we w miarę sensowną całość.

– Czy Charles Trzeci nie robi tego w swojej firmie? Czy przypadkiem klienci nie zabijają się o każdy jeden sprzedawany przez niego produkt? – Przypomniało mi się, co mówił Able Katz o zabawkach Hammera, które nie miały prawa się sprzedać, a schodziły jak świeże bułeczki. Mógłbym mnożyć przykłady, wspominając chociażby o stojących murem za Hammerem mieszkańcach, ale wydawało mi się, że podsunąłem Cabotowi dosyć, by jego reakcja coś mi zdradziła.

– No pewnie. Myślę, że tak. A wiesz, co jest w tym wszystkim najśmieszniejsze? Nigdy bym nie pomyślał, że mały Charlie okaże się takim rekinem biznesu. Teraz zbija kokosy na swoich zabawkach, cały czas kryjąc się za murami tej swojej wieży z kości słoniowej, ale szczerze mówiąc, nigdy bym nie przypuszczał, że ma w sobie to coś. Jako dzieciak był tylko małym, grubym przygłupem.

Przypomniał mi się wysoko położony pokój na najwyższym piętrze domu Hammerów. To chyba ta „wieża z kości słoniowej”. Gdybym tylko

wiedział, kto w niej siedzi, wymknąłbym się z biblioteki i poszedł prosto tam. Postanowiłem powiedzieć o pomieszczeniu Annalise.

– Dzieci dojrzewają, zmieniają się... – powiedziałem.

– Nie, nie o to mi idzie. Był nie tylko gruby, ale i głupi jak but z lewej nogi. Nigdy nie załapał żartu, dopóki ktoś mu go nie objaśnił. Inne dzieciaki z podwórka pomiatały nim. Był takim typem dziecka. Wiele gadał o pomaganiu biednym i ratowaniu wielorybów, ale nigdy nie miał żadnego konkretnego pomysłu, jak się właściwie do tego zabrać. I nigdy nawet... Słuchaj tego. Pewnego dnia postanowił pomóc starszym mieszkańcom miasta. Wiesz, emerytowanym drwalom i pracownikom tartaków, węglarzom i ich żonom. Cienko przęda, kiedy ktoś zachoruje albo podatek od nieruchomości pójdzie w górę. Charlie wymyślił, żeby zbierać i rozdawać im za darmo żywność. Miał najwyżej czternaście lat, ale już był wielki jak tucznik. Każdy żartował, że sam zje połowę uzbieranego jedzenia, choć oczywiście nikt nie powiedział mu tego w twarz. Ale większości spodobał się ten pomysł i każdy coś tam dorzucił. Magazynowaliśmy żywność nie gdzie indziej – wskazał palcem w dół – a w tym właśnie budynku, piętro niżej. Zrobiła się z tego prawdziwa góra jedzenia. Byłem zdumiony, ilu tutejszych poparło jego inicjatywę. Ale Charlie stracił zainteresowanie przedsięwzięciem, kiedy tylko zaczęło mu się wieść. Popołudnia spędzał, grając w gry wideo, a puszki i siaty z jedzeniem zaczęły zbierać kurz.

Cabot przełknął ślinę i podjął po chwili:

– W końcu sam zacząłem rozdawać jedzenie. Potrzebujący byli bardzo wdzięczni za pomoc, kilkoro zapytało nawet, czy mogą spodziewać się kolejnej zbiórki żywności. A ja musiałem im mówić, że akcja była jednorazowa. Co bardzo ich rozczarowało. Biedacy. Bez możliwości wyrwania się z tej miejsciny, zaszranej dziury bez przyszłości. Tak więc nie spodziewałem się po nim jakichś spektakularnych sukcesów w przyszłości. Nie z takim słomianym zapałem. A tutaj okazuje się, że młody ma żyłkę do biznesu jak tata.

– Czemu nie kontynuowałeś zbiórek na własną rękę?

– Że co?

– Zbiórek żywności. Jeśli pomogły tylu ludziom, czemu nie urządziłeś kolejnych sam?

– Musiałeś się skupić akurat na tym? Chodziło mi o coś innego.

– Rozumiem, o co ci chodziło. Twój bratanek był tym wielkim przegranym, który nagle odniósł wielki sukces, a ty nie.

– Nie mówiłem, że jestem przegrany... Wróć. Jestem. Zawsze byłem. Ale dotąd zawsze mogłem liczyć na pomoc rodziny. Wydaje się, że te czasy minęły. Cholera by to wzięła.

– Skąd ta zmiana w twoim bratanku?

Nie sądziłem, by odpowiedział: „To pewnie przez tę księgę czarów, którą dał mu tata”, ale miałem nadzieję na jakieś użyteczniejsze informacje niż geneza jego nieudacznictwa.

– Bóg jeden wie – powiedział. – Nie sądzę, żeby zaszła też w moich dzieciach.

Nosił na palcu obrączkę.

– Rozwiodłeś się? – spytałem.

– Nie. Nie, wciąż tworzymy z ich matką małżeństwo. I bardzo się kochamy.

Tych drzwi wolałem nie otwierać.

– Ile macie pociech?

– Czwórkę. Najstarsza ma piętnaście lat, najmłodsza osiem.

– Cynthia powiedziała mi, że mieszkasz w kawalerce.

– No tak, ja mieszkam, ale one nie. Mieszkają na Whidbey.

– Doprawdy? – spytałem. Cabot poruszył się niespokojnie na krześle. Wił się pod moim spojrzeniem. Czułby się jeszcze bardziej nieswojo, gdyby wiedział, o czym myślę. – Kiedy się przeprowadziły?

– W wakacje parę lat temu. Żona nie była tu szczęśliwa, więc kupiłem jej mieszkanie na wyspie. Powodzi im się świetnie.

– Czemu żyją tak daleko od ciebie? – dociekałem, choć chyba już znałem odpowiedź.

– Mają tam świetne szkoły. – Podrapał się w brodę i przerzucił kilka papierów na biurku. – Chcę, żeby moje dzieci dorastały w jak najlepszym środowisku.

Pochyliłem się. Czulem, jak wewnątrz mnie zapala się niebezpieczna iskierka gniewu.

– Cabot, chcesz się dowiedzieć, czego lepiej nigdy nie robić? Kłamać mi. Zwłaszcza kiedy mam w kieszeni pistolet.

Zamrugnął kilka razy.

– Pojęcia nie mam, o co ci chodzi.

– To cholerne miasto – przedrzeźniałem go. – Zasrana dziura bez przyszłości. Charles Trzeci dostał pierwszego ataku... Kiedy, w kwietniu? W maju? A kilka tygodni później ty wysyłasz żonę z dziećmi na drugą stronę stanu.

– Cóż... Ja...

– I to w czasie, kiedy twoja firma zdycha męczeńską śmiercią.

– Okej.

– Kupiłeś żonie dom na wyspie Whidbey, gdzie ceny nieruchomości są...

– Dobra, dobra! Może nie powiedziałem ci wszystkiego.

– Zamieniam się w słuch.

Widziałem w jego oczach, że najchętniej posłałby mnie w cholerę. Zerknął na kieszeń mojej kurtki. Wciąż miałem przy sobie spluwę. No i raz już go obezwładniłem.

– Chodziło o ich bezpieczeństwo – wykrztusił w końcu. – Mam w mieście wrogów.

Przyłożyłem pięścią w stół i zerwałem się na równe nogi. Górowałem nad nim, a on wgapiał się we mnie oczami spłoszonego jelenia. Wydobyłem prawdę z tego spojrzenia – wiedział o znikających dzieciach. O płomieniach. Nie zapominał o nich jak reszta.

Dwa bite lata, a Cabot nie zrobił nic poza wyprawieniem rodziniki w bezpieczne miejsce.

– Myślę, że... – zacząłem, ale nie miałem pojęcia, co chciałem powiedzieć. Czułem, jakbym nosił w sobie jakąś inną osobę, która podejmuje decyzje za mnie. – Myślę, że cię zabiję.

– Co? – zapytał, rozszerzając powieki do granic możliwości.

– Mam przy sobie broń. Położę przed tobą gazetę i strzelę ci w głowę. Każdy pomyśli, że to samobójstwo.

– Poczekaj chwilę...

– Sam poczekaj chwilę. Wciskasz mi kit i myślisz, że będę tak siedział i łykał to jak idiota?

Rzucił się na mnie. Uderzyłem go w krtań. Padł ciężko na krzesło, krztusząc się i walcząc o oddech. Mogłem go zabić tym ciosem, gdybym tylko w ostatnim momencie nie zdecydował się go złagodzić. Ale czy udało mi się złagodzić na tyle, by przeżył?

– Nie... – urwał. Łapał powietrze. Skoro może mówić, to chyba przeżyje. Poczuję lekki zawód.

– To za ledwie przedsmak tego, co z tobą zrobię, jeśli jeszcze raz mnie okłamiesz.

Cabot podniósł zażawione oczy. Wyczytałem z nich, że tym razem powie wszystko jak na spowiedzi.

– A teraz opowiedz mi o dzieciach.

– Nie ma... – wychrypiał, wziął roztrzęsiony wdech. – Nie ma za dużo do opowiadania.

– Opowiedz i tak.

– Jednego dnia moja najmłodsza wróciła ze szkoły z płaczem. Podobno jej koleżanka stanęła nagle w płomieniach i spłonęła żywcem na jej oczach. To było gdzieś w połowie maja... – Zrobił pauzę, by rozmasować gardło i nabrać tchu. – Myślałem, że to jakaś zabawa, ale ona przysięgała, że to prawda. Mała Carrie zapaliła się, siedząc w ławce. Poszedłem do nauczycielki na rozmowę. Jedna z ławek w klasie była spalona, wiódł od niej przez drzwi na korytarz ślad czarnej sadzy. A nauczycielka zachowywała się, jakby w ogóle nie widziała ani biurka, ani śladu. Twierdziła, że ławka od zawsze stoi pusta i że w jej klasie nie było nigdy uczennicy imieniem Carrie. Ale ja znałem tę Carrie. Przychodziła się do nas bawić. Na ścianie w klasie wisiał jej rysunek z podpisem kredką. Nauczycielka nie widziała czarnych śladów, nie widziała rysunku, w ogóle nie wiedziała nic o żadnej Carrie. Pomyślałem: szurnięta. Poszedłem do biura dyrektora, ale powiedziano mi dokładnie to samo i zasugerowano, żebym się leczył. No to wybrałem się do domu tej Carrie, żeby pogadać z jej rodzicami. Żadne nie pamiętało córki. Było tak, jakbym tylko ja wiedział o istnieniu tamtej małej dziewczynki z przyciętymi na pazia rudymi włosami. Ja i moja córeczka. Nie dalej jak dwa tygodnie później moje dzieci przychodzą do mnie i mówią, że ich koledzy i koleżanki po prostu znikają i że wszyscy wokół o nich zapominają. W końcu spakowałem kanapki, pojechałem pod szkołę i siedziałem w aucie przez cały dzień, obserwując plac zabaw i boisko. Robiłem tak dzień w dzień przez tydzień i dwa razy widziałem płonące dzieci. Reszta dzieciaków dostawała ataków paniki na ten widok, ale gdy tylko było po wszystkim, wracały do zabawy jak gdyby nigdy nic.

– A robaki?

– Nie mam pojęcia, czym są i skąd się tam biorą. Myślałem, że oszaleję, więc wysłałem żonę z dziećmi jak najdalej, żywiąc nadzieję, że będą bezpieczne. Jak dotąd mają się dobrze.

– Pewien jesteś? A co, jeśli miałeś piątkę, tylko jednego nie pamiętasz?

– Myślisz, że nie przyszło mi to do głowy? Ale nie, jestem pewien. Na sto procent.

Nie podobało mi się, jak to brzmi.

– I już? – nie dowierzałem. – To wszystko, co zrobiłeś w sprawie tych dzieci? Pogadałeś z kilkoma osobami?

– A co więcej mogłem zrobić! Rozmawiałem też z Emmettem, z Frankiem, z pastorem Wilsonem. Wszyscy myśleli, że tracę rozum. Dzieci w szkole znęcały się nad moimi, bo wszyscy mieli nas za wariatów. Mogliśmy tylko czekać, aż to wszystko minie. Co niby miałem zrobić?

Chciałem wyrzesczyć mu w twarz: „Cokolwiek!”, ale ugryzłem się w język.

– I przysięgasz, że nie wiesz nic o tych robakach?

– Nic. Nie wiem, co to jest. A jak ty dowiedziałeś się o tym wszystkim? Wszyscy natychmiast zapominają.

Szkoda, że Annalise odebrała mi talizman. Chciałbym wiedzieć, czy Cabot jest zainfekowany, zaczarowany, czy po prostu brak mu piątej klepki, jak Harlanowi.

– Wstawaj.

Wstał.

– Opróżnij kieszenie.

Zaczął wywracać je na drugą stronę, wyrzucając zawartość na biurko. Portfel, pęk kluczy, rachunek za gaz, otwieracz do butelek – wszystko do bólu zwyczajne i nudne jak flaki z olejem. Nic z tego nie wydawało mi się magiczne.

Skierowałem na niego pistolet.

– Rozbieraj się – nakazałem. – Zaczynając od koszuli.

Zrzędził coś, ale zrobił, jak kazałem. Rozpiął koszulę i przewiesił przez oparcie. Kiedy się odwracał, zobaczyłem tatuaż na plecach.

– Czekał – powiedziałem. Przyjrzałem się. No patrzcie państwo. Miał wytatuowane Żelazne Wrota. Identyczne jak moje.

– Skąd to masz?

– Ojciec mi zrobił, kiedy byłem mały. Zrobił to też wszystkim moim dzieciom, zanim zmarł.

– Czemu?

– Nie wiem. To niby na szczęście. Czasem mi dokucza.

Przypomniałem sobie ukłucie, które poczułem, wchodząc do budynku przed kilkoma minutami.

– Kiedy ci dokucza?

– Tak jakoś, nie wiem, co parę dni. Mam wrażenie, jakby ktoś trącał mnie kijem.

– A poczułeś coś, kiedy płonęły dzieci?

– Hm... – zawahał się. Wiedziałem, że sili się na kolejne kłamstwo. – To chyba... możliwe. Nie pamiętam.

– A kiedy Charles dostał ataku?

– Długo jeszcze będziemy tak sobie konwersować?

– Zbliżamy się do sedna. To jak było?

– Nie przypominam sobie.

Jeśli kłamał, robił postępy.

– Gdzie jest księga?

– Jaka znowu księga?

– Księga! TA księga!

– W ogóle nie wiem, o czym mówisz!

Pchnąłem Cabota na biurko i przyłożyłem jego głowę o rejestr. Zaczął się rzucać, ale przestał, gdy poczuł na potylicy lufę pistoletu. Miałem nadzieję, że nikt nie wejdzie do biura akurat w tym momencie.

– Błagam, nie! – krzyknął. – Przecież chyba tego nie zrobisz, co? Przecież mnie nie zabijesz?

– Nie myślisz czasem o tych wszystkich płonących dzieciach?

– Sądzę, że to okropne. Czasem śnią mi się koszmary.

– Ale nie na tyle koszmarnie, żebyś próbował jakoś im pomóc?

– Co niby mam zrobić? Ludzie gadali, że zwariowałem! Jestem Hammerem! Nie mogę robić w tym mieście za klauna!

Ostatnie zdanie sprawiło, że niemal strzeliłem. Nawet nie byłem już zły. Czuję wewnątrz zimno i żal. Cabot jawił mi się jako brudna plama, którą trzeba zetrzeć. Wystarczyło tylko nacisnąć mocniej spust.

– Błagam cię – wyrzekł po prostu.

Ściągnąłem go z biurka i pchnąłem na krzesło.

– Masz szansę przeżyć, skoro tak bardzo chcesz.
– Chcę! Naprawdę!
– Zobaczymy... Gdzie jest księga?
– Nic nie wiem o żadnej księdze. Przysięgam! – Brzmiał szczerze, ale jakoś mnie nie przekonał.

– Zła odpowiedź. Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Jestem tutaj, żeby położyć kres tym płomieniom, i guzik mnie obchodzi, kogo będę musiał zgnieść, aby tego dokonać. Jeśli nie doczekam się od ciebie odpowiedzi, kwalifikujesz się do zgniecenia, pojmujesz?

– Ale ja naprawdę nie wiem. Przysięgam.

– Opowiedz mi o ojcu i tatuażu, który masz na plecach.

– Byłem zaledwie dzieckiem! Jak miałbym pamiętać?

– A jak to się odbyło z twoimi dziećmi? Wtedy nie byłeś już dzieckiem, co?

– Zabrał je na noc do siebie. Mnie i Carli kazał iść do domu. Rano wszystkie miały tatuaże na plecach. Carli się to nie podobało, ale kazałem jej siedzieć cicho. To taka rodzinna tradycja, a ja bałem się, że nie dostaniemy od niego ani centa, jak będziemy narzekać.

– Teraz o braciach Dubois.

– Ale co? Oni już na pewno nie mają żadnej księgi. Wątpię nawet, czy potrafią czytać.

W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Wyjąłem z kieszeni Ostrze Dusz.

– Co robisz? – spytał Cabot.

– Nie ruszaj się.

Przejechałem nożem po jego ramieniu. Pod Cabotem ugięły się nogi; zwalił się na podłogę, zawodząc głośno, a potem zwinął się w kłębek.

– Proszę – skamlał, dusząc się szlochem. – Proszę, proszę, proszę, proszę...

Widziałem już, jak Ostrze Dusz wysysa z ludzi siły witalne i wrogość, ale taka reakcja jeszcze nigdy się nie pojawiła. Chciałem uczynić go bardziej potulnym, bardziej skorym do współpracy. Zamiast tego odebrałem mu odwagę i sprawiłem, że wypłynęły na powierzchnię wszystkie jego obawy. Złamałem go.

Ostrze Dusz było zaklęciem, które rzuciłem osobiście. Moim magicznym debiutem. Stanowiło część mnie, choć nie do końca je jeszcze rozumiałem.

– Księga. Kto ją ma?

– Nie wiem! Przysięgam, przysięgam, przysięgam, przysięgam...

– Dość.

Zamknął się.

Co powinienem z nim zrobić? Jak go zostawię, dojdzie w końcu do siebie, ale czy miałem prawo tak po prostu go zostawić? A jeśli on też ma w sobie drapieżcę, jak Emmett Dubois? A co z Wrotami na jego plecach?

Nie wiedziałem, co zrobiłaby na moim miejscu Annalise. Nie sądziłem, by jedno zaklęcie, które nie zostało w dodatku rzucone przez Cabota, było dostatecznym powodem, by go zamordować. Bo jeśli było, to zamordowana zostałaby również cała jego rodzina.

Czy mógłbym to zrobić? I czy mogłem powiedzieć Annalise o Wrotach na ciele Cabota i jego dzieci, wiedząc, że ta informacja może doprowadzić do ich śmierci? Cholera, a jeśli każe to zrobić mnie? W ramach inicjacji?

Może lepiej trzymać gębę na kłódkę i zostawić ich w spokoju, po raz kolejny zdradzając Annalise?

Spojrzałem w dół, na kłębek nieszczęść, który jeszcze niedawno był Cabotem. Nie wyglądał na groźnego, ale nie mogłem zostawić go z aktywnym zaklęciem na skórze. Co by się stało, gdyby Annalise przyłożyła mu do ciała swój drewniany talizman? Schyliłem się i przejechałem nożem po Wrotach.

Znak buchnął czarnym dymem. Cabot zaszamotał się, uderzył nogami w biurko i pozrzucał papiery na podłogę.

Po rozpruciu zaklęcia poczułem, jak coś z niego wyłazi. Jakby nagle opuściła pomieszczenie trzecia osoba, której obecności nie zauważyłem, dopóki nie znikła.

Cabot jęknął i rozplakał się, zastygając twarzą do podłogi. Wyglądał jak siedem nieszczęść, ale jeszcze z nim nie skończyłem. Musiałem mieć pewność, że nie ma już na sobie żadnego zaklęcia.

Schowałem broń i wywlokłem go z za biurka. Nie opierał się. Chyba nie był w stanie, nawet gdyby miał dość ikry. Ukrył tylko twarz w dłoniach i zawodził tak cicho, że nie mogłem zrozumieć, co właściwie mówi.

W więzieniu spotkałem ludzi, którym momentalnie stawał na widok pękającego w ten sposób człowieka. Mnie mdliło. A jednak musiałem się upewnić co do tych zaklęć. Annalise wolałaby mieć pewność.

Przeturlałem go na plecy i rozciąłem Ostrzem przód jego spodni oraz pasek, po czym chwyciłem za szlufki i ściągnąłem mu portki. Modliłem się, żeby nikt nie wszedł do biura.

Dokonywałem oględzin tylko na tyle długo, by przekonać się, że nie miał na sobie żadnych innych tatuaży, znamion czy znaków. Kopnąłem portki w jego stronę.

– Poniżające, nie? – spytałem. – Niektórych facetów tak by to wkurzyło, że pewnie skombinowaliby pistolet, aby wyrzucić krwawą zemstę. Ale wiem, że ty nie popełnisz tego błędu. Bo nie popełnisz, prawda? – Skinął głową. – Powiem ci teraz, czego od ciebie chcę. Po pierwsze masz mi powiedzieć, gdzie jest księga. Tylko nie kłam. Jeśli skłamiesz, będę wiedział.

– Przysięgam – pisnął żałośnie. – Błagam, przysięgam, że mówię prawdę. Nie wiem. Może ma ją Cynthia...

– Zabawne, że o niej wspomniałeś, ponieważ po drugie masz się trzymać z dala od Cynthii.

Zamknął się i znowu pokiwał głową. Oczy miał wielkie jak spodki.

– Po trzecie nie jesteś już chroniony czarem. Nie wiem, kiedy zginie kolejne dziecko, ale wiem, że teraz też nie będziesz go pamiętał. Może przyniesie ci to ulgę. Nie wiem, ale nie chcę cię więcej widzieć na oczy. Po czwarte bowiem i ostatnie wyjedziesz z miasta. Nie wracaj do mieszkania, tylko wsiądź do auta i jedź prosto na Whidbey. Umów się na jutro rano z prawnikiem, ale dzisiejszy wieczór spędź z dziećmi. Możliwe, że zginiesz albo trafisz do więzienia, ale przynajmniej się z nimi zobaczysz.

To tyle. Nie mogłem już patrzeć na Cabota. Brzydził mnie widok tego, co z niego zrobiłem. Cofnąłem się, omiatając pomieszczenie ostatnim spojrzeniem. Wolałem nie zostawić śladów. Nie chciałem już nigdy tu wracać.

Wróciłem na parter, wzbudzając akord skrzypnięć i trzasków. Zza moich pleców dobiegały cichutkie szlochy Cabota. Ostrze złamało go jak wykałaczkę. Jeszcze nigdy nie widziałem, by podziałało na kogoś w podobny sposób. Wyjąłem nóż z kieszeni i przyjrzałem mu się w półmroku na schodach. Wyczuwałem zawartą w nim moc, z której część pochodziła ode mnie, ale nie więcej. Co sam bym poczuł, gdyby ktoś rozproszył zaklęcia wtopione w moje ciało?

I co bardziej istotne, jak oceni mój uczynek Annalise? Przyjechaliśmy tu, żeby pozabijać drapieżców i ukraść księgę czarów. Zaklęcia w ogóle były zdecydowanie zbyt niebezpieczne, by ktoś ich dowolnie używał. Aż nadto dowodziły tego smoliste ślady, które znaczyły Hammer Bay.

Jedynymi dozwolonymi czarami były te rzucane przez Towarzystwo Dwudziestu Pałaców. Z rozmów z Annalise wiedziałem, że Towarzystwo korzystało z magii w ramach bardzo surowych reguł, a jeśli czasem postępowało bezwzględnie i okrutnie, to tylko w trosce o bezpieczeństwo innych ludzi.

Ta myśl jakoś nie sprawiła, że przestałem się czuć jak ostatni hipokryta. Zrobiłem w życiu mnóstwo głupot. Niby dlaczego ja mogłem mieć magiczne tatuaże, a Cabot nie? I kto powiedział, że Towarzystwo ma prawo o tym rozstrzygać?

Ruszyłem zdecydowanym krokiem do wyjścia z zamiarem powiedzenia Annalise o Cabocie i jego dzieciach. Jeśli zadecyduje, że mają zginąć – lub jeśli wyniknie to z jakiejś reguły przestrzeganej przez Towarzystwo – trudno. Możliwe, że każą zrobić to mnie. Miałbym za swoje.

Ale jednak miałem nadzieję, że pozwolą im żyć. Cabot z pewnością nie wiedział nic o żadnej księdze. Upewniłem się co do tego. Teraz będę musiał wypytać Cynthię. I Charlesa Trzeciego.

Wyszedłem przez drzwi w przytłumione światło dnia. Na krawężniku stali czterej mężczyźni, celujący we mnie z oberżniętych trzydziestekósemek.

– To on – wskazał mnie któryś. Za tą czwórką stał jeszcze jeden gość, z dłońmi w gipsie. Floyd.

Reszty nie rozpoznałem. Powinienem się bać, ale gruczoł odpowiedzialny za produkcję adrenaliny nie otrzymał jeszcze stosownej informacji z mózgu.

Drzwi do magazynu za mną wciąż pozostawały otwarte.

– Lepiej o tym nie myśl – powiedział jeden z nich, facet średniego wzrostu i o budowie atlety, z gęstym wąsem, kozią bródką i wygoloną do skóry głową. – Najpierw posłuchaj, co ci powiem.

Po chwili rozpoznałem czwartego. To był ten, który rozmawiał z Dubois, Charlesem Hammerem i burmistrzem, po tym jak gliny strzelały do Harlana. Z jego twarzy wyczytałem, co najbardziej chciałem wiedzieć: nie był pochopny ani zdenerwowany, nie czuł się nieswojo w zaistniałej

sytuacji. Zabije mnie, jeśli będzie musiał, a potem wróci do swoich spraw.
Wzruszyłem ramionami.

– Okej. Słucham.

– Interesuje się tobą nasza szefowa – powiedział z beznamiętnym wyrazem twarzy. – Chciałaby zaprosić cię na obiad.

Zajrzałem po kolei we wszystkie wycelowane we mnie lufy.

– Nie wypada mi odmówić.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Znowu jechaliśmy vanem, ale tym razem był to chevy sport. Było w nim dość miejsca, żeby pomieściły się wszystkie byczki z obstawy i w razie czego spuściły mi manto.

Floyd siedział na przednim siedzeniu pasażera. Facet, który przekazał mi zaproszenie, usiadł za mną. Kolejny zajął miejsce obok mnie, dwaj ostatni siedzieli z przodu, okręceni twarzą w moją stronę. Patrzyłem w wyloty ich rewolwerów.

Byczek obok trzymał giwerę dość niedbale. Mógłbym spróbować mu ją wyrwać, gdyby nie trzech jego koleżkowie.

– Bobby? – odezwał się.

– Zrób to od razu – odpowiedział ten za mną. – I nie mów do mnie po imieniu, kretynie.

Spojrzałem na gościa obok. Miałem w więzieniu styczność z takimi jak on i wiedziałem, że nade wszystko nie wolno im okazać strachu.

– Ty nie możesz mówić do niego po imieniu, ale on do ciebie jak najbardziej, co?

Jeśli facet się obraził, świetnie to ukrył. Włożył soplwę do kieszeni i zaczął mnie przeszukiwać. Nie miał w tym doświadczenia, choć mimo to znalazł wszystkie przydatne rzeczy, które przy sobie miałem. Zabrał mi broń Cabota, portfel, kluczyki Annalise i moje Ostrze Duszy, przekazując wszystko po kolei Bobby'emu.

– Co to jest? – zapytał Bobby, podnosząc zakłęcie do światła.

– Amulet na szczęście.
– Mówisz? A ten wyrysowany na nim bohomas?
– Podpis mojego lekarza. Podrabiam go, fałszując recepty.
– Koń by się uśmieł. A teraz poważnie.
– Okej. Poważnie mówiąc, jest to ostatni autograf Kurta Cobaina. Umarł następnego dnia po jego złożeniu.

– No co ty! – powiedział jeden z byczków przede mną, kościsty czarnoskóry z fatalnym uzębieniem. – Weź pokaz.

Nie mogłem się powstrzymać i prychnąłem śmiechem.

– Zamknąć się tam. To nie jest żaden autograf. A jeśli amulet na szczęście, to kiepski, zważywszy na twoją aktualną sytuację.

– Nie chwał dnia – odpyskowałem, mrugnawszy do fana Nirvany, ale potem siedziałem już cicho. Jeśli nie będę próbował uciekać, rozumowałem, pożyję dość długo, by zjeść ten lunch z ich szefową.

Nie próbowałem więc niczego głupiego i tylko oglądałem przesuające się za oknem miasto. Czuję za sobą Ostrze Dusz. W każdej chwili mógłbym je przywołać, ale na razie wołałem tego nie robić.

Kiedy mijaliśmy supermarket, powiedziałem kierowcy, że chciałbym się zatrzymać i kupić wino, ponieważ nie lubiłem przychodzić w gości z pustymi rękami. Zwolnił, nie wiedząc, czy zatrzymać się, czy nie. Bobby złażał go jak burą sukę i kazał jechać dalej.

Tym razem nie parsknąłem, ale uśmiechu nie mogłem powstrzymać. Współpasażerowie z każdą chwilą darzyli mnie coraz mniejszą sympatią, a za moimi plecami Bobby zrzedził i narzekał na „cholernych amatorów”, z którymi musi pracować.

– Coś ty, zgłupiał, Bobby? – odezwałem się. Wszyscy w vanie umilkli. – Profesjonalni kryminaliści to najwięksi debile na świecie. Wiem, co mówię. Kiedyś byłem jednym z nich.

Resztę drogi do Loczka pokonaliśmy w grobowej ciszy.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, był wysoki, świeżo malowany mur z pustaków, wzdłuż którego posadzono smukłe, pozbawione kwiatów rośliny. Zastanawiałem się, co to za gatunek.

Stanęliśmy przed kutą żelazną bramą. Kierowca wcisnął przycisk na pilocie, skrzydła rozsunęły się.

Za bramą znajdował się rozległy parking. Pod przeciwległą ścianą stał rząd niewidocznych z ulicy samochodów. Sam klub tulił się do zbrocza

wzgórza po mojej prawej stronie. Był to czteropiętrowy budynek, którego parter, sądząc po oknach, przeznaczono na coś w rodzaju sali koncertowej.

Po lewej stronie dostrzegłem mniejszą, dwupiętrową budowlę ze stanowiskiem do załadunku. Po drugiej stronie parkingu znajdowało się niewielkie gospodarstwo z wiatrowskazem na dachu i skrzynką pocztową na froncie. Swojski szyld nad głównym wejściem głosił: BIURO.

Tak jak przewidywałem, nie zatrzymaliśmy się przy nim, tylko przy dużych podwójnych drzwiach prowadzących do głównego budynku, nad którymi widniał napis LOCZEK. Również świeżo malowany. Chłopaki zaczęli wychodzić z auta, zapominając na chwilę, że powinni mnie pilnować. Ale wtedy poczułem na potylicy lufę pistoletu Bobby'ego, więc wyszedłem potulnie z samochodu razem z innymi.

– Uważajcie na niego – warknął, a jego dwaj kołesie znowu skierowali na mnie broń. Floyd chichotał jak młodszy brat, który wie, że starszy zaraz dostanie lanie. Drzwi otworzył miłośnik Cobaina, Bobby trzymał się za mną.

Samochód odjechał; obróciłem się na dźwięk silnika, myśląc o pilocie do bramy, ale wtedy poczułem, że ktoś pchnął mnie w plecy.

– Idziemy.

Poszliśmy.

Po wejściu do budynku stwierdziłem, że parter jest o wiele przestronniejszy, niż wydaje się z zewnątrz – nie dość, że wysoki sufit górował dobre dwadzieścia stóp nade mną, to jeszcze znacznie obniżono podłogę.

– Dalej – rzucił Floyd. Głupkowaty uśmieszek nie schodził mu z twarzy.

Zeszliśmy po schodach. Salon wyglądał jak wiejska wariacja na temat Las Vegas, ale widać było, że włożono weń niemałe sumy. Tapety i dywany były kurewsko czerwone, więc pasowały tu jak ulał. W pomieszczeniu znajdowały się dwa stanowiska do ruletki, kilka stolików do kości i blackjacka, a po kątach rozstawiono zaniedbane automaty do gry. Sądząc po liczbie gości, biznes podupadał. Może zresztą dzisiaj zalegli w klubie tylko najbardziej zatwardziali hazardziści, stali klienci, próbujący się odegrać.

Wzdłuż jednej ze ścian rozciągała się antresola z obitymi filcem stołami. Chyba do pokera. Na jej końcu zauważyłem drzwi opisane jako WYJŚCIE.

Przemierzyliśmy salę i dotarliśmy do klatki schodowej na wyższy poziom. Mojej eskorcie wrócił dobry humor, a ja nie robiłem nic, by go zepsuć.

Jeden z mężczyzn dyszał ciężko, gdy wspinaliśmy się po schodach na znajdujący się tam korytarz, który zdawał się ciągnąć przez całą długość budynku. Z lewej strony odchodziły od niego liczne drzwi, podczas gdy po prawej znajdowały się tylko jedne. Dotarliśmy do schodów na samym końcu i ruszyliśmy dalej w górę.

Miłośnik Nirvany zapukał w pierwsze napotkane drzwi, a ktoś w środku odsunął zasuwę i po chwili weszliśmy do niewielkiej sali restauracyjnej. Zrazu pomyślałem, że to zwykły bar, ale nie było tu żadnych boksów ani mrocznych kątów. Znalazłem za to małą scenę z metalowym słupem.

Podeszliśmy z Bobbym do jedyne go zajętego stolika, zostawiając resztę ekipy przy drzwiach. Siedziała przy nim młoda kobieta, na oko dwudziestoparoletnia, lekko pulchna, o włosach w kolorze świński blond, brwiach pociągniętych ciemną kredką i bladej cerze. Na mój widok uszmińkowane usta rozciągnęły się w uśmiechu. Jej spojrzenie było intensywne i nieco wyzywające. Nie promieniowała nadzwyczajną urodą, ale była od niej zwierzęca witalność.

Towarzystwa blondynce dotrzymywała mniej więcej siedemdziesięcioletnia kobieta o farbowanych na rudo włosach spiętych na czubku głowy w ciasny kok. Staruszka garbiła się wyraźnie, a jej bezkształtne ciało okrywała równie bezkształtna suknia. Utkwiła we mnie spojrzenie przymrużonych oczu, po czym zaciągnęła się długim, cienkim papierosem i dmuchnęła dymem.

Założyłem, że mam przed sobą samą Phyllis Henstrick.

– To on – zaanonsował mnie Bobby.

– Dziękuję, Bobby – odezwała się starsza kobieta zachrypniętym od fajek głosem. – Siadaj, proszę.

Nie byłem pewien, do którego z nas mówi. Bobby odsunął dwa krzesła, wskazał mi moje i usiedliśmy obydwoj, nie wzbudzając sprzeciwu szefowej. Przyglądała mi się kilka sekund w przeciągającej się ciszy.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała wreszcie.

– Dziękuję za uprzejme zaproszenie.

– Ależ proszę.

Jej twarz była kompletnie nieruchoma. Nie umiałem odgadnąć, czy to sarkazm, czy też mówi poważnie, nieświadoma faktu, iż przyprowadzono mnie tu pod lufą. Zaciągnęła się łapczywie dymem z papierosa. Faj. Nie spędziłem w jej towarzystwie pełnej minuty, a już miałem dość.

– Mamy mnóstwo spraw do omówienia – rzekła. – Ale jeszcze nie pora na lunch. Może chciałbyś przejść na pokoje? Tiffany oprowadzi cię i dotrzyma towarzystwa, jeśli czujesz się spięty.

Obejrzałem sobie Tiffany. Wciąż miała w oku ten niebezpieczny błysk. Jak już wspomniałem, wiele wody w rzece upłynęło, więc, rzecz jasna, poczułem pokusę, ale gdy ta odpychająca raszpla obok po raz kolejny przyssała się do filtra, odnalazłem w sobie resztki zdrowego rozsądku.

– Może innym razem. Mam nadzieję, że Tiffany się nie pogniewa. Dam głowę, że to profesjonalistka w każdym calu.

– Nie twój typ, co? – powiedziała stara. – Niestety, nie mam w tej chwili żadnych chłopców na stanie.

– W moim typie byłaby obecnie jedynie podwózka z powrotem do miasta. Albo śniadanie.

– Poproś Arla – poleciła Bobby’emu – żeby zrobił nam kilka kanapek. I coleslaw. – Przeniosła wzrok z powrotem na mnie. – Lubisz sałatkę coleslaw?

– Niespecjalnie.

– Frytki dla pana. Jesteś na coś uczulony? Nie padniesz mi tu trupem po zjedzeniu pomidora, nie?

– Arsenik wolę na przystawkę.

Zachichotała i odprawiła Bobby’ego machnięciem pomarszczonej dłoni, a ten włożył ręce do kieszeni, gdzie zapewne trzymał pistolet, i obrzucił mnie nieprzyjemnym spojrzeniem. Odchodził, ale ostrzegał przed zrobieniem czegoś, czego mógłbym później żałować.

Starsza kobieta przyglądała mi się ciekawie.

– Nie jestem aż taką wykwintnią, żeby posługiwać się trucizną. Nie bawimy się w takie subtelności. Za łatwo o nieszczęśliwy wypadek.

– Prawda.

– Niezłego figla spłatałeś Floydowi i chłopakom.

– Floyd nie rozpoznałby aluzji, gdyby wyskoczyła z krzaków i kopnęła go w dupę.

– Święte słowa. Ale Floyd jest moim pracownikiem. Musi jakoś wiązać koniec z końcem, jak my wszyscy. A jak ma to robić z połamanymi palcami?

– Skoro uszczerbek na zdrowiu nastąpił w trakcie wykonywania zlecenia dla Wyatta, wnioskuję, aby Wyatt wypłacił mu rekompensatę z kasy zarobionej na amfie. Jeśli Wyatt nie będzie dbał o ludzi, wkrótce nie będzie miał już żadnych.

Mrugnęła. Niby drobiazg, ale zaskoczyłem ją, choć świetnie nad sobą panowała.

– Wiem wszystko o dbaniu o ludzi. Ludzie w Hammer Bay dbają o siebie. Bo potrzebujemy się nawzajem. Jeśli jeden z nas ma kłopoty, cierpimy wszyscy.

– Czy to dlatego bracia Dubois wytrząsają z przedsiębiorców haracz? Dlatego prowadzi pani kasyno? Aby ludowi pracującemu miasteczka żyło się dostatniej?

– Emmett i ja nie wchodzimy sobie nawzajem w drogę. Tak musi być. A mój skromny przybytek bardzo pomaga tutejszym.

– Dojąc ich z kasy?

Do stolika wrócił Bobby. Siadł obok, nie odzywając się i nie wyjmując rąk z kieszeni.

– Nie tylko ich, również mieszkańców Sequim, Port Angeles i Port Townsend. Większość zatrudnionych tu chłopaków to moi pracownicy budowlani. W sezonie pracują w zawodzie: ciągną kable, łatają dachy, szpachlują. Właściwie to w sezonie lokal jest jak wrzód na dupie. Mamy niedobór pracowników i nadmiar klientów. Ale poza sezonem to właśnie lokal sprawia, że wielu tutejszych ma co włożyć do garnka.

– Przekonała mnie pani. Prawdziwa z pani bohaterka.

– Żadna bohaterka, cwaniaczku. Tylko pracodawca. Społeczności potrzebny jest pracodawca, niezależnie od tego, co kto sobie myśli o samym biznesie. Kiedy odszedł mój mąż, świeć Panie nad jego duszą, Hammer Bay było zapadłą dziurą. Nikt tu nic nie budował. Nikt nie grywał w karty. Okoliczne dziwki tym się różniły od pizzy, że nie można ich było zamówić bez grzybów. Wiesz, jak to jest siedzieć w pokoju z dziewczynami, których nikt nie chce tknąć nawet kijem? To przygnębiające. Zwykle nie brylują w sztuce konwersacji. Bez urazy, Tiff, kochanie.

Tiffany i tym razem się nie pogniewała. Nie odwracała ode mnie wzroku. Wyglądała, jakby czegoś chciała.

– To ja – kontynuowała Phyllis – postawiłam to miasto na nogi. Ja. Ponownie zatrudniłam ludzi, których mój nieboszczyk mąż wyrzucił na bruk, oraz tych, których pozbył się wcześniej Cabot. A wiesz, dzięki czemu mogłam to zrobić?

– Mam zgadywać, dopóki nie przyjdą kanapki?

Zignorowała moje słowa i kontynuowała tyradę:

– Dzięki Charlesowi Hammerowi. Mały Charles Hammer Trzeci otworzył fabrykę i zaczął przyjmować ludzi do pracy. Ci ludzie wkrótce zaczęli regularnie otrzymywać pensje, które poszły na naprawę starych domów i budowę nowych. Innymi słowy, trafiły do mnie. A ode mnie w dużej części do kieszeni moich chłopaków. Nie dziw się więc, że robię się drażliwa, gdy jakiś fiut przyjeżdża do miasta i próbuje wywrócić wszystko do góry nogami.

– Niech pani nie mówi, ten fiut to ja – zagailem. – Mam nadzieję, że tak, bo czekałem na moment, aż pojawię się w historyjce.

– Najpierw odbyłeś spotkanie z Charlesem, a teraz twoja mała turkaweczka prześladowuje go i śledzi. Tak, wiem o tym. W takim mieście żadna tajemnica nie przetrwa zbyt długo.

Roześmiałem się. Próbowałem się hamować, ale poległem i prychnąłem jej w twarz.

– Co cię tak bawi? – spytała. – Wiem o wszystkich tajemnicach tego miasta. Znam sekrety burmistrza, pastora, komisarza.

– Naprawdę zna pani sekret Emmetta Dubois? – spytałem, ciekaw, czy miała na myśli to, że jest likantropem, czy że, dajmy na to, Tiffany zakłada mu pieluchę i pierze po tyłku szpicrutą.

– Mówiłam już, że nie wchodzi mi w paradę, prawda?

– Jeśli naprawdę zna pani jego sekret, to doskonale wie, że ktoś musi go powstrzymać.

– Jeśli mówiąc „powstrzymać”, masz na myśli „zabić”, to nie sądzę, żebym mogła to zrobić. Wciąż jest kilka rzeczy, których o nim nie wiem, i nie sądzę, żebym była w stanie ot tak dobrać mu się do skóry.

Tiffany przeniosła wzrok na Phyllis, jakby chciała zgłosić się na ochotniczkę.

– Tiff, kochanie – staruszka zwróciła się do niej, jakby czytała w myślach – nie życzę sobie, abyś ty czy Bobby zbliżali się na krok do Emmetta Dubois. Dobrze z was dzieciaki, ale to za wysokie progi na wasze nogi.

– Dobrze, proszę pani – zgodziła się Tiffany. Bobby siedział w ciszy, najwidoczniej święcie przekonany, że jest w stanie poradzić sobie z każdym zadaniem, które powierzy mu Phyllis.

Poruszyłem się na krześle. Burczało mi w brzuchu.

– A więc wie pani, że Emmett eliminuje wrogów za pomocą sfory wściekłych psów, których nikt nigdy nie widział na oczy?

Przyjrzała mi się bacznie.

– Owszem. To dość oczywiste dla każdego, kto chce w to uwierzyć. Ale niewiele osób chce.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Ja chcę. Mam ku temu podstawy.

– Spodziewam się więc, że zauważyłeś zasadzone wzdłuż zewnętrznego muru rośliny?

– Zauważyłem, ale nie jestem botanikiem... Zaraz. Czy to nie ta roślina, która odpędza wilki? Tojad czy mordownik?

Kobieta skinęła głową. Znów nasza mnie wesołość, ale tym razem powstrzymałem się od śmiechu.

– Może zdołam pani pomóc, jeśli pani pomoże mnie. Zdaje się, że mamy wspólnego wroga.

– Samo to nie czyni nas jeszcze przyjaciółmi. Chcę wiedzieć, dlaczego tak was interesuje Charles Hammer. Dopóki się tego nie dowiem, jesteś dla mnie nikim.

Do pomieszczenia wszedł mężczyzna w białych kuchennych ciuchach i z tacą w rękach. Postawił przed Phyllis talerz z kanapką z indykiem, a obok pucharek do lodów wypełniony po brzegi rozmokłym coleslawem. Drugi talerz postawił przede mną. Kanapki były identyczne, ale obok mojej usypano kupkę frytek. Otrzymaliśmy też dodatkowo po szklance mrożonej herbaty.

– Wsuwaj, nikt – rzekła Phyllis, skinąwszy na talerze. Zabraliśmy się do jedzenia. Moja kanapka była sucha jak tektura i nawet smakowała podobnie. Nieistotne zresztą, cały dzień nie miałem nic w ustach. Herbata

z kolei smakowała jak stęchła woda, toteż zadowolilem się jedynie łyżkiem.

Żując tekturowego indyka, myślałem intensywnie o Phyllis. No więc: była lojalna wobec Hammerów, miała na każde skinienie zastęp mięśniaków i więcej niż dość pieniędzy, by słono ich opłacać. Jeden z fizycznych miał prawdopodobnie szwagra, który pracował na nocnej zmianie jako ochroniarz w Hammer Bay Toys, albo może żonę, która pracowała w firmowym biurze. Phyllis zdobyła też dość materiału, by szantażować pół miasta. Posiadała koneksje. Musiałem znaleźć jakiś sposób, by przeciągnąć ją na swoją stronę.

Wsunąłem pół kanapki i poczułem się pełny. Frytki skubałem tylko po to, by zająć czymś ręce. Phyllis wciąż pracowała nad swoją porcją. Miała w sobie coś z niedźwiedzia, którego widziałem w programie przyrodniczym. Miś wdarł się na czyjś piknik, siadł zgarbiony na kocu, uformował łapami kulę z pizzy i przechylał komicznie głowę, odrywając paszczą kolejne kawałki. Przeniosłem wzrok na Tiffany, żeby nacieszyć oczęta przyjemniejszym widokiem. Wciąż wpatrywała się we mnie z uporczywością głodnej modliszki. Odniosłem wrażenie, że wyobraża sobie, iż spędzamy miło czas, ale w taki sposób, że cała przyjemność jest po jej stronie.

– A więc – powiedziała Phyllis, łykając kawał przełożonego indykiem chleba – w jakim celu spotkałeś się z Able’em Katzem?

– Myślałem, że całe miasto już wie.

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

– Moja szefowa zna fabrykę w Afryce, w której można by wykonać część prac.

– Chodzi zatem o podwójną pracę.

– Zgadza się. Z pewnością nie jest pani zaskoczona? – Próbowałem robić wrażenie światowca, którym nie byłem. – Takie już są reguły gry, że...

– To nie żadna gra! – przerwała, uderzając dłonią w blat.

– A Hammer Bay Toys to nie pani firma. Może i była z początku organizacją charytatywną, ale nie sądzę, by Charles Hammer chciał, żeby pozostała nią do końca świata. Zyski są za małe...

– Firma odnosi wielkie sukcesy. Przynosi zyski dzięki naszej ciężkiej pracy.

Nie klóciłem się, zauważając, że Phyllis nagle, nie wiedząc jakim sposobem, stała się rzeczniczką starszych pań, które szyły w warsztatach HBT siedemnastowieczne sukienki dla lalek.

– I pomysłem Hammera. Ciężką pracę może też dostać w Afryce.

– Odmówił ci przecież.

– Odmówił nam na polecenie Charlesa Able Katz. Ale zgodził się też spotkać z nami ponownie. Te drzwi nie są wcale zamknięte. Firma prosperuje w tej chwili, ale z rozpędu, w wyniku boomu, tak jak raczyłaś zauważyć. A co będzie, kiedy boom minie? Zgodnie z tym, co mówił Able, firma nie nadąza z zaspokajaniem popytu. Jeśli zatem nie podpiszą papierów z nami, wkrótce podpiszą z kimś innym, inną firmą w Malezji czy na Filipinach. Jest jedno więzienie w Chinach...

– Więzienie! – przerwała, po raz kolejny waląc ręką w stół, aż podskoczyły talerze.

Ona się zołądkowała, a ja tymczasem sięgnąłem po frytkę, zastanawiając się, czy to, co mówiłem, miało sens, czy nie. Za pomocą pospolitej ściemy skleiliśmy do kupy kilka wyczytanych w gazetach newsów, ale najwyraźniej moja gadanina odniosła zamierzony efekt.

Pochyliłem się do Phyllis.

– To jeszcze nie koniec. – Odczekałem, aż moje słowa wybrzmiały, a gdy już miałem jej pełną uwagę, podjąłem: – Wie pani, czym jest Emmett Dubois. – Pauza, by upewnić się, że nadąza. – No więc z tego, co wiem, Charles Hammer jest czymś o wiele gorszym.

– Co to ma być? Co to za bzdury?

Traciłem ją, ale musiałem zaryzykować.

– Jak pani myśli, skąd ten sukces? Tego nie ogarnia nawet Able Katz. Pamięta pani, jak mniemam, że wspomniałem o boomie. Katz doskonale wie, że szczyt zainteresowania produktami Hammer Bay Toys już dawno powinien być tylko wspomnieniem. Ale nie jest. Trwa w najlepsze.

– Do czego zmierzasz?

– Facet osiągnął sukces innymi środkami, a cenę za to płaci cała ta pani ukochana społeczność.

Bobby patrzył na mnie jak na zgniłą rybę. Spojrzenia Tiffany za nic nie mogłem rozszyfrować. Phyllis znowu mrużyła podejrzliwie oczy.

– I cóż to za cena?

Odchyliłem się na oparciu.

– Gdzie są dzieci? Gdzie są zamieszkałe w mieście dzieci? Boiska świecą pustkami. Place zabaw też.

– Ten typ ma kręcka – odezwał się Bobby do Phyllis.

Nie zdejmowałem z niej oczu.

– Wyobraża sobie pani, co by powiedzieli ludzie, gdyby powiedziała im pani o braciach Dubois?

Phyllis odpowiedziała spojrzeniem.

– Próbujesz mi powiedzieć, że Dubois wysterylizował całe miasto?

– Gorzej. Próbuję powiedzieć, że dzieci były, ale już ich nie ma i nikt ich nie pamięta. Ile pani dziewczyn ma dzieci? To chyba częsta sprawa w tym fachu, dziecko czy dwoje? No więc ile jest dzieciąt?

– Dbamy tutaj o nasze dziewczyny – odparła. Wysunęła żuchwę, z uporem maniaka nie dając wiary moim słowom. Ale spojrzenie miała zakłopotane.

– A o chłopaków też? Ilu z tych żonatych doczekało się latorośli?

– Jest Ty, Thomas... Hm, Richard.

– I już? Ty, Thomas i Richard? Trzech? A ilu z pozostałych jeździ kombi czy minivanami, samochodami, których nie kupuje nikt, kto nie ma dzieci? Wasza przyszłość prawie przepadła, a wy nawet niczego nie dostrzegliście.

Tiffany obróciła się do Phyllis.

– Nie podoba mi się to, co on mówi. – Wstała i ruszyła do mnie, okrążając stół. Spiałem się i osadziłem stopy w dywanie, zauważając, że Bobby wsuwa ręce do kieszeni. Znieruchomiałem.

Tiffany pochyliła się i poklepała mnie po twarzy. Miała miękkie, ale niezdarne dłonie i pachniała pudrem dla niemowląt.

– Coś ci się przyśniło – wymruczała, przechylając twarz i zaglądając mi głęboko w oczy. Miała spojrzenie, które przywodziło na myśl rozanieloną czarną wdowę. Po kilku sekundach dostrzegła, co chciała zobaczyć, i wróciła na miejsce.

– Widzisz tych ludzi? – odezwała się Phyllis, wskazując za moje plecy, a ja rozejrzałem się dookoła. – Każdy wpakowałby ci kulkę w łeb na jedno moje skinienie. – Bobby kaszlnął w pięść. – Mogliby porzucić twojego trupa w lesie. Nikt by cię nie znalazł. Nikt nigdy żadnego nie znalazł.

Odwróciłem się do niej.

– Zabić to nic trudnego – odparłem. – W ogóle mi to nie imponuje. Zaimponowałyby mi, gdybyście się obudzili i pojęli w końcu, co tu się

dzieje.

– Na pewno wyszło ci w ustach od tego mówienia – rzekła Tiffany. – Może...

– Tiff – ucięła Phyllis – chłopaki pewnie się nudzą. Może zabawisz ich rozmową?

Tiffany zrobiła odwrót do drzwi z malującą się na twarzy urazą. Nie przejąłem się.

– A więc – podjęła Phyllis – jak to jest, że przyjeżdżasz do miasta i widzisz, co się dzieje, a my nie?

Nie mogłem jej powiedzieć o Annalise i o czarach, które na mnie nałożyła.

– Po prostu chcę to dostrzec – powiedziałem. To nie był dobry moment, by zgrywać skromnisia, ale nie miałem wyboru. Annalise już była na mnie cięta, bo pokazałem Emmettowi talizman. Nie chciałem popełnić tego błędu po raz kolejny.

– A twoja towarzyszka?

– Nią niech się pani nie przejmuję.

– *À propos* – odwróciła się do Bobby'ego – spóźniają się.

Bobby wyjął telefon i wstukał numer.

O nie.

– Zapytam ją, gdy już do nas dołączy.

– Niech mi pani powie, że nie wysłała po nią swoich chłopaków. Że nie zabrali ze sobą broni.

– Spokojnie, chłopcze, włos jej z głowy nie spadnie.

Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać. Chciało mi się pić od tych słonych frytek. Pociągnąłem łyk mrożonej herbaty, ale bardziej po to, by się czymś zająć. To by było tyle, jeśli chodzi o zjednanie sobie Henstrick. Zakręciło mi się w głowie.

– Nie odbierają – powiedział Bobby.

– Daj sobie spokój – powiedziałem. – Nie żyją.

Phyllis zmierzyła mnie wzrokiem.

– Jak to nie żyją?

– Tak to. Jeśli wysłałaś swoich uzbrojonych w noże i naganne maniery byczków po moją szefową, aby doprowadzili ją tu siłą, tak jak mnie, to już wszyscy gryzą piach. Trzydziestu chłopca nie dałoby jej rady. Rozumiesz?

Jeśli chcesz z nią rozmawiać, to albo jedź do niej sama, albo poproś grzecznie.

Zawroty głowy nasiliły się; w pomieszczeniu jakby się ściemniło i nagle poczułem przytłaczające znużenie.

– Cholera jasna – powiedziała Phyllis, jakby z bardzo daleka. – Wyślijcie kogoś za nimi. Dowiedźcie się, co jest grane.

Wtem – zapadła ciemność. Ostatnim przebłyskiem myśli doszedłem do wniosku, że mam przechlapane. Mogli ze mną zrobić, co tylko chcieli.

Z tą myślą osunąłem się w nicość.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zaszamotałem się i obudziłem, podnosząc na stosie poduszek do pozycji siedzącej. Przykuto mnie kajdankami do ramy łóżka. Stoczyłem się z materaca. Wolałem nie myśleć, kto korzystał z niego przede mną.

Odkryłem, że założono mi po jednej parze kajdanek na każdym nadgarstku, a potem zatrzaśnięto je w najwyższym punkcie ramy, grubym mniej więcej na dwa kciuki. Wyglądało to tak, jakby chcieli, żebym sam się wyswobodził, ale po dziesięciominutowej szarpaninie doszedłem do wniosku, że chyba jednak nie.

Pokój był nieco bardziej przytulny niż sala szpitalna, ale nieco mniej niż, dajmy na to, hotel Ritz. Tapetę, zasłony i pościel zdobiły gęste, wielokolorowe wzory, przywodzące na myśl wystrój w barze mlecznym; zaprojektowano je tak, by dobrze kryły plamy.

Z dużego diodowego zegara na stoliku nocnym dowiedziałem się, że dochodziła dziewiąta. Nie widziałem żadnych okien, więc nie potrafiłem określić, czy rano, czy wieczorem. Znowu byłem głodny. Szlag.

Że też nikt nie zostawił tu jakiejś piły czy klucza. Zatęskniłem za swoim Ostrzem Dusz. Zamknąłem oczy i sięgnąłem po nie myślą, starając się wyłapać najmniejsze zakłócenie, które zdradzi mi jego położenie. Takiego wała. Jeśli wyjdę z tego cało, będę musiał poćwiczyć dobywanie Ostrza z dużych odległości.

Objąłem ramionami słupek i pchnąłem, próbując nadłamać go ciężarem ciała. Nic z tego. Więcej bym ugrał, kopiąc w konstrukcję, ale wtedy narobiłbym hałasu, a wolałem nie informować nikogo, że już wstałem.

Niespodziewanie ktoś przekręcił klucz w zamku. Podwoiłem wysiłek, zagryzając zęby z bólu, ale drewno nawet nie zatrzeszczało.

Drzwi otworzyły się i jakiś męski głos powiedział:

– Miałaś rację. Już się obudził.

– Ranny ptaszek – odpowiedział głos kobiety. – Natychmiast się uspokój.

Odpuściłem, okręciłem się na łóżko i pozwoliłem stopom opaść na podłogę. Podeszli do mnie mężczyzna i kobieta, oboje pod pięćdziesiątkę i o pospolitych facjatakach. Mężczyzna łysiał i dźwigał brzuszek, kobieta miała centymetr tapety i ostrożnie balansowała na wysokich obcasach.

W rękach niosła tacę z rybą i frytkami.

– Proszę, słonko. Siedzisz tutaj już parę godzin, pewnie w brzuchu ci...

Wykopałem jej tacę z rąk, tłusta ryba i sos upaśćkały sufit i tapetę.

– Pierdol się.

Kobieta zrobiła krok wstecz.

– Coś takiego – oburzył się mężczyzna i wydał policzki. – Masz tupet.

– Chcesz w zęby?! – wrzasnąłem, wzbudzając echo. Zupełnie nie spodziewali się oporu z mojej strony. – Ja mam skute ręce, ale ty możesz mieć skutą mordę!

Kobieta położyła mu rękę na ramieniu, długie tipsy wpiły się w ubranie.

Zacisnąłem powieki, odcinając maksimum bodźców, i raz jeszcze sięgnąłem po Ostrze Dusz. Bezskutecznie. Oni na pewno nie mieli go przy sobie. Odwrócili się i wyszli.

Wtoczyłem się na łóżko i ponownie skupiłem całą uwagę na słupku. Ten drobny eksces sprawił, że płonąłem gniewem; parłem z całych sił, ale gówno to dało. No cóż, było już rano, cisza nocna tylko do szóstej. Położyłem się na plecach i zacząłem kopać słupek.

Kop, kop, kop. Nie było w tym żadnej techniki czy pomysłu. Na nic podobnego nie miałem nastroju. Nie pogardziłbym narzędziami, ale tak się złożyło, że nie miałem żadnych pod ręką. Gdybym zdołał przewalić łóżko na bok, mógłbym naprzeć na ramę i złamać w ten sposób ten cholerny słupek, ale nie umiałem przesunąć rąk tak, by to zrobić. Kopałem więc

i kopałem, aż gniew stłumił ból nadgarstków, w które wrzynał się metal kajdanek.

W końcu – usłyszałem upragniony trzask. Zacząłem kopać mocniej i przestałem dopiero wtedy, gdy słupek pękł zupełnie i zgiął się. Przeturlałem się na nogi i ułamałem go do reszty, napierając całym ciężarem ciała. Byłem wolny.

W tym samym momencie, w którym podniosłem ułamany kawałek drewna i zsunąłem zeń zatrzaśnięte kleszcze kajdanek, zamek zgrzytnął ponownie i drzwi stanęły otworem. Bobby. Z trzydziestkąósemką w wyciągniętej ręce.

– Strasznie hałasujesz – wycedził, celując we mnie.

– Nie jestem aż takim wykwintnisiem, żeby dać się zabić po cichu.

Nie zajarzył, do czego piłem, ale w sumie co mnie to obchodzi. Machnął lufą, każąc iść ze sobą. Odrzuciłem ułamany słupek i wyszedłem na korytarz. Na zewnątrz czekało jeszcze trzech fizycznych i Tiffany z tym jej wygłodniałym spojrzeniem.

Poznałem po ich twarzach, że idę na własną egzekucję.

– Znaleźliśmy naszych kumpli – poinformował mnie Bobby.

– Tych, których wysłaliście po moją szefową?

– Byliśmy przyjaciółmi.

Śmierć frajerom, pomyślałem, ale trzymałem język za zębami.

– Kiedy następnym razem będziecie chcieli z nią pogadać, lepiej weźcie ze sobą jakiś magiczny miecz.

– Myślę, że zamiast tego wyślemy jej wiadomość.

Popatrzyłem po mężczyznach. Mieli przy sobie broń, ale nie wydawali się uradowani całą sytuacją; to nie byli mordercy, tylko cieśle, murarze, robotnicy. Wyglądali na ludzi, którym ktoś przydzielił bardzo nieprzyjemne zadanie i którzy chcieli się z nim uporać tak szybko, jak to możliwe.

Bobby wykręcił mi ręce za plecy i zapiął wolne kleszcze kajdanek na przeciwnych nadgarstkach. Obrączkowano mnie już, ale jeszcze nigdy podwójnie. Chyba woleli dmuchać na zimne.

Przed nami rozciągał się hol z drzwiami po obu stronach. Podłogę zaścielał gruby karmazynowy dywan upstrzony ciemnobrązowymi plamami.

– Podjedź vanem na tyły – zwrócił się Bobby do najgrubszego.

– Mam nadzieję, że nie jest twój – rzuciłem do tamtego. – Krew ciężko sprać.

Rysy twarzy Tiffany były jak z kamienia, ale oczy rozszerzyły się w zdumieniu.

– Dajcie mnie to zrobić, dobrze? – wydyszała. – Mam przy sobie swój nóż. Chcę mu to zrobić.

– Morda! – syknął Bobby. On również nie czerpał z tego przyjemności, ale przynajmniej zamierzał wykonać robotę porządnie.

– Zrobię to szybko, jeśli chcesz – powiedziała, wskazawszy mnie wzrokiem. – Mogę mu to zrobić, jak zechcesz.

– A rób se – dał za wygraną Bobby. – Tylko już się zamknij.

Ruszyliśmy w dół korytarza. Tiffany szła przodem, po lewej stronie. Jej krok był wyważony i ostrożny, jakby ani na moment nie opuszczała gardy i stale obserwowała otoczenie. Bobby plasował się za moimi plecami, również nieco z lewej. Obok niego znajdował się jasnooki młodzik, prawie licealista. Przede mną po prawej sunął ten pulchny czterdziestolatek, który obszukał mnie w chevrolecie. Ciekawe, pomyślałem, czy ma przy sobie moje rzeczy. Zastanawiałem się także, dlaczego właściwie ułatwiam zadanie swoim zabójcom.

Zatrzymałem się, odwróciłem. Młodzik wpadł na mnie, Bobby przyłożył pistolet do piersi.

– Idziemy – powiedział.

Młodzik ruszył naprzód, a Bobby nie zdejmował mnie z muszki, choć był o wiele za blisko, niż powinien. Zamknąłem oczy. Wyczułem za sobą Ostrze Dusz.

– Niby z jakiej racji mam wam to ułatwić? – spytałem.

Gdyby był minimalnie mądrzejszy, skłamałby. Powiedziałałby, że wcale nie chce mnie zabijać, że mnie puści, jeśli tylko obiecuję, że przepadnę jak kamień w wodę i jego szefowa nigdy już o mnie nie usłyszy. Ale chyba naoglądał się za dużo filmów.

– Bo jeśli nie – wyrzekł w odpowiedzi – to będzie bolało. I to bardzo.

Sięgnąłem po zakłęcie. Ostrze Dusz wysunęło się z kieszeni Pulchnego i znalazło się w mojej ręce; mężczyzna westchnął i zachwiał się. Zakłęcie musiało go chlasnąć po drodze.

Spojrzałem na sufit. Oni również, jak idioci. Rozciąłem łańcuch, uwalniając ręce, a w dalszej kolejności wydarzyło się bardzo dużo i bardzo

szybko: błyskawicznym ruchem odtrąciłem na bok rękę, w której Młodzik trzymał pistolet, broń wypaliła, usłyszałem huk wystrzału i poczułem zawirowanie powietrza, gdy pocisk minął mnie o włos. W tym samym czasie rzuciłem nożem w pistolet Bobby'ego. Zbyt wolno jednak, bo zdążył nacisnąć spust. Zarejestrowałem, że kula trafiła mnie w pierś, ale nie poczułem bólu.

Zabił mnie, pomyślałem automatycznie. Skoro mnie zabił, to chyba powinno boleć?

Pierś i szyję zalała mi fala gorąca, ale w miejscu, gdzie trafiła kula, nie czułem zupełnie nic. Jeśli dziury Annalise wytrzymały, nie będzie po niej nawet śladu. Teraz nie było czasu, by zajrzeć i sprawdzić.

Ostrze przecięło broń Bobby'ego na pół, po czym zatopiło się w jego piersi. Mężczyzna zassał głośno powietrze.

Stałem plecami do zaniechanego chwilowo Młodzika, nie wiedziałem, czy zaraz nie poczuję na grzbiecie kulki. Rzuciłem się na niego, trafiając pięścią w bok głowy i wyrywając mu pistolet z ręki. Złapałem chłopaka za włosy i okręciłem, odgradzając się nim od Pulchnego i Tiffany.

Niepotrzebnie się martwiłem. Tiffany zastygła w miejscu; cokolwiek chciała mi zrobić, z pewnością aktualna sytuacja nie mieściła się w jej planach. Pulchny klęczał na dywanie z raną postrzałową w piersi. Po chwili przewrócił się na plecy, a wszystkie symptomy wskazywały na to, że już się nie podniesie.

Nie pamiętam zbyt dobrze tego, co wydarzyło się później. Poczułem w czaszce jakieś niebywałe ciśnienie. Wiem, że nie wypaliłem z pistoletu Młodzika. Wiem, że Tiffany okazała się o wiele bieglejsza w walce nożem, niż przewidywałem, oraz że uderzyłem ją w twarz nieco za mocno.

Pamiętam, jak stałem nad Bobbym, Tiffany i pozostałymi dwoma i że przeciąłem też pistolet Młodzika. W lufie nie wiedzieć skąd tkwił czyjś ząb.

Połamane im kości, ale przeżyją. Wyszli na tym o wiele lepiej niż Pulchny. Nie wyrzygałem się tylko przez nadzwyczajny wysiłek woli.

Drzwi w holu otworzyły się, wyrzało kilka głów. Geniusze. „Słyszałeś? Ktoś strzela. Chodźmy zobaczyć”. Głowa najbliższej mnie, zreflektowałem się, należała do pastora Wilsona.

Przeszedłem nad znokautowanymi do tego zabitego. Zapomniał się dziś rano ogolić. Zabrałem mu pistolet Cabota i schowałem do kieszeni. To samo zrobiłem ze swoim portfelem i kluczami.

Po chwili wahania Wilson ruszył w moją stronę. Miał na sobie długie czarne spodnie, ale posiał gdzieś koszulę.

– Co tu się dzieje, na miły Bóg? – rzekł i po raz pierwszy spojrzał mi w oczy.

– Niech wielebny dzwoni po karetkę. Choć temu tutaj już się nie przyda – mówiłem za szybko, choć robiłem, co mogłem, by wydać się spokojnym i opanowanym.

– Dlaczego ty... – zaczął Wilson, ale w tym momencie usłyszałem jakiś zgiełk za swoimi plecami.

U wylotu korytarza pojawili się trzej faceci, ogarnęli scenę wzrokiem, po czym ruszyli naprzód z pistoletami w rękach. Jeden mówił coś do walkietalkie.

– Pomóż im – poleciłem i puściłem się pędem w przeciwną stronę korytarza, ale gdy niespodziewanie zza rogu wybiegł na mnie kolejny mężczyzna, dałem nura w najbliższe drzwi, te, z których wyszedł pastor. Zamknąłem je od środka.

Miałem przy sobie broń, ale nie chciałem marnować kul. Wokół było za dużo ludzi, a ja nie jestem Schwarzenegger. A poza tym byłem pewien, że wyczerpałem limit szczęścia na ten dzień. Gdyby Bobby celował mi w głowę, nie w pierś...

Zdałem sobie sprawę, że obok mnie stoi kobieta. Golotka jak ją Pan Bóg stworzył i zupełnie niezawstydzona. Mogła mieć ze czterdzieści pięć lat; na ramiona spływały jej kaskadą kasztanowe włosy, okalając prostą i szczerą twarz. Wilson miał dobry gust.

– Co tam się dzieje? – spytała.

– Bardzo brzydkie rzeczy.

Dotknęła mojej piersi, przejechała palcami po dziurze w poczerniałej od prochu koszuli.

– Widzę – powiedziała.

Przez chwilę myślałem, że zacznę panikować, tak jak i ja.

– Nie szukam kłopotów... – rzekłem.

– Ależ oczywiście. Tędy. – Zachowując spokój, zaprowadziła mnie do mniejszego pomieszczenia na tyłach. – Bobby i reszta chłopaków są z roku na rok coraz gorsi. Kiedyś byli robotnikami, którzy dbali o swoich. Ostatnio zachowują się jak zwykłe zbiry.

Zbliżyliśmy się do drzwi przy oknie wychodzącym na opadający skarpą las. Wyjście. Zdjęła z haka kółko z pękiem kluczy.

– Nie wszyscy chcą wchodzić przez kasyno, więc kilka pokoi ma tylne drzwi.

Otworzyła je. Słońce kryło się już za horyzontem, w niewielkim stopniu rozświetlając niebo. Wypadłem z budynku na metalową klatkę schodową. Cztery poziomy niżej znajdowała się wiata samochodowa.

– Dziękuję – powiedziałem do nagiej kobiety.

Wtem od metalowych schodów odbiła się rykoszetem kula z pistoletu.

Nie wiedziałem, skąd padł strzał; nie zostałem tam na tyle długo, żeby się dowiedzieć. Wepchnąłem się z powrotem do budynku, zatraskując drzwi, zza których raptem dobiegł mnie dźwięk tupiących na metalowych schodach roboczych butów.

Kurwa mać, syknąłem w duchu. To tyle, jeśli chodzi o wyślizgnięcie się na wolność.

Wbiegłem z powrotem do sypialni. Klamka drzwi na korytarz poruszyła się, ale nie przekręciła, a chwilę później zaczęła walić w drewno czyjaś masywna pięcha.

– Nie wchodzić! – krzyknęła kobieta. – On ma broń!

Naszła mnie absurdalna myśl, że kobieta widzi przez ubranie; dopiero chwilę później dotarło do mnie, że próbuje grać na czas.

– Gliny – szepnęła.

– Wątpię, żebym zdołał się wytłumaczyć – powiedziałem. – Włóż w tamten kąt i postaraj się nie wychylać.

Wykonała polecenie. Walenie w drzwi przybierało na sile. Dostaną się do środka za minutę, góra dwie, kiedy już przyjdzie ktoś z kluczem.

Przeskoczyłem łóżko i przywarłem do podłogi, a później wsunąłem Ostrze Dusz w deski, trzymając za sam róg, aby sięgnęło jak najdalej. Jednym ruchem wyciąłem koło.

Nie przeleciało na drugą stronę. Zza drzwi dobiegło dzwonienie kluczy.

– Co ty tam robisz? – szepnęła kobieta. Wielka szkoda, że nie poznałem jej imienia.

Wtargną tu lada chwila. Mógłbym dobyć pistoletu Cabota, który miałem w kieszeni, ale nie zrobiłem tego, tylko wskoczyłem obiema nogami w wycięty przed chwilą okrąg. Usłyszałem, jak otwiera się zamek.

Deski poszły w drzazgi i przeleciałem przez podłogę.

Spadłem jakieś dziesięć stóp, zanim uderzyłem w wykafelkowaną posadzkę. Zamortyzowałem upadek i przeturlałem się na bok. Bolało, ale przynajmniej nic sobie nie skręciłem.

Zorientowałem się, że klęczę na czymś miękkim; okazało się, że gdybym wyciął dziurę dwie stopy w lewo, wylądowałbym na stercie kołder i prześcieradeł. Kilka z nich znaczyły krwawe plamy, dopiero po chwili zorientowałem się, że to ja je zostawiłem. Całe ręce miałem we krwi.

Patrząc na wielkie pralki i suszarki przy przeciwległej ścianie, wywnioskowałem, że znalazłem się w pralni. W pomieszczeniu nie było okien.

– Święta Panienko!

Mała i pomarszczona kobiecina z silnym irlandzkim akcentem gapiła się na mnie, jakby zobaczyła ducha. Wstałem i minąłem ją w pędzie do drzwi.

– Pani uważa na dziurę! – przestrzegłem. – Lada moment wypadną z niej faceci z giwerami.

Minąłem rząd suszarek, zauważywszy, że są na gaz ziemny. Stałem. Przewód gazowy od góry łączył się z urządzeniami. Otworzyłem przesłonę najbliższej suszarki, odłączyłem mechanizm grzewczy, a następnie prześledziłem biegnący pod sufitem przewód gazowy do punktu, w którym wnikał w ścianę. Tam właśnie znalazłem zawór.

Wyciąłem go.

Starsza kobieta nie przestawała się gapić.

– Ojej – powiedziałem. – Tu się gaz ulatnia. Lepiej niech pani powie tym na górze, z pistoletami.

W przestrzeni widocznej przez dziurę ruszały się jakieś cienie. Obróciłem się na pięcie i wybiegłem z pralni przez dwuskrzydłowe drzwi. Starowinka krzyczała coś jeszcze, ale nie byłem pewien, czy zwraca się do mnie. Żywiłem tylko nadzieję, że jest na tyle rozsądna, żeby włączyć alarm przeciwpożarowy.

Znalazłem się w korytarzu, który rozpoznałem. Za ścianą naprzeciw znajdowała się restauracyjka, gdzie podjęła mnie środkiem usypiającym Phyllis. Pobiegłem w stronę schodów. Niechętnie obrałem drogę przez kasyno, ale innej nie było.

Po schodach szli dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Floyd. Wskazał mnie kompanowi zabandażowaną ręką, a ten wycelował do mnie z giwery.

Strzelił, uchyliłem się w bok. Nie poczułem kuli na ciele, ale w pustym korytarzu mieli mnie jak na patelni.

Szarpnąłem za klamkę pierwszych lepszych drzwi i dałem nura do środka. Kolejny wystrzał, coś szarpnęło mnie za nogawkę, ale nie poczułem bólu.

Tym razem trafiłem do schowka z pościelą. Wzdłuż ścian piętrzyły się poskładane równiutko poszwy. Zamknąłem drzwi, ciemność otrzeźwiła mnie, zmusiła, bym się uspokoił i zaczął myśleć.

Wiedziałem, że za ścianą naprzeciwko drzwi znajduje się otwarta przestrzeń, sęk w tym, że bez okna mogłem o niej tylko pomarzyć, a nawet gdyby było, znajdowałem się trzy piętra nad ziemią. Istniało ryzyko, że nie przeżyłbym skoku.

Padłem więc na ziemię i wyrznąłem kolejną dziurę w podłodze, układając nóż pod kątem, aby łatwiej było się przebić.

Drzwi schowka bryzgnęły drzazgami, a przez dwa otwory po kulach wdarły się w mrok cienkie smugi światła. Odgłos strzałów dobiegł z bardzo bliska, wzbudzając we mnie falę paniki. Zakląłem wściekle i zwalczyłem impuls, by odpowiedzieć ogniem z pistoletu Cabota. Gdybym to zrobił, byłoby po mnie.

Dokończyłem cięcie, a gdy okrągły fragment podłogi spadł w dół, budynkiem wstrząsnął alarm przeciwpożarowy.

Spojrzałem przez dziurę. Tak jak podejrzewałem, znajdowałem się nad antresolą. Przelazłem przez dziurę, lądując na stolikach do pokera.

Alarm dzwonił głośno, a w pomieszczeniu wszyscy stali i gapili się po sobie ogłupiali. Nikt nie chciał pierwszy rzucić się do ucieczki. Czy oni nie słyszeli wystrzałów?

Zeskoczyłem ze stolika, odpychając faceta w uniformie UPS, opychającego się chipsami z obfitego stosiku na plastikowym talerzu. Powiodłem wzrokiem po długiej klatce schodowej. Pastor Wilson, wciąż nie znalazłszy koszuli, prowadził kilku klientów do wyjścia. Zauważyłem, że niosą Bobby'ego, Tiffany i martwego Pulchnego.

Skręciłem do wyjścia, które przyuważyłem wcześniej. Ktoś go pilnował, ale nie patrzył na mnie, w ogóle chyba nie zarejestrował mojego zejścia przez dziurę w suficie. Popędziłem w jego kierunku, dobywając spluwy Cabota, by zwrócić jego uwagę i wymóc respekt.

Kiedy już mnie zauważył, nie ucieszył się przesadnie. Przez chwilę myślałem, że przeskoczy przez poręcz.

– Ani drgnij! – wyszczekałem do niego. – Dawaj spluwę, ale migiem.

Dał. Znowu trzydziestkaósemka. Henstrick musiała zaopatrywać się w nie hurtowo.

– Hej, człowieku...

– Zamknij się i wyprowadź stąd tych ludzi – nakazałem. – Z instalacji ulatnia się gaz. Ruchy!

Przepchnąłem się obok niego i wyszedłem w końcu na dwór. Nie było wiele ciemniej niż dwie minuty temu. Zbiegałem po metalowych schodach, wciąż na widoku, tak jak na klatce schodowej przy pokoju, z którego wyszedł pastor. Żywiłem gorącą nadzieję, że tym razem nie usłyszę strzałów. Jedynym plusem było to, że drogę miałem krótszą.

Byłoby wspaniale móc rozplynać się w tłumie uciekających z Loczka ludzi, ale ci poruszali się zbyt ślamazarnie, a zwalniać nie miałem zamiaru. Znalazłem się na tyłach budynku, z daleka od głównej bramy. Potrzebny mi był samochód i pilot do bramy. Mogłem skorzystać z noża i wyciąć sobie dziurę w siatce czy murze, ale uciekając pieszo, daleko bym nie zaszedł.

Biegając wzdłuż budynku, raptem dostrzegłem van, którym mnie tu przywieziono. Brama oczywiście była zamknięta. Pewnie otworzyliby ją dla wozu strażackiego i ambulansu, ale nie chciałem czekać. Puściłem się pędem do vana, wyciąłem dziurę w oknie od strony kierowcy, otworzyłem.

Nagle usłyszałem wrzask:

– Tutaj jest!

Podjechał ku mnie na wstecznym jakiś samochód. Z miejsca rozpoznałem escalade Cynthii.

– Wsiadaj! – zawołała, otwierając mi drzwi pasażera.

Obejrzałem się na van. Pilot leżał na desce rozdzielczej. Porwałem go i wskoczyłem do escalade.

Cynthia dała po garach, przytrzasnąłem sobie kostkę drzwiami. Zakląłem z bólu i wycelowałem pilotem w bramę. Był tylko jeden przycisk. Nacisnąłem.

Kula rozwaliła tylną szybę. Cynthia krzyknęła przeraźliwie i pochyliła się w siedzeniu. Odruchowo wdepnęła hamulec, ale zanim kazałem jej jechać dalej, już grzała przed siebie. Brama otwierała się tak wolno, jak

tylko mogła. Parking był dość duży – ktokolwiek do nas strzelał, miał jeszcze sporo czasu, by unieruchomić samochód.

Przysunąłem się do Cynthii i otoczyłem ją ramieniem, aby tatuaże na rękach chroniły jej głowę i kark. Choć nie sądziłem, że na wiele się zdadzą.

Kolejna kula przeszła przez boczne okno od strony kierowcy i wyszła przednim, zostawiając po sobie dziury. Cynthia wrzasnęła, ale krócej niż poprzednio. Brama otwierała się i otwierała. Szacowałem, że się zmieścimy, ale głowy bym nie dał. Kątem oka zobaczyłem biegnącą w stronę wyjazdu kobietę, której trajektoria kolidowała ze zderzakiem escalade. Cynthia ujęła gazu, bojąc się w nią uderzyć. Coś przeszło na wylot przez mój fotel, cał od moich żeber.

Nacisnąłem klakson całą dłońią. Kobieta zwróciła ku nam zaskoczone, rozszalałe spojrzenie, po czym zeszła nam z drogi.

Zasypało nas tłuczone szkło, usłyszałem, jak kolejne kule dziurawią karoserię SUV-a. Cynthia schowała się za kierownicą, zerkając tylko ponad deską rozdzielczą, i wypluła z siebie wyjątkowo kwiecistą wiązaną przekleństw. Ja również bym zaklął, gdybym tylko mógł rozewrzeć zaciśnięte szczęki. Zamiast złorzeczyć, wpijałem palce w deskę rozdzielczą, nienawidząc wszelkiej maści broni palnej, nienawidząc Phyllis Henstrick, Annalise i każdego, kto miał cokolwiek wspólnego z tym całym bałaganem, siebie nie wyłączając.

W chwili gdy byłem już pewien, że nasz fart nie wytrzyma dalszego ostrzału, przejechaliśmy przez bramę i grad kul ustał. Cynthia szarpnęła kierownicą i auto wślizgnęło się na asfaltową jezdnię, na której ujrzeliśmy jadący prosto na nas ambulans na sygnale, błyskający czerwonym kogutem. Cynthia skręciła ostro i wdepnęła hamulec; pojazd stanął, a karetka minęła nas ze świstem. Odwróciłem się. Przez wybite tylne okno widziałem, jak przez bramę przebiegają ludzie.

– O Boże – rzekła Cynthia roztrzęsionym głosem. – Boże.

Zobaczyłem, że wciąż mam pilota w ręce. Gdybym wcisnął przycisk, uniemożliwiłbym sanitariuszom udzielenie pomocy rannym, ale spowolniłbym też ścigających nas siepaczy Henstrick i łatwiej by nam było umknąć. Nie nacisnąłem go.

– Weź się w garść – powiedziałem jakimś obcym głosem. – Jedźmy dalej. Gonią nas.

Wróciliśmy na pas i zwiększyliśmy prędkość, a po chwili minęliśmy supermarket. Cynthia obnażyła zęby, po policzku ciekła jej łza.

W oddali mignęło czerwone światło, ale nie zwalniała.

– Światła! Światła! – krzyknąłem. Wsadziłem jej nogę pod kierownicę i wcisnąłem hamulec; esalade stanął dęba.

Na wyjeździe z parkingu supermarketu próbowała włączyć się do ruchu kobieta w załadowanym po dach zakupami volvo. Oczy niemal wyszły jej z orbit na widok podziurawionego kulami SUV-a z powybijanymi szybami.

Gdy zmieniło się światło, Cynthia wtoczyła się na skrzyżowanie, obracając z uwagą kierownicę drżącymi rękami i raz po raz kontrolując zegary. Prowadziła, jakby nigdy wcześniej nie siedziała za kółkiem. Cudem ocalały samochód grzechotał i trzeszczał.

– Gdzie mam jechać? – spytała nagle.

– Do twojego domu.

Tak też zrobiła. Wysiedliśmy z auta, dokonaliśmy pobieżnych oględzin. Dwie dziury w przedniej szybie. Drugiej wcześniej nie zauważyłem, choć kula wybiła mi ją przed samymi oczami.

Trzy kolejne dziury w drzwiach kierowcy, przy samej dolnej krawędzi. Te pociski musiały przejść pod naszymi siedzeniami. Cztery kolejne pstrzyły tylną pokrywę nadwozia, z czego dwie niebezpiecznie blisko lewej opony. Któryś ze strzelców właśnie w nią celował. I jeszcze dwie w przednim błotniku. Wnosząc po jękach i stękach pojazdu w drodze powrotnej, blok cylindrów szlag trafił.

– Ty krwawisz! – wykrzyknęła Cynthia, przykładając rękę do mojej łopatki. Ukłuło. Pojęcia nie mam, kiedy tam dostałem. – Chodź do środka – powiedziała, prowadząc mnie do drzwi.

Podniosłem wzrok na górującą nad resztą domostwa okrągłą wieżę. Cabot mówił, że to właśnie tam Charles Trzeci spędza całe swoje dni. Zastanawiałem się, czy może siedzi tam właśnie teraz i co bym zrobił, gdybym go w niej zastał.

Cynthia zaprowadziła mnie schodami do dużej łazienki na tyłach. Usiadłem na brzegu wanny, a ona wyjęła z apteczki pudełko z plastrami i tubkę środka dezynfekującego. Zdjęła mi kurtkę, wyczuła ciężar w jednej z kieszeni i sięgnęła do środka.

– Przez cały ten czas miałeś przy sobie pistolet? Czemu do nich nie strzelałeś?

– Mógłbym kogoś zabić.

Roześmialiśmy się oboje. Odreagowała trochę, ale śmiech tylko wzmógł narastające we mnie napięcie. Przyszedł mi na myśl ząb Bobby'ego i martwy przygruby facet na podłodze. Pomyślałem o wyrazie twarzy Tiffany, kiedy ją uderzyłem. Śmiałem się, ale mój śmiech mnie przerażał. Żyję. Chciałem krzyknąć to słowo i słyszeć, jak odbija się echem od ścian i sufitu. Żyję.

Zacisnąłem zęby i stłumiłem śmiech. Nie powinienem się śmiać, bo daleko mi było do wesołości. W Hammer Bay roiło się od ludzi dopuszczających się odrażających zbrodni w dobrej wierze. Doprowadzało mnie to do furii, przepełniało żądzą mordy i palącym gniewem. To miasto zmieniało mnie w coś ohydny i groźny. Musiałem uciekać, ale przecież nie mogłem. Musiałem najpierw pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy stali za przepełniającym miasto chaosem.

Prawda, że wraz z Annalise po prostu mieliśmy zabić człowieka odpowiedzialnego za magiczne zawirowania w Hammer Bay, ratując w ten sposób dzieci. Ja również dopuszczałem się zbrodni w dobrej wierze. Nienawidziłem tego miasta, bo było ono moim lustrzanym odbiciem.

Odbiciem, którego wolałbym nie dostrzegać. Które mi się nie podobało. Zjawiłem się tutaj, by bez litości bić, zabijać i poniżać każdego, kto stanie mi na drodze, i nie miałem zamiaru przestać, dopóki nie oczyszczę tego miejsca z wszelkich złych zaklęć i nie przywrócę naturalnego porządku rzeczy. Jak mi Bóg miły, w końcu byłem na to gotów. Gotów posunąć się tak daleko, jak okaże się to konieczne, byle tylko wykonać zadanie.

Cynthia kazała mi zdjąć koszulę. Zdjąłem. Przemyła ranę i osuszyła ją chusteczką.

– Nie wygląda tak źle. Ledwie draśnięcie. – Nic na to nie powiedziałem.

– Strzelali jak ostatnie ciamajdy, co?

– Jak większość ludzi.

– Nikt do mnie jeszcze nie... Myślisz, że wiedzieli, że to ja? Myślisz, że próbowali mnie zabić?

Zrozumiałem, o co jej chodzi. Była najprawdopodobniej jedyną właścicielką takiego samochodu jak escalade w mieście. Auto rzucało się w oczy i każdy wiedział, do kogo należy.

– Nie – powiedziałem. – Gdyby wiedzieli, że siedzisz w aucie, na pewno by nie strzelali. Henstrick jest wciąż lojalna wobec twojej rodziny. Myślę,

że byli zaafelowani i po prostu nie myśleli trzeźwo. Właściwie to spodziewałbym się na twoim miejscu przeprosin od Henstrick.

Poczułem, że Cynthia wciera mi coś w łopatkę. Szczypało. Dostałem gęszej skórki, gdy jej włosy musnęły moje ramię.

– Często tam bywasz? – spytałem nieco bardziej podejrzliwie, niż chciałem.

– Nie. Po tym jak podrzuciłam cię do biura wuja Cabota, nie poszłam na kawę, jak radziłeś. Nie zdawałam sobie sprawy, jak się poczuję, widząc cię wchodzącego do tego budynku. Samego. Dla mnie. Nie mogłam tak po prostu maczać ciastek w kawie, podczas gdy ty ryzykowałeś życie. No więc na wszelki wypadek trzymałam się w pobliżu. Nie wiedziałem, co dokładnie mogłabym zrobić, ale nienawidziłam tego poczucia, że tchórzę. Zaparkowałam nieopodal i czekałam, aż wyszedłeś. Wtedy zobaczyłam, jak tamci brutalnie wsadzają cię do samochodu. Oczywiście od razu rozpoznałam Bobby’ego. Jechałam za wami aż do kasyna i przegrałam dwa tysiące w blackjacka.

Miało to ręce i nogi. Byłem jej wdzięczny, że mnie nie zostawiła.

– Pistolet należy do Cabota – powiedziałem. – Planował się zabić, ale przekonałem go, żeby zamiast tego uciekał z miasta.

– Dziękuję – rzekła cichutko.

– Uratowałaś mi dzisiaj życie.

– Jesteśmy kwita. – Dotknęła rany kawałkiem gazy, tym razem delikatniej. Znowu naszła mnie myśl, czy jej brat jest gdzieś w domu. Klepnęła mnie w ramię. – No, gotowe!

Podniosłem się. Stała bardzo blisko mnie i wydawała się niesamowicie drobna. Ręce wciąż jej się trzęsły. Wziąłem jej dłoń i schowałem w mojej. Wewnątrz mnie wciąż szalał gniew. Musiałem się opanować, by dotknąć jej delikatnie.

– Dziękuję ci – powiedziałem.

Staliśmy chwilę, trzymając się za ręce. Czułem jej ciepło, miękkość i kruchość. Gdybym lekko ścisnął jej dłoń, pękłaby jak szkło. Przeraziła mnie ta myśl. Byłem tak delikatny, jak tylko potrafiłem.

Puściła moją dłoń, a ta opadła wzdłuż ciała. Podniosła wzrok. Brąz jej oczu zdawał się przechodzić w czerń.

– To co dalej? – spytała.

– Co jest w tym okrągłym pomieszczeniu na szczycie domu?

- Moja sypialnia.
- Zabierz mnie tam.

Zawahała się. Ale tylko na chwilę. Raz jeszcze zajrzała mi w oczy, a potem ujęła mnie za rękę i zaprowadziła na schody. Zabrałem koszulę i kurtkę.

Wspięliśmy się po stopniach do okrągłego, udekorowanego ze smakiem pokoju, pomalowanego w różne odcienie pastelowej zieleni. Na każdym skrawku poziomej powierzchni stała przynajmniej jedna świeca i – z jakiegoś powodu – pluszowy króliczek.

Charlesa Hammera nie było. I nie wyglądało na to, by kiedykolwiek tu przebywał. Poczulem rozczarowanie, rzuciłem kurtkę i koszulę na krzesło. A tak się nastawiałem na wyrównanie z nim rachunków. Sądziłem, że nigdy nie będę bardziej gotów.

Cynthia stanęła zaledwie parę stóp ode mnie.

– Oto moja sypialnia – rzekła, jakby nie mogła doczekać się z moich ust pochwały jej tajemnego sanktuarium.

No cóż, zabicie Charlesa Hammera będzie musiało poczekać.

– Zdejmij ubranie – powiedziałem, a ona usłuchała. Ja w tym czasie zdjąłem swoje.

Zobaczyłem to, czego się spodziewałem: na jej łopatkę, w tym samym miejscu co u Cabota, widniał znajomy tatuaż. Również i ją naznaczono Wrotami.

A więc także wiedziała, co się stało z tymi wszystkimi dziećmi. Co wciąż się z nimi działo.

Przywarła do mnie w pocałunku. Dzikim, złąknionym. Przepełniała mnie złość, ale nie potrafiłem go przerwać. Lubiłem ją.

Pomimo że wiedziała o wszystkim przez cały ten czas. Wiedziała. Wiedziała. Wiedziała. Wiedziała.

Gdy jakoś znaleźliśmy się w łóżku, pomyślałem, że dopiero teraz mam pewność, że żyję. Wspaniale było czuć na sobie czyjś dotyk, zachowywać się jak człowiek i zwierzę jednocześnie, wąchać, smakować, słyszeć i widzieć kogoś z tak bliska.

Reagowała na mnie silniej niż którakolwiek kobieta przed nią, a jednak nie mogłem dać się ponieść namiętności. Wciąż siedziały mi w głowie płomienie, blade robactwo, martwe dzieci i fakt, że Cynthia o nich

wiedziała. To, że zmagaliśmy się razem w pościeli, upojeni życiem, wydało mi się przez to obrzydliwe i chore.

Spełnienie nie przyniosło satysfakcji. W głowie wirowały mi obrazy mordy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nawet nie zauważyłem, kiedy zasnąłem, a gdy się obudziłem, moją twarz omiały blade promienie świtu. Poczułem ruch na łóżku.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem Cynthię siedzącą po drugiej stronie, plecami do mnie. Owinęła się w pościel, nie zakrywszy Wrót na łopacie. To, co zeszłej nocy wprowadziło mnie w obrzydzenie i złość, w świetle dnia zdało mi się tylko jedną z wielu smutnych prawd o Hammer Bay. Kim niby byłem, żeby osądzać Cynthię? Albo kogokolwiek innego? Sam miałem na sumieniu to i owo.

Wyciągnąłem rękę, dotknąłem jej ramienia. Nie odtrąciła mnie, ale i nie poddała się dotykowi. Nie wydawała się złościć czy żałować minionej nocy. Po prostu nie zareagowała. Zabrałem rękę.

– Wczorajsza noc to było coś – wyrzekła cicho. – Była dzika, zaskakująca i bardzo intensywna. Ale nie wydaje mi się, żebym chciała ją kiedyś powtórzyć. Właściwie to wiem, że nie chciałabym. Było mi z tobą dobrze. Wspaniale, prawdę mówiąc. Ale czułam też strach. Nie chcę tego więcej czuć.

– Rozumiem.

– Na pewno? – spytała i odwróciła się do mnie. Zawstydzilem się na widok wyrazu jej twarzy. Chciałbym móc spróbować raz jeszcze, tym razem delikatniej, ale widziałem w jej oczach, że nie nadarzy się już ku temu okazja. Nigdy.

– Na pewno.

– Kawy?

Skinąłem głową. Wstała, a pościel zsunęła się z jej ciała. Syciłem oczy widokiem, gdy wkładała spodnie i T-shirt. Nie mogłem na to nic poradzić, ale wyobraziłem ją sobie leżącą na podłodze, krzyczącą, podczas gdy z tatuażu na jej plecach wydobywa się czarny dym. Powiedziała, że będzie czekała na mnie na dole, po czym wyszła.

Zakryłem twarz rękami. Żeby nic nie widzieć i nie słyszeć. Spojrzałem w głąb siebie i nie rozpoznałem tego, co zobaczyłem.

Wstałem, włożyłem rzucone wczorajszej nocy na podłogę ubranie. Koszulę wciąż czuć było prochem. Odnalazłem palcami dziurę po kuli.

Zszedłem na dół, kierując się zapachem kawy. W kuchni znalazłem Cynthię z telefonem przy uchu, obok bulgoczącego ekspresu. Zegar na ścianie wskazywał jedenastą.

Rozłączyła się.

– Miałeś rację – rzekła. – Phyllis nagrała mi się na pocztę głosową. Pytała, czy wszystko ze mną w porządku, przeprosiła za głupotę swoich pracowników. Zaoferowała, że pokryje koszty wszelkich napraw.

– Spodziewałem się tego.

– A co z tobą? Myślisz, że będzie cię ścigać? Mogłabym z nią pogadać, skłonić, żeby zostawiła cię w spokoju.

– Dzięki, ale lepiej, żebyś nie wmieszała się w to bardziej, niż już jesteś wmieszana.

– Jezu, zeszedł nocy prawie mnie zastrzelili. To takie nierzeczywiste.

– Stanie się rzeczywiste, gdy dotrze do ciebie następny rachunek z ubezpieczalni.

Prychnęła śmiechem. Podobał mi się ten dźwięk. Staliśmy oparci o kontuar, dzieliło nas ledwie parę stóp. Nie dotykaliśmy się.

– Jaką chcesz kawę? – zapytała.

– Obojętnie. Taką jak twoja.

– Jedno cappuccino z olejem sojowym i rzodkiewką, już podaję.

Tym razem roześmialiśmy się oboje. Postawiła kubki na stole, usiedliśmy. Upiłem łyk. Kawa była ciemna i bardzo słodka. Pyszna.

– W końcu nie powiedziałeś – odezwała się. – Czemu widziałeś się z Able'em Katzem?

– Opowiedz mi o atakach – rzekłem zamiast tego. – Miałaś je kiedyś?

Resztki uśmiechu odpłynęły z jej twarzy. Zamieszała kawę.

- Więc to tak?
- Jak?
- Mam obsmarować przed tobą własną rodzinę? Własnego brata?
- Chyba źle mnie zrozumiałaś.
- To tylko firma zabawkarska, na litość boską.
- Nie obchodzi mnie firma. Ani trochę.
- Nie obchodzi cię wielomilionowy kontrakt, który miałyby podpisać twoja szefowa? Czy nie po to tu przyjechaliście?
- Nie, nie po to. Powinnaś się już zorientować. – Milczała. – W mieście dzieją się osobliwe rzeczy, prawda? Przykładowo: ludzi atakują tajemnicze sfory psów.
- Pozwoliłem jej pomyśleć o tym przez chwilę. Wwiercała się we mnie wzrokiem, próbując zgadnąć, ile wiem.
- Dlaczego pytasz o chorobę Charlesa? Uważasz, że ma coś wspólnego z zagryzanymi ludźmi?
- Nie dowiem się, dopóki ktoś nie odpowie na moje pytanie.
- Bo ja tak nie uważam. – Kolejny łyk. – Ataki miał nasz ojciec, a przed nim jego ojciec. Charlesa są gorsze niż taty, ale to po prostu choroba dziedziczna.
- A ty je masz?
- Jak dotąd nie – odparła. – Ale istnieje możliwość, że będę miała. Jeszcze dwa lata temu Charles był zupełnie zdrowy. A zgodnie z tym, co mówił wuj Cabot, tata nie chorował jako dziecko. Straszne, co? – Nie podniosła wzroku znad kawy i nie wyglądała wcale na przestraszoną.
- Ostatnio mam same straszne myśli. A co z tymi psami?
- To... Ja nie wiem. A chciałabym. Gdybym wiedziała, kto się nimi posługuje, natychmiast powiedziałabym Emmettowi. To okropna śmierć, okropna. Mam dreszcze na samą myśl.
- Nie wierzyłem jej. Ale chciałem mieć ją po swojej stronie, i to nie tylko dlatego, że mogłaby mi wiele ułatwić. Na pewno nie zależało mi na tym, by znaleźć się z nią na wojennej ścieżce.
- Jesteś pewna, że nic nie wiesz? Może jest coś, co mogłabyś mi powiedzieć o tych psach, gdybyś się dobrze zastanowiła?
- Jak na przykład co?
- Na przykład to, czy zagryzieni ludzie mieli jakichś wrogów? Czy umarli o tej samej porze dnia, albo może w tej samej okolicy? Jakieś cechy

wspólne? Coś dziwnego?

– Stanley Koch umarł w alejce za swoim barem. Wilma Semple zjechała z jezdni na autostradzie. To był zwykły wypadek samochodowy, choć niektórzy mówili, że przed przyjazdem karetki dorwał się do niej kuguar. Henry’ego ze sklepu spożywczego zagryzły w magazynie na oczach dozorczy, który chyba nazywał się Johnson.

– A co gadają ludzie?

– Kiedy umarła Wilma, wszyscy byli pewni, że to sprawka Harlana. Dopiero co się z nim rozwiodła i związała z innym mężczyzną. Stan zabronił mu odwiedzać swój lokal przez miesiąc. Był agresywny. Ale Harlan nawet nie znał Henry’ego. Każde zakupy robił w Safewayu.

– Czy Wilma prowadziła w mieście jakiś biznes?

– Nie.

– Co to za facet, z którym się skumała?

– Luke Dubois.

– A więc wiesz, że maczali w tym palce bracia Dubois.

– Wielu miejscowych tak myśli. Ale tylko nieliczni powiedzą to na głos. Ale co prawda, to prawda, Luke od lat czuł do Wilmy miętę. Kiedy zginęła, Luke zupełnie się rozsypał.

– Myślisz, że odkryła coś, czego nie miała odkryć?

– Czyli co? Że miejscowi gliniarze zbierają po ludziach haracz? O tym wiedzą wszyscy.

– Chodzi mi o to, że bracia Dubois to wilkołaki.

– Co? – Wzdrygnęła się, szczerze zdumiona, co mnie ucieszyło.

– Wilkołaki.

– Jaja sobie robisz?

– Phyllis Henstrick powiedziała mi, że to dość oczywiste dla każdego, kto chce uwierzyć.

Cynthia zagapiła się w pustkę na minutę czy dwie, jej kubek z kawą zatrzymał się w połowie drogi do ust. Sam upiłem łyk, rozkoszując się rozpływającym się po brzuchu ciepłem. Miło było tak razem siedzieć. Próbowałem sobie wyobrazić, jak by to było siedzieć tak dzień po dniu, rozmawiając o tym i owym przy porannej kawie. Pomyślałem, że byłoby to całkiem kławe życie.

Które nigdy nie stanie się moim udziałem. Nie z Annalise na karku i nie z atakami Charlesa Trzeciego.

- To prawda? – spytała.
- Jak mniemam.
- Co powinniśmy z tym zrobić?
- Nie zrobimy z tym zupełnie nic.
- W porządku. A co ty masz zamiar z tym zrobić?
- Wyleczyć ich, jeśli będę potrafił.

Była to prawda, ale nie cała. Z posiadanych przeze mnie informacji wynikało, że jedynym lekarstwem było to permanentne.

- Rety! – Przycichła. – Tyle jest na świecie potworności.

Wbiłem wzrok w blat. Trochę tej potworności było i we mnie, a wszystko wskazywało na to, że sprawy przybiorą jeszcze brzydszy obrót.

- Teraz opowiedz mi o dzieciach.

Kolory odpłynęły jej z twarzy. Milczała jakiś czas, gapiąc się na mnie.

– Opowiedz – podjąłem, nie doczekawszy się odpowiedzi – o płonących żywcem dzieciach z Hammer Bay. Owszem, wiem o nich. Mam tatuaż podobny do twojego. Świerzbi mnie za każdym razem, gdy Charles ma atak. Podobnie jak twój. No, opowiadaj.

- Ja... – zaczęła, ale spuściła wzrok i zaraz zamilkła.

Ująłem ją ostrożnie za rękę. Trudno mi było wywnioskować, czy pocieszałem ją w ten sposób, czy może osaczałem, czy jedno i drugie.

- Co chciałbyś usłyszeć?

– Najlepiej wszystko – odpowiedziałem. – Zaczynaj, odkąd chcesz, ale chciałbym usłyszeć wszystko.

Odsunęła rękę, wypila duszkiem kawę.

– Daphne była moją najlepszą przyjaciółką, od kiedy skończyłam sześć lat. Przetrwałyśmy razem podstawówkę, liceum, wszystko. Jest teraz rozwiedziona. Jej eksmąż to dziwak, ale ich córeczka była najśłodszym dzieckiem na świecie. Odważna i szalona, doprowadzała Daphne do szału. Nie mogła z nią wytrzymać, ale ja kochałam ją jak własną córkę i wiedziałam, że wyrośnie z niej wspaniała młoda dama. Kiedy pewnego dnia umówiłam się z Daphne na lunch, przyszła bez córki. Pytam, czy znalazła opiekunkę, a ona na to, że zostawiła psy na dworze, ale nic im nie będzie. Psy. No więc pytam, kto został z córką, a ona na to: „Z kim?”. Ot tak. Jakby jej córeczka w ogóle nie istniała.

Odetchnęła.

– Potem bąknęła coś o tym, że nosi się z myślą o opuszczeniu Hammer Bay. Co niby ją tu trzyma, mówiła, poza najlepszą przyjaciółką? Nie ma tu żadnej rodziny, żadnej wymarzonej pracy. Chce zrealizować swoje marzenia, dopóki wciąż jest młoda. W końcu się o to pokłóciłyśmy. To nie była kulturalna sprzeczka. W pewnym momencie zaczęli się wcinać inni klienci lokalu, którzy nas znali. Przekonywali mnie, że przecież Daphne nigdy nie miała córki. A ta mała była piękniejsza od najpiękniejszych marzeń...

Ręce zaczęły jej drżeć, więc przycisnęła je do blatu.

– Daphne zaczęła martwić się o mnie. Myślała, że cierpię na załamanie nerwowe czy coś w ten deseń. Zabrała mnie do siebie, abym przekonała się, że nie miała dzieci. Oprowadziła mnie po pokojach. „Widzisz – powiedziała – nie mieszka tu nikt poza mną”. A ja wszędzie widziałam zabawki i książki dla dzieci.

Głos uwiązł jej w gardle. Wzięła głęboki, rozedrgany wdech.

– Daphne wyjechała z miasta parę tygodni później. Ja też powinnam była, ale nie mogłam. Wtedy zobaczyłam to już na własne oczy. – Zamilkła, spojrzała w dół, w pusty kubek. – Było takie dziecko w wózku... – Znowu zamilkła.

Ale usłyszałem już dość.

Wstałem i napełniłem opróżnione kubki, a wracając, przyniosłem cukier. Poruszyła się na fotelu i zająknęła, wciąż unikając patrzenia mi w oczy.

– Co zrobiłaś w tej sprawie? – spytałem po kilku minutach.

– Wynajęłam prywatnego detektywa. Powiedziałam mu, że coś strasznego dzieje się w mieście z dziećmi. Wziął mnie za wariatkę, ale pieniędzmi nie pogardził. Trochę powęszył, powypytywał ludzi, takie tam. Po tygodniu przepędził go Emmett. Nic to nie dało poza wygórowanym rachunkiem i bezużytecznym sprawozdaniem.

– Jak myślisz, dlaczego pamiętasz ty i nikt poza tobą?

– To przez tatuaż. Czy nie tak powiedziałeś?

– Upewniam się tylko, że się rozumiemy. Cabot powiedział, że zrobił ci go dziadek.

– Jak myślisz, po co? Żebyśmy wiedzieli, kiedy dzieje się coś niedobrego? Bo jeśli tak, to nie sądzę, żeby na wiele się przydał.

– Nie sądzę, że to o to chodzi. Sądzę, że ma za zadanie chronić ciebie i resztę rodziny przed płomieniami. Twój dziadek igrał z niebezpieczną

magią i zrobił, co mógł, żeby ochronić swoich bliskich, na wypadek gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Ja... – zaczęła, ale nie mogła skończyć, tak jak nie mogła podnieść na mnie oczu. – Nie chcę w to wierzyć.

– Ale przecież wierzysz.

– Ta, myślę, że tak. Nie mam już wyjścia, prawda?

Wtedy doznałem olśnienia.

– To ty zapewniłaś wnukowi Billa Terrila program edukacyjny w Atlancie.

Wzruszyła ramionami.

– Ufundowałam program po zamieszeniu z prywatnym detektywem. Kiedy podupadła firma relokacyjna.

– Chwila. Zaczynaj, proszę, jeszcze raz od początku.

Wzruszyła ramionami, siorbnęła kawy.

– Prywatny detektyw, jak już mówiłam, okazał się stratą czasu i pieniędzy. Byłam w kropce. Wiedziałam jedno: należy wywieźć dzieci z Hammer Bay, ale jak miałam przekonać do tego ich rodziców? Na pewno nie mówiąc prawdę. Założyłam więc firmę relokacyjną. Zaoferowałam dziesięć tysięcy każdej rodzinie z dziećmi, która zechce wyprowadzić się z miasta. Tylko czternaście rodzin skorzystało z oferty. To było w tym samym czasie, gdy Charles startował ze swoim interesem. Słyszało się głosy, że sabotują jego wysiłki. Ludzie patrzyli na mnie spode łba, a niektórzy zatroskani obywatele próbowali mnie nawet napominać. Moje wysiłki nie sprawiły jednak, że dzieci przestały... ginąć. Wpadłam więc na pomysł stypendiów dla zdolnych uczniów i zaczęłam wysyłać ich do szkół z internatami na terenie całego kraju. Zainteresowanie przerosło moje najśmielsze oczekiwania. Podpisałam czeki dla osiemdziesięciu siedmiu dzieci z Hammer Bay i wysyłałam je na programy do Oregonu, Massachusetts, nawet do Kanady. Wierz mi, niełatwo znaleźć miejsca dla tylu dzieciaków.

– To chyba była droga impreza – powiedziałem, przypominając sobie o pustym domu w sąsiedztwie.

– Nie mogłam ot tak spieniężyć wszystkich dostępnych środków – powiedziała, wciąż unikając mojego wzroku. – Musiałam starać się o fundusze gdzie indziej, ale myślę, że spokojnie mogłabym wyprawić stąd

więcej dzieci, gdyby zgodziło się więcej rodziców albo gdybym miała więcej doświadczenia w tego typu działalności. Chciałabym...

– No? Powiedz.

– Zanim Daphne wyjechała, udało mi się ją przekonać, żeby zrobiła sobie taki sam tatuaż – powiedziała, wskazując Żelazne Wrota na swojej łopacie. – Zapłaciłam jej za niego, a tatuażyście dorzuciłam coś ekstra, żeby odwzorował go w najdrobniejszych szczegółach. Daph się nie podobał, ale dopiero co dostała się na uniwersytet w Waszyngtonie i potrzebowała pieniędzy. Była zdecydowana mnie tu zostawić.

Wiedziałem, do czego to zmierza.

– Ale tatuaż nie zadziałał – stwierdziłem, nie spytałem.

– Nie zadziałał.

Aby rzucić zaklęcie, nie wystarczyło tylko odwzorować rysunek. Skoro tego nie wiedziała, to nie była w posiadaniu księgi, której szukaliśmy z Annalise. Cholera, może nawet nie zdawała sobie sprawy z jej istnienia.

Odetchnąłem z ulgą.

– Czy mogłam zrobić coś jeszcze? – spytała. – Nie wyjechałam, bo moja rodzina zbudowała to miasto. Duża jego część należy do mnie. Rodziny, które odrzuciły moją ofertę, zostały tutaj tylko dlatego, że fabryka zabawek zapewnia im byt. Gdybym musiała, wysadziłabym tę fabrykę w powietrze razem z całym miastem, ale Charlie... – zawiesiła głos.

– Co? Co zrobił Charlie?

– Charlie powiedział, że może wszystko naprawić.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Mów dalej.

– Powiedział, że może sprawić, by dzieci wróciły do pierwotnej postaci. Że może je wyleczyć. Powiedział, żebym się nie martwiła, że on się wszystkim zajmie i nie ma potrzeby, żebym się doszczętnie spłukała, kiedy on może o wszystko zadbać. Długo mówił o mieście, o rodzinie. Powiedział, żebym zaufała mu w tej sprawie i że on wszystko naprawi. No więc zaufałam mu. Myślisz, że da radę?

Zrobiło mi się niedobrze. Czy Charlie Trzeci faktycznie był w stanie odczynić transformacje? Jeśli tak, to dziewczynka z boiska do kosza już nigdy nie wróci do życia, bo ją zabiłem.

– Nie wiem.

– Ale przecież ty wiesz, jak wyleczyć braci Dubois, prawda? Skoro tak, to może Charlie wie, jak wyleczyć dzieci.

Strach i mdłości zawiązały mi na trzewiach ciasny supeł. Próbowałem kiedyś wypędzić z ludzi zagnieżdżonych w nich drapieżców. Plan spalił na panewce w najgorszy możliwy sposób. Spojrzałem Cynthii w oczy. Żywiła nadzieję, że jej problemy może rozwiązać ktoś inny, ktoś obdarzony dostateczną mocą i zdolnościami, by skierować wydarzenia na właściwe tory. Ale była to nadzieja podszyta wåtpliwościami, czy nie próbuje po prostu przerzucić swojego ciężaru na czyjeś barki. Chciałem jej jakoś pomóc.

– Może.

– Wcale w to nie wierzysz, prawda?

– Nie dowiem się, w co mogę wierzyć, a w co nie, dopóki nie porozmawiam z twoim bratem. – Spojrzała na telefon na ścianie. Pokręciłem głową. – Twarzą w twarz.

– Myślisz, że to wszystko jego wina? Wiem, że tak. Nie próbuj kłamać. Ale to nie jego wina. Nie może być. On by nigdy nie dopuścił do czegoś takiego.

– Cynthia, w logo jego firmy jest płomień.

– To nie... – zająknęła się. – Kiedy był dzieckiem, cały czas śniły mu się koszmary, w których widział płonące koło. Budził się z nich z krzykiem, zlany potem. – Zamilkła i omiotła wzrokiem stół, jakby spodziewała się znaleźć na nim jakiś argument. – Mogę opowiedzieć ci kolejną historię? O Charlesie?

– Nie krępuj się. – Hammer Bay zdawało się utkane z opowieści.

– Charles nie był lubianym dzieckiem. Miał dobre serce, ale z jakiegoś powodu nie umiał zjednać sobie kolegów. Dzieci bawiły się z nim tylko dlatego, że przynosił najnowsze i najdroższe zabawki. Rozumiesz?

– Ta.

– Jak już mówiłam, śniły mu się koszmary. Pewnego dnia kilkoro dzieci z sąsiedztwa wpadło na pomysł, żeby ze wzgórza za naszym domem stoczyć stare opony samochodowe do rosnącego poniżej lasu. Charles był dzieckiem, i to nie najmądrzejszym, więc chciał wszystkim zaimponować. Oblał opony jakąś łatwopalną substancją. Nigdy nie dowiedziałam się, co to było. Podpalił je, a dopiero potem stoczył ze wzgórza. Nie wiem, czy miało to związek z jego koszmarami, czy po prostu brakło mu wyobraźni,

w każdym razie podpalił las. Spłonęły trzy domy, a Charles płakał, płakał i płakał. Po tej nocy zrobił się bardzo wrażliwy na punkcie swojego miejsca w rodzinie. Zrozumiał, co to znaczy być Hammerem w Hammer Bay. To płonące koło w logo firmy ma mu przypominać o jego obowiązkach. Nigdy nie zrobiłby niczego, co mogłoby skrzywdzić mieszkańców. To wbrew jego naturze.

– A co, jeśli myślał, że robi więcej dobrego niż złego? I się przeliczył?

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Oczy zmętniały jej na chwilę, jakby próbowała przypomnieć sobie coś z odległej przeszłości. Kiedy na powrót utkwiała we mnie spojrzenie, nie wydawała się już taka pewna swego.

– Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

– Cynthia, a co, jeśli się mylisz?

Zakryła usta dłonią, a w jej oczach wezbrały łzy. Nie ująłem delikatnie jej ręki, nie wyszeptałem słów pocieszenia. Nie ma sposobu, by pocieszyć kogoś, kto podejrzewa ukochaną osobę o bycie mordercą. Kiedy wypowiedziała tajoną wewnątrz obawę, nie pozostało jej nic innego, jak tylko stanąć oko w oko z nagą prawdą.

Czy jestem po prostu draniem?

– Czy on to naprawdę zrobił? – spytała, hamując płacz.

– Jeszcze nie mam pewności. Ale chcę, żebyś pomogła mi położyć temu kres.

Skinęła głową, co mnie ucieszyło. Jeśli istniał ktoś, kto mógłby doprowadzić mnie do Charlesa Trzeciego, to właśnie ona. Miałem nadzieję, że jest na to gotowa.

W tym momencie odczytałem nagłówek leżącej na stole gazety: **NAJWYŻSZY CZAS COŚ Z TYM ZROBIĆ**. Pod spodem napisano: „Bohaterski burmistrz na tropie korupcji w Hammer Bay”. Krew mnie zalała.

– Jasna cholera. Co za kretyn! – Zerwałem się z krzesła. – Czytałaś to?

– Nie, nigdy nie czytam. A co?

Pokazałem jej pierwszą stronę. Rzuciła okiem na nagłówek, przejrzała artykuł.

– Nic z tego nie rozumiem. Frank Farleton „na tropie” Emmetta? Jeździ za nim łóżkiem szpitalnym czy co?

– Potrzebny mi numer telefonu pastora Wilsona. – Ruszyłem do telefonu, złapałem za słuchawkę.

– Tam jest książka telefoniczna. – Cynthia wskazała szufladę. Wyjąłem z niej cienką książkę i otworzyłem na W. W całym Hammer Bay był tylko jeden Wilson: „Wilson, Thomas”. Wykręciłem numer. Po drugiej stronie usłyszałem głos starszej kobiety, pewnie sekretarki. Zdawała się pogrążona w smutku.

– Jest teraz bardzo zajęty i nie może podejść do telefonu.

– To nagły przypadek. Naprawdę nagły.

Westchnienie. Pewnie myślała, że gorzała zwodzi mnie na pokuszenie albo pożądam żony bliźniego swego.

– Kto dzwoni?

– Niech pani mu powie, że Raymond Lilly.

Usłyszałem stuk słuchawki o blat biurka. Sekundy dłużyły mi się jak godziny.

Nagle:

– Słucham?

– Wielebny, Ray Lilly przy telefonie...

– Martha powiedziała mi, że wcale nie celowałeś do niej z pistoletu. W zasadzie to wydała się zszokowana, kiedy powiedziałem, że miałeś go przy sobie. – Z początku nie zajarzyłem, o czym on mówi. – Powinieneś wiedzieć – ciągnął Wilson niespiesznym, ponurym tonem – że jestem w trakcie pisania swojej rezygnacji. Myślę, że tak będzie lepiej. Kocham ją, ale mój zbór...

– Hej! – krzyknąłem do słuchawki. – Co mnie to obchodzi, wielebny? To teraz bez znaczenia. Chcę spytać, czy widział wielebny dzisiejszą gazetę?

– Ja... no cóż, nie, nie widziałem.

– Burmistrz jest w niebezpieczeństwie. Słyszysz mnie, człowieku? Burmistrz umrze, jeśli już nie umarł. Może go wielebny uratować. Słuchasz mnie, człowieku?

Żałowałem, że nie widzę jego twarzy.

– Słucham – powiedział bezbarwnym i beznamiętnym tonem.

– Oto, co musi wielebny zrobić: zadzwoni wielebny do tych wiernych, którzy posiadają broń. Powinni to być ludzie odważni i wierzący w życie wieczne po śmierci, rozumiemy się? Proszę także upewnić się, że żaden nie pracuje dla Phyllis Henstrick. Wyśle wielebny tych ludzi do szpitala, powie,

żeby weszli tam z bronią na widoku i poszli prosto do sali, gdzie leży burmistrz. Dwaj niech wejdą do środka, dwaj kolejni niech trzymają wartę przed drzwiami.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Dopiero co mówił wielebny, że mnie słucha. Czy wielebny kłamał?

– Nie. Słucham cały czas.

– Niech więc wielebny zorganizuje ludzi. Nikt, a mówiąc nikt, mam na myśli kompletnie nikt, nie może wejść do pokoju burmistrza z bronią.

– Ale dziś po południu Emmett Dubois miał przesłuchać burm...

– Emmett Dubois jest pierwszy na liście. Jeśli spróbuje wejść do burmistrza, niech go zastrzelą. Rozumiemy się? To nie żart. Nie może też do niego wejść nikt, kto pracuje dla Henstrick.

Usłyszałem w słuchawce szelest papierów.

– Panie, zlituj się nad nami – szepnął pastor. – Peter Lemly wsadził kij w mrowisko. Ale zaraz, czy nie możemy po prostu przewieźć burmistrza do innego szpitala? Emmett z pewnością...

– Przewieziemy go, oczywiście, że tak, ale to zajmie sporo czasu.

– Ale... broń w szpitalu...

– Niech mnie wielebny posłucha: zeszłej nocy mógł wielebny wyślizgnąć się tylnymi drzwiami, oszczędzić sobie nerwów i po prostu uciec gdzie pieprz rośnie. Ale nie zrobił tego. Zdecydował się zostać i pomóc innym. Oto kolejna okazja, żeby się wykazać. Dubois, Hammer i Henstrick zrobili z tego miasta prawdziwy burdel; czas, by wielebny zabrał głos w sprawie Hammer Bay. Bo miasto wielebnego potrzebuje i niech wielebny nawet nie myśli o rezygnacji. Stać wielebnego na więcej niż ucieczkę tylnymi drzwiami.

Górnołotny ton najwyraźniej odniósł zamierzony skutek, bo Wilsonowi aż przyspieszył oddech. Trzymałem faceta w garści, teraz wystarczyło tylko skierować go w odpowiednią stronę.

– Masz rację, synu – rzekł. – Oczywiście masz rację. Zadzwońę gdzie trzeba.

Rozłączyliśmy się.

Cynthia nie mogła oderwać wzroku od gazety.

– Powinam była od razu się zorientować...

– Masz inny samochód? – spytałem, biorąc od niej gazetę. – Taki bez kul w silniku?

– Jasne.

Tym drugim samochodem okazało się audi TT, nieco mniejsze, niżbym chciał, ale mówi się trudno.

Odsunąłem fotel pasażera tak daleko, jak się dało, a potem usiadłem obok Cynthii, która oświadczyła, że kazała podrasować wóz. Sprawdziłem, czy pistolet Cabota jest na miejscu.

– Dokąd? – spytała.

– Do domu burmistrza. Wiesz, gdzie mieszka, prawda?

Wrzuciła bieg i ruszyła do miasta.

– Mogę zadać głupie pytanie? – spytała na pierwszych światłach.

– Jasne. Na pewno znajdę na nie jakąś głupią odpowiedź.

– Czy gwardia Wilsona nie powinna zaopatrzyć się w srebrne naboje?

– Chryste, mam nadzieję, że zwykle wystarczą.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz na pewno? A co, jeśli okaże się, że zwykle naboje nie robią mu krzywdy? Czy ich przypadkiem nie pozabija?

– Mam nadzieję, że Emmett nie przemieni się na widoku, ale z drugiej strony ludzie zapędzeni w kozi róg dokonują niespodziewanych wyborów.

– A srebro? Czy powinniśmy jakieś skombinować?

– Nie wiem. I głowę daję, że Emmett też nie wie.

Zapaliło się zielone światło i Cynthia wjechała na skrzyżowanie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Prawdopodobnie nigdy nie postrzelono go nawet zwykłą kulą. Na pewno wie o srebrnych pociskach, pełniach Księżyca i takich tam, ale z filmów. Nie wydaje mi się, żeby uważał tę wiedzę za sprawdzoną. Założę się, że jeśli jest kuloodporny, to nie ma o tym zielonego pojęcia.

– Nie ma pojęcia? Jak może nie mieć pojęcia?

– Całe życie miałaś tatuaż na plecach. Ile możesz mi o nim powiedzieć?

– Hm, że jest magiczny?

– A jak się nazywa to zaklęcie? Co dokładnie robi? Skąd się wzięło?

– No dobra. Nie wiem o nim nic, nie licząc tego, że boli, kiedy Charles dostaje ataku. Myślisz, że poziom wiedzy Emmetta o jego zdolnościach jest zbliżony? Że posługuje się nimi intuicyjnie?

– Przekonamy się.

Cynthia skręciła ostro i wdepnęła hamulec. Zatrzymaliśmy się przy krawężniku, w długim wężyku pojazdów.

– Dom Franka i Miriam znajduje się parę metrów stąd.

Wyszliśmy z auta i skierowaliśmy się do skromnego dwupiętrowego domu jednorodzinnego z zadbanym ogródkiem frontowym. Wykuszowe okna zaciągnięto kremowymi zasłonami, po których można by wnioskować, że średnia wieku mieszkańców przekracza siedemdziesiątkę. Na podjeździe stał potężny yukon polakierowany na mandarynkowo.

Wcisnąłem dzwonek u drzwi. Usłyszałem westchnienie, które za moimi plecami wydała z siebie Cynthia.

– Wolałabym chyba pukać do drzwi Emmetta Dubois.

Drzwi uchyliły się i ukazała się w nich niewielka kobieta o stalowosiwych włosach i w tanich plastikowych goglach ochronnych nałożonych na okulary. Starowinka stanęła w drzwiach całą swoją mikrą posturą, tarasując mi drogę do środka.

Cynthia nachyliła się nad nią.

– Musimy jak najszybciej porozmawiać z Miriam.

– Kto to, Cassie? – dał się słyszeć głos z wewnątrz. Cassie spojrzała na mnie raz i natychmiast zaczęła zamykać drzwi.

Przyłożyłem w nie pięścią, otwierając na oścież, i przeszedłem do salonu, gdzie siedziała na niewielkim fotelu pani domu, Miriam Farleton, otoczona wianuszkiem starszych kobiet odzianych w niedzielne ubrania. Razem z Cassie, wciąż przy drzwiach, było ich osiem. Oczy Miriam zaczerwieniły się od płaczu. Zgadywałem, że zebrane gremium tworzyły przyjaciółki, które pocieszały ją w trudnych chwilach. Wszystkie były od niej starsze o co najmniej trzydzieści lat.

Gdy wparowałem do stojnego w koronki, zastawionego delikatnymi mebelkami i porcelanowymi bibelocikami pomieszczenia, starsze panie „ochnęły” unisono. Bałem się dotknąć czegokolwiek, wolałem nie zostawiać tu odcisków palców.

– Panie wybaczą to najście – odezwałem się – ale czas nas goni.

Odpowiedziało mi milczenie. Kobieta zajmująca miejsce najbliżej Miriam dźwignęła się na pokryte żylakami nogi. Była kręłą kobietą o grubych i muskularnych rękach. Weszła między mnie a burmistrzową.

– Chyba nie otrzymali państwo zaproszenia na dzisiejsze spotkanie – rzekła, wwiercając się wzrokiem w Cynthię. – Ani pan, ani już na pewno pani.

Postanowiłem spróbować ją przegadać, świadom tego, że dziura po kuli w mojej koszuli może posłużyć za ważki argument.

– Czy ktoś widział dzisiejszą gazetę? Burmistrz jest w wielkim niebezpieczeństwie.

– Pan ośmiela się grozić? – wycedziła przysadzista matrona. – Jeśli natychmiast nie opuścicie państwo tego domu, dzwonię po...

– Po kogo? – spytała Cynthia. – Po Emmetta Dubois? To właśnie Emmett zabije Franka, jeśli mu nie pomożemy!

Tym razem po kolektywnym okrzyku zdumienia dało się słyszeć nerwowe szepty. Doskonale. Nim minie pora obiadowa, całe miasto będzie wiedzieć. Zwróciłem się ponownie do Miriam, pokazując jej gazetę.

– Czy możemy pomówić w cztery oczy?

– Tak – rzekła, wstając.

– Miriam – odezwała się matrona – nie powinnaś nigdzie iść z nim sama.

– Dołącz do nas, Arlene – odrzekła burmistrzowa. – W porządku?

Zgodziłem się. Arlene i Miriam przeszły z nami do pastelowobłękitnej kuchni z tapetą w kaczuszki.

Ciekaw byłem, czy jest w całym domu choć jeden kątek dla Franka.

Pokazałem Miriam i Arlene nagłówek na pierwszej stronie.

– To jest oficjalne wypowiedzenie wojny braciom Dubois i Henstrick – wyjaśniłem. – Przez Petera Lemly’ego życie twojego męża wisi na włosku. I twoje także.

Miriam wzięła gazetę, przejrzała artykuł.

– Och, Peter – rzekła głosem przepełnionym zmęczeniem.

– Co chcecie zrobić? – spytała Arlene. Wtem ją rozpoznałem. Tamtego poranka w lokalu Sary to ona podsunęła Billowi Terrilowi kartkę do podpisania. Jej wnuk był jednym z dzieci, które zakwalifikowały się do programu Cynthii. Urok małych miasteczek.

– Pastor Wilson obstawia właśnie pokój Franka wartownikami, ale to tylko rozwiązanie krótkoterminowe. Musimy wywieźć go z miasta i ukryć gdzieś, gdzie go nie znajdą. I musimy zrobić to w sekrecie.

Obejrzałem się na drzwi. Miriam i Arlene podążyły za moim wzrokiem i w mig pojęły, o co mi chodzi. Matrona dotknęła dłoni Miriam i poszła do wyjścia.

– Uciszę te nasze plotkary i zaraz wracam.

Gdy zniknęła za węglem, Miriam spojrzała mi w oczy i zapytała:

– Dlaczego nie zwrócimy się o pomoc do policji stanowej? Albo FBI?

Zadzwoń po gliny, pomyślałem. Było to dla mnie coś nienaturalnego.

– Zwrócimy się – zapewniłem ją. – Ale to jest działanie długoterminowe. Stanówka i FBI to biurokraci i działają o wiele za wolno. Najpierw zadbajmy o bezpieczeństwo pani męża, potem zastanowimy się, po kogo dzwonić.

– Wiesz, on trafi do więzienia – powiedziała Miriam. Usłyszałem przebijający się przez ścianę głosów donośny alt Arlene, ale nie mogłem zrozumieć ani słowa. – Emmett otworzył w Oregonie konto bankowe na Franka. Robi na nie przelew raz w miesiącu, jakby regularnie mu za coś płacił. Nie wiedzieliśmy o tym z Frankiem, dopóki Emmett nie przyszedł do nas z wyciągiem z konta. Wykombinował to tak, że Frank zdaje się brać czynny udział w całym procederze. FBI zacznie ścigać mojego męża na równi z Emmettem.

Raptem coś wybuchło w salonie, trzasnęło tłuczone szkło. Popędziłem tam natychmiast.

Wychodzące na ogród wykuszowe okno było w kawałkach, karnisz leżał na dywanie, wśród porwanych zasłon. Jedna z kobiet na kanapie trzymała się za ramię, a przez jej palce ciekła krew. Kolejna przykładła ręce do potylicy. Zorientowałem się, że wokół mnie rozbrzmiewają krzyki, a jeden z nich brzmi do złudzenia jak pisk opon.

Cynthia podbiegła do okna. Odciągnąłem ją natychmiast.

Arlene oglądała ranę na głowie koleżanki, a ja podszedłem do tej krwawiącej z rany na ramieniu.

– Wyłizesz się – orzekła spokojnie Arlene, jakby widziała o wiele gorsze obrażenia. – Ale i tak lepiej jedźmy na pogotowie.

– Z tą panią również – dorzuciłem. Kobieta, którą się zajmowałem, gapiła się na dziurę w mojej koszuli i prześwitujące przez nią dziary. – Czy ktoś jeszcze jest ranny?

Nikt nie odpowiedział. Usłyszałem, że otwierają się drzwi wejściowe. Dwie, trzy kobiety, łącznie z Miriam, wyszły do ogródka.

– Nie! – krzyknąłem za nimi. – Nie wychodźcie na zewnątrz!

Nie słuchały mnie. To tyle, jeśli chodzi o moją charyzmę przywódcy.

– Skońj im transport na pogotowie – poleciłem Cynthii. – My musimy pojechać najpierw gdzie indziej.

Wybiegłem na zewnątrz. Miriam z przyjaciółkami rozglądały się za strzelcem. Kiedy do nich dołączyłem, zobaczyłem, jak z przeciwnej strony

ulicy nadjeżdża duży biały van. Z tylnego okna wysunęła się lufa strzelby. I skierowała na Miriam.

Wrzasnąłem: „Padnij!”, ale kobiety tylko patrzyły na samochód niczym zahipnotyzowane. Jak nieruchome papierowe cele na strzelnicy.

Byłem za daleko od pojazdu, by skorzystać z Ostrza Dusz, ale w kieszeni wciąż ciążył mi pistolet Cabota. Sięgnąłem po niego, złapałem. Spust zaplątał się w zamek błyskawiczny, uniemożliwiając mi wyciągnięcie broni.

Szansa przeminęła. Ktokolwiek trzymał strzelbę, nie mógł już spuścić. Miriam była trupem.

Ale ku mojemu zdziwieniu broń nie wypaliła. Van minął nas i pojechał dalej ulicą.

Stałem skołowany. Czy to ostrzeżenie? Czy może komuś zabrakło zimnej krwi? Miałem nadzieję, że to drugie. Świadomość, że istnieli na świecie ludzie, którzy nie potrafili ot tak strzelić do grupki kobiet, z pewnością pomogłaby mi odbudować moją wiarę w ludzkość.

Schowałem giwerę z powrotem do kieszeni i podbiegłem do Miriam. Na jej twarzy malował się szok.

– Nie strzelił – wymamrotała oszołomiona. – Spojrzałam wprost do lufy, już modliłam się, żeby tylko nie bolało, ale...

– Wejdziecie w końcu do środka? Proszę? – powiedziałem, nie mogąc dłużej tłumić irytacji w głosie.

Miriam oprzytomniała. Odwróciła się i pognała z resztą kobiet z powrotem do budynku. Ja zostałem, wyglądając powrotu vana, ale nagle moją uwagę przykuł jakiś niewielki obiekt na ulicy. Podbiegłem w jego stronę, uważając na jadące ulicą pojazdy.

Był to żółty kask ochronny z napisanym wewnątrz małymi literami imieniem „benny”. Pobiegłem z powrotem do domu, gdzie Arlene ustalała, kto powinien jechać do szpitala. Cechowała ją energiczna szczerość, którą lubiłem w ludziach.

– Tym dwóm nic nie będzie – poinformowała mnie, gdy wszedłem. – Vera zawiezie je do szpitala na kontrolę, ale myślę, że po prostu najadły się strachu.

– Co to jest? – spytała Cynthia.

– Znalazłem na ulicy. Musiał wypaść z vana.

Mała kobieta, z którą jeszcze nie rozmawiałem, złapała mnie za nadgarstek i odczytała imię.

– To należy do mojego młodszego brata Benjamina.

Po twarzach zebranych przemknął wyraz skrajnego zdumienia. Podeszła do nas Arlene.

– Myślisz, Vero, że mógł do nas strzelać?

Vera ściągnęła brwi, nie spuszczając wzroku z kasku.

– On wiecznie wszystko gubi. Wiem, że miał długi w tym cholernym kasynie, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że posunie się tak daleko albo że Phyllis każe mu...

– Nie wiemy, kto strzelał – powiedziałem. – Więc nie rozpowiadajcie plotek. A teraz jedziemy. Vera, zabierasz ranne do szpitala, tak? Cynthia i ja dojedziemy tam zaraz z panią Farleton. Musimy gdzieś wcześniej zawinąć.

– Jadę z wami – powiedziała Arlene z upartym wyrazem twarzy.

– Nie ma miejsca – odparłem.

– W moim samochodzie zmieści się czwórka – powiedziała Cynthia.

– Wiem.

– Jadę z wami – rzuciła Arlene.

– Bez niej nie jadę – oświadczyła Miriam.

Wyrzuciłem ręce w powietrze. Solidarność jajników, nie ma przebaczenia.

Gdy wyjąłem pistolet z kieszeni, jedna z kobiet prawie dostała zawału. Nie mogłem nie wywrócić oczami. Grupka ruszyła wraz z Verą do jej kombi i zdołała jakoś zapakować się do środka. Kiedy pojazd ruszył, stanął mi przed oczami obraz Luke'a Dubois zakradającego się do domu Miriam tylnymi drzwiami, kiedy mnie nie ma, i kończącego to, czego nie dokończył strzelec w białym vanie. Pobiegłem z powrotem do domu, nieco szybciej, niż zamierzałem, i znalazłem kobiety czekające na mnie w salonie.

Stanąłem przed Miriam, absorbując całą jej uwagę.

– Twój mąż robi wrażenie porządnego człowieka. Kochasz go?

– Tak.

– A to? – spytałem, pokazując dom, meble, wszystko. – To też? Bo musisz dokonać wyboru.

– Nie rozumiem.

– Musicie uciekać z mężem z miasta, a nie zdołacie zabrać wszystkiego ze sobą. Dzieł sztuki, bibelotów, mebli, różnych rzeczy.

– To nieistotne – powiedziała. – Rzut oka w lufę strzelby pomaga oddzielić rzeczy ważne od mniej ważnych.

– Zabierz wszystkie papiery związane z finansami – poleciłem. – Wyciągi z kont, dokumenty dotyczące kart kredytowych, hipotek, papiery z ubezpieczalni, wszystko. Weź też albumy ze zdjęciami i listy miłosne. Wszystko inne zostaw. Przygotuj się na to, że cały dom spłonie do gołej ziemi, zanim tu wrócisz.

Skinęła głową i pobiegła na piętro. Arlene już miała ruszyć za nią, gdy złapałem ją za ramię.

– Mam do ciebie dwa pytania: czy masz jakiś godny zaufania środek transportu? A jeśli tak, to czy Miriam może z niego skorzystać? Nie wyjedzie z miasta mandarynkowym yukonem.

– Jasne – powiedziała Arlene. – Oczywiście, że tak.

Pobiegła pomóc Miriam, zostawiając mnie w salonie sam na sam z Cynthią, która uśmiechnęła się i ścisnęła moją rękę. Wziąłem głęboki wdech i wyluzowałem. Byłem wdzięczny, że mi pomaga. Żywiłem nadzieję, że nie będę musiał rozpruć jej Wrót. Albo gorzej.

W ciągu pięciu minut Miriam zeszła na dół z dużym pudłem na dokumenty. Leżała na nim oprawna w skórę Biblia.

– Jestem gotowa.

– Włożymy rzeczy do bagażnika samochodu Arlene. Arlene, widzimy się w szpitalu. Gotowa?

Wyszliśmy z domu i zapakowaliśmy rzeczy do forestera Arlene. Kobieta wzięła mnie na stronę.

– Kim ty jesteś?

– Raymond Lilly.

– Niewiele mi to mówi.

– Mam tego świadomość.

– Pospieszmy się – rzuciła Miriam, zatrzasnąwszy bagażnik.

Arlene siadła za kierownicą, odpaliła silnik i auto ruszyło. Powiedziałem Miriam, by schowała się na tylnym siedzeniu audi. Bawiła mnie trochę ta krzątanina i motywy rodem z filmu szpiegowskiego, ale lepsze to, niż dać się zastrzelić.

– Dokąd jedziemy? – spytała Cynthia.

– Po Annalise.

– Czyli do motelu.

Uruchomiła samochód, włączyła się do ruchu i przejechaliśmy kilka przecznic w ciszy, którą przerwała dopiero Miriam:

– Myślicie, że to Phyllis kazała mnie zabić?

– Nie wydaje mi się. Grubymi nićmi szyta była ta sprawa z kaskiem. Poza tym jak dotąd wszyscy ludzie Henstrick mieli przy sobie oberżnięte trzydziestkiósemki.

– Słyszałam, że utargowała bardzo dobrą cenę, bo kupiła je hurtem – powiedziała Cynthia. – Straszny z niej dusigrosz.

– Ten biały van bardzo przypominał jeden z jej samochodów – zauważyła Miriam. – W dodatku jestem pewna, że przynajmniej część jej „chłopaków” ma w domu własną broń.

Tylko że samochód mógł jej ktoś zajmować. Sam wiedziałem, jakie to łatwe.

– Na razie nie ma co gdybać. Najważniejsze to zapewnić wam bezpieczeństwo.

Po niespełna pięciu minutach zaparkowaliśmy pod motelem. Mój pokój wywrócono na drugą stronę, wszystkie ubrania podarto na strzępy. Wygląda na to, że będę musiał ograniczyć się do dziurawej koszuli, którą miałem na grzbiecie. Mój kryminał również zniszczono. Dranie. Teraz nie dowiem się, kto zabił.

Pokój Annalise był pusty. Tutaj także ktoś czegoś szukał, niszcząc przy okazji, co się dało. Miriam zajrzała mi przez ramię do pomieszczenia.

– Rany boskie – skomentowała. – Myślisz, że nic jej nie jest?

– O nią się nie martwię – odparłem. – Martwię się o nas.

Nasz van także zniknął. Annalise była mi potrzebna, a nie wiedziałem, gdzie jest ani gdzie jej szukać. Dlaczego nie dała mi tego cholernego numeru telefonu?

Poczułem, że Cynthia ciągnie mnie za rękaw.

– Jedziemy?

Mógłbym wypytać kierownika o Annalise, ale nie miałem pewności, że nie będzie próbował wywieść mnie w pole.

Musiałem radzić sobie sam.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tutaj – powiedziałem, a Cynthia zatrzymała auto na parkingu. – Nie gaś silnika. Zaraz wracam.

– Jaki masz plan? – dociekała Miriam.

– Jak zrobi się gorąco, bierzcie nogi za pas, zrozumiano?

Cynthia pokiwała głową. Wraz z Miriam obserwowały ulicę. Pobiegłem w stronę budynków, w których znajdowała się redakcja „The Mallet”, a w niej, przy dobrych wiatrach, Peter Lemly.

Wszedłem do recepcji, znalazłem na ścianie rozkład pomieszczeń. Na drugim piętrze znajdowała się ubezpieczalnia, a na trzecim poradnia małżeńska. Redakcja mieściła się na czwartym.

Winda sprawiała wrażenie przestarzałej i powolnej, pobiegłem więc schodami, skacząc po dwa, trzy naraz. Na wysokości trzeciego piętra prawie wpadłem na schodzącą parę w średnim wieku. Wybąkałem przeprosiny i przepchnąłem się dalej.

Na szczycie schodów zobaczyłem drzwi z napisem „The Mallet” i dowiedziałem się, że dziennik założono w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku. Nie było zamknięte, więc pozwoliłem sobie wejść. Trafiłem na krótki korytarz z trojgiem drzwi. Na najdalszych widniało: REDAKTOR NACZELNY. Dotknąłem klamki i zawahałem się. Panowała całkowita cisza. Petera tu nie było, a ja nagle poczułem palącą potrzebę zbiegnięcia z powrotem na dół, do audi. Mimo to otworzyłem drzwi.

W moje nozdrza uderzył swąd krwi. Podeszedłem do biurka przy oknie na końcu pokoju. Podłogę znaczyły świeże czerwone plamy, biurko było poobijane.

Za nim znalazłem Petera, a przynajmniej to, co z niego zostało. Jedną jego rękę leżała w kącie, wciąż dusząc w dłoni pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Głowę znalazłem kilka stóp dalej, obok pustego magazynka. Ciekawe, pomyślałem, czy trafił tam, gdzie celował.

Wycofałem się z pokoju, owinąłem dłoń zwisającym luźno kawałkiem materiału koszuli i zamknąłem drzwi, po czym starłem z klamki odciski palców. Zrobiłem to samo z klamką w drzwiach na klatkę schodową.

Zbiegłem na parter i wskoczyłem do samochodu Cynthii.

– Jakies kłopoty? – zapytałem.

– Nie. A u ciebie?

– Jak cholera. Peter Lemly nie żyje.

– Kurwa – zaklęła Cynthia.

– Dzwonimy po kogoś? – podsunęła Miriam.

– Po kogo niby? To pewnie gliny go zabiły.

– Po karetkę. Może jest tylko ranny?

Odwrociłem się i spojrzałem jej w oczy.

– Miriam – powiedziałem tak spokojnie, jak potrafiłem – Peter jest tak martwy, że bardziej się nie da.

Zamknęła usta i utkwiała wzrok w oknie. Cynthia przejechała przez miasto, niemal dociskając gaz do dechy, i zatrzymała się przy szpitalu. Zlokalizowała auto Arlene i zatrzymała się obok.

Za parę minut szliśmy już korytarzem do pokoju Franka.

Przed samymi drzwiami do jego sali zobaczyłem drobnego i łysawego czarnoskórego mężczyznę w wieku około siedemdziesięciu lat. Czubkiem głowy sięgał mi do dziury w koszuli. Nosił duże prostokątne okulary w czarnej oprawie, w których jego oczy wyglądały jak morele. W rękach dzierżył długi czarny karabin.

Po drugiej stronie holu, na tej samej kanapie, na której wczoraj siedziałem z Cynthią, przycupnęła chuda jak szczapa sześćdziesięcioletnia kobieta. Na jej kolanach spoczywała strzelba, która pamiętała chyba czasy wojny secesyjnej.

Mały mężczyzna wystawił wyzywająco zuchwę i przejechał palcem po spuście.

– Ani kroku dalej, synu – pisnął wysokim, nosowym głosem. – Przejścia nie ma.

– Jezusie Nazareński, Roger – odezwała się chuda kobieta. – Nie widzisz, że jest z nimi Miriam?

Mężczyzna zmrużył oczy za swoimi gigantycznymi okularami, po czym skrzywił się. Przepuszczenie kogoś do pokoju musiało zranić jego miłość własną.

Rzuciłem okiem na przeciwległy kraniec holu, gdzie opierali się o drzwi dwaj ochroniarze szpitalni. Nie spuszczała nas i Rogera z oczu, ale najwyraźniej nie mieli ochoty się mieszać.

W tym momencie przecisnęła się pomiędzy nimi Arlene z pastorem Wilsonem i jakimś lekarzem. Miriam, Arlene i lekarz nachylili się do siebie i naradzali chwilę szeptem. Doktor mówił cicho, ale z widoczną emfazą. Był z jakiegoś powodu niezadowolony i niech mnie diabli, jeśli nie wiem, co to za powód.

Wielebny odwrócił się do mnie, ale patrzył gdzieś w przestrzeń po mojej prawej.

– Emmett był tutaj parę minut temu, ale już poszedł.

– Nie chciał oddać broni – dodał Roger. – Ani poddać się przeszukaniu.

– I dziwnie pachniał – uzupełniła chuda kobieta.

No chyba, pomyślałem. Skoro nie miał czasu, by zmyć z siebie krew Lemly'ego.

– A jego bracia?

– Nie pojawili się – wyjaśnił Wilson.

Przypomniał mi się opróżniony magazynek przy zwłokach dziennikarza. Podszedłem do doktora, który akurat bardzo gorliwie się z czymś nie zgadzał.

– Hej, doktorze – przerwałem wywód. – Czy jakiś policjant pojawił się dzisiaj na oddziale ratunkowym?

– Ale ja jestem kardiologiem.

– Niech mnie pan nie wkurza, bardzo proszę. Jeśli którykolwiek pojawiłby się na oddziale, słyszałby o tym cały szpital, prawda?

Doktor widocznie chciał wrócić do sprzeczki z Miriam, ale ta skupiała uwagę na mnie.

– Prawda – westchnął z rezygnacją. – I nie, nie pojawił się.

Miałem nadzieję, że Peter po prostu spuszczał.

– Dzięki. A teraz niech pan nam skombinuje jakiś wózek, dobra? Zabieramy stąd burmistrza.

Doktor zamrugał oczami, próbując wyrazić bezmiar swojego oburzenia kąśliwą ripostą, kiedy nagle zza moich pleców rozległ się warkot.

Odwrociłem się. Przy drzwiach, którymi właśnie weszliśmy, stał Luke Dubois. A obok niego wilk.

Cholera. Znowu byłem za wolny. Gdybym nie zmitrężył cennego czasu w biurze Lemly'ego, zdążylibyśmy wywieźć stąd Farletonów.

– Niech nikt nie rusza się z miejsca – powiedział Luke, bardzo z siebie zadowolony.

Wilki, które widziałem w mieście, miały sierść rudawą i szarawą. Ten przy Luke'u był czarny jak smoła. I wielki. Przypomniała mi się ciemna grzywa Wileya i zrozumiałem, że to on.

– Nie zawracamy już sobie głowy tajemnicami, co, Luke? – spytałem. – Co za ironia losu: zabić Wilmę, żeby nie wyszło na jaw to, co właśnie wszystkim zdradziłeś.

Luke'a oszołomiły moje słowa, ale nie załamał się ani nie rozpłakał. Szkoda.

– Ja nie... nigdy bym... Nie mamy się o co bać – wydukał, zmieniając temat na dogodniejszy. – Przez cały ten czas myśleliśmy, że mamy, ale okazało się, że wcale nie. I wcale nie zdradzam naszego sekretu. A przynajmniej nie dziś.

Niedobrze. Zanosilo się na krwawą łaźnię.

– Roger – wycedziłem – zastrzel tego pieprzonego kundla.

Karabin wystrzelił, nim przebrzmiało ostatnie słowo. W wyłożonym kafelkami holu zabrzmiał głośno jak salwa z armaty. Wzdrygnąłem się wbrew sobie.

Roger nieźle sobie radził z bronią palną – we łbie wilka ziała wielka krwawa wyrwa. Która za chwilę zasklepiła się na moich oczach.

– Widzisz? – powiedział Luke. – Baliśmy się cały czas, a tu okazuje się, że nie ma o co.

Cholera. A więc Peter nie spudłował. Wiedzieli już, że nie możemy ich zranić konwencjonalną bronią.

Usłyszałem za sobą wrzaski. Wielki rudy wilk obalił na podłogę jednego z ochroniarzy i wyrwał mu właśnie ramię ze stawu. Szarawy zatopił już

kły w gardle tego drugiego, który bronił się beznadziejnie w kałuży bryzgającej na posadzkę posoki.

– Do sali! – wrzasnąłem.

Cynthia wdarła się do pokoju pierwsza; usłyszałem, jak krzyczy do kogoś wewnątrz, by nie strzelał. Roger gmerał przy przekładni karabinu z malującym się na twarzy skupieniem, jakby próbował rozwikłać jakąś zagmatwaną zagadkę.

Szary wilk puścił się pędem w naszą stronę. Chuda kobieta zrobiła krok do przodu i podniosła karabin do ramienia. Padł kolejny strzał, ale wilk uskoczył, a potem rzucił się na nią, przewracając i zatapiając kły w szyi starowinki cal poniżej ucha. Nie zdążyła nawet wrzasnąć.

Roger warknął coś, kiedy nagle runął na niego czarny basior. Wymierzyłem mu kopniaka w żebra, w momencie gdy próbował zakleszczyć gardło Rogera w potężnych szczękach. Broń męczyzny wystrzeliła, a po drugiej stronie holu Luke zatoczył się i zwałił na posadzkę. Wilk zmienił krtań Rogera w krwawy strzęp.

Puściłem się pędem w stronę Miriam. Rudy wilk ją pierwszą obrał na cel. Arlene i wielebny Wilson rzucili się na potwora jednocześnie. Wilson i wilk uderzyli o podłogę. Pastor nie miał najmniejszych szans.

Arlene ucapiła Miriam za rękę i wepchnęła przez drzwi do pokoju Franka, wpadając po drodze na mnie. Nie utorowałem sobie drogi do Wilsona, zamiast tego pozwoliłem się wepchnąć do pomieszczenia. Dziękowałem losowi za to, że mnie, w odróżnieniu od wielebnego, ochroniarzy, Rogera i starszej pani, nadarzyła się możliwość ucieczki.

Zatrzasnąłem drzwi i napałem na nie ramieniem. Nie miały zamontowanego zamka. Ktoś wsunął krzesło pod klamkę. Gdy podniosłem wzrok, okazało się, że to kardiolog. Nie widziałem nawet, żeby wchodził do pokoju.

– Co tu się dzieje? – wydyszał. – Co tamten policjant chce zrobić z tymi psami?

– Pozabijać nas, jak sądzę.

Omiotłem wzrokiem salę. Frank wciąż leżał na łóżku z rurkami w nosie. Nad nim górował otyły mężczyzna w średnim wieku, z chudymi jak grabie rękami oraz tęgi staruszek z przechodzącymi w bokobrody wąsami. Obydwaj mieli w rękach identyczne staroświeckie karabiny amerykańskich

marines, wzór z czasów drugiej wojny światowej. Obok nich stała Cynthia i krzątała się wokół Arlene i Miriam. Ich wzrok utkwiony był we mnie.

– Czy ktoś został ranny?

– Arlene – powiedziała Miriam. – Użarł ją do kości.

– Ma pan pacjentkę, doktorze.

Cynthia wzięła z kąta pokoju gumowy stoper i wkopała go pod zamknięte drzwi, które do sali zaczęła wlewać się krew.

– Widziałam, co się stało, kiedy tamten stary postrzelił wilka – odezwała się Cynthia. – Nie odniósł żadnych ran.

– Wiem.

– Potrzebujemy jakiejś broni ze srebra, tak? Srebrnych kul albo czegoś w tym stylu?

– Nie wiem. Kazałem uciekać właśnie po to, żebyśmy nie wdali się w walkę z tymi stworami. Nie wiem na pewno, czy srebro na nie podziała.

– Co tam się w ogóle wydarzyło? – spytał wąsacz takim głosem, jakby był o włos od upuszczenia broni na ziemię i rzucenia się do ucieczki. Ten w średnim wieku wydawał się jeszcze bardziej przerażony. – Gdzie Roger i Binky?

– Nie żyją obydwój – warknęła Arlene. – Tak jak wielebny Wilson.

– Jak to? – powiedział Wąsacz. – Jak...?

Wszyscy zaczęli mówić naraz, sala wypełniła się panicznym jazgotem.

Poczułem, że ktoś szarpie za klamkę i napiera na drzwi. Ktoś silny. Naparłem ze swojej strony. Słyszałem jakieś głosy na korytarzu, ale przez gwar w pokoju nie byłem w stanie wyłuskać z nich sensu.

– Hej! – krzyknąłem do zgromadzonych. – Cicho tam!

Jak grochem o ścianę. Wszyscy domagali się wyjaśnień, Frank zrobił się błądy, Miriam próbowała go uspokoić.

– Zamknąć się! – wrzasnąłem, ale mój głos tonął w histerycznej kakofonii.

Przebiło się przez nią dopiero dobiegające zza drzwi wycie wilka. Potem zawył kolejny. I jeszcze jeden. Raptem w pokoju zaległa głucha cisza.

– No dobra – dał się słyszeć głos Luke’a Dubois. Nie brzmiał wcale jak głos kogoś, kogo dopiero co postrzelono. Właściwie Luke zdawał się czymś uradowany. – Może przystąpimy do pertraktacji?

– Dlaczego nie – odparłem. – Pozwól wszystkim zdrowym i całym opuścić szpital, a ja nie zrobię ci z dupy jesieni średniowiecza.

– Takiś hardy? – zarechotał. – Nie byłeś taki odważny, zmykając do sali. Właściwie to wyglądałeś, jakbyś miał pełne gacie.

– Nie wiesz, kim jestem.

– I w dupie to mam. A już zwłaszcza teraz.

– To dlatego, że twój iloraz inteligencji nie przekracza numeru buta. – Wyrwałem z kieszeni Ostrze Dusz i rzuciłem nim przez drzwi. Zostawiło po sobie wąziutką szczelinę i przeszło bez przeszkód na drugą stronę. Luke jęknął. Coś metalowego upadło na kafelki. Sięgnąłem po zakłęcie myślą, a ono wróciło do mnie, zostawiając po sobie bliźniaczą szczelinę w drzwiach.

– Co... – pisnął Luke głosem przestraszonego dziecka. – Co to było?

Wiedziałem, że Ostrze zrobiło, co do niego należało. Teraz Dubois nie będzie już taki pewny siebie.

– To był przedsmak. Drobne zakłęcie, które bez problemu radzi sobie z takimi burakami jak ty. Gdzie podpatrzyłeś ten trik ze zmianą kształtu, co? Założę się, że u kogoś z Hammerów. Założę się, że pierwszy Cabot pokazał ją twojemu dziadkowi, potem odziedziczył ją twój ojciec, a potem ty. Nie mylę się? Czy nigdy się nie zastanawiałeś, gdzie się tego nauczył?

– Jest bogaty – rzucił Luke, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Zlituj się. Zacerpnął magii z tego samego źródła co ja. Uściślając, z tej samej książki. Ale rodzinę Dubois nauczył tylko tego jednego triku, zgadza się? Dał wam tylko jedno zasrane zakłęcie. A wy nie wiedzieliście nawet, czy chroni was od ran, czy nie. Przynajmniej dopóki Peter Lemly nie wpackował w któregoś z was całego magazynku.

Paplałem jak najęty, próbując go zagadać. Nie wiedziałem dokładnie po co, ale lepszy pomysł nie przyszedł mi do głowy.

– No i? Co cię to w ogóle obchodzi?

Cynthia zbliżyła się do mnie z czymś w ręku.

– To wszystko, co znalazłam – szepnęła. Na jej dłoni leżał zwinięty drobny srebrny łańcuszek. Wzięłem go od niej, modląc się, by okazał się przydatny.

– Kurde, Luke – powiedziałem. – Od lat błędzisz z braciszkami po omacku w zupełnej ciemności. A teraz, kiedy już zaczynacie jarzyć, co tak naprawdę posiadacie, rujnujecie wszystko, zabijając Karoly’ego, potem Lemly’ego, a teraz próbując dorwać burmistrza. Ściągnęliście na siebie za dużo uwagi. – Zrobiłem pauzę. – Przybyliśmy tu, żeby odebrać wam magię.

– My tylko dbamy o swoje interesy – odpowiedział Dubois niemal ze skargą w głosie. – To nasze terytorium.

Kiedy Luke gadał, ja kiwnąłem ręką na dwóch mężczyzn z gwardii wielebnego. Podeszli niechętnie. Grabie chciał o coś spytać, ale podniosłem palec do ust i nakazałem im gestem docisnąć ze mną drzwi. Zrobili, jak kazałem, a ja tymczasem podbiegłem do okna. Czwarte piętro. Za wysoko, żeby skoczyć. Ale u dołu był gzyms. Wyciąłem nożem w oknie największą dziurę, jaką mogłem zatoczyć ramionami, po czym szeptem zwróciłem się do Cynthii i doktora:

– Przejdźcie gzymsem do sali obok.

Cynthia nie wahała się; przelazła przez dziurę, ostrożnie stawiając stopy na betonie. Gzyms miał najwyżej sześć cali szerokości, a pod spodem nie znajdowało się nic poza parkingiem, ale małymi kroczkami posuwała się dzielnie do przodu.

Doktor po chwili wahania poszedł w jej ślady. Frank był za słaby na zgrywanie alpinisty, a Miriam nie miała zamiaru go zostawiać. Arlene natomiast nie miała zamiaru zostawiać Miriam.

Wróciłem do drzwi i odepchnąłem mężczyzn.

– Idźcie – szepnąłem.

Luke powiedział już, co miał do powiedzenia. Przycisnąłem ręce do drzwi i przygotowałem się, zastanawiając, ile zdołam ugrać. Obejrzałem się przez ramię na spieszących do okna mężczyzn. Wąsacz spojrział na gzyms, potem na mnie. Wiedziałem, że nie zdobędzie się na ryzyko. Grabie odsunął go na bok.

– Masz do wyboru dwie opcje, Luke – krzyknąłem. – Możesz zostać w Hammer Bay, gdzie będą na was polować i prędzej czy później zastrzelą jak psy. Albo możesz stąd zwiewać. Na przykład do Rio. To chyba dobre miejsce, żeby przyczał się w nim morderca taki jak ty.

– Nie – powiedział Luke, jakby odważniej. Cholera. Zbyt szybko wracał do siebie po trafieniu Ostrzem Dusz. – Nie wydaje mi się. A poza tym byłem już w Rio.

Drzwi wybuchły mi w twarz, zasypując gradem drzazg i odprysków. Poczułem wściekły nacisk na tatuażach na moim brzuchu. Strzał.

Poleciałem do tyłu. Wokół mnie, jak w zwolnionym tempie, sypały się drobiny drewna. Czułem, jakbym nagle znalazł się w wodzie. Wiedziałem,

że zaraz padnie kolejny strzał, ale nie wiedzieć czemu na razie póki co było cicho.

Nagle huknęło. Uderzyłem o podłogę, przeturlałem się na bok. Gdzieś nade mną padł trzeci strzał. Czwarty. Wąsacz przypadł do ziemi, jego towarzysz wypadł przez okno jak wór ziemniaków i zniknął z pola widzenia. Miriam wrzeszczała, a Dubois dalej walił przez drzwi. Zrazu pomyślałem, że przeraziła ją śmierć tego, który wypadł, ale wtedy dostrzegłem dziurę po kuli nad prawym oknem burmistrza.

Arlene złapała Miriam i pociągnęła ją na podłogę. Wąsacz pełził w moją stronę z karabinem w garści.

Huk, huk, huk. Ostrzał ciągnął się w nieskończoność, choć wiedziałem, że magazynek nie pomieści więcej niż dziesięć, najwyżej dwanaście pocisków. Kiedy w końcu ustał, drzwi wyglądały jak ser szwajcarski. Usłyszałem, że Luke wyjmuje z broni magazynek, by zastąpić go nowym. Przeładował.

Spodziewałem się, że powie coś, zanim znowu strzeli, ale on wsunął broń w jedną z dziur w drzwiach i zaczął walić na oślep.

Lufa pistoletu znajdowała się kilka stóp nade mną. Ciąłem go nożem. Spust odpadł i zadzwonił o podłogę.

Luke wyjął broń, zaklął. Kopnął w drzwi i wybił w nich dziurę, w miejscu gdzie ślady po kulach były najgęstsze. Stopa utknęła mu w wyrwie.

Wąsacz przestrzelił mu kostkę. Luke ryknął, próbując ją wyciągnąć. Wąsacz i ja gapiliśmy się na zaleczającą się w oczach ranę.

– Jezu! – zaszlochał Wąsacz. – Co teraz?

Coś mi zaświtało.

– Dawaj.

Mężczyzna wręczył mi karabin, a ja wyjąłem łańcuszek z kieszeni, przeciąłem go na pół, a potem każdy fragment jeszcze raz na pół. Cholera, myślałem, w gruncie rzeczy dlaczego miałoby nie zadziałać?

Luke wyrwał uwięzioną stopę, a w jej miejsce pojawił się w dziurze wilczy pysk. Bestia obnażyła kły i warknęła na mnie, napierając na rozsypujące się drzwi i próbując wedrzeć się do pomieszczenia.

Wsunąłem kawałek łańcuszka w lufę karabinu, trzymając kolbę w dół, by nie wypadł.

Rozjuszony czarny wilk warczał i kłapał oślinioną paszczą, wsuwając się coraz głębiej. Wtłoczyłem mu lufę karabinu w samo gardło i odchyliłem kolbę ku górze, słysząc brzęk zsuwającego się do pyska łańcuszka.

Nagle wilk zaskamlał. Zastygł na ułamek sekundy, rozszerzając oczy, a potem zaczął się szarpać.

Zanim pomyślałem, co robię, Ostrze Dusz znalazło się w moich palcach. Ciąłem go z rozmachu przez gardło. Karabin wysunął się z paszczy, a ja poleciałem na plecy.

Bydlę próbowało skamleć i warczeć na przemian, ale w jego gardzieli tkwił solidny kawał przeciętej lufy i zabójcze dlań srebro. Wilk wił się i charczał, próbując je wypluć, ale metal uwiązł głęboko w jego ciele. Po chwili, cofnąwszy się w końcu z wyrwy w drzwiach na korytarz, zwałił się na posadzkę, targany konwulsjami.

– Patrz pan – wyrzekłem bezgłośnie. – Zadziało.

Spojrzałem na karabin. Lufa urżnięta była pod skosem w połowie długości. Ukłuło mnie poczucie winy, bo chyba zniszczyłem jakąś rodzinną pamiątkę.

Chciałem załadować drugi fragment łańcuszka, ale ręce za bardzo mi się trzęsły. Wąsacz sięgnął nad moim ramieniem i przytrzymał broń.

Rzucone przeze mnie „Dzięki” zagłuszyło wycie na holu. Luke wołał Wileya. W dziurze w drzwiach mignęło mi blade, galaretowate ciało. Wilej powrócił do ludzkiej postaci. Cholera, zupełnie jak na filmach.

Umieściłem łańcuszek w lufie.

– Przepraszam za karabin – powiedziałem.

– Daj spokój, synu – odparł Wąsacz. – Nie wpuść tu żadnego z tych sukinsynów i będziemy kwita.

– To dobry układ.

Przyciąłem lufę, formując z niej jaki taki grot. Nie była to może najostrzejsza włócznia na świecie, ale powinna wystarczyć, jeśli wyprowadzę pchnięcie z ciała.

Wąsacz gapił się na mnie, wodząc wzrokiem od karabinu do Ostrza Dusz i z powrotem.

– Co...?

– Pan lepiej nie pyta. Tajne przez poufne.

Natychmiast zamknął usta. Obejrzałem się na wciąż klęczące na podłodze Arlene i Miriam. Twarz tej pierwszej była tak blada, że prawie

biała, ale Miriam, która przez cały czas nie wypuściła z rąk dłoni męża, mierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem.

Pozostali bracia Dubois wciąż kotłowali się na korytarzu. Usłyszałem miękkie plaskanie; to Luke próbował ocucić brata.

– Chyba jednak masz się czego bać, co, popaprańcu?! – krzyknąłem. Wirowało mi w głowie, czułem się jak w transie. Dobrze było czuć w rękach ciężar broni, nawet jeśli tylko zaimprovizowanej.

Po drugiej stronie dziurawych drzwi przemknęło coś szarawego i kudłatego. Przykląkłem, pochyliłem się. Druga szansa na ukatrupienie Emmetta może się już nie powtórzyć.

Kawał drewna wystrzelił z drzwi i przez dziurę wślizgnęło się ramię Luke'a. Zanim zdążyłem zareagować, wyrwał mi obrzyna z rąk.

Szlag. Wstałem raptownie, wpadając na Wąsacza i jego masywny kałdun, a w następnej sekundzie kolejne deski rozprysły się na kawałki i do pokoju wdarł się rudo-czarny kształt. Skoczyłem naprzód, czując, jak drewniany odprysk rani mnie w małżowinę ucha. Wilk zachwiał się, przedzierając przez resztki wiszących na zawiasach drzwi. Dał mi sekundę, której potrzebowałem.

– Sugar! – wrzasnął ktoś z zewnątrz. – Nie!

Głos nie należał do Luke'a. To był Emmett.

Wylądowałem na grzbiecie potwora i zatopiłem Ostrze Dusz w miejscu, gdzie głowa łączyła się z karkiem.

Wilk drgnął, ale nie upadł, mimo że dźwigał na grzbiecie moje solidne dziewięćdziesiąt kilo. Złapałem nóż w zęby, a uwolnione w ten sposób ręce zacisnąłem na gardzieli bestii.

Basior próbował odwrócić się i mnie ugryźć, ale trzymałem uparcie. Chciał wycofać się na korytarz i wyzwolić z uścisku, ale nie pozwoliłem na to; szybkim ruchem wykopałem spod niego nogi i bestia w końcu gruchnęła o ziemię. Kosztowało mnie to wiele wysiłku, wiedziałem, że długo tak nie wytrzymam.

Zarzuciłem głową, wbijając trzymany w zębach nóż w wilczy grzbiet. Bestia opadła z siłą, ale tylko nieznacznie. Drapała pazurami o podłogę, szamotała się i gięła wściekle, próbując mnie zrzucić. Zaczęła wślizgiwać mi się z objęć.

– Boże! Rozcinają go żywcem! – zawołał Wąsacz, ale nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

Całą uwagę skupiłem na fakcie, że Ostrze Dusz nie działało jak powinno. Bracia Dubois byli niebywale odporni na moje zaklęcie. Miałem świadomość, że nie zdołam pozostać w tej pozycji zbyt długo; wilk w końcu wydostanie się spode mnie i wtedy już nie zdołam uniknąć jego kłów. Potrzebny był jakiś pomysł.

Jedyne, co mi przyszło na myśl, to otwarte okno. Doszedłem do wniosku, że upadek nie zabije Sugara, ale przynajmniej zwiększy odległość między nami. Może w czasie gdy wilk będzie szukał drogi z powrotem do szpitala, zdołam wyprowadzić Miriam, Arlene i Wąsacza w bezpieczniejsze miejsce.

Sęk w tym, że nie miałem jak tego zrobić, nie wypuszczając wcześniej potwora z uścisku.

Nagle coś poczułem. Jakby niespodziewany przepływ mocy, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz zwędziłem Annalise zaklęcie Żelaznych Wrót parę miesięcy temu. Poczułem to pod swoją klatką piersiową, na wilczym grzbiecie. Pochyliłem się i chlasnąłem to miejsce nożem.

Z punktu pod sierścią strzelił czarny dym i iskry. Wilk zawył, temperatura wzrosła i poparzyło mi ramię i kark. Próbowałem się utrzymać, ale ból był zbyt duży. Odepchnąłem wilka od siebie i zachwiałem się do tyłu. Bestia rozmyśla się w bezkształtną masę, jakby części jej ciała prześwitywały i znikały za zasłoną mgły. Jakbym patrzył na dwie nakładające się na siebie wersje tego samego bytu. Wilczy kształt rozmywał się, zastępowany przez kontur człowieka.

Łapy przeformowały się w ręce. Sierść ustąpiła miejsca skórze. Pysk zmienił się w twarz Sugara. Magia wciąż wylewała się z niego szarymi iskrami i kłębami czarnego dymu.

Skoczyłem w jego stronę, złapałem za rękę i pociągnąłem do okna. Arlene i Miriam musiały podkurczyć nogi, żebyśmy ich nie stratowali. Sugar spróbował mnie odepchnąć, ale miał z tym nieliczne trudności.

Dowlokłem go do okna i wypchnąłem.

Spadając, wciąż się przemieniał. Nie wydał z siebie ani dźwięku.

Obok mnie pojawił się Wąsacz. Wyjrzał przez okno.

– Świeć Panie nad jego duszą – mruknął nabożnie.

Odstąpiłem od okna, nie chcąc ani patrzeć na martwego Sugara, ani się za niego modlić. Aż taką dobrą duszą nie byłem.

– Sugar! – wrzasnął Emmett. – Sugar!

– Czeka na dole – syknąłem szyderczo. – Na parkingu.

Do moich uszu dobiegł cichnący odgłos kroków. Pobiegli po niego. Dzięki Bogu.

– Udało się nam – powiedziałem.

– Tobie się udało, synu. – Wąsacz klepnął mnie w ramię. – Dobra robota.

Przeniosłem wzrok na Franka. Leżał rozciągnięty na łóżku, z pojedynczym śladem po kuli w głowie. Nie wyglądało mi to na dobrą robotę. Czułem, że jeszcze nigdy w życiu tak nie dałem ciała. Gdybym darował sobie wizytę u Lemly’ego, gdybym szybciej spojrział na pierwszą stronę gazety, gdybym dobitniej zakazał dziennikarzowi publikowania jego historii, może zdołałbym ocalić życie Frankowi i innym.

– Co to było, to, co widziałam? – spytała Miriam, wstając chwiejnie na nogi i dźwigając Arlene z podłogi. – Co to było? To był Sugar Dubois?

– Myślę, że wiemy, co widzieliśmy – rzekła Arlene. – Tylko uwierzyć w to ciężko.

Podbiegłem do okna, omiotłem wzrokiem gzyms. Nie widziałem nigdzie ani Cynthii, ani doktora. Spojrzałem na parking, ale zobaczyłem tylko ciała gwardzisty Wilsona i Sugara. Czy Cynthii udało się uciec? Miałem nadzieję, że tak. I miałem nadzieję, że już jej nie zobaczę. Że ucieknie gdzieś daleko, że nigdy nie będę musiał pozbawiać jej Wrót ani wykorzystywać naszej znajomości, by dotrzeć do jej brata.

Podeszła do mnie Miriam. Rozpięła mi koszulę i zobaczyła dwa ślady po kulach na brzuchu. Jeden znajdował się tak nisko, że niemal minął tatuaż i zdruzgotał mi biodro.

Zorientowałem się, że prawe przedramię mam całe we krwi. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że drzazgi wkłuły mi się w skórę po wewnętrznej stronie ramienia. Ranki były drobne i płytkie. Mocniej zacinałem się przy goleniu. Tak czy inaczej, dziwiłem się, że odczułem je dopiero teraz. Zacząłem wydobywać drzazgi z ciała.

– Jesteś jednym z nich? – spytała mnie ni stąd, ni zowąd Miriam. Była cała czerwona i miała rozwarłe szeroko oczy. – Jesteś przeklęty?

– Nie umiem robić tego, co oni – odpowiedziałem.

– Ale czy jesteś przeklęty? Czy zaprzedałeś duszę, tak jak oni?

Wąsacz położył jej rękę na ramieniu.

– Miriam, on walczył o nasze życie...

– Zamilcz, Walt! Muszę wiedzieć. – Utkwiła we mnie wzrok, czekając na odpowiedź.

Adrenalinowy rausz powoli opadał, czułem się wykończony i drżałem jak osika. Kusilo mnie, by jej powiedzieć, co może ze sobą zrobić. Powstrzymała mnie myśl, że obiecałem jej pomóc i zawiodłem. Jeśli Walt potrafił zmówić modlitwę za zbirów, którzy próbowali rozerwać go na sztuki, to ja mogłem zdobyć się na kłamstwo.

Spędziłem za kratami dość czasu z więziennym kaznodzieją, by z grubsza wiedzieć, co powiedzieć.

– Nie mogę za wiele wyjawić – wyznałem. – Złożyłem przysięgę, że tego nie zrobię. Byłem niegdyś grzesznikiem, jak my wszyscy, i wciąż nim jestem, ale pewnego dnia nawiedził mnie anioł z płomienistym mieczem i koroną ze światła. Więcej zdradzić nie mogę. Nawet tego nie powinienem był...

Położyła mi rękę na ramieniu.

– Dziękuję ci.

– Powinnaś uciekać z miasta.

Ktoś załomotał w drzwi.

– Co tam się dzieje? Otwierać, ale już!

Obróciłem się ku drzwiom. Stali za nimi ochroniarze, zerkając na nas przez wyrwę. Podszedłem, by im otworzyć, ale Arlene złapała mnie za łokieć.

– A co będzie ze mną? – spytała. – Jeden mnie uzał. Czy to znaczy, że stanę się jedną z nich?

Patrzyła na mnie, jakbym był ekspertem od wilkołaków. Sam wiedziałem, jak to jest chcieć poznać odpowiedzi, których nikt nie umie ci udzielić.

Tym bardziej że po prostu nie miałem pojęcia. Jednego zabiłem srebrem, prawda, ale to nie znaczyło, że Dubois są jak wilkołaki z hollywoodzkich filmów. Z tego, co mi było wiadomo, bracia potrafili przybierać postać wielu zwierząt, nie tylko wilków.

– Nie wiem – powiedziałem. – Przykro mi. Naprawdę nie wiem.

– Nie mogę z tobą jechać, kochanie – zwróciła się Arlene do Miriam. – Nie mogę, dopóki nie poznam prawdy.

Miriam ujęła ranną rękę kobiety. Arlene skrzywiła się, ale Miriam była zbyt zaaferowana, by to zauważyć.

– Walt, tak? – spytałem, a on pokiwał głową. – Musisz wywieźć Miriam z miasta. Weźmiesz samochód Arlene, są tam jej rzeczy.

Miriam spojrzała na szpitalne łóżko.

– Frank... – szepnęła.

– Tak mi przykro – powiedziałem. – Przykro mi, że nie poradziłem sobie lepiej.

– Mój tata go nie znosił – rzekła głucho. – Miał go za mięczaka. Nawet kiedyś powiedział mu to w twarz. Ale on był taki kochany, taki zabawny. Zawsze umiał mnie rozśmieszyć. Boże, i ja mam go tak zostawić?

Zrobiła krok w stronę ciała, ale zaraz złapałem ją za ramię i pokierowałem do Walta.

– Jedźcie już. Natychmiast.

Arlene wcisnęła Waltowi do ręki kluczyki.

– Nie martw się – powiedział mężczyzna. – Jak już będzie po wszystkim, wrócimy do miasta po Franka.

Ktoś w końcu pofatygował się po klucze do sali. Ochroniarze otworzyli drzwi, wyglądając ostrożnie zza winkła, jakby obawiali się, że zaczniemy do nich strzelać.

Hol zalany był krwią i zawałony zwłokami. Wiley Dubois gdzieś przepadł. Nie byłem pewien, czy przeżył ze srebrem w organizmie, czy może ktoś zabrał jego ciało.

– Rozcięli go – powiedział Walt. – Emmett i Luke rozcięli mu brzuch jak baranowi i wyjęli z niego łańcuszek. Chyba przeżył, skurczysyn.

– Na to wygląda. – Przepuściłem wszystkich w drzwiach i wkrótce znaleźliśmy się na korytarzu. – Nie patrzcie na nich – powiedziałem na widok ciał. – Po prostu idźcie. – Coś ciężkiego obilo mi się o udo. Pistolet Cabota, na śmierć o nim zapomniałem.

– Chwileczkę – rozkazał jakiś męski głos. Jego właściciel przeszedł nad ciałami i zagroził nam drogę; identyfikator i tani uniform zdradziły, że to kierownik ochrony. – Wszyscy będziecie musieli poczekać na policję.

Miriam zaśmiała się pusto i strasznie. Arlene podeszła do mężczyzny i zadarła głowę.

– To policja jest winna tej jatki.

Zza zakrętu wyszła młoda kobieta w lekarskim kitlu, ruszyła w kierunku ciał. Gdy dostrzegła zwłoki pastora, przyklękła i sprawdziła puls. Z jej twarzy wyczytałem, że nie spodziewała się go wyczuć.

– Co takiego? – nie dowierzał kierownik.

Arlene opuściła wzrok na identyfikator i odczytała nazwisko.

– Posłuchaj mnie pan, panie Arnoldzie Reyes. Luke Dubois właśnie zabił burmistrza oraz kilkoro Bogu ducha winnych osób, które próbowały mu w tym przeszkodzić. Mamy zamiar zabrać burmistrzową z miasta i nie wracać tu, dopóki FBI, policja stanowa, a choćby i rozjuszony tłum nie zrobią porządku ze wszystkimi braćmi Dubois. Żywię nadzieję, że kiedy już będzie po wszystkim, tego, co z nich zostanie, nie rozpozna rodzona matka. Jeśli bodaj pomyślisz pan o zadzwonieniu do Emmetta albo o przeszkodzeniu nam w jakikolwiek sposób, będziesz pan wielce rad, że już jesteś w szpitalu.

Pan Arnold Reyes pozwolił Waltowi i Miriam przejść.

– Wyjaśni mi ktoś to wszystko? – domagał się od pozostałych.

Młoda lekarka wstała.

– Wszyscy nie żyją – powiedziała. Wskazałem ranę na rękę Arlene, a lekarka pochyliła się nad raną i obejrzała ją dokładnie. – Trzeba ją opatrzyć, ale chyba obejdzie się bez szwów.

U mojego boku wyrosła jak spod ziemi Cynthia, a obok niej wciąż rozedrgany kardiolog. Cynthia była blada jak ściana. Wydałem z siebie głębokie westchnienie ulgi. Czyli zdołali bezpiecznie wydostać się z obłązonego pokoju.

– Ten koleś wszystko wam wyjaśni. – Wskazałem Reyesowi lekarza. – Chodź, chodź, bohaterze. Opowiesz wszystkim, co zaszło.

– Ależ ja nie mam pojęcia, co zaszło – wzbraniał się kardiolog z miną, jakby marzył tylko o tym, by zapaść się pod ziemię.

– Rozpoznałeś gliniarza?

– No tak.

– Słyszałeś, jak mówił, po co przyszedł?

– Po burmistrza.

– Zatem stanowisz wymarzony materiał na rzecznika. Zajmij się tym, a ja upewnię się, że inni znajdą się w bezpiecznym miejscu. – Wziąłem Cynthię pod ramię i skierowaliśmy się ku wyjściu.

– A gdzie Frank? – spytała.

Pokręciłem głową. Stała jak wryta.

– Zostanę tutaj. Lekarz nie będzie w stanie wszystkiego wyjaśnić.

– No dobra – zgodziłem się. – Ale pominię co bardziej szalone fragmenty.

Uśmiechnęła się do mnie, krucha jak lalka z porcelany.

– Nie martw się. Chciałabym cię później zobaczyć. Wpadniesz?

Kiwnąłem głową, po czym pchnąłem delikatnie Walta i Miriam do wyjścia. Arlene szła za nami, a z nią lekarka, trzymając ostrożnie jej ranną rękę. Nikt się nie odzywał aż do samego wyjścia na parking, gdzie lekarka skierowała Arlene do izby przyjęć. Wyszliśmy z Miriam na zewnątrz.

– Przepraszam – powiedziałem, gdy burmistrzowa wsiadała do samochodu. Zarzuciła mi ręce na szyję. Czułem na twarzy jej łzy.

– Niech cię Bóg błogosławi – wyszłochała.

Wsiedli do samochodu i odjechali, ja zaś wróciłem do izby przyjęć, gdzie lekarka prawie już zabandażowała Arlene rękę. Potem wypełniła kilka formularzy i byliśmy wolni. Po drodze na parking wyjrzałem przez szybę i dostrzegłem van Annalise. A zaraz potem ją, czekającą na mnie.

– Co jest? – spytała Arlene.

– Zadzwoń po kogoś, żeby zabrał cię do domu.

Wyszedłem ze szpitala w szarość popołudnia, a Arlene zaraz za mną.

– Nie – powiedziała. – Nie mam zamiaru gnić w domu. Oszalałabym. Muszę wiedzieć.

Nie odpowiedziałem. Podeszliśmy wspólnie do Annalise, która mierzyła mnie nieruchomym spojrzeniem.

– Doszły mnie słuchy, że nieźle rozrabiasz.

– Gdybym miał twój numer telefonu, zaprosiłbym cię do zabawy.

– Jakoś sobie beze mnie poradziłeś. – Wzruszyła ramionami.

– Zginęli ludzie.

Nie odpowiedziała. Nie mrugnęła nawet.

– A szwarccharaktery się zmyły.

– Ilu? I jacy?

– Trzech, może czterech. Pamiętasz, jak podzieliłem się z tobą wątpliwościami co do tego, czy Emmett jest wilkołakiem i czy tylko on jeden? Teraz już nie mam żadnych wątpliwości. Jestem pewien, że potrafią to wszyscy jego trzej bracia. Możliwe nawet, że jednego czy dwóch wykończyłem.

– Mówisz? – odrzekła, taksując Arlene wzrokiem.

– No. A ty jak tam, znalazłaś go? Przyjechali po ciebie ludzie Henstrick?

– Nie – powiedziała. – I tak.

– Jak się miewają?

- Mieli wypadek samochodowy. Okropny, okropny wypadek. Tak okropny, że aż żaden z nich nie przeżył.
- Aha. No to co teraz?
- Nigdy jeszcze nie zabiłam wilkołaka. Czas nadrobić zaległości.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Annalise otworzyła drzwi pasażera i wsiadła do vana. Obszedłem auto, chwyciłem za klamkę od strony kierowcy.

– Jadę z wami – orzekła Arlene swoim najbardziej władczym tonem.

– Mowy nie ma – w głosie Annalise nie było tyle mocy, ale pobrzmiwała w nim przestroga, choć Arlene zapewne jej nie wyłapała.

– Jadę i już – odparła. – Muszę. Jest coś, co muszę wiedzieć.

Annalise nie spieszyła się z zamknięciem drzwi. Arlene weszła na schodek. Ktoś inny na miejscu Annalise może poczułby się nieswojo, dał za wygraną, ale dziewczęcy głos mojej szefowej tylko bardzo, bardzo ścichł.

– Wyjdz.

– Arlene – wtrąciłem się – ochłoń. Nie masz pojęcia, co robisz. – Ociągając się, usłuchała z widoczną niechęcią. – Szefowo, właściwie ona może się przydać.

Annalise prychnęła w odpowiedzi.

– Na co?

– Wiem, gdzie ich szukać – rzuciła Arlene. – Emmett trzyma braci przy sobie. Nigdy nie wyprowadzili się z domu, w którym dorastali.

– Właśnie – powiedziałem. – A co, jeśli nie ma ich na komisariacie? Pokaże nam, gdzie mieszkają.

– Tak samo jak książka telefoniczna.

Arlene prychnęła lekceważąco.

– Ich nie ma w książce. Przecież...

– Dobra – zgodziła się Annalise. – Ale to twój tobół, Ray. To ty będziesz ją ze sobą włókł, a jeśli zginie, będziesz ją miał na sumieniu.

Z tymi słowy zatrasnęła drzwi. Arlene zapowietrzyła się w oburzeniu i ruszyła w stronę Annalise. Szczęściem zdążyłem okrążyć auto i ją powstrzymać.

– Lepiej jej nie drażnij.

– Nie ma za grosz manier.

– Nie słuchasz mnie. Emmett Dubois to przy niej betka, rozumiesz? Ona nie okaże nam ani krzty szacunku. Jeśli nie możesz się z tym pogodzić, to lepiej wróc do kościoła organizować zbiórkę na remont sali szpitalnej.

– Ja... Rozumiem. – Wbiła wzrok w ziemię.

– Wskakuj – powiedziałem. – Będziesz musiała stać między siedzeniami. Pojazd nie jest przystosowany dla autostopowiczów.

Tym razem nie zgłaszała obiekcji. Siadłem za kółkiem, zapiąłem pasy, zapuściłem silnik.

– Gdzie najpierw, szefowo?

– Spróbujmy pod ich adres. Skoro ich wytarmosiłeś, to pewnie liżą rany w swojej jamie.

– Jedź na północ – bąknęła Arlene. – Ich dom znajduje się na północnym krańcu miasta, jakieś trzy przecznice od komisariatu.

Wyjechałem wolno z parkingu, ale Arlene i tak skrzywiła się, próbując utrzymać równowagę zranioną ręką. Wyjeżdżając, natrafiliśmy na grupę ludzi uwijających się przy ciele na chodniku. To był ten człowiek, który został trafiony w szpitalu i wypadł przez okno. Ciekawe, pomyślałem, czy dowiem się kiedyś, jak miał na imię.

Sugara Dubois nie było nigdzie widać. Jechaliśmy chwilę w ciszy.

– Mogę o coś zapytać? – zwróciła się Arlene do Annalise.

Annalise nie zaszczyciła jej odpowiedzią.

– No? – odrzekłem. Sam miałem kilka pytań, które domagały się odpowiedzi, ale nie miałem zamiaru zadawać ich przy Arlene.

– Jeśli jeden mnie ugryzł, to czy ja...

Urwała, ale pytanie już wisiało w powietrzu.

– Annalise? – zagadnąłem po chwili milczenia. – Czy ona zmieni się w...?

Szefowa odwróciła się do Arlene.

– Gdybym wiedziała na pewno, już byś nie żyła.
– Można ich zranić srebrem – powiedziałem. – Zwykłe naboje na nich nie działają. I jeden z nich miał na plecach sigil. Kiedy go przełamałem, wrócił do ludzkiej postaci.

Milczała.

– Błagam – jęknęła Arlene bezgłośnie. – Na pewno nic więcej nie wiesz? Annalise znów się obejrzała.

– Powiem ci jedno: jeśli jesteś jedną z nich, zakończę to szybko, przez wzgląd na Raya. To wszystko.

Koniec dyskusji.

Po kilku minutach grobowej ciszy znaleźliśmy się pod siedzibą rodu Dubois. Był to wielki drewniany gmach z rozległym ogrodem, otoczony wysoką siatką. Za domem teren opadał skarpą w las.

Arlene wskazała budynek palcem.

– Kupił to ich dziadek. Mieszkają tu od zawsze. Kiedy wychodzisz za jednego z Dubois, wychodzisz za wszystkich. Nie żeby któryś z nich miał teraz żonę. Ale pierwsza żona Luke’a nigdy stąd nie wychodziła, aż do momentu, kiedy zapiła się na śmierć. To było całe lata przed Wilmą. Żona Emmetta... Cóż, pewnego dnia zniknęła wraz z dziećmi. Jeśli więc ktoś jest w środku, to tylko bracia.

Annalise otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

– Szefowo? – zawołałem. – Będę potrzebny?

– Wątpię. – Zamknęła drzwi i zbliżyła się do bramy.

– Mam tu coś – odezwała się Arlene, wyjmując skądś rozcinacz do kopert. Ostrze było srebrne. – Zwędziłam z biurka w szpitalu. Może byś jej to dał, tak na wszelki wypadek?

Podążyłem wzrokiem za Annalise. Rozpięła kurtkę, podeszła do bramy zamkniętej na kłódkę i łańcuch, zerwała go jednym ruchem. Usłyszałem, jak Arlene zachłystuje się powietrzem. Annalise strzepnęła dłońmi; musiały wciąż bardzo ją boleć. Minęła bramę i ruszyła jak gdyby nigdy nic w kierunku frontowych drzwi.

– Chyba obejdzie się bez rozcinacza. Zatrzymamy go, na wypadek gdyby któryś z braci próbował dać dyla.

Annalise wkopała drzwi do środka i weszła do pogrążonego w mroku przedpokoju.

Kiedy czekaliśmy na rozwój wypadków, Arlene przyłożyła płaz noża do nadgarstka. Ostrze, rzecz jasna, było zupełnie tępe. Srebro nie nadawało się do wyrobu prawdziwej broni. Szpic wydawał się jednak dostatecznie ostry, żeby zrobić nim krzywdę, jeśli ktoś bardzo by chciał.

Odjęła ostrze od ręki. Skóra była zaczerwieniona. Podniosła na mnie oczy.

– Powiesz jej?

– Muszę – odrzekłem.

– To dobrze. – Podniosła nóż, spojrzała na niego. – Ja sama bym nie mogła... Rozumiesz. To największy grzech.

– W tych okolicznościach...

– Grzech i już – powtórzyła, kończąc dyskusję. – Nie mam zamiaru grzeszyć w swoich ostatnich chwilach.

– Gdybyś mogła wybrać, jak chciałabyś... No wiesz – spytałem. Miałem pewność, że Annalise będzie umiała zakończyć jej życie szybko i łatwo.

Arlene nie zdejmowała wzroku z klingi.

– W walce. Chcę umrzeć w walce. – Potem uklękła na brudnej podłodze vana i zaczęła się modlić.

Nie minęło pięć minut, jak Annalise wyszła z domu i wróciła do samochodu.

– Nie ma ich tam, ale to akurat było oczywiste.

– To po co w ogóle tam wchodziłaś? – spytała Arlene.

Annalise nie zaszczyciła jej odpowiedzią. Zerknąłem na dom i zobaczyłem w jednym z okien pomarańczowy poblask. Jeśli była tam ukryta jakaś księga, wkrótce zostanie z niej kupka popiołu. Odpaliłem samochód i ruszyłem.

– W takim razie na komisariat.

– Nie sądzicie, żeby szukali lekarza dla Sugara? – spytała Arlene.

– Przecież wszystko rozegrało się w szpitalu – odparłem. – Mogli wparować z giwerami na izbę przyjęć i zmusić lekarzy, żeby się nim zajęli. Nie, nie sądzę, żeby rozglądali się za lekarzami czy lekarstwami. Myślę, że skorzystają z magii.

Pozostałe dwie przecznice przejechaliśmy w ciszy. Przed komisariatem stały wszystkie trzy pickupy, a obok nich bentley i dwa radiowozy. Jeden z nich pod nietypowym kątem, jakby kierowca dał po hamulcach, gdy tylko

znalazł się na parkingu. Wszystkie rolety od frontu budynku były zaciągnięte.

Minąłem komisariat i zaparkowałem za rogiem na następnej ulicy.

– Jaki jest plan?

Annalise rzuciła okiem na Arlene, po czym zwróciła się do mnie z kamienną twarzą:

– Jesteś moją drewnianą kukłą. Przejdę na tył, czekając, aż odwrócisz ich uwagę. Gdy już to zrobisz, wejdę do środka i zrobię, co trzeba. Będzie miło, jeśli przeżyjesz.

– Wiesz, co byłoby miłe? – powiedziałem. – Jakieś rękawiczki. Lateksowe albo jakiegokolwiek. W aktach policyjnych są moje odciski. Jeśli przeżyję, to nie chciałbym...

– Gdyby potrzebne ci były rękawiczki – przerwała – dostałbyś jakieś.

– A co ja mam robić? – spytała Arlene.

Annalise spuściła wzrok na pręgę na jej przedramieniu.

– Tobą zajmę się później – rzekła i wyszła z vana.

Arlene wpiła palce w moje ramię.

– Idę z wami. W porządku?

Nie, nie w porządku, pomyślałem, ale nie miałem serca jej tego powiedzieć.

– Chodź. Przynajmniej nie umrę tej nocy sam.

Wyszliśmy z vana i ruszyliśmy ulicą, przechodząc obok restauracji, gdzie jedliśmy z Annalise pierwszy raz w mieście. Okna wciąż były zakryte kartonem, ale kelnerka i tak nas zauważyła i wyszła na zewnątrz.

– Ciociu Arlene, co się dzieje? Najpierw dochodzą mnie słuchy o strzelaninie w szpitalu, a zaraz potem Emmett i reszta wjeżdżają na komisariat, jakby gonił ich sam szatan. Wiesz może, o co w tym wszystkim chodzi?

– Emmett Dubois – odpowiedziała zagadnięta – Emmett Dubois mnie zabił.

Oszołomiona kelnerka zrobiła krok wstecz.

– Co...? Nie rozumiem.

– Zabił mnóstwo ludzi – wyrzekła Arlene beznamiętnym tonem. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, oceniłem ją po siwych włosach i pomarszczonej skórze na sześćdziesiąt lat, ale teraz zdała mi się o wiele starsza. Zastanawiałem się, czy wiodła dobre życie i czy ja miałbym dość

odwagi w jej wieku, w jakimkolwiek wieku była, by wybrać, jak zakończę własne. – Wyciśnie z tego miasta ostatnią kroplę krwi. Ktoś musi położyć temu kres. I jemu.

– Co to znaczy, że cię zabił? – dociekała kelnerka. – Otruł cię? Co ci zrobił?

– Tak – powiedziała Arlene. – Właśnie tak, otruł mnie.

– Ciociu... – jęknęła kelnerka, postępując w jej stronę.

– Nie. – Arlene poruszyła ręką, jakby chciała ją grzecznie odpędzić. – Mam coś do zrobienia – rzuciła na odchodnym.

Kiedy znaleźliśmy się przy komisariacie, kazałem jej stanąć na rogu przy schodach, a sam poszedłem po obwodzie wzdłuż ogrodzenia, kryjąc się za zasłoną vanów. Wnętrze czerwonego wozu tonęło w śmieciach i opakowaniach po fast foodach, więc zdecydowałem, że lepiej włamać się do czarnego.

Za pomocą Ostrza Dusz dobrałem się do przewodów zapłonu i odpaliłem silnik. Przygazowałem głośno, wrzuciłem wsteczny i wycofałem się z miejsca parkingowego.

Ktoś raptownie zwinął roletę w jednym z okien, a ja wcisnąłem do dechy hamulec, piszcząc oponami.

Otworzyły się drzwi komisariatu i wybiegł z nich Luke z mordem w oczach. To pewnie jego samochód. Wymierzył do mnie z rewolweru.

Dałem nura pod deskę rozdzielczą, ale nie usłyszałem wystrzałów. Może za bardzo kochał to auto, by dziurawić karoserię?

Emmett wrzasnął i choć słabo go słyszałem, mógłbym przysiąc, że zakończył czymś w stylu: „...własnego brata”. Zerknąłem nad deską, akurat by zobaczyć, jak Luke wraca do budynku.

Najwyraźniej musiałem bardziej się postarać, by skutecznie odwrócić ich uwagę. W tym samym momencie, gdy wrzucałem pierwszy bieg, drzwi rozwarły się i znowu wyszedł nimi Luke, tylko że tym razem ciągnął za sobą przerażoną nie na żarty Shireen. Przyłożył jej pistolet do skroni, a ona skuliła się i osunęła na ganek. Po czym zaczęła zmieniać kształt.

Kobieta jakby niknęła pod naporem zwierzęcych konturów. Jej skóra zaczęła porastać sierścią, sylwetka wyciągnęła się, a nogi wygięły pod nieludzkim kątem. Dłonie i stopy rozrosły się w zakrzywione pazury. Głowa zrobiła się okrągła i kosmata, wyrósł z niej krótki pysk pełen okropnie długich i ostrych kłów.

Wyszła spod daszku nad drzwiami w pełne światło dnia, obróciła łeb i zogniskowała wzrok na mnie. Stwór otrzymał rozkaz i nietrudno było zgadnąć, kogo ten rozkaz dotyczył.

Ruszyła w stronę schodów, utykając niezgrabnie na wrzecionowatych nogach, ale obnażone zęby budziły respekt. Opadła na cztery łapy, co wydało się jeszcze bardziej nienaturalne niż pozycja wyprostowana, więc zaraz chwyciła się poręczy.

Biedna Shireen.

Wcisnąłem gaz do dechy i van wystrzelił naprzód. U dołu schodów Shireen zachwiała się niezgrabnie na swoich niewydarzonych nogach. Pickup walnął w nią w pełnym pędzie.

Poduszka powietrzna wybuchła mi w twarz i poczułem, że auto przechyła się na bok. Poduszka sflaczała po chwili, a ja otworzyłem drzwi.

Ramię i nogi Shireen były pogruchotane, żebra zmiażdżone, ale zaraz na moich oczach przeguby nastawiły się, a kości zrosły w serii głośnych trzasków i chrobotów. Jęknęła, zakwiliła jak męczone zwierzę.

Może zdołam dotrzeć do czerwonego vana i poprawić, pomyślałem idiotycznie.

Wtem bestia warknęła na mnie i zobaczyłem, że chwiejnie dźwiga się na powykręcane i nieprzystosowane do stania nogi. Uzyskawszy równowagę na zgiętej jak harmonia masce ciężarówki, pod którą syczał boleśnie obtłuczony silnik, stwór rzucił się na mnie.

Puściłem się biegiem, okrążając auto od tyłu, a Shireen gnała za mną, warcząc wściekle. Przycisnąłem Ostrze Dusz do klatki piersiowej i zasłoniłem gardło lewym przedramieniem. Tatuaze na ręku nie pokrywały dostatecznej powierzchni, by stanowić ochronę przed pazurami stwora, ale nie miałem nic więcej na podorędziu. Uderzyła mnie myśl, że jej ugryzienie może przenosić tę samą klątwę co w przypadku braci. Wołałem nie przekonywać się o tym na własnej skórze.

Zrobiła sus w moją stronę. Rzuciłem się w lewo. Próbowwała zmienić kierunek lotu, ale zamiast tego zatoczyła się, biorąc zamach długą łapą i rozdzierając mi rękaw pazurami. Odskokczyłem, zataczając krąg, a ona obróciła się do mnie przodem.

Błyskawicznie rzuciłem okiem na komisariat. Nikt nas nie obserwował. Jak dotąd zrobiłem niewiele, by umożliwić Annalise przeprowadzenie

ataku. Zastanawiałem się, czy wewnątrz budynku Luke i Emmett walczą o życie Sugara.

Shireen kłapnęła paszczą, markując kolejny zabójczy sus. Odskokczyłem, by utrzymać ją w przekonaniu, że przypiera mnie do muru. Za jej plecami widziałem skradającą się ku niej Arlene z rozcinaczem w ręku. Poruszała się tak szybko, jak to możliwe bez wydawania dźwięku.

Wtem nieopatrznie zaszurała stopą o asfalt. Shireen obróciła się, lokalizując nowe źródło dźwięku. Arlene była wciąż dziesięć jardów od bestii, ale nie zwolniła szarży.

Shireen padła na czworaki, skoczyła tak szybko, że rozmyła się w oczach, i zacisnęła kły na nadgarstku kobiety, która krzyknęła boleśnie, a rozcinacz wypadł jej z ręki i zsunął się po grzbiecie stwora. Shireen drgnęła, gdy srebro dotknęło sierści, a potem zarzuciła cielskiem w bok. Z ramienia Arlene spłynęła kaskada krwi, straciła równowagę i padła na asfalt. Shireen wpiła szpony w jej włosy i puściła nadgarstek, kierując się w stronę szyi przeciwniczki.

Gdzieś obok ktoś wrzeszczał przeraźliwie. Czyli jednak mieliśmy widownię.

Zmusiłem się, by odwrócić wzrok od rozrywanej na strzępy Arlene i poszukać srebrnego rozcinacza. Nie mógł upaść zbyt daleko, dlatego więc nigdzie go nie widziałem? Padłem na kolana i znalazłem go w końcu pod samochodem Luke'a. Wcisnąłem się pod podwozie między kołami; nadwozie było podniesione, ale i tak musiałem szorować brzuchem po plamie oleju i borygo, by dosięgnąć do zguby. Czołgałem się, robiąc możliwie najmniej hałasu. Nie patrzyłem na to, co działo się za mną, ale byłem pewien, że Arlene już nie żyje. Kukła czy nie, wolałem nie podzielić jej losu.

Zacisnąłem rękę na sztyleciku, czując śliskość utyłanej w oleju drewnianej rączki. W tym momencie Shireen wcisnęła łeb pod auto i ryknęła.

Poczułem, jak coś łapie mnie za kurtkę i wyciąga spod ciężarówki. Shireen chwyciła ubranie w miejscu, gdzie spoczywał pistolet, o którym znowu zapomniałem.

Zamachnąłem się srebrnym nożykiem, czując, jak wbija się w ciało i skrobie po kości potwora. Shireen zaskomlała i puściła mnie. Odsunąłem się. Nie żeby specjalnie mi to pomogło. Równie dobrze mogła już

przeskoczyć na drugą stronę pojazdu. Albo po prostu złapać mnie za nogi i wywlec spod auta. W takim przypadku mógłbym jedynie spróbować ją zadźgać rozcinaczem, mając nadzieję, że nie rozszarpie mnie przedtem na sztuki.

Natarła na mnie tak samo jak przed chwilą, ale tym razem postanowiła skorzystać z kłów. Rozwarła ohydną paszczę i zobaczyłem zbroczone krwią zębiska kilka cali od swojej twarzy.

Była większa, więc miała pod samochodem o wiele mniejsze pole manewru. Szarpała się i ciskała, nie mogąc mnie sięgnąć. Ścisnąłem nóż w garści, ale nie atakowałem. Jeśli tak bardzo wystawiała się na zranienie, to musiał w tym tkwić jakiś haczyk.

Nie próbowała dosięgnąć mnie łapami, zamiast tego sunęła po ziemi, zbliżając się coraz bardziej i bardziej. Niemal jakby prowokowała mnie, bym zaatakował pierwszy. Czy to możliwe, by wolała zginąć z mojej ręki, niż wykonać rozkaz braci Dubois? Nie mogłem przegapić takiej okazji. Dźgnąłem ją, zatapiając rozcinacz po rękojęść w oczodole.

Zatrzęsa się gwałtownie. Pchałem ostrze tak głęboko jak mogłem, dopóki Shireen nie opadła bezwładnie na podłoże i znieruchomiała.

Wtedy dopiero odważyłem się od niej odczołgać, zostawiając sztylecik w jej oku. Chciałem go z powrotem, ale wolałem na razie nie wydobywać go z czaszki.

Kontur zwierzęcego ciała zafalował i po chwili w miejscu łba pojawiła się twarz kobiety.

Wydostałem się spod samochodu, słysząc narastający odgłos kroków. Podbiegło do nas troje mieszkańców miasteczka. Widząc pobojuwisko, stanęli z rozwartymi szeroko oczami. Pobiegłem na tyły ciężarówki, odpychając barkiem jednego z nich. Chwilę czasu zajęła mi konstatacja, że to przecież kucharz z restauracji.

– Wszyscy wynosić się z stąd – powiedziałem, próbując zabrzmieć władczo, ale adrenalina i strach zmieniły mój głos w pisk.

– Ona się zmieniła – odezwał się kucharz. Shireen zastygła z połową ciała pod autem. Jej podarte ubranie odsłaniało pomarszczone ciało. Wydawała się teraz bardzo ludzka i wręcz filigranowa. Odpędziłem tę myśl. – Czy ja widziałem to, co widziałem? Naprawdę zmieniła postać?

– Skąd – odparłem. Zza pleców kucharza gapiły się na okaleczone zwłoki dwie przerażone kobiety. – A teraz uciekajcie stąd – rzuciłem,

wyciągając Shireen spod auta.

Jej głowa podskakiwała na nierównościach podłoża, gdy wlokłem ją po asfalcie, a rączka nożyka do listów skrobała asfalt. Myślałem, że nie zdołam powstrzymać odruchu wymiotnego.

– Nie powinieneś jej ruszać – powiedział kucharz.

Wydobyłem nóż z ciała Shireen i wysiłkiem woli zmusiłem się do spojrzenia w jej zrujnowane oko. Nie wydawało się samoistnie zaleczać jak wcześniej połamane kończyny. Była martwa.

Następnie pochyliłem się nad Arlene. Stygła nieruchomo na ziemi, ale strzępy jej gardła i rana nadgarstka powoli się regenerowały. Też martwa, ale się wylize.

To trochę nie fair, pomyślałem, że nie będzie jej dane zginąć w walce. Za minutę otworzy oczy i powie, że wolałaby umrzeć, niż przemienić się w drugą Shireen.

Dlatego wsunąłem nóż pomiędzy jej zebra. Proces regeneracji ustał. Nie jęknęła, nie westchnęła nawet.

Za mną wyrznęły o ścianę drzwi. Obróciłem się i zobaczyłem Wileya Dubois mierzącego do mnie ze strzelby.

Nie czas na sentymenty. Wyjąłem nóż z ciała Arlene i pchnąłem barkiem bliższą z dwóch kobiet. Obydwie straciły równowagę i zatoczyły się, a ja tymczasem dałem nura za błotnik ciężarówki.

– UCIEKAJCIE! – wrzasnąłem.

W momencie gdy padłem na ziemię, huknęła strzelba. Kucharz wezwał imię Pana Boga swego nadaremno i uciekł gdzie pieprz rośnie. Dwie kobiety wyprzedzały go o długość łba.

Wygramoliłem się na nogi i puściłem pędem za samochód. Dosłyszałem mrozący krew w żyłach klik przeładunku i skryłem się za klapą. Z kolejnym wystrzałem poczułem palący ból w lewej łydce.

Upadłem na ziemię i przeturlałem się, pewien, że moja noga kończy się teraz na kolanie, ale na szczęście okazało się, że jest na miejscu, tylko mocno krwawi. W lśniącej czerwono ranie dostrzegłem drobinki śrutu. Wyrzałem zza klapy i zobaczyłem, że Wilej zbiega po schodach, kierując się do wąskiej szczeliny pomiędzy zniszczonym samochodem Luke'a a uszkodzoną ścianą komisariatu. Przeładował ponownie.

W jednej ręce trzymałem nóż do listów, w drugiej Ostrze Dusz. Pistolet w kieszeni nic tu nie zdziała. Cholera. Nie miałem zbyt wielu opcji: albo

spróbować ratować się ucieczką i zebrać kilogram śrutu w odsłonięte plecy, albo wycofać się powoli i dostać w nogi albo twarz. Chowanie się nie wchodziło już w grę.

Jedyne, co mi pozostało, to ruszyć na przeciwnika. Ruszyć na faceta uzbrojonego w strzelbę w nadziei, że zdołam go zadźgać nożem do listów, zanim mnie zastrzeli lub okaleczy.

Wzięłem głęboki wdech. Taki już los drewnianej kukły. Paskudna robota, ale ktoś to musi robić.

Wstałem. Wiley uniósł strzelbę do ramienia.

Nagle z komisariatu dobiegł nas wrzask i strzały. Wiley obrócił się, ja również spojrzałem. Wrzask urozmaicały piskliwe tony hysterii, ale głos należał do mężczyzny. Urwał się nagle, przechodząc w zdławiony charkot, na który nałożyło się wołanie Emmetta do Luke'a. Padły kolejne strzały, z tuzin na przestrzeni kilku sekund.

Szyba pobliskiego okna roztrzaskała się na kawałki i wyleciał przez nią obiekt wielkości piłki do futbolu, rozwalając przednią szybę samochodu Luke'a. Wiley spoglądał na przedmiot z otwartymi ustami, po czym wspiął się po schodach do frontowych drzwi. Miał większe problemy niż ja, wywnioskowałem.

Huknęły kolejne wystrzały.

Popędziłem do maski samochodu, ale chyba już wiedziałem, co stłukło szybę. Głowa Luke'a.

Mogłem więc z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuścić, że Annalise wzięła sprawy w swoje ręce.

Spojrzałem na głowę jeszcze raz. Na całe szczęście tkwiła na siedzeniu twarzą do fotela. Nagle zobaczyłem, że kształt rozmywa się i znika na moich oczach. Cholera, że też nie przyszpiliłem jej rozcinaczem.

Komisariat trząsł się w posadach od kolejnych strzałów. Schylony poniżej okien, pobiegłem ku schodom. Ze środka budynku łyśnęło zielone światło, a Emmett zaczął z całych sił drzeć się: „Nie, nie, nie!”. Wparowałem do środka.

Biurka, które mijaliśmy w czasie pierwszej wizyty, leżały roztrzaskane i w beładzie. Przy samych drzwiach na wyłożonej kafelkami podłodze piętrzyła się sterta nadpalonych kości.

Annalise stała w środku pomieszczenia z rozpiętą kurtką, z której środka zwisały magiczne wstęgi. U jej stóp leżał bezgłowy zewłok Luke'a Dubois.

Bezgłowy chwilowo, bowiem widziałem, że głowa właśnie zaczyna mu odrastać.

– Niesamowite – powiedziała do mnie Annalise. – Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś takiego. Popatrz na tego grubego.

Spojrzałem w dół, na Wileya. Jego odsłonięte kości zaczęły na powrót obrastać mięśniami. Widok był odpychający.

– Chryste – szepnąłem. Dosłownie wszystko w tych koleśiach przyprawiało mnie o mdłości.

– Już starczy – wyrzekł Emmett, wychodząc z biura z pistoletem w dłoni. Zamek broni był odciągnięty. Wystrzelał się z amunicji. – Błagam, już wystarczy. Wyjedziemy z miasta, nigdy tu nie wrócimy. Mamy pieniądze, możemy zapłacić. Zrobimy, co chcecie. Tylko pozwólcie mi zabrać stąd braci.

– Zakłęcie – rzuciła Annalise. – Chcę zakłęcie.

– Co... Nie rozumiem? – zająknął się Emmett.

– Ray – zwróciła się do mnie Annalise, skinąwszy głową na zwłoki Wileya – zajmij się tym tutaj.

Ponieważ nie było za bardzo w co dźgnąć, wyjąłem Ostrze Dusz i przejechałem nim przez to samo miejsce, gdzie znalazłem sigil na ciele Sugara. Z punktu na łopatkę Wileya wystrzelił czarny dym i ciało przestało się regenerować. Krwawy bałagan w jego klatce piersiowej obwisł i zaczął rozlewać się po podłodze. Odskokczyłem.

– Mój Boże, Wilej – pisnął Emmett głosem krzywdzonego dziecka. Słyszając go, poczułem litość. Ale zaraz potem przypomniała mi się martwa kobieta w kostnicy, wszystkie ciała w szpitalu i litość przedzierzgnęła się w zimną nienawiść. Nie miał prawa płakać nad Wilejem.

– Masz rację, Ray – rzekła Annalise. – Mnie też chce się rzygać. Zostali jeszcze dwaj, zacznij od tego tam.

– Nie! – zawołał przywrócony do życia Luke. – Nie rób tego!

Annalise przygniotła go stopą do ziemi.

– Już raz cię zabiłam – powiedziała mu. – To, czy zrobię to ponownie, zależy od tego, czy się zamkniesz, czy nie.

Zbliżyłem się i ciąłem go przez łopatkę. Wrzasnął, buchnął dym.

Pistolet Emmetta opadł na podłogę.

– Zrobiliśmy tu też wiele dobrego – wyjęczał słabo. – Chroniliśmy miasto.

Miałem to serdecznie w dupie, podobnie jak Annalise. Podszedłem do niego, bacząc, by nie znaleźć się między nim a szefową. Jego również ciąłem przez łopatkę, a wtedy Emmet zwalił się na ziemię. Nie patrzyłem na to, co się z nim dzieje, tylko odwróciłem się do Sugara, który leżał na ziemi w środku magicznego kręgu.

Widziałem już kilka takich kręgów, ale ten był w porównaniu z nimi zaskakująco prosty. Nie narysowano czy wymalowano go na podłodze, była to po prostu pętla ze srebrnego drutu. Nie dostrzegłem żadnych znaków czy symboli charakterystycznych dla tej formy magii.

Sugar był w kiepskim stanie: miał potrzaskane ręce i nogi, w jednym miejscu czaszka była wybrzuszona i prawdopodobnie pęknięta. Wyglądał, jakby umierał w agonii. Rozcięto mu koszulę, a na piersi sporządzono nowy sigil. Jego ciało nie regenerowało się.

Ten fakt wydawał się bardzo istotny, choć nie byłem pewien dlaczego.

Przeciąłem drucianą pętlę Ostrzem Dusz. Żadnego impulsu mocy, żadnych iskier czy dymu. Zbliżyłem się do Sugara z zamiarem rozprucia sigilu.

– Nie! – wyłkał Emmett. – Zlituj się. On umrze bez niego.

Annalise prychnęła w rozdrażnieniu i oparła stopę o czaszkę Luke’a, który wydał z siebie przytłumiony wrzask.

– Szefowo, czekaj!

Znieruchomiała, a ja spojrzałem na Emmetta.

– Daj mi zaklęcie i powiedz o nim wszystko, co wiesz. Skąd je masz, kto ci je dał. Wszystko.

Emmett zerknął nerwowo na Annalise, po czym wyjął z kieszeni kurtki kartkę papieru w plastikowej koszulce i wyciągnął ją przed siebie. Trzęsła mu się ręka i koszulka łopotała lekko.

– Rzuć mi to.

Rzucił. Obejrzałem zaklęcie. Składało się ze skomplikowanego wzoru na jednej stronie i czterowersowego wiersza na drugiej.

– Ojciec mi dał – powiedział Emmett. – Dostał je od pierwszego Cabota Hammera, założyciela tego miasta, przed wielu laty. Nie wiem wiele więcej poza tym, że należy odczytać wiersz, podczas gdy osoba, na którą rzuca się zaklęcie, siedzi w pętli i ma przed oczami drugą stronę kartki. To jedyny egzemplarz. Ojciec przestrzegł, żeby nigdy nie próbować jej kopiować. Nie

składaliśmy ludzi w ofierze przy pełni Księżyca ani nic. To nie tak działa. My...

Annalise docisnęła nogę, a ja w tym samym momencie przeciąłem sigil na piersi Sugara. Magia wypłynęła z niego, a jego umęczony oddech ustał.

Emmett skulił się. Dał za wygraną.

– Zrób to – wymamrotał. – Po prostu to zrób.

Annalise spojrzała mi w oczy.

– Ray.

Moja kolej. Wyjąłem pistolet Cabota z kieszeni, lufa zetknęła się z potylicą Emmetta.

Na filmach często słyszy się, że niełatwo kogoś zabić. Odgrywane przez aktorów postacie mówią, że to najtrudniejsza rzecz na świecie. Za przeproszeniem, głównie prawda. Więzienia są pełne ludzi, którzy kiedyś sądzili, że morderstwo to nie lada wyczyn, powód do dumy, coś, czego nie zdoła dokonać pierwszy lepszy lamus. Zetknąłem się w więzieniu z wieloma takimi. I większość z nich rewiduje swój pogląd za kratkami, ponieważ prawda jest taka, że zamordowanie kogoś jest dziecinnie proste. Że aby kogoś zamordować, wystarczy po prostu nie myśleć o konsekwencjach, nie myśleć o tym, co się tak naprawdę robi.

Mało który więzień zastanawia się nad tym, co to tak naprawdę znaczy: zamordować człowieka.

Nie miałem prawa tego zrobić. Zbyt długo gniłem w więzieniu i za wiele miałem na sumieniu. Nienawidzę broni, odkąd jeszcze jako dziecko okaleczyłem najlepszego kumpla. Dokładnie wiedziałem, co się stanie, gdy pociągnę za spust. I wiedziałem dokładnie, co to będzie oznaczać.

Ale zrobiłem to i tak.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zwłoki Emmetta wyglądały dokładnie tak, jak przewidywałem. Tak samo pokój wokół mnie. I Annalise.

Zdjąłem flanelową koszulę z wieszaka i wytarłem pistolet Cabota, po czym rzuciłem go na podłogę. Brzęknął głucho. Jednak nie o Cabocie teraz myślałem, lecz tylko o tym, że wszyscy w mieście mnie widzieli. Tym razem nie miałem cienia szansy na uniknięcie więzienia. Wykończyłem policjanta. Skorumpowanego mordercę, prawda, ale kiedy rozpocznie się obława, nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Lecz czy miałem jakiś wybór? Przecież nie mogłem pozwolić mu żyć. A co, jeśli skłamał, zastanawiałem się, i ma gdzieś ukrytą kopię zaklęcia? Co, jeśli zacząłby szukać innych zaklęć w celu odbudowania dawnej potęgi? Przeniósłby się gdzie indziej i znów zaczął iść do celu po trupach.

Annalise odpięła jedną ze wstęg, co sprawiło jej niejake trudności, i upuściła ją na krzesło. Stanęło w płomieniach. Przewróciła kopniakiem biurko, wsypując do ognia plik papierów. Ogień lizał już pokryte farbą ściany. Wkrótce pochłonie cały komisariat, podobnie jak dom Dubois.

Zwróciłem Annalise kartę kredytową; nie chciałem mieć przy sobie niczego, co należało do niej, a już zwłaszcza pieniędzy.

– Co się dąsasz – powiedziała. – Odwaliłeś dobrą robotę, nawet jeśli czujesz się brudny.

– Po prostu idźmy stąd.

Ruszyłem za nią do drzwi. Wtem moją uwagę przykuło oprawione zdjęcie na ścianie i choć nie miałem ochoty na nie patrzeć, nie mogłem oderwać wzroku. Znajdował się na nim Emmett pod rękę z Charlesem Trzecim. Najmłodszy z Hammerów miał może z trzynaście lat, był wysoki, jak na swój wiek, i miał dobre czterdzieści kilo nadwagi. Starszy mężczyzna z niesforną czarną czupryną i o twarzy podobnej do Charlesa, ale węższej, obracał burgery na żarzącym się grillu. To musiał być Charles drugi, Charles junior.

Budynek płonął, a ja przyglądałem się zdjęciu z bliska. Starszy Hammer był jedyną nieuśmiechniętą postacią na fotografii; jego obwisła twarz wyrażała zmęczenie, a pod oczami kładł się cień. Był to człowiek, który bardzo czegoś żałuje. W tle dało się dostrzec wielkie okna kosztownego i nowoczesnego domostwa oraz gładką, zakrzywioną kamienną ścianę, która mogła kojarzyć się z murem średniowiecznego zamku.

Płomienie za moimi plecami rzucały na zdjęcie wijące się w nieregularnym tańcu cienie. Ogień sięgnął już sufitu. Annalise stała przy drzwiach na zewnątrz, półzwrócona w moją stronę. Czas iść.

Gdy zeszliśmy po schodach, okazało się, że wiatr przepędził chmury, pierwszy raz od kilku dni odsłaniając błękit nieba. Po drugiej stronie ulicy zebrał się tłum mieszkańców. Van zaparkowany był za rogiem. Wyszliśmy im naprzeciw.

- Następnym razem zaparkuję bliżej.
- Dobry pomysł. Wyglądasz jak chochoł.

Spojrzałem po swojej koszuli; była porwana i mokra, cuchnęła prochem strzelniczym i olejem samochodowym.

- Chyba cztery zmiany ciuchów to dla mnie za mało.
- Nie myślałam, że zdążysz je zużyć. Będziesz rzygał?
- Mam taki zamiar. Ale chwilowo się powstrzymam.

Gdy szliśmy w stronę tłumu, wyszedł z niego poruszony kucharz. Chyba faktycznie wyglądałem okropnie.

- Co się stało? – zapytał. – Co się dzieje w tym mieście?
- Bracia Dubois zabili pastora Wilsona.

Tłum poruszył się, dały się słyszeć odgłosy zdziwienia i niedowierzania.

- Co? – odparł kucharz. – Chyba żartujesz.
- Wracajcie do domów – powiedziałem. Przedarliśmy się przez tłuszcę i ruszyliśmy do vana. Nikt nie próbował nas niepokoić.

– Następny w kolejce jest Charles Hammer, tak, szefowo?

– Byłby, gdybym wiedziała, gdzie go znajdę. Szukałam szmat czasu. Nie znalazłam nikogo ani w domu, ani w biurze, gdzie widzieliśmy Hammera ostatnio, a notatki Karoly’ego nie ułatwiły poszukiwań.

– Z twoimi rękami już lepiej?

– Nie – ucięła. – Gorzej. Chyba nie będę mogła nimi ruszać aż do jutra. Czuję, jakby płonęły, i ledwie mogę zgiąć palce.

Gdy dotarliśmy do vana, otworzyłem jej drzwi i pomogłem usiąść, nie zwracając sobie głowy pasami bezpieczeństwa. Zająłem miejsce za kółkiem, odpaliłem auto.

– Możemy znowu zawinąć o mięsny.

– Nie warto – odparła. – Ostatnim razem prawie nic to nie dało, a nie mam zamiaru marnować czasu. Musimy jeszcze coś zrobić.

– A jak twój brzuch? Bo ja zdycham z głodu.

Nie spojrzała na mnie, gapiła się w przestrzeń przed sobą.

– Czuję się trochę osłabiona i skołowana, prawdę mówiąc. Będę musiała polegać na tobie w nieco większym stopniu niż zazwyczaj. Czy mogę na tobie polegać?

– Jasne – odrzekłem. – Dopiero co zabiłem dla ciebie glinę. Jeśli to nie dowodzi, że jestem po twojej stronie, to...

Zemdliło mnie, ale na całe szczęście miałem pusty żołądek.

Wrzuciłem jedynekę i ruszyłem z miejsca. Nie miałem dokąd pójść, ale wszędzie było lepiej niż na miejscu zbrodni. Nie wiedziałem, gdzie jechać, więc po prostu jechałem.

Hammer Bay zyskiwało na urodzie w promieniach słońca. Moje myśli podążyły do tych, którzy nie nacieszą nim oczu, od kobiety rozszarpanej na posadzce kostnicy do wielebnego Wilsona i Sugara Dubois, i poczułem wzbierającą we mnie zimną nienawiść. Próbowałem przekierować ją na Charlesa Hammera albo na jego dziadka, albo na Eliego Warrena, który sprowadził czary do miasta, ale tak naprawdę byłem zły na wszystko i wszystkich, łącznie ze sobą. Świat zdawał się dzielić na morderców i tych, którzy nie robią nic, by ich powstrzymać. Niespodziewanie zapragnąłem znaleźć się pośród tych drugich.

– Jeśli nie przeżyję – powiedziała – nie chcę, żebyś polował na Charlesa Hammera w pojedynkę.

– Czemu? – rzuciłem, nieco zbyt zawzięcie, ale puściła to mimo uszu.

– Bo to nie twoja liga. I nie chcę, żeby przyjrzał się bliżej twoim dziarom. Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, masz uciekać z miasta. Jeden ze Stowarzyszonych odnajdzie cię i odbierze raport.

– Do tego czasu będę już w więzieniu, nie? Czy Towarzystwo znowu mnie z niego wyciągnie?

Wzruszyła ramionami. Umierała; nie dbała za bardzo o to, czy pójdę siedzieć, czy nie. Podejrzewam, że na jej miejscu czułbym to samo.

Jechałem do domu Cynthii, szczęśliwy, że dostałem śrutem po łydce lewej nogi, a nie tej, którą operowałem pedałem gazu. Może z siostry Hammera wydobędziemy, gdzie skrył się Charles. Coś nie dawało mi spokoju. O czymś powinienem pamiętać, ale, zabijcie mnie, nie mogłem sobie przypomnieć, co to.

– Nie myślisz chyba, że wyjechał z Hammer Bay?

– Oby nie – odrzekła. – Nie wydaje mi się. Zaczął to wszystko dla firmy i miasta. Nie wydaje mi się, żeby uznał za celowe uciekać.

Zgodziłem się. Cynthia również odmówiła opuszczenia Hammer Bay.

– A może zaszył się na jakiejś łodzi? Jest dość bogaty, żeby posiadać jacht.

– Jest. Z notatek Karoly'ego dowiedziałam się nawet, że w istocie posiada łódź. Zatopiłam ją zeszłej nocy. Nie było go na pokładzie.

I wtedy sobie przypomniałem.

– Cabot powiedział mi, że Charles cały czas ukrywa się w wieży.

– W tym okrągłym pomieszczeniu na najwyższym piętrze?

– Też o nim pomyślałem, ale pudło. To sypialnia jego siostry.

– A siostra nie powiedziała ci, gdzie się znajduje Hammer? – odrzekła, nie komentując kwestii sypialni.

– Nie chciała. Jak mogłaby go zdradzić? – W tym momencie powinienem zapewne powiedzieć Annalise o Żelaznych Wrotach Cynthii, ale mieliśmy ważniejsze rzeczy na głowie.

– Może powie, gdy ja zapytam.

Zastanawiałem się, jakich użyje argumentów, by uzyskać od Cynthii odpowiedź. Czy ocaliłem jej życie tylko po to, by zabiła ją Annalise...?

Zaraz! Szara kamienna ściana na zdjęciu na komisariacie. Słowa Cabota o wieży, w której kryje się Charles.

Wyłączyłem kierunkowskaz i trzymałem się drogi na południe.

Minęliśmy dzielnicę biznesową. Spojrzałem na ocean i na odbijające się na wodzie słoneczne refleksy. Piękny widok.

A nad wodą, skąpana w blasku, górowała latarnia morska. Tylko że pozbawiona płaszcza mgły nie wyglądała wcale jak latarnia.

Zatrzymałem auto i zgasilem silnik.

– Gdzie ta niewydarzona mapa?

Przeszukaliśmy skrytkę, zajrzeliśmy pod siedzenia, a potem przypomniałem sobie, że ostatni raz przeglądałem mapę w samochodzie Ethana. Znalazłem ją złożoną w małe kwadracik w kieszeni kurtki. Rozwinąłem delikatnie papier. Latarnia morska oznaczona była numerem cztery. Znalazłem opis.

– O co chodzi? – spytała Annalise.

– O latarnię, która wcale nie jest latarnią. O, tutaj: „W tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku Charles Hammer senior kupił w Szkocji zamek i kazał przetransportować go drogą morską do Hammer Bay, gdzie został odbudowany kamień po kamieniu. Szesnaście lat później budowlę zniszczyło trzęsienie ziemi, ale najdalej na południe wysunięta wieża stoi po dziś dzień”.

Spojrzałem na latarnię. Nie miała blanek, które widziałem w starych filmach, i była poważnie nadgryziona zębem czasu, ale nie ulegało wątpliwości, że to nasza wieża. Więc to było to „szkockie tałatajstwo”, o którym napomknął Bill.

– Tam go znajdziemy.

Annalise skinęła głową.

– Zakończmy to.

– Szefowo – powiedziałem i urwałem. Nie wiedziałem, jak mam to powiedzieć, więc po prostu wypaliłem: – Myślisz, że jest jakiś sposób, by zmienić robaki z powrotem w dzieci? Myślisz, że da się je uleczyć?

Nie spodobało jej się to pytanie.

– Wszystko jest możliwe, Ray.

Odniosłem wrażenie, że gdybym spytał o to, czy moglibyśmy polecieć na Jowisza czekoladową rakieta, powiedziałyby to samo i takim samym tonem.

– Musiałem spytać.

– Wiem – powiedziała i umilkła.

Pojechaliśmy na nabrzeże i zaparkowaliśmy przy restauracji z owocami morza. Droga na południe w pewnym momencie skręcała na wschód, zostawiając klif i ocean za sobą, a do dwóch ostatnich budynków na skraju miasta prowadziła tylko polna ścieżka. Ruszyliśmy pieszo w tamtą stronę, torując sobie drogę przez usłane czarnymi skałami wulkanicznymi pustkowie, na którym wznosiła się wieża, samotna pośród pustki i odległa od miejskiego zgiełku, pochylająca się prawie nad samym klifem.

Z miejsca, w którym stałem, dało się już rozróżnić kontur niskiego nowoczesnego domu o wielkich oknach wtopionych w każdą ze ścian, a obok niego szeroką plamę asfaltu, na której można było nawrócić samochodem. Nie widziałem, by łączyła się z drogą do miasta, nigdzie nie dostrzegłem też pozostałości po reszcie zamku.

– Tam. – Annalise wskazała głową na dwa duże kontenery. Dojazd pod samą wieżę znajdował się za nimi.

Pobiegliśmy szybko z powrotem do vana, odpaliłem silnik i pojechałem w stronę wjazdu. Minęliśmy trzy identyczne fordy crown victoria w kolorze burgunda, niechybnie wyraz czyjejś wielkiej determinacji, by godnie reprezentować tutejszą śmietankę towarzyską.

Żuźlową drogę zagradyła szeroka brama. Stałem, wyszedłem z auta i przeciąłem zamek Ostrzem Dusz, a brama rozwarła się przed nami. Poprowadziłem auto opadającą łagodnie drogą i stanąłem w poprzek uliczki na jej końcu. Nikt stąd nie wyjedzie, chyba że zepchnie van w przepaść. Co w sumie nie było aż takie trudne.

Otworzyłem drzwi Annalise. Skierowaliśmy nasze kroki w stronę domu, o wiele większego, niż gdy patrzyło się nań z parkingu. Okna ciągnęły się na wysokość dwóch pięter. Żadne nie było zasłonięte.

Nie spodobało mi się to.

Obszedłem budynek i zajrzałem przez okno do garażu. Znajdował się w nim ten sam elegancki czarny mercedes co wtedy przed fabryką zabawek. Żadnych innych pojazdów w zasięgu wzroku.

– Coś jest nie tak – powiedziałem Annalise.

Była za niska, by zajrzeć do garażu, więc nawet nie próbowała.

– Co masz na myśli?

– W środku jest merc. Charles Hammer jeździ priusem.

– Sra pieniędzmi – skwitowała i podeszła do frontowych drzwi.

Coś jest nie tak, pomyślałem. Coś jest bardzo, bardzo nie tak. Cisnąłem ostrzem, przecinając przewód telefoniczny, i już miałem zamiar przeciąć zamek u drzwi, gdy Annalise chwyciła niezręcznie za klamkę i po prostu pchnęła, a te otworzyły się. Nie były nawet zamknięte?

Weszliśmy. Pomieszczenie rozświetlał słoneczny blask. Nad linią horyzontu mitrężyły jeszcze burzowe chmury, ale cały ocean opromieniało słońce.

Zamykając drzwi, zwróciłem uwagę na coś, co wisiało obok zawiasów. Długi obusieczny nóż. Chyba ze srebrnym ostrzem. Być może wisiał tam, na wypadek gdyby bracia Dubois zaczęli kasać rękę, która ich karmi. Zabrałem broń, po czym poszedłem za Annalise na drugi koniec salonu. Na ścianie naprzeciwko niskiej kanapy wisiał telewizor z płaskim ekranem. Stolik między nimi zawalony był puszkami po potrawce z wołowiny, kawałkami chleba i rozdartymi opakowaniami po bagietkach. Ktoś się tu zaszył na dłuższy czas, tylko dlaczego nie zasłonił okien?

– Tędy – powiedziała Annalise, po czym otworzyła kopniakiem drzwi i wkroczyła do kolejnego, podłużnego pokoju. Podążyłem za nią.

Zrobiliśmy kilka kroków na miękkiej i grubej wykładzinie. Tutaj wszystkie rolety były zaciągnięte, powietrze stęchło. Na przeciwległym końcu pomieszczenia, jakieś dwadzieścia stóp od nas, znajdowało się obszerne drewniane biurko. Za nim wisiały zasunięte kotary.

Dostrzegłem stojące do nas oparciem obite skórą krzesło. Drgnęło niespodziewanie. Na podłokietniku dostrzegłem dłoń, mankiet koszuli i rękaw ciemnego garnituru.

– Charles Hammer Trzeci – odezwała się Annalise, jakby wydawała wyrok, po czym wyciągnęła zza pazuchy wstęgę. – Ty...

– To nie Hammer – przerwałem. – To Able Katz.

Krzesło obróciło się. Siedzący na nim Able Katz wyglądał na zadowolonego z siebie.

Kotary poruszyły się i wyszło zza nich czterech mężczyzn. Byli zbudowani jak bokserzy, nosili brązowe uniformy prywatnej firmy ochroniarskiej i każdy miał w ręku uzi.

Drzwiami po lewej weszło do pokoju kolejnych sześciu, którzy zajęli pozycje wzdłuż ściany.

– Jeszcze dwóch panów czeka na was przy drzwiach wejściowych – oznajmił Able. – Więc jeśli zamierzacie uciekać, odradzam tamtędy.

Przy komputerze na biurku zauważyłem kamerę internetową. Obserwował nas Charlie Trzeci, tylko skąd? Wsunąłem srebrny nóż do kieszeni.

– Ależ nie – rzekł Able. – W żadnym razie nie do kieszeni, młodzieńcze. Muszę poprosić, żebyś położył broń na podłodze i odkopnął ją daleko od siebie. W zasadzie panią również poproszę o pozbycie się wszelkiej broni. – Kpiący uśmiezek na jego twarzy poszerzył się.

Annalise sięgnęła pod kurtkę, wyjmując garść kolorowych wstęg.

– Czekaj – szepnąłem. – Oni tylko wykonują swoją pracę.

– Ich praca polega na chronieniu mordercy dzieci.

– Co za bzdury? – warknął Able. – Charles nigdy nie zamordowałby dziecka. To wasza dwójka rozszarpuje to miasto na strzępy.

Skupiłem się na Annalise.

– Emmett był mordercą, ale ci faceci zostali wynajęci, żeby kogoś chronić. Nie są źli.

– Jasne, że nie są – powiedziała, spoglądając na mnie. – Ale ja jestem.

Zadzwoił telefon na biurku.

Wszyscy poza Able'em wydali się tym faktem zdumieni. Podniósł słuchawkę.

– Tak, Charles? – powiedział i zaczął słuchać. – Oczywiście. – Wcisnął przycisk na pulpicie i zwrócił telefon w naszą stronę.

– Słuchać mnie?

To był Charles Hammer. Zwracał się do nas przez system głośnomówiący.

– Tak – potwierdziłem. Annalise widocznie się niecierpliwiła, ale mnie zależało na tym, by posłuchać, co miał do powiedzenia.

– Pozwólcie, że się wytłumaczę – rozległ się głos. – W nadziei, że uda nam się uniknąć wszelkich nieprzyjemności. Bardzo, bardzo chciałbym uniknąć rozlewu krwi, jeśli to tylko możliwe. Naprawdę mi na tym zależy.

Powiodłem wzrokiem po ochroniarzach. Hammer mógł grać na zwłokę, czekając na przyjazd policji stanowej albo kolejnego batalionu ochroniarzy, choć wątpiłem w to. W pomieszczeniu znajdowało się dziesięciu chłopów i wszyscy uzbrojeni po zęby, a jeśli Able mówił prawdę, jeszcze dwójka czekała przy drzwiach.

– Słuchamy.

– Able – powiedział głośno – czy mi ufasz? Część z tego, co zaraz powiem, zabrzmie bardzo nieładnie i ci ludzie mogą poczynić wobec mnie oskarżenia, na które nie zasługuję. Chcę, żebyś zrozumiał, że...

– Nie tłumacz się, Charlesie – przerwał Able. – Ma się rozumieć, że ci ufam.

– Świetnie. – Charles wziął głęboki wdech, jakby pierwszy raz skakał do basenu. – W pierwszej kolejności chciałbym wyjaśnić...

– Chciałbym-srałbym – zeźliłem się. – Nie mów mi, czego chciałbyś. Co z dziećmi, które zabiłeś?

– Nie zabiłem żadnych dzieci! Wszystkie dzieci żyją i mogę je sprowadzić z powrotem. Przez cały czas szukałem sposobu, jak to zrobić.

– W księżde, nie mylę się? Tej, którą sprzedał twojemu pradziadkowi Eli Warren?

– Skąd ty... Nieistotne. Tak, wciąż szukam sposobu na to, jak sprowadzić je tu z powrotem. Jest to dla mnie absolutny priorytet. Te dzieci to następne pokolenie Hammer Bay.

Roześmiałem się.

– Kandydujesz na prezydenta czy co?

– Kpij, ile chcesz, ale wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla dobra mieszkańców Hammer Bay. Ciężko pracowałem, żeby stworzyć miejsca pracy i zwrócić ludziom ich godność.

– Ale nie w pojedynkę – powiedziała Annalise.

– To prawda – odrzekł i zrobił pauzę. – Pomagał mi swego rodzaju konsultant. Jasnowidz.

– Ten sam, z którego usług korzystał twój ojciec i dziadek.

– I pradziadek też. Ojciec mówił mi, żebym nie prosił go o pomoc zbyt często, ale tyle było rzeczy, których nie rozumiałem. Ludzi...

Mówił i mówił, brzmiąc jak strudzony aktywista, uginający się pod ciężarem obowiązku i nakręcający własnymi ideami i pomysłami. Uderzyło mnie, co powiedział o „jasnowidzu”. A co, jeśli ten ktoś nie tylko zaglądał w przyszłość, ale też kontrolował ją za pomocą magii?

Posługiwanie się czarami, które pozwalałyby mu w jakiś sposób wyjść z biegu czasu, wiele by tłumaczyło, chociażby to, w jaki sposób ręce Annalise nie zalecały się niezależnie od ilości pochłoniętego mięsa. Albo to, jak bracia Dubois mogli zregenerować każdą ranę, choćby najpoważniejszą i najbardziej śmiertelną. Może wskutek rzucanych przez

maga czarów następowało punktowe bądź całościowe cofnięcie się w czasie naruszonej powierzchni ciała, aż do momentu przed zadaniem obrażeń? Może dlatego świeżo naniesiony sigil na ciele Sugara Dubois nie był w stanie go uleczyć. Po prostu nie mógł cofnąć uszkodzonego obszaru ciała do czasu, kiedy jeszcze nie został naniesiony.

Co się zaś tyczy rodziny Hammerów, przypuszczałem, że ataki, które miały miejsce w trudnych czasach, podobnie jak sprytne posunięcia, za pomocą których wychodzili z opresji, miały ścisły związek z wizjami przyszłości. Ale co, jeśli to było coś więcej niż wizje? Jeśli Hammer nie tylko zaglądał w przyszłość, ale zmieniał ją mocą swojej magii?

Jak inaczej, na litość boską, wytłumaczyć fakt, że klienci niemal zabijali się o te jego lalki Marii Antoniny?

Spróbowałem wyobrazić sobie zaklęcie na tyle potężne, że potrafiłoby kontrolować całe społeczności ludzkie. Nie mieściło mi się to w głowie. Jak to możliwe, żeby Charles Trzeci był na tyle potężny, by zmusić całe rzesze ludzi, aby uwielbiały jego produkty? Jak wielką musiał władać mocą, by wymazać z pamięci tylu osób wspomnienie własnych dzieci?

Wtedy mnie oświeciło. On wcale tego nie robił. Tylko ten jego „konsultant”.

Poczułem dreszcz. Annalise miała rację. To nie moja liga.

Na twarzy szefowej zobaczyłem groźny grymas.

– Słuchasz tych pierdół?

Charlie Trzeci truł właśnie o założeniu fabryki.

– Jego pradziadek przywołał drapieżcę z Pustek, prawda? – spytałem. – A ten kutas jakoś się z nim porozumiewa i z jego pomocą zmusza ludzi, żeby kupowali te jego pierdolnięte zabawki. W zamian za to drapieżca zabiera z miasta dzieci, pewnie po to, by się nimi żywić.

– Doszłam do podobnych wniosków – odpowiedziała. – I mogę się założyć, że to ten drapieżca opętał kobiety w biurze. – Pokazała swoje poranione ręce. – I spalił je, gdy go chroniły. Sam Hammer nie ma ani dostatecznej mocy, ani jaj na takie posunięcie.

Zwróciłem się do Katza:

– Pamiętasz, co się wydarzyło po naszym spotkaniu w twoim biurze?

– Jakim spotkaniu? – powiedział z irytacją. – Pierwszy raz widzę was na oczy.

Charles tymczasem rozgadał się na dobre, ale ja nie słuchałem go już, tylko skupiłem całą uwagę na Able'u. A więc to była prawda. Jak podejrzewałem: w ogóle nie pamiętał spotkania, tak jak Doug i Meg nie pamiętali swoich zabitych dzieci. Drapieżca kontrolował tych ludzi.

– Dlaczego drapieżca jeszcze nie wpadł w amok? Czemu jeszcze nie pozabijał wszystkich ludzi na Ziemi?

– Pewnie jest w jakiś sposób spętany – powiedziała Annalise. – Eli musiał pomóc im go przywołać, a potem spętać.

– To było całe lata temu. Myślisz, że drapieżca zdoła się uwolnić?

Szefowa przeniosła wzrok na Katza, który mierzył nas złowrogim spojrzeniem. Zapewne był zdania, że nie poświęcamy dostatecznej uwagi przemowie szefa.

– Z tą wolnością, którą już ma, i tak kwalifikuje się do likwidacji.

Przed oczami stanął mi obraz rozpadających się, płonących dzieci. Dzieci, które zmieniały się w stertę robactwa pełzającego na południowy zachód. Właściwie to tutaj albo do jakiegoś miejsca niedaleko wieży. Naszła mnie myśl, że może drapieżca żywi się tym robactwem.

Kiedy Hammer zaczął bredzić o atrakcyjnych cenach nieruchomości, miarka się przebrała.

– Zamknij się! – warknąłem. – Chcesz uniknąć rozlewu krwi? Złożę ci propozycję. Odpraw swoich siepaczy. Przekaż nam wszystkie kopie księgi, którą Eli Warren sprzedał twojemu praszczurowi, i zabierz nas do tego swojego „konsultanta”.

– Ależ – zająknął się głos – bez konsultanta firma nie będzie mogła dalej działać.

– Firma kończy działalność – poinformowałem go. – I ty też. Za dużo masz krwi na rękach.

– Ale ja mogę odnaleźć te dzieci!

– Słyszycie to? – zawołałem do ochroniarzy. – Ja mówię o ginących dzieciach, a on się martwi o firmę. Będziecie chronić takiego człowieka?

– Na próżno strzępisz sobie język – odezwał się Able. – Ci ludzie nie obrócą się przeciwko nam. To profesjonaliści. Dlatego ich zatrudniłem. Żeby wykonywali swoją robotę.

– A ty lepiej wykonaj swoją – powiedziała do mnie Annalise.

Upuściła garść zielonych wstęg na wykładzinę i złapała mnie za ramię, krzywiąc się z bólu.

Wstęgi po zetknięciu z podłożem buchnęły zielonym ogniem. Płomienie opłoty moje nogi, ale nie poczułem bólu. Kilku ochroniarzy gapiło się na nas w zdumieniu, jeden krzyknął. Myśleli, że się podpaliliśmy.

Ogień pełzał po naszych ciałach, przemieszczał się falującą smugą. Kiedy tylko płomień wzniósł się ponad naszymi głowami, Annalise przypuściła atak.

Twarz Able'a Katza zmieniła się. Wziął głęboki wdech.

Z głośnika dobiegało głośne: „Nie! Nie! Nie!”.

Annalise za jednym zamachem przewaliła biurko na bok. Ciężki mebel roztrzaskał okno i zerwał kotarę z karnisza, wylatując wraz z nią na zewnątrz.

Czterech ochroniarzy po obu stronach Able'a otworzyło ogień do Annalise, zagłuszając desperackie wołanie Hammera.

Runęła na Able'a, wbijając go w ścianę z odrażającym plaśnięciem. Z jego ust strzeliło płomieniście czerwone inferno, podpalając drewniany strop. Miał zamiar zionąć na nas ogniem, tak jak kobiety w biurze Hammer Bay Toys.

Zniżyłem się, wciąż omieciony zielonym płomieniem, i odtoczyłem do ściany. W zamkniętym pomieszczeniu huk wystrzałów dziurawił bębunki. Poczułem, jak coś przemyka obok mnie. Pocisk musiał odbić się rykoszetem od kuloodpornego ciała Annalise.

Kucnąłem, a wokół mnie szalał szmaragdowy ogień; sześciu ochroniarzy pod ścianą puściło się pędem ku drzwiom, przez które weszli. Dobrze. Niech uciekają. Niech przeżyją.

Jeden z nich mnie zauważył. Podniósł broń.

Natychmiast poleciało ku niemu Ostrze Dusz. Jeden z kompanów wpadł na niego w pośpiechu w drodze do drzwi, kolejny dostał się w jego linię ognia. Nóż wszedł w ciało mężczyzny cał nad sercem.

Siepacz padł na podłogę, kolejny potknął się o niego i upadł obok drzwi, tarasując innym drogę. Ogień dosięgnął ich, omiół, a po chwili zupełnie zniknęli w zielonych płomieniach. Zaczęli krzyczeć.

Przywołałem Ostrze. Natychmiast znalazło się w mojej dłoni. Pozabijałem ich. Cholera.

Drzwi za mną otworzyły się, niemal wylatując z zawiasów. Zawirowałem, rejestrując wzrokiem dwóch kolejnych ochroniarzy, obydwu

z uzi w rękach. Ponownie cisnąłem Ostrzem i dałem susa w płomień, przypadając płasko do podłoża.

Nad moją głową świsnęły kule. Nagle usłyszałem huk, jakby jedno z uzi wybuchło strzelcowi w rękach, a po chwili dwaj mężczyźni zanieśli się krzykiem. Wszyscy przestali strzelać, niespodziewanie zielony ogień wyparował. Rozejrzałem się wokół. Dwaj ochroniarze, którzy dopiero co weszli, zamienili się w dymiące szkielety.

– Dobrze się sprawiłeś – powiedziała Annalise, wróciwszy do mnie. Po tym jak ustała wymiana ognia, cisza była wręcz ogłuszająca. W powietrzu unosił się okropny swąd palonego mięsa i plastiku.

– Mam odmienne wrażenie – odparłem. Rzuciłem okiem tam, gdzie walczyła. Czterej kolejni mężczyźni zostali przemienieni w kupkę dymiących gnatów. Podobnie Able Katz.

Powinno mnie wziąć na mdłości, ale chyba nawykłem. Może gdyby ostało się jakieś ciało albo dwa, mógłbym zwymiotować własne flaki i rozbeczeć się jak mała dziewczynka, ale w tych okolicznościach pozostało mi tylko ośpienie. To było zbyt nierzeczywiste.

– Przynajmniej się nie męczyli. – Odwróciła się do mnie i zobaczyłem, że w miejscu prawego oka zieleje pusty oczodół. A zaraz poniżej, w kości policzkowej, widniał ślad po kuli.

– Chryste...! – wrzasnąłem, odskakując od niej. Zrozumiałem, że dostała dwa razy, raz w oko, a raz nieco poniżej. Nie miała w potylicy dziur wylotowych. Zachowywała się normalnie, jakby ukąsił ją komar. Czym ona, u diabła, była? Czy w ogóle żyła?

– Wiem – powiedziała. – To nic ładnego.

Dotknęła delikatnie twarzy sztywną, zaognioną dłonią. Jeden z palców trafił prosto w krwawy otwór.

To już było przegięcie. Skuliłem się w pół i zwymiotowałem cienkim strumieniem kwasu żołądkowego.

– Nie bądź baba – warknęła. – To nie ty dostałeś kulkę. Idziemy.

Ruszyła do wyjścia, rozkopując torującą jej drogę kości.

Boże, co ja tu robię? Czym ona była, do jasnej i pieprzonej cholery?

Chciałem za nią pójść, ale nie mogłem się przemóc. Nie mogłem ot tak przestąpić nad kośćmi ludzi, których dopiero co zabiłem.

– Co się tak wleciesz? – zezłościła się.

Nic nie powiedziałem. Nie mogłem nie myśleć o żonach, matkach i ojcach pozabijanych ochroniarzy.

Pośród ciał leżał rozbity w drobny mak komputer. Podeszedłem do niego i podniosłem kamerkę. Czerwona dioda wciąż się świeciła, ale nie wiedziałem, czy urządzenie dalej rejestruje obraz.

– To twoja wina – powiedziałem do kamery. – Ty sprowadziłeś tu tych ludzi. Ty ich zmusiłeś, żeby za ciebie umarli. Ty...

Coś wytrąciło mi kamerę z ręki. Była to nadpalona ludzka czaszka.

– Na litość boską! – wysyczała Annalise. – Właśnie dlatego nigdy nie będziesz nikim więcej jak tylko drewnianą kukłą, Ray. Jesteś, kurwa, za miękki. Nie gada się z celami. Nie prowokuje się ich. I nie zaprzyjaźnia się, kurwa, z nimi. To tylko wszystko utrudnia. Zachowuj się profesjonalnie, kurwa twoja mać. Traktuj ich jak obiekty. – Podniosła czaszkę i pomachała nią przed moją twarzą. – To porcelanowe laleczki, Ray, nic więcej. Jedne ładniejsze, inne mniej. Twoim zadaniem jest je roztrzaskiwać, choć nigdy na początku nie wiesz, za które będziesz się musiał zabrać.

Odsunąłem się od czaszki.

– Nie...

Skoczyła do mnie i przez chwilę byłem pewien, że wciśnie mi poczerńiałą czaszkę w twarz.

– To wystarczy, żebyś pękł? Weź się w garść. Oto, co robimy. Robimy trupy. I być może, jeśli zrobimy ich dość...

Urwała. Ręka jej się trzęsła. Pozwoliła czaszce upaść na wykładzinę, przytuliła rękę do piersi. Musiała cierpieć. Utkwiła wzrok w podłodze, zmarszczyła brwi. Dojrzałem w jej twarzy złość, ale i urazę. I ubolewanie.

Włączył się zraszacz przeciwpożarowy. Spojrzałem w górę, na tłamszone przez wodę płomienie, którymi buchnął pod sam sufit Able. Staliśmy wraz z Annalise w lejącej się z góry wodzie, omyci blaskiem słońca, które wdzierało się do pomieszczenia przez strzaskane okno.

– Szefowo...

– Mógłbyś zabić księdza, Ray? Mógłbyś zabić księdza, który próbuje tylko pomóc śmiertelnie chorym dzieciom? Czy mógłbyś zabić matkę, która własną pierś zasłania swoje potomstwo? Mógłbyś zabić pięciolatkę, której jedyną przewiną jest to, że jakiś dorosły kretyń rzucił na nią zaklęcie? Ja bym mogła. Zrobiłam wszystkie te rzeczy.

– Annalise...

– Jesteś w tym dobry, Ray. Jesteś dobry w tym fachu. A Towarzystwu potrzebni są dobrzy fachowcy, bardziej niż kiedykolwiek. Ale jeśli zatrzymasz się tuż przed linią mety i pozwolisz sobie na sentymenty, będziesz Towarzystwu kulą u nogi. Mamy całą planetę ludzi, których musimy uratować. Łapiesz? Jeśli ktoś stanie pomiędzy tobą a celem, a ty się zawahasz i nie wykonasz zadania, możesz mieć na sumieniu całą populację Ziemi.

Umilkła, zamknęła usta i obróciła się na pięcie. Wydawało mi się, że miała jeszcze sporo do powiedzenia, ale zrezygnowała. Ukryła to pod warstwą gniewu.

Niespodziewanie pomimo groteskowych ran zdała mi się nadzwyczaj ludzka. I nie mogłem odmówić jej racji. Jeśli teraz odpuścimy, umrze tylko więcej dzieci. Charles Hammer musi zginąć.

Ruszyła marszem na korytarz.

– Chodź – powiedziała. – Musimy przeszukać dom.

Schyliłem się po jedno z uzi. Tak jak myślałem, było chłodne w dotyku. Przełożyłem sobie pasek przez ramię. Broń z prawdziwego zdarzenia, a jednak nie czułem się z nią pewniej przed nadchodzącą walką.

W końcu podążyłem za szefową. Z korytarza odchodziło troje drzwi. Otworzyłem pierwsze, za którymi znajdowała się pusta łazienka. Annalise otworzyła drugie, znajdując za nimi pralnię i spiżarnię. Głębiej w holu usytuowana była obszerna kuchnia z wielką gazową kuchenką i chłodnią, a za nią schody na drugie piętro.

Trafiliśmy nimi do pojedynczego pokoju, gdzie strop wspierał się na rzędzie kolumn. Było tutaj kilka urządzeń do ćwiczeń, regały z książkami, schowki i taras z monstrualnym grillem węglowym, a dalej, pod ścianą, rozłożona futonowa kanapa.

– Tędy – wskazała Annalise i otworzyła kopnięciem drzwi, wchodząc na długi na dziesięć stóp, zakryty pomost, który prowadził do wieży. Przemierzyliśmy go, spoglądając na znajdujące się dwadzieścia stóp pod nami wyszczerbione czarne skały.

Wieża zbudowana była z szarych kamiennych bloków. Wewnątrz panowała ciemność, jeśli nie liczyć jedynej zapalanej żarówki.

Annalise wbiegła szybko po wiodących na górę drewnianych schodach. Próbowałem dotrzymać jej kroku pomimo rany od śrutu na nodze. Chyba zapomniała, że miałem robić za przynętę.

Pokonaliśmy spiralną klatkę schodową, nie zatrzymując się na półpiętrach ani nie wyglądając przez któreś z drobnych okien. Annalise przygotowała jedną ze wstęp, ale nie widziałem którą. Mój but zaczął wypełniać się krwią i zwolniłem.

Annalise dobiegła w końcu do drabiny u szczytu schodów, wspięła się po niej i wybiła ramieniem drewnianą klapę.

Wzdrygnęła się i spojrzała w dół, na mnie. Ktoś do niej strzelił. Głowa Annalise odskoczyła, momentalnie pojąłem, że dostała w twarz. Wstęga wysunęła jej się z palców, na jeden krótki moment zawisała bezwładnie na drabinie. Usłyszałem, jak strzelec przeładowuje strzelbę.

Zamiast spaść z drabiny i zlecieć na sam dół przez środek wieży, Annalise spięła się w sobie, nie dając za wygraną.

– Nie! – rozbrzmiał niedowierzający krzyk. – Nie!

Annalise prawie już przeszła przez otwór. Grzmotnął kolejny strzał, zasłoniła twarz ręką. Tym razem była gotowa i nawet się nie zachwiała.

Ktokolwiek siedział na górze, przeładował raz jeszcze. Wlazała do środka. A ja zaraz po niej.

Charles Hammer oparł się plecami o przeciwległą ścianę pomieszczenia. Annalise runęła na niego. Obniżył strzelbę i strzelił jej w nogi. Annalise padła na posadzkę, amortyzując upadek rękami. Słyszałem, jak syczy z bólu.

Omiotłem komnatę wzrokiem. Wszędzie wokoło leżały książki, a na podłodze dostrzegłem kolejny srebrny krąg, tym razem pogięty i powykrećany w rozmaite nieznanne mi sigile.

Charles Hammer stał po drugiej stronie kręgu. Wyglądał, jakby trawiła go choroba. Jego cera miała ziemisty odcień, włosy przetłuszczyły się, a pod oczami zbierały się czarne cienie. W pokoju cuchnęło starymi dywanami i prochem.

Annalise wstała. Włożyłem Ostrze Dusz w zęby i podniosłem uzi. Nie ma co się cackać.

Tęczówki i źrenice Hammera uciekły w głąb czaszki, Charles Trzeci otworzył usta i wziął głęboki wdech. Moje Wrota zapłonęły przenikliwym bólem. Miałem wrażenie, jakby ktoś wsunął mi rękę pod skórę i zacisnął pięść.

Pociągnąłem za spust. Nic. Jakby się zablokował. Nacisnąłem raz jeszcze, z całych sił, ale broń nie wypaliła. Uświadomiłem sobie, że może

jest zabezpieczona, ale nie miałem pojęcia, jak odbezpiecza się uzi.

Z ust Charlesa wyprysnęła kolumna płomieni. Annalise rzuciła się, wypychając mnie przez klapę w podłodze. Spadłem z drabiny w tym samym momencie, gdy płomienie ogarnęły ją od stóp do głów.

Słyszałem, jak wrzeszczy. Sam też wrzeszczałem. Leciałem w dół, ale wyciągnąłem rękę i zdołałem złapać się poręczy. Zatrzymałem się na krawędzi schodów, z nogami dyndającymi nad wielometrową przepaścią dzielącą mnie od parteru wieży.

Wciągnąłem się z powrotem na stopnie, wyplątując z paska pistoletu. Przez klapę wciąż widziałem szalejącą powyżej burzę ognia. Nie sposób było dostać się na górę, nie wchodząc jednocześnie w płomienie. Obejrzałem broń i znalazłem coś, co wyglądało na mechanizm odbezpieczający. Przerzuciłem małą dźwigenkę. Wrota na mojej piersi pulsowały bólem.

Nagle strumień ognia ustał, a w zaległej ciszy usłyszałem, że ktoś charczy i krztusi się. A niech to wszystko diabli, pomyślałem i wparowałem na górę z krzykiem.

Wszystko w pomieszczeniu było spalone na węgiel. Gryzący fetor dymu drażnił oczy i nos. Nigdzie nie widziałem Annalise. Hammer zatoczył się w stronę okna, trzymając się za gardło.

Wnętrze jego ust było tak samo czarne jak pomieszczenie wokoło. Ogień wypalił go od wewnątrz, ale naraz na jego twarz wrócił różowy kolor, a usta i gardło zaleczyły się tak szybko jak poszarpana krtań Arlene.

Strzeliłem do niego.

Próbowałem posłać w jego kierunku krótką serię przez środek ciała, od krocza do czoła, ale uzi miało dziki odrzut i zamiast tego pociski rozorały mu ramię. Charles Hammer Trzeci zachwiał się, stracił równowagę i wypadł przez okno.

Przebiegłem przez pokój, słysząc skrzypiące pod stopami nadpalone drewno. Dotarłem do framugi, nim zdążył uderzyć o ziemię. Na moich oczach ciało wyrznęło ciężko o skały i znieruchomiło.

Zauważyłem wprawiony w ramę okienną cienki srebrny drut. Biegł od pętli na podłodze do okna, a potem po ścianie wieży w dół. Zastanawiało mnie, gdzie też znajduje się drugi koniec. Jak również to, dlaczego nie przestawały mnie boleć Wrota.

I wtedy zobaczyłem, że Hammer unosi rękę. Kurwa mać. Nie wykończyła go ani seria z uzi, ani upadek na skały. Wciąż żył.

Obróciłem się do klapy w podłodze, zastanawiając się, czy może Annalise zdołała jakimś cudem wyskoczyć, ale wtedy zobaczyłem, że nie. Wcześniej przebiegłem obok, nie rozpoznawszy jej.

Spaliło ją. Jej skóra i ubranie były czarne i wysuszone jak zwiędła roślina. Rozszalały ogień nie zdołał strawić jej do kości, była na to za twarda. Jej usta zastygły rozwarte szeroko, a małe dłonie zacisnęły się w pięści. Znieruchomiała w takiej pozycji, jakby chciała mnie pobić. Leżała w kompletnym bezruchu, przemieniona przez Hammera w czarny, dymiący ochłap. Nie żyła.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Przykląłem i dotknąłem jej twarzy. Skóra pękła jak spalony papier, rozgrzany tłuszcz poparzył mi palce.

Cholera, cholera, cholera. I już? Tak po prostu?

Zbiegłem po schodach na sam dół wieży. Nie wiedziałem, ile dokładnie mam czasu, nim Hammer zdoła w pełni się zregenerować, ale byłem pewien, że niewiele. W głowie miałem mętlik, zastanawiałem się nad tym, dlaczego Annalise oddała za mnie życie, czy Ostrze Dusz albo srebrny nóż, które porwałem z haka przy drzwiach, poskutkują tam, gdzie zawiodło uzi, czy Żelazne Wrota na mojej piersi przestaną kiedyś boleć i czy ten ból nie oznaczał przypadkiem, że kolejne dzieci umierały, w chwili gdy biegłem do ich zabójcy.

Dotarłem na sam dół i przez grubą pleksiglasową osłonę pomostu dostrzegłem wlokącego się ciężko pośród ciemnych skał Charlesa Hammera oraz stertę potrzaskanych szarych kamieni, kontrastujących z czarnym podłożem. Pozostałości zrujnowanego zamku.

Pomost dzieliło od podłoża dwadzieścia stóp; wiedziałem, że nie mogę zeskoczyć na ostre skały. Zamiast tego wyciąłem w pleksi dziurę osiem na pięć stóp. Fragment materiału opadł na nierówne podłoże i zaklinował się między głazami.

Opuściłem się przez otwór, wyciągając ręce na pełną długość, i wylądowałem na wyciętej pleksi. Ugięła się pod moim ciężarem, ale nie pękła. Otrzepałem się i ruszyłem w ślad za Charlesem Hammerem, który

znajdował się teraz dobre trzydzieści jardów ode mnie. Przemieszczał się w kierunku południowo-wschodnim, choć nie miałem pojęcia dokąd. Miasto leżało na północnym wschodzie; jeśli więc pragnął schronić się wśród mieszkańców Hammer Bay, szedł w złym kierunku. Z tego, co wiedziałem, przed nim znajdowały się tylko lasy i góry.

Tropiłem go z Ostrzem Dusz w zaciśniętych zębach i srebrnym nożem w kieszeni, z uzi obijającym kolano, ilekroć przeskakiwałem ze skały na skałę. Zastanawiałem się, czy nie lepiej wyrzucić pistolet, skoro okazał się bezużyteczny, ale jakoś nie mogłem się zdecydować. Uznałem, że pozbywanie się jakiegokolwiek broni byłoby głupotą.

Annalise zabroniła mi mierzyć się z Hammerem w pojedynkę. Powiedziała, że to nie moja liga. Obstawiałem, że miała rację. Ale dopiero co dotykałem jej spalonej twarzy. Nie mogłem teraz odpuścić. Nie mogłem tak tego zostawić.

Skupiłem się na skałach, próbując w miarę możliwości przyspieszyć i tyle nie myśleć. To nie był dobry czas na myślenie o Annalise. Należało go spożytkować na odkrycie, czym stał się Charles Trzeci, gdzie kończył się srebrny drut i jak najskuteczniej wyprawić Hammera na tamten świat.

Oderwałem wzrok od skał i rzuciłem okiem na trasę przed sobą. Hammer zniknął. Zakląłem siarczyście i puściłem się pędem do miejsca, gdzie mignął mi po raz ostatni. Może wszedł do jakiejś jaskini albo wpadł do rozpadliny? Jeśli zrobił się niewidzialny, to naprawdę nie miałem z nim szans i sam zmierzałem w złym kierunku.

Nie ustawałem w marszu, jak żaba skacząc ze skały na skałę. Wzrok podnosiłem tylko okazjonalnie, na wypadek gdyby Charles wychynął niespodziewanie zza wzgórza czy sterty kamieni.

Przeskoczyłem głaz i straciłem równowagę na płaskim stosie kamieni, pozostałości po zawalonej ścianie. Wśród szarych bloków sterczały kawałki drewnianych mebli, a nieco dalej leżała sterta pobitych naczyń. Stałem na gruzach zamku.

Pokonałem kilka ostatnich jardów do punktu, gdzie zniknął Hammer. Pusto. Nie licząc strzępu wyblakłej czerwonej tkaniny i rozbitego w drobny mak zegara stojącego, od lat płowiejącego na słońcu i deszczu, nie widziałem zupełnie nic. Rozejrzałem się. Jeśli naprawdę zrobił się niewidzialny, mógłby zajść mnie od tyłu i spalić na wiór, zanim się obejrzę.

Wtem zauważyłem wgłębienie pomiędzy dwoma skałami. Dałem susa w tamtą stronę.

No proszę! Stałem u szczytu wiodących w głąb ziemi schodów.

Zeskoczyłem na nie i ruszyłem w dół. Po dziesięciu stopniach gładki szary kamień przeszedł w chropowaty, skalisty tunel jaskini. Ciemniało raptownie, a ja nie miałem ze sobą żadnego źródła światła. Ponownie przypomniałem sobie ostrzeżenie Annalise, ponownie stłumiłem tę myśl. Uratowała mi życie. Nie pozwolę, by ten człowiek długo chodził po ziemi.

Zwalniałem stopniowo w miarę gęstnienia opływającej mnie zewsząd ciemności. Wciąż widziałem drogę przed sobą, ale coraz słabiej. Daleko jeszcze? – pomyślałem, gdy nagle skończyły się schody, a droga rozdzieliła się na dwa tunele, jeden w lewo, drugi w prawo. Wyteżyłem słuch, próbując wyłapać odgłos kroków Hammera, ale nie słyszałem nic poza szumem oceanu.

Szlag. Którędy teraz? Jeden tunel biegł niemal dokładnie na południe, drugi skręcał gdzieś na północny zachód. Pierwszy prowadził od ruin, drugi do nich. Wiele zależało od tego, czy trafnie wybiorę.

Moją uwagę przykuł jakiś błysk na ścianie. Srebrny drut. Biegł pod samym sufitem i znikał w ciemności tunelu północno-zachodniego. Wyciągnąłem rękę i przesunąłem po nim palcami, wyczuwając zardzewiały żelazny element w kształcie litery U, który trzymał drut na miejscu.

Ruszyłem, gdzie prowadził. Osuwając się coraz głębiej w mrok, umieściłem Ostrze Dusz z powrotem w kieszeni, a pistolet przerzuciłem na plecy. Nie odejmowałem ręki od drutu, upewniając się, że nie prowadzi do jakiegoś niewidocznego w ciemności tunelu albo nie wchodzi w litą skałę. Prawą rękę wyciągnąłem przed siebie i posuwałem się naprzód, potykając sporadycznie o nierówności podłoża.

Nie umiałem określić, czy jaskinia była dziełem ludzkich rąk, czy tworem naturalnym. Modliłem się, by nie natrafić w ciemności na ścianę, po której będę się musiał wspinać.

Podłoże wybrzuszało się miejscami, a potem znowu opadało. Obejrzałem się na wejście do tunelu za moimi plecami. Nawet z tej odległości wciąż dało się dostrzec złote promienie popołudniowego słońca. Wznowiłem marsz.

Przedzieranie się przez korytarz szło mi w najlepszym razie mozolnie. Denerwowało mnie to, że nie słyszałem kompletnie nic poza odbijającym

się tu echem szumem morza. Pragnąłem dosłyszeć kroki i klątwy Hammera, uderzającego czołem o nierówny skalny sufit. Chciałem uzyskać jakiś dowód, że idę w dobrym kierunku, najlichszą bodaj wskazówkę, że nie błędzę w ciemności.

Tunel zakręcał w prawo, następnie prostował się nieco, aż w końcu wyraźnie opadał. Pomyślałem, że mogę być w tej chwili gdzieś pod domem, ale niepodobna było utworzyć w pamięci mapę przebytej drogi. Pozostawało mi nie puszczać drutu i przeć naprzód.

Nagle moja noga utonęła po kostkę w gorącej wodzie. Odskoczyłem przestraszony i wyrznąłem o coś głową. Wyteżyłem słuch. Odgłos oceanu nasilił się.

Ruszyłem naprzód. Woda dotknęła mojej nogi i odpłynęła, po chwili znowu. To przecież ocean. Fale naprzemiennie zalewały tunel i odpływały. Brodziłem kilka kroków, zanurzwszy się po kolana. Tylko dlaczego ten ocean był ciepły? Może gdzieś tutaj znajdował się wulkan albo coś w tym stylu.

Brodziłem dalej; woda była gorąca, ale nie do tego stopnia, by parzyć. Niektórzy, powiedziałem sobie w duchu, płacą grube pieniądze za korzystanie z podobnych źródeł. Tunel obniżył się i szybko dotarłem do punktu, w którym cały wchodził pod wodę.

Cholera. Czy Hammer naprawdę przebył tę samą drogę? Za nic nie chciałem tutaj utonąć, ale srebrny drut wyraźnie prowadził naprzód. Brzydziłem się myślą, że miałbym wypuścić Hammera z rąk, bo na ostatniej prostej zabrakło mi odwagi. Wzięłem głęboki wdech, potem kolejny i wszedłem pod wodę, półpłynąc naprzód i czepiając się skał.

W mroku i słonej wodzie nie było sensu otwierać oczu. Przypomniałem sobie obślizgłe szare robactwo; wbrew woli wyobraziłem sobie, że to w nim brodzę, że wpełza mi pod skórę.

Dość, nakazałem sobie, oczyścić umysł. Skup się na drodze. Parłem przed siebie zanurzonym w oceanie tunelem. W płucach powoli budziło się zmęczenie. Jeśli wkrótce nie znajdę powietrza, zaraz będę musiał zawrócić.

Nie. Nie zawrócę. Albo dotrę na drugą stronę, albo tutaj właśnie utonę i zgniję. Jeśli Charles Hammer przedarł się tędy, to ja też dam radę.

Chyba że rzucił zakłęcia umożliwiające widzenie w ciemności i oddychanie pod wodą. Albo skręcił w inny tunel, a ten jest zablokowany.

Z całych sił wzbraniałem się przed tymi myślami, wiedziałem bowiem, że już o wiele za późno, by zawrócić.

Palilo mnie w płucach jak diabli. Ale trzymałem się jakoś, wiedząc, że powrotu nie ma. Za daleko zaszedłem. Postawiłem wszystko na jedną kartę i przegrałem.

Dotarłem do kolejnej skały, ale drut wiódł naprzód. Wpadłem w panikę, wypuściłem z ust bąbel powietrza. A potem natrafiłem ręką na wgłębienie.

Tunel zwrócił się ku górze. Włokłem się przed siebie, żywiąc nadzieję, że nie uderzę o nic głową i nie stracę przytomności.

U kresu sił przebiłem się przez powierzchnię wody i nabrałem do płuc ciężkiego, zastalego powietrza. Cuchnęło solą i wilgocią, zrazu nie dając mi dość tlenu. Wczepiłem palce w skały, desperacko oddychając.

Po minucie moje serce przestało walić jak szalone i mroczki przed oczami ustąpiły. Powietrze nie było pierwszego sortu, ale chyba mnie nie zabije.

Zobaczyłem światło. Skądś nade mną bił przytłumiony blask.

Roześmiałem się w głos. Światło. Sam jego widok dodał mi sił.

Jaskinia w tym miejscu przechodziła do pionu, formując komin o chropowatych ścianach. Złapałem najbliższy występ skalny i zacząłem się wspinać. Kamień był mokry i śliski, zmuszał do rozważnego obierania drogi.

Kilka ładnych jardów nad ziemią zaczepiłem paskiem uzi o skalną wypukłość. Przeszedł mnie zimny dreszcz na myśl o tym, co by się stało, gdybym zaplątał się w coś pod wodą.

Wdrapałem się na samą górę i przelazłem przez krawędź. Tunel zakręcał ostro, odcinając widok na to, co znajdowało się za węglem, ale widziałem, że światło dochodziło gdzieś stamtąd. Podpełzłem, robiąc możliwie najmniej hałasu. Powietrze było tu czystsze, ale wciąż ciężkie od wilgoci. Wstałem. Strop zwieszał się nisko i dalej musiałem iść przygarbiony. Grunt podnosił się łagodnie. Dotarwszy do najwyższego punktu wzniesienia, zobaczyłem, że wzdłuż ściany dalej biegnie zbryzgany błotem srebrny drut.

Minąłem zakręt, obmacując kieszenie w poszukiwaniu Ostrza i noża. Obydwa były na miejscu. Przerzuciłem uzi z pleców do boku i osuszyłem z wody, na ile było to możliwe.

W oddali przed sobą zobaczyłem zwężający się korytarz; kończyła go wąska szczelina. Wyjrzałem przez nią ostrożnie. Pode mną rozciągała się

obszerna grota uformowana z wulkanicznej skały. Wzdłuż przeciwległej ściany falowała biała kreska morskiej piany, znacząc kontur ślizgającej się po brzegu fali. Na strop napierały kłęby pary wodnej, a jama oświetlona była rozproszonym w niej blaskiem, mającym swe źródło gdzieś po lewej.

Przecisnąłem się przez szczelinę. Nigdzie nie widziałem Charlesa Hammera. Dostrzegłem za to, że z boku otwiera się tu kolejna jaskinia i że to stamtąd bije owa osobliwa jasność. Może Charles Trzeci kierował się w tę stronę?

U moich stóp rozpoczynała się cienka i biegnąca wzdłuż półki skalnej ścieżka; nie widziałem żadnej drogi prosto na dół. Wyglądało na to, że jedynym sposobem, by się tam dostać, było zejść po pionowej ścianie albo zlecieć na skrzydłach. Nie miałem zamiaru wypróbować żadnego z tych sposobów.

Nagle do moich uszu dobiegł zbolący jęk, który odbił się echem od skał. Cofnąłem się do wąskiej szczeliny za plecami. Z przejścia daleko po prawej stronie wyszedł Charles Hammer, a potem po rozłożonych na ziemi deskach przebiegł przez jaskinię prosto do groty po lewej.

Skurwiel jednak poszedł drugim tunelem, poważnie nadkładając drogi i sądząc zapewne, że korytarz, który ja wybrałem, jest ślepy.

Znajdowałem się za daleko, by próbować do niego strzelać z pistoletu maszynowego, pomijając już, że i tak nie wyrządziłbym mu większej krzywdy konwencjonalną bronią. Był też zdecydowanie za daleko, bym próbował rzucać Ostrzem.

Ruszyłem wypatrzoną wcześniej ścieżką, próbując tym razem nie stracić go z oczu, co było trudne, ponieważ poruszał się dość szybko, a skała była śliska i zdradliwa. Nawet pomimo wybranego przeze mnie skrótu wciąż znacznie mnie wyprzedzał.

Moja jedyna przewaga w tym, pomyślałem, że jeszcze nie wie, że tu jestem. Chwyciłem za pistolet i ruszyłem w ślad za Hammerem. Tymczasem on dobiegł już do przejścia do kolejnej jaskini.

Przebyłem całą ścieżkę i zacząłem schodzić długimi, wykutymi w kamieniu schodami. Odgłos tenisówek Charlesa niósł się echem po grocie.

Po przebyciu piętnastu stóp znalazłem się przy kolejnej szczelinie, przez którą mogłem niepostrzeżenie zajrzeć do groty poniżej. Zajrzałem więc.

I zobaczyłem.

Nie tak dawno temu skorzystałem ze skradzionego zaklęcia, by odkryć położenie wędrujących po Pustkach drapieźców, szukających tętniących życiem światów, takich jak nasz. Były to dziwne stwory z kamienia, barwy lub ruchu; przerażająco obce istoty żyjące w przerażająco obcym środowisku. To, co dostrzegłem w jaskini poniżej, sprawiło, że na moje ciało wystąpił zimny pot. Patrzyłem właśnie na jednego z tych drapieźców.

Miał formę olbrzymiego ognistego koła, wysokiego na sto pięćdziesiąt stóp i zanurzonego częściowo w zbiorniku morskiej wody. Ze zbiornika szły ku stropowi kłęby pary, wypełniając pomieszczenie wilgocią i skraplając się na skałach.

Charles Hammer podszedł do stwora. W jego środku rozwarło się wielkie płonące oko i spojrzało na niego.

Skryłem się za skałą i wstrzymałem oddech. Wstrząsnął mną dreszcz. Drapieźca żył. Ogniste koło żyło i znajdowało się tutaj, na Ziemi. Wyjrzałem ostrożnie z kryjówki i zobaczyłem to, co spodziewałem się zobaczyć: otaczającą potwora grubą plecioną pętlę ze srebrnego drutu, wygiętego tu i ówdzie w magiczne sigile. Z punktu, gdzie się znajdowałem, drut wyglądał na zupełnie nowy.

Na ścianie zauważyłem kolejny drut biegnący w dół, ku pętli. To on wyznaczał mi do tej pory drogę. Kiedy zmrużyłem oczy, dostrzegłem dokładnie punkt, w którym stykał się z kręgiem. Odsunąłem od niego rękę. Co, jeśli płomieniste koło wyczuje, że go dotykam, tak jak pająk wyczuwa, że mucha zaplatała się w pajęczynę?

Boże, i co ja niby mogłem tu poradzić? Przywarłem do podłoża. Miałem przed sobą źródło mocy Hammera i byłem pewien, że tkwi tutaj od dekad.

Wyjąłem Ostrze Dusz z kieszeni i na nie spojrzałem. Jak mam pokonać potężnego ognistego drapieźcę jednym zaklęciem? Srebrny nóż sprawiłby się o wiele lepiej. Zakładając, że miałbym dość odwagi albo był na tyle szalony, by przekroczyć srebrną pętlę, która oplatała tego sukinsyna. A jeśli mój atak pozwoli mu opuścić krąg?

Szefowa miała rację. Nie moja liga.

„Uwielbiają, gdy się je przywołuje” – powiedziała Annalise. „Ale nienawidzą, gdy trzyma się je siłą w jednym miejscu”. Ponownie wyjrzałem przez szczelinę. Nie odniosłem wrażenia, że drapieźca jest rozzłoszczony. Nie wyczytałem z wielkiego oka złej woli, tylko niepojętą moc i niepojętą obcość.

Charles Hammer Trzeci stał przed kręgiem ze wzniesionymi nad głowę rękami. Krzyczał do drapieźcy, zaklinał go, tak jak kultysta mógłby zaklinać jakieś mroczne bóstwo, ale echa w jaskini nakładały się na siebie, czyniąc słowa niezrozumiałymi.

Wrotami na mojej skórze wstrząsnął najpotężniejszy jak dotąd spazm. Czułem płynące od ognistego koła fale niewyobrażalnej mocy, giąłem się pod ich napływem jak przytłoczona wichurą trzcina.

Poniżej Charles Hammer upadł na zbitą z drewnianych desek kładkę. Wił się niczym w agonii, przyciskając rękę do tego samego punktu na plecach, gdzie widziałem u Cynthii Wrota. Nagle rozluźnił się, przetoczył na kolana i przycisnął czoło do desek. Pomyślałbym, że zanoszą modły, gdybym nie widział, że wstrząsa nim szloch i że łapie gwałtownie powietrze.

Coś poczęło kapać z sufitu, przebijając się przez zbite kłęby pary i lądując dookoła Hammera. Początkowo przyszło mi do głowy, że sufit się wali, ale obiekty były na to za drobne i opad szybko ustał.

Hammer rozejrzał się wokoło, drobiny zaczęły się poruszać, a on uniósł ręce w geście bezradnej rozpacz.

Wtedy pojąłem, czym są. Kolejne dziecko spłonęło żywcem, a to były szare robaki, które zrodziły się w ogniu.

Robactwo popęzło po nierównym kamiennym podłożu ku dalekiej ścianie groty. Wyciągnąłem szyję i spojrzałem, gdzie dokładnie się kierowały.

Wtedy zobaczyłem drugie koło.

To nie było uformowane z ognia. Tworzyła je masa wijącego się, pulsującego robactwa. Było o wiele mniejsze niż to płonące i pozbawione srebrnej pętli. Glisty pełzały zgodnie z ruchem wskazówek zegara, stwarzając wrażenie, jakby koło się obracało.

To było dziecko drapieźcy. Ogniste koło wykorzystywało ciała dzieci z Hammer Bay do stworzenia drugiego koła, które nie byłoby spętane magicznym okręgiem.

Hammer ponownie zwrócił się do płonącej istoty, znów próbując ją przebłagać. Pojedyncze oko nie zareagowało, nie zmrużyło się gniewnie. Po prostu gapiło się niewzruszenie na człowieka.

Nie istniał żaden sposób, aby zmienić robaki z powrotem w ludzkie dzieci.

Hammer przewrócił kopniakiem platformę ze zbitych desek. Pod nią znajdował się kolejny srebrny okrąg, bardzo podobny do tego w wieży. Wszedł w jego środek. Moje Wrota uderzyły bólem. Pociemniało mi przed oczami i zemdlałem.

Obudziłem się, nie mając pojęcia, jak długo leżałem bez ducha na kamiennych schodach. Nie ufajdałem bokserek, nie chciało mi się pić, więc chyba nie dłużej niż kilka godzin, choć równie dobrze mogło to być kilka sekund. Zerwałem się na nogi i zajrzałem przez szczelinę.

Charles Trzeci zdążył opuścić krąg i czołgał się po skale ku młodemu drapieźcy. Szare glisty oblażyły jego ubranie i wpełzły we włosy. Hammer, nie zważając na nie, chwycił się skały za skałą i mozolnie posuwał naprzód. Poruszał się, jakby spał; pełził po podłożu, jakby sam był robakiem.

W końcu dotarł do krawędzi kamiennej płyty, która lata temu musiała odpęknąć z sufitu, i znalazł się przy małym kole. Teraz gdy przy nim leżał, miałem niejaki pojęcie o jego aktualnych rozmiarach. Miało przynajmniej czterdzieści stóp średnicy.

Hammer wyiskał odzienie i włosy z robaków, rzucił je na drapieżcę, a potem stanął wśród skał i uniósł głowę, jakby głęboko oddychał.

Miał zamiar zionąć ogniem na młode. Miał zamiar je podpalić.

Zanim uświadomiłem sobie, co robię, uzi znalazło się w moich rękach. Zbyt duży dystans nie grał w tej chwili roli. Musiałem spróbować coś zrobić, cokolwiek. Nie mogłem pozwolić na to, by ogniście koło wydostało się z jaskini i poszło w świat. Musiałem jakoś powstrzymać Hammera.

Wypaliłem krótką serię z pistoletu, która skruszyła skałę dobre dwadzieścia stóp od Charlesa Trzeciego. Wycelowałem raz jeszcze i znowu wypaliłem, tym razem trafiając młode, które nie zareagowało.

Poczułem, że większe z potwornych kół skupia na mnie uwagę. Uderzyły fale mocy. Wrota na mojej piersi rwały pulsującym bólem. Nie ośmieliłem się spojrzeć w stronę atakującej mnie istoty. Nie miałem na to odwagi.

Z ust Charlesa Hammera wydobył się huczący słup ognia i omył młodego drapieżcę.

Zacząłem strzelać. Pociski dziurawiły skałę, na której stał człowiek, po czym jeden kompletnie przez przypadek rozorał mu kostkę. Stopa zgięła się bezwładnie jak ukręcony kurczakowi łeb, Hammer upadł ciężko na

podłozę. Strumień płomieni skierował się na sufit, gdzie nie mógł niczego podpalić.

Po ohydny cielsku młodego potwora przepelzły zbłąkane płomyki, ale zaraz zgasły. Jeśli Charles Trzeci ma zamiar go podpalić, będzie musiał spróbować jeszcze raz. Dostrzegłem, że mężczyzna przyłożył obie dłonie do gardła.

Odrzuciłem bezużyteczny już teraz pistolet maszynowy i puściłem się biegiem w stronę Hammera. Pamiętałem, że recepcjonistkę Carol unieszkodliwiłem, dziurawiąc jej krtań, gdy zionęła ogniem; zmniejszyłem w ten sposób ciśnienie płomieni w drogach oddechowych. Może ta sama sztuczka podziała na Hammera, a jeśli nie, to może podziała srebrny nóż zaaplikowany pod żebro. Tak czy inaczej, musiałem skrócić dzielący nas dystans.

Nie zwalniając karkołomnego pędu, przeskoczyłem kilka schodów naraz z Ostrzem Dusz w ręce i piekielnym bólem w łydce. Jeśli upadnę, myślałem, jeśli nie powstrzymam go w porę, zginę, a wraz ze mną nieprzeliczone masy ludzkie. Z całych sił próbowałem nie upaść.

Przeskoczyłem pęknięcie w skale, lądując na pozbijanych deskach. Załamały się pode mną. Moja noga zsunęła się po śliskim kamieniu i utknęła pomiędzy dwoma skałami. Złamana klepka skoczyła w górę i chlasnęła mnie boleśnie w wewnętrzną stronę uda. Nic nie zламаłem ani nie skręciłem, ale zanim wyostałem się z potrzasku, Hammer odzyskał inicjatywę, regenerując gardło i kostkę.

Znajdował się dobre pięćdziesiąt stóp ode mnie – za daleko, bym trafił go Ostrzem. A więc tę rundę przegrałem.

Obrócił się w stronę młodego drapieźcy. Widziałem, jak nabiera powietrza.

I nagle wpadłem na pomysł. Skoro potrafiłem przywoływać Ostrze, to może mógłbym kontrolować je również w inny sposób. Spojrzałem na trzymane w dłoni zakłęcie i wyobraziłem sobie, jak przenika przez gardło Charlesa Hammera Trzeciego.

Z jego ust strzelił płomień, a ja wwiercałem się wzrokiem w postrzępione zakłęcie i zmusiłem je siłą woli do ruchu. Ostrze Dusz drgnęło i wystrzeliło z mojej dłoni w stronę odwróconego ode mnie bokiem mężczyzny.

Tymczasem on poruszał już głową z lewej do prawej, okrywając całe wijące się koło potomka drapieżcy grubym płaszczem ognia. Niektóre z robaków zaczęły już tryskać językami płomieni. Hammer odwrócił się na tyle, bym dostrzegł część jego twarzy, na której malowało się agonalne cierpienie.

Ostrze trafiło go w bok szyi. Ogień prysnął z rany jak para z zaczopowanej rury. Płomień ogarnął głowę, a strumień lejący się nieprzerwanie z ust stracił na sile i nie sięgał już młodego drapieżcy.

Nie zdoła go podpalić.

Hammer zachwiał się i padł na wznak z kłębiącym się ogniem zamiast głowy. Nie słyszałem, by krzyczał, ale wyobrażałem sobie, że bardzo chciał.

Przemierzyłem sprintem drewnianą ścieżkę. Wpatrywało się we mnie potworne oko. Gdy przebiegłem w pobliżu srebrnego drutu, ból we Wrotach nasilił się. Drapieżca sięgał ku mnie, próbując unicestwić. Gdyby nie zakłęcie Annalise, już bym nie żył.

Zeskoczyłem ze ścieżki i zacząłem biec po skale. W miarę zwiększania się odległości między mną a drutem ból słabł. Dotarłem do kamiennej płyty, na którą padł Hammer.

Leżał na plecach, wciśnięty pomiędzy dwa głazy. Widziałem, że jego spalona na węgiel skóra zaczyna stopniowo różowieć. Pragnąłem, by Annalise mogła zrobić to samo, i zniechęciłem go w dwójnasób.

– O Boże! – Zassał powietrze, jakby dotąd wstrzymywał oddech. – Już dość.

– Wspaniały pomysł – odrzekłem. Zsunąłem się po płycie i oboma kolanami wylądowałem na jego piersi. Wyjąłem z kieszeni srebrny rozcinacz.

– Nie! – wydarł się Hammer. Zaszamotał się, bijąc dziko ramionami i ryjąc skałę obcasami. Złapałem go za ramiona, przycisnąłem do ziemi. Oczy uciekły mu w głąb czaszki. Zaczepnął tchu.

Wraziłem mu srebrne ostrze w podbródek i zatopiłem w mózgu. Drgnął raz, potem drugi. Nie zionął już ogniem. Ucichł, znieruchomiał. Umarł.

Stałem nad nim, nie wyciągając z rany rozcinacza. Charles Trzeci nie regenerował się, nie zdradzał znaków życia. Trafiony, zatopiony. Płomienne koło nie miało nad nim władzy, gdy tkwiło w nim srebrne ostrze.

A przynajmniej taką żywiłem nadzieję. Srebrny krąg, który pętał płonące koło, nie mógł ograniczać niewyobrażalnej mocy drapieźcy zbyt długo. Nie miałem pojęcia, przez jaki czas rozcinacz utrzyma go w szachu.

Mógłbym obrócić Hammera na plecy i rozciąć jego Żelazne Wrota, ale zrezygnowałem. Co bym w ten sposób osiągnął poza umożliwieniem drapieźcy wymazania jego pamięci?

Podniosłem wzrok na istotę z Pustek. I poczułem się bardzo mały pod spojrzeniem tej odrażającej kreatury.

– Rozumiesz mnie? – spytałem. Annalise mówiła, żebym nie rozmawiał z celami, ale nie mogłem się powstrzymać. – Rozumiesz, co mówię? Czy potrafisz zaglądać w przyszłość? Czy potrafisz ją kontrolować?

/Tak./

To nie był dźwięk. To było jak nacisk na Wrota na mojej piersi i na mój umysł. Poczułem się schorowany i bezbronny, jak mrówka widząca nad sobą but.

– Czy możesz zmusić mnie, żebym zrobił, co każesz, tak jak zmusiłeś rodziców dzieci i klientów firmy?

Tym razem nie doczekałem się odpowiedzi. Wziąłem to za „nie”.

Podszedłem do mniejszej drucianej pętli, w której stał uprzednio Hammer. Była połączona innym srebrnym przewodem z głównym okręgiem.

– Co musiałbym ci dać, żebyś zmienił dla mnie przyszłość? Czy muszę znaleźć się w srebrnym kręgu?

/Tak./

– No cóż – powiedziałem – tym gorzej dla ciebie, ty wielki skurwysynu.

Podniosłem rękę. Ostrze Dusz wylądowało w niej jak powracający do gniazda ptak. Pochyliłem się i przeciąłem przewód łączący mały krąg z dużym, a potem ten, który biegł z grotty do wieży. Nie widziałem żadnych innych.

Natychmiast poczułem, jak nacisk na Wrota niknie. Odizolowałem płonące koło, częściowo zmniejszając moc, jaką roztaczało nad światem poza kręgiem. Żywiłem nadzieję, że przecięty drut i srebrne ostrze w mózgu Hammera uniemożliwią drapieźcy uleczenie go.

Wspiąłem się po skalnej pochyłości z powrotem do młodego. Drobne szare robaki wciąż krążyły po okręgu. Jeszcze nie był gotów do przyjścia na świat. Może nasz szturm na Charlesa Hammera przyspieszył formowanie

się płodu, zmuszając koło do obdarzenia swego potomka ogniem ducha, nim stał się w pełni gotów na jego przyjęcie. Nie miało to już znaczenia.

Wyjąłem Ostrze, pozwalając robakom ranić się o jego krawędź w swym ślepym ruchu po okręgu. Glisty rozpadały się pod tym dotykiem, opadając na skały jak niesiony wiatrem popiół. Odejmowałem rękę, ilekroć strzelały w powietrze drobne strumienie ognia. Na całe szczęście ogniki nie rozrastały się w płomienie.

Poczułem, jak napiera na mnie przejmujący żałobny jęk. Poczułem go raczej, niż usłyszałem. Wypełnił mnie, poruszył do głębi. Mordowałem nienarodzone dziecię na oczach rodzica, który mógł się tylko bezczynnie przyglądać.

Zajęło mi to trochę. Robaki szły w tysiące, a ja mogłem zabić najwyżej cztery czy pięć jednym ruchem ręki. Mógłbym zwiększyć tę liczbę, ale nie chciałem rzucać zaklęcia, na wypadek gdyby koło mogło je w jakiś sposób przejąć. Nie miałem też zamiaru ryzykować, że któryś z robaków dotknie mojej skóry.

Poczułem, jak drapieżca wrywa się, by sięgnąć mnie swoją mocą. Nie zdołał. Przecięcie przewodów ograniczyło jego wpływy w świecie poza kręgiem. Choć mimo to Wrota na mojej piersi wciąż pulsowały i kłuły.

Małe koło kurczyło się z każdym kolejnym cięciem. Ostatecznie otwór w jego środku zniknął. Kiedy to nastąpiło, pozostałe robaki obumarły i poodpadały na skałę.

Matko, ależ byłem głodny. I spragniony. Ale najbardziej na świecie pragnąłem uciec jak najdalej od Hammer Bay. Nie miałem pojęcia, jak bardzo będę musiał się oddalić, by przestał mnie boleć sigil na piersi, ale byłem zdeterminowany wcisnąć gaz do dechy i się przekonać.

Piekielne ogniste koło to naprawdę nie był przeciwnik dla mnie. Wolałem nawet na nie nie patrzeć. Zabiorę księgę czarów Charlesa Hammera, jeśli zdołam ją znaleźć, a potem przekażę ją Towarzystwu. Niech oni się głowią nad tym, co zrobić z drapieżką. Ktoś musiał go zniszczyć, ale na pewno nie ja.

Wspiąłem się po skałach do drewnianego przejścia.

Charles Hammer zniknął.

Zakląłem i obróciłem się do drapieżcy. Tam również go nie było.

Powiodłem wzrokiem po całej jaskini. Przepadł jak kamień w wodę.

Pobiegłem szybko do miejsca, gdzie kończyła się ścieżka na skalnej półce, udając, że nie wisi nade mną i nie obserwuje każdego mojego kroku wielkie płonące oko, po czym ruszyłem ile sił w nogach do zewnętrznej jaskini. Nie wiedziałem, jak dawno temu Hammer ożył i umknął, ale spodziewałem się, że obierze tę samą długą drogę, którą tu przybył. Pognałem po schodach i skierowałem się do skrót.

Droga powrotna okazała się niespodziewanie krótka. Nie wiem, czy dlatego, że skupiłem się całkowicie na pościgu za Hammerem, czy dlatego, że już znałem szlak przed sobą, ale błyskawicznie dotarłem do punktu trasy, z którego poprowadziło mnie na powierzchnię światło dnia.

Na najwyższym stopniu dostrzegłem pojedynczą kroplę krwi. Drugiej szukać nie musiałem. Nie potrzebowałem tropić Hammera po krwawych śladach. Będzie albo w domu, albo w garażu. Albo się pakował, albo już to zrobił i odjeżdżał.

Pędziłem, to biegnąc, to dając susy przez skały, kierując się ku asfaltowemu parkingowi i garażowi. Nie widziałem światła w oknach, nie dostrzegłem najmniejszego ruchu. Niedobrze. Jeśli zdążył dać drapak, to koniec. Nie znałem tu nikogo, kto byłby skłonny mnie na niego naprowadzić, nie wiedziałem, gdzie mógłby się skryć, i byłem, cholera, bez grosza. Kiedy skończy mi się paliwo w vanie, będę uwięziony, dokądkolwiek dojadę.

A jeśli Hammer zdoła dostać się na pierwsze lepsze lotnisko, szukaj wiatru w polu. Może ktoś ze Stowarzyszenia dałby radę go zlokalizować, ale przecież nie miałem jak się z nimi skontaktować. Czyli albo teraz dopadnę go ja, albo nikt.

Dotarłem w końcu do asfaltowego parkingu i moje nogi z wdzięcznością powitały równą powierzchnię.

Obok garażu znalazłem kolejną kroplę krwi. Drogę wciąż blokował nasz van. Czyli Hammer nigdzie nie pojechał. Minąłem więc garaż i na złamanie karku wbiegłem do domu, gdzie uderzył mnie śwąd palonego mięsa. Przyciskając do piersi Ostrze Dusz, zacząłem się skradać. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się takie jak ostatnio. Przeszedłem przez pokoje, lawirując między stertami wystudzonych już teraz kości, wbiegłem po schodach i przemierzyłem okryty pleksiglasem pomost.

Cisza jak makiem zasiał. Żadnego ruchu.

Wszedłem na pierwsze półpiętro, widząc nad sobą wysoką spiralę klatki schodowej. Na jednym ze stopni ujrzałem kolejny krwawy ślad.

Tędy przeszedł. Chyba że krew była moja. Czy Charles Trzeci siedział właśnie na górze, w pomieszczeniu ze zwłokami Annalise?

Dosłyszałem niemalże bezgłośny szelest materiału. Jedno jedyne ostrzeżenie. Zrobiłem unik.

Z mroku za otwartymi drzwiami do wieży poleciały w moją stronę kule. Hammer zaszedł mnie od tyłu i walił do mnie z uzi. Przykucnąłem za barierką, słysząc rykoszetujące w cylindrycznej wieży pociski. Zakryłem twarz wytatuowanymi rękami i czekałem. Odbita kula szarpnęła mnie za rękaw, ale nawet nie drasnęła.

W końcu strzały umilkły. Jeśli Hammer zdecydował się obszukać ciała, ma tam ze sobą cały arsenał. Jeśli zdobyłby się na odwagę, mógłby wpaść na klatkę schodową i rozwalić mnie na kawałki.

– Ty draniu! – wrzeszczał wysokim, rozhisteryzowanym głosem. – Nie możesz mnie zabić, a jeśli jeszcze raz cię zobaczę, spalę żywcem. Wciąż czuję w sobie moc Wielkiego Koła. Ona wciąż we mnie jest, a ty mi jej nie odbierzesz!

– Dzwon po karetkę – jęknąłem błagalnie, starając się zabrzmieć bezradnie i żałośnie. – Proszę cię! – Ostrze Duszę trzymałem w pogotowiu. Może jeśli uda mi się go przyciągnąć...

– Ha! Pierdol się!

Usłyszałem oddalający się odgłos kroków i rozkopywanych kości. Nie dał się nabrać i umknął. Wyjrzałem ostrożnie na pomost. Pusto. Pobiegłem z powrotem do domu, przeskakując nad rozrzuconymi w nieładzie kośćmi. Drzwi frontowe stały otworem. Puściłem się sprintem w ich stronę.

Charles Hammer biegł asfaltową nawierzchnią, w lewej ręce trzymając kurczowo księgę, a w prawej pęk kluczy. Na jego plecach wisiało uzi, objając mu w biegu nerki. W sprawiedliwym świecie broń wypaliłaby, pozbawiając go odcinka lędźwiowego wraz z rodzinnymi klejnotami, kończąc w ten sposób linię rodową. Ale ponieważ świat jest, jaki jest, nic takiego nie miało miejsca. Hammer ominął nasz samochód, skacząc po kamieniach.

Kluczyki. Cholera, to dlatego na całym korytarzu wałały się kości. Musiał zabrać któremuś z ochroniarzy kluczyki do wozu.

Natychmiast przypomniałem sobie trzy crown victorie zaparkowane na ulicy.

Wbiegłem z powrotem do domu, odkopując kości i chwytając dwa pistolety uzi. Hammer miał jeden, ja czułem się pewniej z dwoma. Przewiesiłem obydwie paski naprzemiennie przez szyję. Składając poległym ciche przeprosiny, wybiegłem z domu, wsiałem do wozu i odpaliłem.

Moment wykręcania dłużył się w nieskończoność, ale w końcu pojechałem dojazdem na pełną drogę, marząc o nieosiągalnych dodatkowych dziesięciu kilometrach na godzinę. Fajnie by było, pomyślałem, jeździć czymś zwrotniejszym i szybszym niż lodówka.

Wkręciłem z piskiem opon na ulicę akurat we właściwym momencie, by zobaczyć, jak Hammer grzeje z parkingu jedną z crown victorii prościutko na główną drogę. Docisnąłem pedał gazu do podłogi, chcąc uderzyć go w bok na skrzyżowaniu i uwięzić w środku samochodu, ale skurkowaniec zdążył mnie minąć. Przez ułamek sekundy widziałem jego zdziczałą twarz i lśniąca od krwi szyję.

Na obrzeżach miasta moje serce stanęło na moment, gdy zobaczyłem, jaką rozwinał prędkość. Nie ma bata, żebym mu dorównał tym rękem. Zdjąłem jedno z uzi, odbezpieczyłem. Strzelę do niego przy pierwszej okazji.

Spomiędzy dwóch aut wyleciała na ulicę piłka, Hammer dał po hamulcach i wyminął ją, po czym ponownie przyspieszył, kierując się na skrzyżowanie. Wyciskałem z silnika siódme poty, goniąc go przez sam środek Hammer Bay. Nie stosował się do znaków stopu ani świateł, jechał na oślep przez skrzyżowania, trąbiąc do oporu i zwalniając tylko i wyłącznie wtedy, gdy znalazł się zbyt blisko innego pojazdu. To było jego miasto. Nie miał zamiaru nic tu zniszczyć, a przynajmniej nie na widoku.

Drasnąłem kulą jego tylne światło, gdy przyhamował dla kobiety na rowerze, ale nawet nie zwolnił. Minął supermarket, szpital i ostatni bar dla motocyklistów na drugim krańcu miasta, później pokonał pierwsze wzgórze, a następnie pognął na autostradę.

Jeśli nie mogłem dopędzić go w mieście, na autostradzie nie miałem z nim absolutnie żadnych szans.

Pokonałem wzgórze. Hammer pędził ile sił w cylindrach. Wzięłem uzi do lewej ręki i wychyliłem się przez okno. Nie pozostało mi nic innego, a poza tym wokoło nie roiło się już od niewinnych ludzi.

Wystrzeliłem w jego stronę długą serię, starając się celować w opony. Strzelałem jak noga, a pistolet podskakiwał niczym w ataku padaczki. Ale tylna szyba wozu Hammera poszła w drobny mak, a on sam schylił się za siedzenie, skąd nie widział drogi. Auto zaczęło jechać szarpanym zygzakiem. Nie przerywałem, dziurawiąc mu nieszkodliwie bagażnik.

Kliknął opróżniony magazynek. Sięgałem po kolejny, gdy Hammer, wciąż kryjąc się poniżej deski rozdzielczej, kręcił pojazdem to w lewo, to w prawo, kreśląc oponami czarne pręgi na linii ciągłej. Zza zakrętu na wprost wyjechał pick-up załadowany sprzętem ogrodniczym; kierował się teraz wprost na niego. Kierowca zatrąbił przeciągle.

Pojazdy minęły się. Pick-up zjechał z drogi na zwirowe pobocze, podskakując na wybojach. Hammer przedobrzył. Zjechał za mocno do prawej i nie zdołał wrócić na asfalt. Zahamował zbyt późno i grzmotnął z impetem w cedrowe drzewo.

Kierowca pick-upa zatrzymał się, ja również. Widziałem, jak oklapła poduszka powietrzna w crown victorii. Hammer był ranny, ale znałem go już na tyle, by wiedzieć, że do nokautu brakowało mu jeszcze jednej rundy. Odrzuciłem puste uzi i wysiadłem z vana.

– Pan widziałeś, co się stało? – zawołał do mnie kierowca pick-upa, nawet na mnie nie patrząc. – Jechał na czołowe!

Pobiegł do Hammera z zamiarem udzielenia pomocy. Charles Trzeci otworzył z wściekłością drzwi i wytoczył się z pojazdu z uzi w rękę. Kierowca stanął w miejscu, prawie się przewracając. Zawołał do Hammera coś w stylu: „Hej, kolego”.

Hammer wycelował we mnie. Ale to ja strzeliłem pierwszy.

Na całym jego ciele kwitły jedna po drugiej czerwone dziury po kulach, a impet rzucił go na samochód. Zsunął się na ziemię, znacząc pojazd krwawą smugą, i zmarł. Kierowca pognał z powrotem do swojego samochodu, jak każdy w podobnej sytuacji, kto ma dość oleju w głowie.

Zbliżyłem się do Hammera i odebrałem mu pistolet. Rany po kulach zasklepiały się już, ale wolniej. Bez srebrnego kręgu jego połączenie z drapieżcą było mocno nadwątlone.

Zdarłem z niego ubranie za pomocą Ostrza i odnalazłem Wrota na plecach, w tym samym miejscu co u Cabota i Cynthii. Ciąłem je, wypuszczając w powietrze stożek czarnego dymu i iskier.

Na brzuchu znalazłem drugi sigil: okrąg z płomieniami w czterech regularnych odstępach i z pojedynczym okiem w środku. Ale ten nie wyglądał mi na tatuaż. Sprawiał wrażenie guza, który rósł pod skórą. Ciąłem sigil Ostrzem Dusz. Nie strzelił dym, nie trysnęły iskry, ale rany Hammera momentalnie przestały się goić.

W ramach eksperymentu przejechałem nożem po jego nadgarstku. Rozciąłem mu skórę, jakbym korzystał ze skalpela. Nie żył.

Pick-up odjechał w stronę dal. Otworzyłem drzwi skasowanej crown victorii i wziąłem z siedzenia oprawny w skórę grymuar. Księga otworzyła się na stronie z napisem: „Wezwanie Koła Gorejącego, Co Bogactwo y Pomyślność Przynosi”.

Pod wpływem impulsu wyjąłem z kieszeni Hammera portfel. Znalazłem w nim pięć banknotów studolarowych i dziesięć dwudziestek. Zabrałem wszystkie. Jeśli jesteś w czymś dobry, nigdy nie rób tego za darmo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wcisnąłem księgę pod pachę, wróciłem do vana i pojechałem z powrotem do miasta. Powinienem był porzucić gdzieś kradzione auto, ale nie miałem zamiaru uciekać na piechotę. Połowa miasta widziała mnie w kasynie, w szpitalu, na komisariacie, ewentualnie podczas pościgu przez śródmieście. Policja stanowa i FBI już pewnie stały za mną listy gończe.

Poza tym nie miałem właściwie wyboru. Charles Hammer Trzeci mógł schować kopię księgi w wieży, a jeśli tak, należało spalić budowlę do gołej ziemi.

Przejechałem z powrotem przez miasto bez przeszkód. Ruch jakby zelżał. Większość mieszkańców zebrała się pewnie na północnym skraju miasta, gdzie biły w niebo dwie kolumny dymu. Zatrzymałem się na podjeździe pod wieżę Hammera, nie wzbudzając sensacji. Nie czekały na mnie policyjne radiowozy ani kamery telewizyjne, nikt nie kręcił się po okolicy. Drzwi frontowe wciąż stały otworem.

Wszedłem do środka i skierowałem się na taras. Nie znalazłem przy grillu podpałki, ale natrafiłem na długą zapalniczkę, torbę węgla i blaszany kominek do rozpalania węgla. Wystarczy. Wyrwałem styczeń, luty i maj z kalendarza kuchennego Charlesa i polałem je oliwą z oliwek. Później włożyłem papier na dnie kominka i zasypałem węglem.

Na śmierć zapomniałem o zraszaczach. Podążyłem za przewodami do punktu pod zlewem, gdzie wchodziły do systemu rozprowadzającego wodę

po budynku, i zakręciłem zawór.

Wstałem i zajrzałem do lodówki. Byłem głodny, jasne, ale pewna myśl nie dawała mi spokoju.

Na dolnej półce znalazłem pozostawione przez Charlesa trzy steki, które zaniósłem do wieży razem z zapalniczką i kominkiem.

Przyrządy do grilla pozostawiłem u wejścia, a z mięsem pogałem na górę po schodach.

Annalise wciąż tam leżała. Wystarczył jeden rzut oka, bym pojął, że moje nadzieje były płonne. Otworzyłem pierwszą paczkę i odciąłem od grubego steku pasek mięsa. Usta Annalise były otwarte szeroko w niemym krzyku. Włożyłem jej pasek do gardła.

Jeszcze jeden. I kolejny. Szaleństwo, myślałem, głupota. Kiedy już mnie zdybią, umieszczą w jakimś przytulnym szpitalu psychiatrycznym.

Gdy skroiłem cały stek, poczułem, że coś drgnęło w okolicy jej krtani. Odetchnęła.

Wciąż sprawiała wrażenie martwej, jej skóra pozostawała czarna i spalona, twarz skurczona, a oczodoły puste.

Przyłożyłem jej do ust otwartą dłoń. Jak Boga kocham, oddycha. Albo w końcu zwariowałem.

W pośpiechu pokroiłem kolejny stek, wpychając jej do gardła kolejne paski. Kiedy mięso się skończyło, wziąłem ją delikatnie na rękę, plamiąc tłuszczem swoją i tak zrujnowaną koszulę, po czym wyniosłem ją na zewnątrz. Otworzyłem klapę vana i jak najdelikatniej ułożyłem Annalise na podłodze.

Następnie wróciłem do domu, odpaliłem kominek i postawiłem u stóp schodów. Wkrótce nagrzej się dostatecznie, by ogniem zajęło się drewno.

Poleciałem szybko do kuchni i rozkręciłem kurki kuchenki gazowej. W salonie przewróciłem kanapę, nagarnąłem pod nią czasopism i gazet i je również podpaliłem. Wkrótce kanapa także zajmie się ogniem, od niej ściana, a ta już nie zgaśnie do momentu, gdy doleci tutaj gaz z kuchni.

Wszystko to zajęło mi góra trzy minuty, ale miałem wrażenie, że trwa w nieskończoność. W końcu wróciłem z powrotem do vana i jak najszybciej opuściłem podjazd. Nie można było wykluczyć, że ktoś wejdzie do domu i zginie w wybuchu instalacji gazowej, ale nie wydawało mi się to prawdopodobne. Hammer cenił swoją prywatność, a mieszkańcy dbali o to, by nie zakłócać mu spokoju.

Raz jeszcze przeciąłem miasto, parkując przy stojącym przy supermarkecie kontenerze, zza którego nie było widać samochodu na ulicy. Moje ciuchy były w opłakanym stanie.

Klienci obdarzyli mnie serią niepochlebnych spojrzeń, ale przekuśtykałem rundkę po sklepie, starając się zachować resztki godności, i uiściłem przy kasie rachunek pieniędzmi, którymi zapłacił mi Hammer za ceną lekcję. Kupiłem cały udziec barani i czterdzieści funtów wołowiny.

Wróciwszy do vana, odpaliłem silnik. Nie miałem już sił na planowanie, ostała mi się tylko paląca potrzeba, by jak najszybciej opuścić miasto. Wyjeżdżając z parkingu, usłyszałem głośny wybuch.

Spojrzałem w stronę oceanu i w miejscu, gdzie wznosiła się dotąd wieża Hammera, dostrzegłem zbitą czarną chmurę. Ludzie wokoło aż podskoczyli, rozległy się krzyki, kilka osób wsiadło do samochodów i pojechało na miejsce wybuchu.

A ja skręciłem w przeciwnym kierunku i wyjechałem z miasta.

Kilka mil dalej zatrzymałem się na pustym parkingu, gdzie nie tak dawno, a jednocześnie całe wieki temu, miała miejsce konfrontacja z rodziną Bentonów. Zwolniłem i zatrzymałem się przy opuszczonym straganie.

Przeszedłem na tył. Annalise wciąż dyszała, ale słabiej niż ostatnio. Jej oddech na mojej dłoni sprawił, że zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Jakbym poczuł oddech ducha.

Wydostałem pierwszy połec wołowiny z opakowania. Zaledwie parę dni temu zostawiłbym ją w płonącej wieży albo wrzucił w krzaki i z radością pojechał w stronę zachodzącego słońca.

Teraz już nie.

Przez całą następną godzinę kroilem mięso na drobne paski i karmiłem Annalise. Żyła.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim pragnę podziękować Tedowi Elliottowi, Terry'emu Rossio i wszystkim bywalcom Wordplayer.com (<http://Wordplayer.com>), a zwłaszcza Billowi Martelowi. Bez tej strony nigdy nie zdołałbym sklecić do kupy porządnej historii.

Podziękowania należą się także Caitlin Blasdell i Betsy Mitchell za poświęcenie niniejszej powieści wiele troski, wiedzy i cennego, cennego czasu.

Ale najbardziej pragnę podziękować mojej żonie MaryAnn, która wierzyła we mnie na przekór wszystkiemu. Gdyby nie ona, ta książka by nie powstała.

COPYRIGHT © 2009 BY Harry Connolly
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2014
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Maciej Pawlak, 2014

TYTUŁO ORYGINAŁU Child of Fire

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-918-2

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba

GRAFIKA NA OKŁADCE © Dave Wall / Arcangel Images

REDAKCJA Michał Cetnarowski

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WIEDZA W LICZBACH

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

HARRY CONNOLLY

≡ DZIECIĘ OGNIĄ ≡


W prowincjonalnym miasteczku rodem z filmów Davida Lyncha bije źródło złowrogiej magii. Strzeże go drapieżca, który poświęca dziesiątki niewinnych dzieci w zamian za nadnaturalną moc. Ray Lilly, były więzień i złodziej samochodów, z charakteru cynik wrażliwy na krzywdę innych, musi ten proces powstrzymać.

Tym bardziej że musi odkupić winy u swojej szefowej, która tylko szuka pretekstu, aby go unicestwić lub posłużyć się w tym celu kimś innym.

Opowieść, którą czyta się jednym tchem, jakby oglądało się najlepsze hollywoodzkie produkcje.

Terry Rossio,
scenarzysta „Piratów z Karaibów”



 facebook.com/fabryka

fabrykaslow.com.pl



ZOBACZ
TRAILER

Wyłączny
dystrybutor



Patroni
medialni



efantastyka.pl



